

Wszystko
iła pol

THOMAS
CAPLAN



CZAS I MIŁOŚĆ



Caplan Thomas

Czas i miłość

W zamku Midleton spotykają się na polowaniu przedstawiciele angielskiej arystokracji i wielkiej finansjery. Zabawę przerywa tragiczny wypadek. Julia Brooks - szczęśliwa żona i matka - nie wie jeszcze, jak dramatycznie zmieni się jej ustabilizowane, spokojne życie...

1

Wszystko wskazuje na to, że opatrność jest po mojej stronie. Wiele o tym W myślałem na przestrzeni lat i nie potrafię znaleźć innego zadowalającego wytłumaczenia faktu, że tak często staję się uczestnikiem zdarzeń w ich przełomowym momencie. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jest moim zamiarem chełpić się tą zdolnością czy wyrzekać na nią, a już napewno nie pragnę jej wyolbrzymiać. Jest to raczej cecha, może talent, który uważam za oczywisty, jak uczestnik nużącej wyprawy, wyglądający już drogowskazu „dom”, uważa za oczywiste istnienie wiz, biletów, a nawet rozrywek uwzględnionych w marszrucie. Polegałem na nim już w zamierzonych szkolnych czasach. Podczas gdy lata sześćdziesiąte zmieniały swoje oblicze, a za wysokimi oknami mojej szkoły japońskie wiśnie, białe derenie i płaczące wierzby obumierały i rodziły się na nowo, ja śniłem na jawie, by ocknąć się i poświęcić całą uwagę nauczycielowi w chwili, gdy zadawał pytanie, które potem pojawiał się na egzaminie. Odwracałem oczy od telewizora, by wrócić do niego, gdy padała decydująca bramka - i tak dalej, czy chodziło o mistrzostwa świata w piłce nożnej, czy bardziej emocjonalny, zawiły problem młodzieńczych miłości i seksu.

Oczywiście wszyscy mają szczęście, a jednocześnie go im brakuje. I nie robiłbym z tego kwestii, gdyby nie to, że nagle ogarnia mnie lęk. Ogarnia mnie lęk, ponieważ jest trzecia nad ranem a moja żona nie leży przy mnie w łóżku. Nie słyszę jej oddechu, nie ma przy mnie jej zapachu, brakuje długich okresów bezruchu i nagłych drgnień, wyznaczających rytm naszych wspólnych nocy, ciężaru jej ciała na materacu - wszystko to zniknęło. Wyczuwając tę nieobecność, tak niezwykle o tej porze, budzę się z niespokojnego snu z przeświadczeniem, że rozpoczynamy nową fazę w naszym życiu. Z łazienki nie dobiega pokastywanie ani szum wody. Drzwi sypialni są uchylone, jakby otwarto je z nieskończoną ostrożnością, a szlafrok Julii, przerzucony zwykle przez poręcz łóżka, zniknął, wraz z podkoszulkiem, który zdejmuję, znalazłszy się już bezpiecznie pod kołdrą. Choć jesteśmy małżeństwem od dobrych paru lat, czujemy się nadal obcy sobie pod

wieloma względami, jednak Julia i ja śpimy nago. Nasza wzajemna fascynacja ma charakter fizyczny, kochamy się częściej i bardziej spontanicznie niż zdaniem ekspertów robi to większość par tak już do siebie nawykłych jak my.

Dywan jest chłodny pod bosymi stopami, powietrze - wilgotne i piwniczne - łaskocze skórę, kiedy podchodzę do kontaktu, pochylam się i naciskam włącznik, który uruchomi elektryczny grzejnik. Jego zwoje czerwienieją szybko, ale waham się. Może ona zaraz wróci, myślę. Może problem, jeśli w ogóle istnieje, dotyczy najbliższej rodziny, a nie mnie, który się w tę rodzinę wzenił. Może Julia usłyszała hałas w psiarni, pojękiwania w pokoju brata na końcu długiego korytarza, albo telefon. A może po obfitej kolacji, dwóch kieliszkach szampana i dwóch czerwonego wina poczuła się tak niedobrze, że poszła poszukać lekarstwa w jakimś odległym zakątku domu. Jej nieobecność da się wytłumaczyć na wiele sposobów, ale wiem, że wszystkie te wyjaśnienia okażą się nieprawdziwe. Nie mam wątpliwości. Czuję to.

Nie mieszkamy w dzieciennym pokoju Julii. Tamten jest mniejszy, weselszy położony bliżej schodów. Nasz jest wielkim sześcianem, odgrodzonym od dziennego światła płaszczyzną solidnych dębowych okiennic. Aż do naszego ślubu stanowił część tak zwanych „apartamentów stanu”. Ponieważ od czasu kosztownego remontu, jaki przeprowadzono w latach trzydziestych, żaden monarcha nie przybył z wizytą do Castlemorland, lord Cheviot postanowił przydzielić główną sypialnię apartamentu nam, swoim najczęstszym gościom, pozostawiając inne, mniej majestatyczne, choć równie wspaniałe, do dyspozycji Jej Królewskiej Mości, gdyby kiedyś zechciała z nich skorzystać. Pragnąłbym - i czasem udaje mi się w to uwierzyć - żeby ten gest oznaczał aprobatę mojej osoby jako zięcia i rozstrzygnął raz na zawsze (i na sposób angielski - bez deklaracji) słuszność małżeństwa z Amerykaninem dziewczyny z pochodzeniem Julii. Oczywiście, jak często podkreślano, babcia Julii była Amerykanką - ze środkowego wschodu, z Chicago. Ale zdawałem sobie sprawę, że to zupełnie co innego. Babcia wniosła do rodziny znaczny majątek - większą część kopalnianej fortuny, która pozwoliła Middleton-Lyghamom zatrzymać i unowocześnić Castlemorland wtedy, gdy inne stare rody musiały opuścić swoje siedziby. Gdyby nawet była mniej bogata, to weszła do rodziny w czasach, gdy nie istniała wątpliwość, czy kobieta wyrzeknie się swego nazwiska, zjednoczy się z mężem bez reszty, urodzi mu i wychowa dzieci i zamieszka tam, gdzie on zdecyduje. Natomiast ja mogłem pewnego pięknego dnia oznajmić - a wynikało to ze specyfiki życia pracownika banku inwestycyjnego - że pana Johna i lady Julii Brook należy od jutra szukać na Park Avenue w Nowym Jorku lub przy jakiejś osobliewej alei w Greenwich, Connecticut, czy nawet, co Bóg broń, w dzielnicy Tokio o pogańskiej nazwie. I faktycznie, potrafię sobie wyobrazić okoliczności, w których musiałbym się przeprowadzić do Tokio, jeżeli nie chciałbym zaprzepaścić szansy na lepszą przyszłość. Takie nieszczęście mogło się jednak przytrafić każdemu ambitnemu Anglikowi, więc rodzina Julii bardziej obawiała się różnic narodowościowych. Choć Lyghamowie nigdy nie wyrazili głośno tej obawy, lękali się, że w jakimś krytycznym momencie naszego życia zatęsknią za domem. Odrzucam taką ewentualność. Po pierw-

sze - znam siebie. Po drugie nie jestem człowiekiem sentymentalnym. Kocham żonę, kocham jej dom i nasze dzieci. Wiem jednak, że Lyghamowie nie wyzbyli się jeszcze obaw. Dlatego też jestem skłonny przypisać nocnemu incydentowi, jak wielu innym zdarzeniom, większe znaczenie niż ma w rzeczywistości.

Nie dobiega mnie żaden dźwięk, kiedy czekam, próbując zdecydować, czy -a jeżeli tak, to kiedy - wyruszyć na poszukiwanie żony. Czy jest chora? Nieszczęśliwa? Zdradza mnie? Skreślam ostatnią możliwość. Jest absurdalna. Wiedziałbym. Wyczułbym jej napięcie. Nie moglibyśmy się kochać przed paroma godzinami.

Wkładam kaptcie i szkarłatny szlafrok, okulary zamiast szkieł kontaktowych moczących się w szklanych pojemniczkach. Skądś dobiega trzask drzwi, głosy, znowu drzwi. Potem zapada cisza. Wychodzę do holu, słabo oświetlonego kinkietami. Pasma czerwonego chochlika w plamach słabego światła, kamienne ściany, wysokie sklepienie, zimne i dostojne. Głos dobiega z dołu. Poruszam się ostrożnie, i czujnie, choć staram się nie okazywać niepokoju, na wypadek gdybym natknął się niespodziewanie na Julię. Na szaro-żółtych marmurowych schodach mijam portrety Adriana i Julii jako dzieci, potem portret Charlotte, średniej siostry, która zmarła na leukemię w wieku sześciu lat. Charlotte ma figlarny wyraz twarzy. Nie jest wcale ładna, uderza mnie teatralność jej uśmiechu. Jest jeszcze bardziej sztuczny niż uśmiech mojej żony.

W westybulu pali się górne światło. Wpada mi w oko brązowy prochowiec na wieszaku przy drzwiach wejściowych. Nawet przez szklane drzwi widać wyraźnie, że jest aż ciężki od deszczu. Widocznie pada, myślę. W holu, przy konsol-ce porzucono na podłodze zieloną torbę z płótna i skóry, zaś na marmurowym blacie stolika, prócz niebieskich kopert do wysłania i garstki bilonu, leżą klucze. Rozpoznaję klucze, prochowiec i torbę.

Wszystkie drzwi prowadzące do pokoiw recepcyjnych są zamknięte o tej godzinie. Spoglądam na podświetloną tablicę rozdzielczą, a przed naciśnięciem klamki do salonu sprawdzam położenie przełącznika alarmu. Okazuje się, że drzwi już są otwarte. Ustępują wolno, ale pokój jest ciemny. Podwójne drzwi łączące salon z biblioteką są w jednej trzeciej uchylone. Omijam krzesła i sofę, uważając na przewody lamp i telewizora i na chwilę przyciskam twarz do szyby drzwi prowadzących na dziedziniec. Pada deszcz, miarowo, spokojnie. Kładę dłoń na gałce z kości słoniowej i rozsuwam drzwi do biblioteki. Ostrożnie. Głos Julii staje się czymś więcej niż szeptem. Chcę już dać o sobie znać jakimś gwałtowniejszym ruchem, kiedy dobiegają mnie jej słowa. Jest zdenerwowana.

- Twierdzi, że ma dowód, ale co to może być?

Natychmiast opuszczam rękę, ciekawość - a właściwie załazek strachu - jest silniejsza niż wstyd, że zamierzam podsłuchiwać.

- Nie mam pojęcia - odpowiada jej kuzyn Rupert.

- Nie istnieje żaden dowód - zapewnia Julia.

-Nie - przyznaje kuzyn i milknie. Słyszę grzechotanie kostek lodu w szklance. - Wiem. Absolutnie żaden. Czego on chce?

- Władzy nade mną.

- Władzy? Jakiego rodzaju władzy? - Oto przemawia Rupert-analitik, Rupert finansista, człowiek sukcesu, chłodny, bezpośredni, gorliwy.

- Po prostu władzy - odpowiada Julia. - Chce, żebym wiedziała, że ma nade mną władzę.

- Drań - mówi Rupert lekceważąco.

Ich głosy cichną. Udaje mi się wyłapać słowa: „Trzeba to załatwić”, wypowiedziane znużonym tonem Ruperta i „tak” Julii, ale ich kontekst - nawet znaczenie - są niejasne. Potem słyszę, jak Rupert wychodzi z biblioteki drzwiami prowadzącymi wprost do holu, zapewne po teczkę i klucze. Po chwili jest już na schodach. Jego następne słowa dobiegają już z podestu. Szept rzucony z góry zdaje się nabierać mocy, zanim sięgnie celu - i mnie.

- Nie martw się. Rozprawimy się z nim w stosownej chwili. Dobranoc, kochanie. Rano trzeba wcześniej wstać.

Julia zostaje na dole, prawdopodobnie po to, żeby zamknąć drzwi i włączyć alarm.

Wycofuję się, starając się niczego nie potrącić. Odnalazłem atmosferę ukrad-kowości, nastrój w którym się obudziłem i teraz nie chcę zostać odkryty. Pragnę jednak, żeby mnie zauważono, ponieważ zamierzam uzyskać odpowiedź na parę pytań. Kiedy Julia spotyka mnie w Wielkim Holu, może się jej wydawać, że idę do kuchni, ogarnięty wilczym głodem. Słyszę jej głos za plecami i odkrywam w nim coś niepokojącego: brak zaskoczenia, co zbija mnie z tropu. Nie miałem ataku wilczego głodu od lat, ściśle rzecz biorąc od czwartego roku studiów. Jest więc nienaturalne, że Julia, doszedłszy nieuchronnie do tego samego wniosku, okazuje tak mało zdziwienia.

- Szukasz mnie? - pyta.

Waham się, krzywię, potem odwracam.

- Nie - słyszę swój głos.

Julia udaje zgorzienie, zagryza dolną wargę, unosząc brwi w sposób, który mówi mi, że mogę się spodziewać niespodzianek.

- Właściwie idę do kuchni - wyjaśniam, wiedząc od razu, że kłamstwo mnie usidli i pociągnie za sobą następne. To był błąd, tak jak błędem było podsłuchanie rozmowy z Rupertem. Z przykrością - ponieważ kochamy się z żoną i dzielimy mnóstwo intymnych sekretów, także tych dotyczących przeszłości i znajomych -uświadamiam sobie, że istnieją w naszym małżeństwie sprawy, których ujawnienie może okazać się ryzykowne. Oboje jesteśmy nowocześni, zawarliśmy nasz związek z miłością i nadzieją, ale również ze sporą dozą realizmu.

- Och, rozumiem! Wyjaśnijmy to sobie. Budzisz się w środku nocy i stwierdziwszy nieobecność kochanki ruszasz w poszukiwaniu... czego właściwie?

- Kurzego udka?

- Nie zauważyłeś, że mnie nie ma?

- Zauważyłem - uśmiecham się.

Moja trzydziestodwuletnia żona, matka naszych bliźniąt, ma nadal smukłą figurę charakterystyczną dla pewnego typu kobiet północnoeuropejskich: długie, doskonałe nogi i biodra zaokrąglone tylko na tyle, by nie mogły uchodzić za dziewcz-

częce. Jej piersi są nadal znakomicie wymodelowane i równie sterczące, jak przed dziesięcioma laty; stwarzają iluzję młodości nawet bez stanika albo bez góry kostiumu. Włosy ma ciemne, po ojcu, latem rozjaśnione słońcem do koloru palonych migdałów, owalne oczy zielone i ogromne. Zależnie od jej nastroju, mogą być nieprzeniknione, enigmatyczne lub bardzo sugestywne. Inteligencja ocaliła jej twarz, o jasnej karnacji Angielki, od parafialnego piętna narodowości.

Kładę wargi na jej ustach. Na chwilę nasze języki spotykają się i wstrzymujemy oddech, potem Julia odsuwa się, przygląda mi się ostro i całuje znów, jeszcze bardziej namiętnie, splatając dłonie na moim karku. Kiedy chcę wziąć ją na rękę, odsuwa się i prowadzi mnie przez wąski pokój kredensowy do kuchni.

- Nie mogłam spać - wyjaśnia, kiedy szperamy w lodówce. - Zasnęłam na godzinę, a potem obudziłam się, sama nie wiem dlaczego. Może dlatego, że mam na głowie więcej niż zwykle. Leżałam tak - ty spałeś jak zabity, z głową między poduszkami, jak zwykle - kiedy usłyszałam hałas. Nic nadzwyczajnego, jak na tak wielki dom. Nie było powodu do niepokoju, ale dało mi to pretekst, żeby wstać i uciec od dręczących myśli. Miałam nadzieję, że wstając z łóżka przebrnę szybciej przez tę fazę wyczerpania, która nie pozwala zasnąć.

-No i?

- Okazało się, że to Rupert... - tylko Rupert. Przyjechał z Londynu, po kolacji z klientem. Omal go nie złapali na drodze M-4, mówi, że nie wywinąłby się, gdyby nie inny samochód, który go wyprzedził tańcząc na szosie. Policja dała Rupertowi spokój i pojechała za tamtym. - Zdając relację z przygody Ruperta, Julia ujmuje niebieski emaliowy czajnik i przechyla go, by lepiej ocenić ilość wody, jaką zawiera. - Napijesz się kawy? - pyta, unosząc lewą pokrywę pieca. -Albo herbaty?

- Chyba nie.

- Słusznie - przyznaje. - Masz rację.

- Czy Rupert mówił jeszcze coś ciekawego? - pytam, siląc się na zdawkowy ton.

- Nic - odpowiada ona nerwowo. Nie potrafię stwierdzić, czy wyczuła moją podejrzliwość.

Zanosimy jabłko, kawałek camemberta, talerz, nóż i papierowe serwetki do biblioteki i siadamy obok siebie na zniszczonej aksamitnej sofie, dwa razy głębszej niż typowy fotel. Naprzeciwko nas, w małej alkwie, stoi na mahoniowej podpórce stuletni globus, na którym zaznaczono na różowo obszar imperium brytyjskiego. Z naszego miejsca na sofie widać Europę, Afrykę i Azję Środkową. Od Anglii aż po Indie ciągnie się jaskrawe pasmo upadłej władzy i dawnej wspaniałości. Wyobrażam sobie długie letnie wieczory sprzed stu laty, kiedy właściciele tego globusa - mężczyźni, którzy z gabinetu-biblioteki zarządzali posiadłością lub po prostu spędzali tu czas po kolacji - zasiadają przed tym globusem w miłym przeświadczeniu, że każdy kolejny dzień umacnia ich panowanie. Moja żona odziedziczyła ich niepokój po upadku prymatu Wielkiej Brytanii. I choć ona i jej przyjaciele odziedziczyli również cenną pewność siebie, Julia przywdziewa ją o wiele częściej jako zbroję lub ozdobę niż oznakę bezwzględnej wiary we własną

sytuację życiową. Jeżeli mam być szczery, uważam, że oni się boją - nie tyle samych zmian stylu życia, ile tempa, w jakim te zmiany się dokonują.

- Mówiłaś o Rupercie - zagaduję Julię.

- Gawędziliśmy przez kilka minut. Same banały. Potem poszedł na górę, na ostatnich nogach. Dziwię się, że nie wyminąłeś go na schodach.

Unika mojego wzroku. Wpatruję się w nią uporczywie, zmuszając, by na mnie spojrzała. Oboje wybuchamy śmiechem.

- Kochanie - mówię. - Mógłbym przysiąc, że coś knujesz.

-Coś knuję?! -wykrzykuje z udawaną zgrozą. -Oczywiście, że knuję. Jutro są urodziny mojego brata i mam nadzieję, że uknuję nie byle co - ale nic ci nie powiem, bo powtórzysz Adrianowi, jak tylko zaczniesz cię wypytywać, i zepsujesz mi całą niespodziankę.

- Pal to lichu!

- Nie mów „pal to lichu”. Nie jesteś Anglikiem. Nie chodziłeś tu do szkoły. Nie musisz cały czas próbować... to znaczy, nie powinieneś używać wyrażen, które... Zresztą, wszystko jedno.

- Wymykają mi się.

- Pewnie tak.

- Nie rozumiem, co w tym złego! Przecież angielski slang wchłonał setki amerykańskich wyrażen. W gruncie rzeczy to język amerykański jest bardziej interesujący. Cała kultura masowa. Świat pełen jest ludzi, których marzenia dotyczą Ameryki, którzy pragną zostać nowoczesnymi Amerykanami, a nie angielskimi anachronistami.

- Z pewnością masz rację - mówi Julia. - Przepraszam cię. - Krążymy wokół rozmowy z Rupertem nie poruszając jej istoty, co kosztuje nas sporo nerwów. Oboje zdradzamy objawy napięcia. Jesteśmy zdezorientowani. - Ale nie zapominaj, że moja babcia była Amerykanką.

- Nie zapominam.

-1 że wyszłam za Amerykanina. Z wyboru. Gdybym chciała oficera gwardii, z pewnością bym go złapała. Więc nie traktuj mnie jak snobkę. Lubię Amerykę. Czy jakakolwiek kobieta w mojej sytuacji mogłaby jej nie lubić? Nie chodzi mi o to, że Adrian odziedziczył Castlemorland, a nie ja. Wychowano mnie w tej świadomości. Tylko dzięki takiej polityce Castlemorland przetrwało do chwili, gdy miałam szansę w nim zamieszkać. Nie da się dzielić majątku na trzy lub cztery części co dwadzieścia pięć lat i jednocześnie utrzymać go w całości. Nie martwi mnie zasada pierworództwa ani utrata rzeczy materialnych, ale rozejrzyj się, spójrz na te obrazy. Ósmy earl, drugi markiz. Dwa, cztery, sześć... osiem rodzinnych portretów w tym tylko pokoju i wszystkie przedstawiają mężczyzn. Portrety kobiet wiszą w innych pokojach, fakt, ale te panie nie tworzą linii, nie mają ze sobą nic wspólnego poza faktem, że w pewnym momencie wyszły za Midletona-Lyghama. Żadnego portretu księżnej matki, nieliczne podobizny jej córek i na tym koniec. Nie ma w tym nic niezwykłego. Przypuszczam, że podobnie jest w rodzinach nie utytułowanych, choć zapewne mniej rzuca się to w oczy. W końcu kobiety przyjmują nazwisko męża, albo robiły to do niedawna i nadal robią nawet

w Stanach, kiedy już przyjdą na świat dzieci. Tytuł daje pewne prawo - a może nawet obowiązek - stworzenia linii, linii największych, najpotężniejszych, me mówiąc o tym, że najgroźniejszych facetów, po odsianiu wszystkich nieudaczników, przybłędów, którzy wśliznęli się w szeregi, no i oczywiście młodszych synów. Córki, o ile wiem, nie są w ogóle brane pod uwagę.

- Interesujące - odpowiadam, zupełnie rozbudzony, nie spodziewając się już zasnąć przed świtem.

- A teraz wyobraź sobie linię kobiet, które weszły do takiej rodziny jak ta. Moja matka, jej matka, która umarła przy porodzie, jej babka i tak dalej. Można by też zacząć od mojej amerykańskiej babki, po tamtej stronie Atlantyku i posuwać się wstecz. Bądź co bądź uczyniła o wiele więcej dla przetrwania tego domu niż wielu z tych wąsatych dżentelmentów, których widzisz na ścianach. - Julia siada wyprostowana, odstawia talerz ze skórką jabłka i kładzie uwalany camem-bertem nóż na stoliku do kawy. Ja pochylam się również i odkładam na ten talerz nasze papierowe serwetki. Przez chwilę jest tak, jakbyśmy mieli za chwilę opuścić restaurację. Nie patrząc na siebie, sadowimy się wygodnie, moja prawa noga spoczywa na lewym udzie żony, a ramię otaczają w talii. Julia kładzie głowę na moim ramieniu i czuję perfumy, zapach szamponu ziołowego i woń, jaką pozostawił seks sprzed paru godzin.

- Próbujesz mnie podniecić i udowodnić, że nadal jesteś chłopcem? – pyta Julia.

- Przecież jestem chłopcem - żartuję, choć nagle poczułem się niepewnie, nagle obudziła we mnie lęk. Muszę na nowo poznać głębię naszej wzajemnej wiary, doprowadzając do tego, by przestała nad sobą panować. Muszę pozbawić ją samokontroli, z której słynie. - Chcesz iść na górę?

- Jeszcze nie teraz.

Moje palce suną w górę po powierzchni watanianego szlafroka, żeby spocząć na jej piersi. Ciągle jeszcze wspiera się na mnie, oddycha coraz ciszej i ciszej, jakby zapas energii, który ją obudził, wyczerpał się nagle pozostawiając na granicy snu. Zaczynam gładzić wełniane kwadraciki.

Przez chwilę siedzi w bezruchu, potem rozwiązuje pasek mojego szlafroka, a uporawszy się z tym, rozchyła poły. Jest to niedorzeczne w tym otoczeniu, w tym pokoju, ale prócz śmieszności sytuacji odczuwam również ciekawość, podnieca mnie wielorakość form wyrażania fizycznej fascynacji, zachwyca, do jakich granic posuwa się czasem Julia. Odchylam głowę, kładąc ją na oparciu sofy, patrzę na skrawek źle oświetlonego fryzu. Nabieram głęboko powietrza. Przelykam ślinę.

Nagle Julia odsuwa się. Niemal w tej samej chwili przyciska palce do mojego brzucha, nie żeby pieścić, lecz łaskotać. Błyskawicznie zmienia pozycję, siedzi teraz na mnie okrakiem. Porzucam wszystkie, moje wątpliwości, nawet myśl o bliskim stosunku. Zawsze miałem łaskotki i śmiech, jaki wywołuje jej dotyk jest całkowicie mimowolny, całkowicie absorbujący. W ten sposób daje o sobie znać ta cząstka dziecka, jaka tkwi w Julii, ujawniają się nieokiełznane, nieprzewidywalne strony jej zdyscyplinowanej osobowości.

Odruchowo chwytam ją za ramiona,

próbując odepchnąć, ale ona pochyła się ku mnie, a ja, osłabiony śmiechem, nie mogę jej podnieść. Pod moim dotknięciem rozchyła się dekolt jej szlafroka, niemal obnażając ramiona. Julia patrzy mi prosto w twarz, śmieje się, pokazuje język w głupi, dziecinny, a jednak prowokacyjny sposób. Gdy ja koncentruję się na jej oczach, cofa na sekundę ręce, przyciska je do boków, by strząsnąć z siebie szlafrok. Opada jak koc z moich kolan na kapcie. Zrzuciwszy szybko podkoszulek Julia już jest naga, podniecona, ale w figlarnym nastroju. Znowu mnie łaskocze, a potem wstaje. Nieskrępowana nagością, maszeruje na środek wielkiego pokoju o beczkowym sklepieniu i czeka na mnie, jak mogłaby czekać na kieliszek sherry przed lunchem.

- Nie w tym cholernym szlafroku - mówi, chociaż już go zdejmuję. - Tak lepiej.

- Co w ciebie wstąpiło? - pytam.

- Pragnienie, by zadowolić męża - mówi bez przekonania. - Oczywiście, jeżeli chcesz, możemy teraz pójść na górę i wszystko odbędzie się tak jak zawsze. Bez niespodzianek. Bez ryzyka, że zostaniemy nakryci. Nikt się nie dowie, że nie jesteś tak godny szacunku, jak im się zdawało. O mnie mniejsza. Moglibyśmy wrócić do naszej sypialni, do bezpiecznej rutyny i kochać się jak stare małżeństwo.

Cokolwiek zechcesz, kochanie. Masz moje słowo. Bez uniesień, bez napięć.

- Nudne - mówię.

Biblioteka to długi, prostokątny pokój, za dnia pełen słońca, które wpada przez cztery wielkie okna. Drzwi wychodzą na wewnętrzny dziedziniec, gdzie ponad wypielegnowanym trawnikiem i klombem fuksji stoi triumfujący Merkury z lanego żelaza. Łagodna bryza marszczy wody idealnie okrągłego basenu u jego stóp. O tej godzinie, oczywiście, dziedziniec tonie w ciemności. Ciężkie purpurowe kotary są zaciągnięte. Światło lamp o abażurach w kolorze miodu odbija się w oszklonej szafce stojącej między oknami; kiedy Julia gasi ostatni z nich, zapadają atramentowe ciemności. Powietrze natychmiast wypełniają zapachy: całe wieki kubańskich cygar, dębowej boazerii i wosku do mebli. Wyostrza się słuch: noc pulsuje równą, zniewalającą, monotonną ciszą.

Julia bierze mnie za rękę i prowadzi do biurka Baumbauera, stojącego przed kominkiem.

- Bohater musi podjąć ryzyko i zabić smoka, zanim zdobędzie księżniczkę. Czy dlatego powiedziałeś „nudne“?

Julia dosiada swojego konika. Zaczepnęła pomysł z jakiejś książki czy z wykładu na uniwersytecie, nie pamiętam. W każdym razie napisała kilka monografii na temat bohaterów, zwłaszcza heroin, i prób, przez które muszą przejść, zanim dojrą do złego lub szczęśliwego zakończenia. Śmieję się.

- Nie jesteś księżniczką. Uważasz, że tak o tobie myślę?

- Częściowo. - Julia podchodzi do krzesła. Odsuwa je cicho i siada.

- Ile razy mam ci powtarzać, że była to miłość od pierwszego wejrzenia? Zakochałem się, zanim się dowiedziałem, kim jesteś. Zanim dowiedziałem się o istnieniu markizów, a tym bardziej rodzin tak ekscentrycznych, że wymawiają „Lygham” jak „Lajm”. Zanim dowiedziałem się o istnieniu wielkich domów, portretów rodzinnych, ziemi i antycznych mebli.

Staję za oparciem krzesła Julii, z dłońmi na jej ramionach. Masuję je, właściwie ugniatam, potem muskam boki jej piersi i wracam do ramion. W bibliotece nie ma przeciągów, ale jest chłodno i zastanawiam się, jak długo Julia zamierza tak siedzieć, czy realizuje jakąś dawną fantazję erotyczną, czy improwizuje. To właśnie z tego biurka zarządza się Castlemorland od wieków. To tutaj, od czasu śmierci jej ojca, brat decyduje o sprawach zamku i posiadłości. Tak więc pod wieloma względami biurko jest duszą Castlemorland. Wśród stosów papierów na blacie leżą plany gospodarki leśniej i rolnej, sprzedaży i remontów domów we wsi wykaz kosztów polowań, harmonogram strzelania zwierzyny, listy zaproszonych gości. Jest to doprawdy wspaniały okaz biurka. Zdobienia z kości słoniowej mosiężne gałki i blat wyłożony czerwonym aksamitem zatracają zabytkowy charakter w użytkowej roli mebla, w tym na wskroś męskim pokoju, gdzie pracował Churchill, Melbourne i Pitt Młodszy.

W księżce pamiątkowej Castlemorland, którą przechowuje się na dolnej półce północnej biblioteczki, figurują najznamienitsze nazwiska historii Anglii od czasu królowej Wiktorii. I trudno nie myśleć o tym domu z czasów jego świetności kiedy służba liczyła przynajmniej trzydzieści osób, a piwnice, spiżarnie i skrzynie' były obficie zaopatrzone. Nasza dzisiejsza eskapada byłaby wówczas niemożliwa. Chociaż, kto wie?

Uniezależniony od osobowości swoich właścicieli, dom zdaje się cieszyć własnym, niezmaconym i wspaniałym życiem. Nie jest to blichtr pałacu Gatsby'ego, lecz coś trwałego, o wiele subtelniejszego, nasyconego krótszą lub dłuższą obecnością sławnych ludzi, wspomnieniem wystawnych lunchów, kolacji balów i wiejskich fet, organizowanych raz do roku. Dotykając mojej żony, czując pod dłońmi rytm jej oddechu, wiem, że i ona wchłania w siebie tę atmosferę próbuje przywołać duchy. Nie wiem, czy chce do nich dołączyć, czy je upokorzyć ale jest dla mnie jasne, że próbuje zdominować choćby jedną chwilę w historii tego pokoju, chce móc spojrzeć na niego poprzez wspomnienie tego, co tu robiliśmy, wspólnej rozkoszy. _

A jednak nie mówi mi wszystkiego, nie chce podzielić się swoją tajemnicą. Czekam żeby wstała, żeby dała mi najmniejszy choćby znak. Kiedy to me następuje, powtarzam szeptem: - Miłość od pierwszego wejrzenia. Zanim się czegoś o tobie dowiedziałem, nawet o Amerykanach w twojej przeszłości.

- Rupert nigdy ci o tym nie wspominał?

Imię Ruperta na nowo budzi mój niepokój. Z nagłym, chłodnym skurczem serca uświadamiam sobie, że ich tajemnica jest o wiele bardziej przerażająca niż z początku sądziłem. Inaczej Julia nie zachowałaby jej dla siebie podczas naszych intymnych gier.

- Co się stało? - pyta.

- Nic. Zamyśliłem się na chwilę. - Zimno ci?

- Chyba tak, ale wcale tego nie czuję. - Oddycham głęboko, dławiąc ziewnięcie. Musi upłynąć chwila, zanim zaczniemy się kochać.

Julia przenosi wzrok z blatu biurka na swoje nagie uda. W pochyleniu jej karku jest jakaś bierność, jakby nagle zapomniała, gdzie się znajduje. Potem zaciska palce na moich dłoniach.

Podnosi się z krzesła i stajemy naprzeciwko siebie. Całujemy się, najpierw łagodnie, potem coraz gwałtowniej, choć bez obejmowania. Julia opada na kolana. Po chwili opieram się całym ciężarem o zabytkowe biurko, spoglądam w nieskazitelne oczy mojej żony i uświadamiam sobie, jak łatwo kochać piękną kobietę - nawet jeżeli ona nie do końca ci ufa. Nawet jeżeli ty nie ufasz jej.

2

W dniu morderstwa (bo teraz tak o tym myślę) wyrywa mnie ze snu hałas na korytarzu, czyjeś kroki w holu, głosy, sącząca się melodia wielkiego domu, który budzi się do życia. Odnajduję zegarek w mdłym świetle padającym spod drzwi łazienki. Jest za trzy ósma - dłużej nie mamy prawa spać. Odrzucam kołdrę, spuszczam nogi z wysokiego łóżka, wstaję i robię dwanaście skłonów dotykając dłońmi palców u nóg. Potem podchodzę do okna, rozsuwam zasłony i otwieram okiennice. Pokój wypełnia światło tak rozproszone, że nie tworzy cieni. Julia przewraca się na bok. Wolno podciąga kolana, wzdycha głęboko, a potem ponownie zasypia.

Dokładnie na środku sufitu wisi mały kryształowo-mosiężny żyrandol. Kiedy go zapalam, podświetla sztukaterię na suficie - herb Midleton-Lyghamów, płomień wynurzający się z morza, na podobieństwo pierwszego rycerza Lyghama, który, jak głosi legenda, uratował się z katastrofy statku podczas przeprawy z Irlandii w dziewiątym wieku.

- John? - Głos Julii jest zachrypnięty od snu.

- Dzień dobry. -Jeszcze nie!

- Ósma. Już.

- Cholera! O której zbiórka?

- Dziewiąta trzydzieści w holu. Ale będziesz chciała zjeść śniadanie. -Tak.

- Chcesz, żebym poszedł pierwszy do łazienki?

- A bierzesz kąpiel?

- Tylko prysznic.

- Obudź mnie, jak skończysz. Obiecujesz?

- Obiecuję. Napuszczę ci wody do wanny.

Kiedy stoję z namydloną twarzą przed lusterkiem do golenia, rozlega się głośnie pukanie do drzwi. Julia, zaspana, nie reaguje, więc podchodzę pod drzwi, sadząc ogromnymi krokami, na palcach, z ręcznikiem kąpielowym wokół bioder.

- Kto tam? - pytam cicho.

- Rupert. - Julia jeszcze śpi - szepczę.

- Bóg z nią. Wpuść mnie.

Otwieram drzwi i na mój widok Rupert wybucha niepohamowanym śmiechem. Jego spokojne poczucie humoru objawia się czasem w taki gromki sposób. Gapi się na górę pianki do golenia, zasychającej na moich policzkach i szyi.

- Skończyło mi się mydło do golenia. Wpadłem pożyczyć twojego, między innymi.

- Co to znaczy „między innymi”? - Czy to pianka?

- W aerozolu.

- Nie wiem, co ty robisz w tej rodzinie - utyskuje, lustrując mnie wzrokiem. -Prędzej czy później zrozumiesz, że dżentelmen nigdy, przenigdy nie goli się bez pędzla.

- Co jeszcze chcesz pożyczyć?

- Przede wszystkim skarpetki. Kalesony, jeżeli masz dodatkową parę.

- Można by pomyśleć, że przyjechałeś tu prosto z Hongkongu.

- Niemalże! Wpadłem na sekundę do mieszkania, w drodze z lotniska do biura, a potem przyjechałem tutaj.

- Jak lot? - Nie najgorzej. Li przyleciał ze mną.

- Philip? Jest w Londynie?

- Będzie. W tej chwili jest na dole, w połowie śniadania, jak sądzę. Przeczytał już zapewne „Financial Times” i zabiera się za „Timesa”. Nie potrzebuje snu. Nie sposób z nimi współzawodniczyć i dlatego cieszę się, że Li jest po naszej stronie. Lot przeszedł nam jak dzień w biurze, tyle że bez telefonów. Skończyliśmy projekt umowy. Postawiliśmy ostatnią kropkę nad „i”.

- Czy mam przez to rozumieć... ? - Tak. Gdzieś nad Pakistanem.

- Gdzieś nad Pakistanem?

- Mniej więcej. Tak nam się wydawało. - No więc?

- Właśnie na tym etapie lotu stwierdziliśmy, że jesteśmy na...

- Terra firma? -Właśnie! - Doskonale.

- Zabawne. Zdumiewające! Zupełnie nieoczekiwane, prawda?

- Zupełnie nieoczekiwane - mówię ze śmiechem.

- Jak to się wszystko pięknie ułożyło, samo przez się, bez niczyjej ingerencji.

- Nie sposób było tego przewidzieć.

- Nie sposób - przyznaje Rupert. - A&O. Asian and Omnibus. Gdybyś usiadł i sporządził listę możliwości, nie znaleźliby się na niej. Ani na pierwszej, ani nawet na dziesiątej. W życiu nie pomyślałbyś o A&O. No, powiedz, pomyślałbyś?

-Nie.

- Naprawdę?

- Nawet za sto lat. A jednak...

- A jednak to właśnie oni.
 - Wskoczyli jak Filip z konopii.
 - A&O jest z nami. Trzeci człon. Brakujący element równania. Witamy na pokładzie.
 - Bardzo się cieszę.
 - Wzięło ich.
 - To dobrze.
 - Tylko tyle potrafisz powiedzieć? Liczyłem na to, że wykażesz więcej entuzjazmu.
 - Przepraszam. Naprawdę się cieszę.
 - Jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, jesteśmy urządzeni na resztę życia. Cholera, John, powinieneś się cieszyć, gra idzie o wysoką stawkę.
 - Nie mógłbym być nastawiony bardziej entuzjastycznie.
- Rupert umyka wzrokiem, a kiedy znów na mnie spogląda, jest już w innym nastroju.
- W porządku - mówi, kończąc rozmowę. - Wierzę ci. Nie ma sprawy.
 - No to jak bogaci będziemy? - zagaduję, żeby go ugłaskać.
 - To zależy.
 - W najlepszym wypadku?
 - Szalenie.
 - W najgorszym?
 - Wystarczająco.
 - Jak tego dokonałeś?
 - Urok osobisty. Angielski urok osobisty.

Obserwuję jego oczy, jego reakcję na moje słowa. Jest oczywiste, że Rupert nie wie, iż podsłuchałem jego rozmowę z moją żoną. Jest całkowicie zaabsorbowany interesami. Muszę przyznać, że lubię Ruperta, choć może powinienem powiedzieć, że nie mogę go nie lubić. Należy po prostu, do tego gatunku ludzi, których aprobaty instynktownie szukamy. Jego spojrzenie może w jednej chwili umocnić nas w przekonaniu o słuszności naszych racji, jego obecność daje nam natychmiastową gwarancję, że - przypadkowo, bo przypadkowo - ale znaleźliśmy się jednak w centrum wydarzeń. Rupert sprawia, że ludzie wokół niego (ci, których on wybierze) czują się bardziej jak uczestnicy niż widzowie ekscytujących zdarzeń i wychodzą z konferencji, restauracji czy teatru, identyfikując się, czasem po raz pierwszy, z możliwymi tego świata. Rupert, jak wszyscy ludzie sukcesu, ma wrogów: konkurencja, współpracownicy, którzy jego pewność siebie uważają za nieznośną, akcent za zbyt nieskazitelną, pochodzenie i arystokratyczny wygląd - za niezasłużone dary losu. Kraży opinia, że osiągnął swoją pozycję w City bez wysiłku. Ale ja wiem swoje. Rupert jest przedsiębiorczy (najbardziej ze znanych mi osób) i swojapozycję w naszej firmie i w ogóle w branży zawdzięcza niemal wyłącznie tej właśnie przedsiębiorczości. Jest nie tylko inteligentny; ma też zdyscyplinowany umysł, który w razie potrzeby potrafi ześrodkować na jednym celu. Wielokrotnie byłem świadkiem, jak jego inteligencja skupiała się na

człowieku lub transakcji, zupełnie jakby jego umysł był soczewką, której nadaje jaką chce moc. Osoba, sytuacja, cyfry stają się nagle przedmiotem mikroskopowego badania. I nikt nie potrafi trafniej ocenić szans powodzenia przedsięwzięcia i ryzyka, jakiego będzie wymagało.

Rzecz prosta, słynna kariera w Eton i w Cambridge oraz fakt, że nosi nazwisko Midleton-Lygham, nie wpłynęły negatywnie na jego perspektywy. Ludzie, którzy zatrudnili Ruperta, pamiętajajeszcze jego dziadka, piątego markiza Cheviot, jednego z najznamienitszych torysów swoich czasów. Partnerzy Battleman Peale pamiętają również, że ojcu Ruperta, młodszemu bliźniakowi, zabrakło dwóch minut i dwudziestu czterech sekund, by odziedziczyć tytuł i jedną z najpiękniejszych posiadłości w Anglii. Mówiąc o tym ludzie zwykle wzdychają z obłudnym współczuciem, a potem uśmiechają się na myśl o tak szczęśliwym zbiegu okoliczności. Rupert posiadający tytuł i Castlemorland to byłoby doprawdy zbyt wiele, mówią. Nie wyszłoby mu to na dobre. Zabrakłoby mu bodźca, by w pełni wykorzystać swoje zdolności.

Historia rodziny wyprzedza Ruperta, dokąd by nie poszedł. Po raz pierwszy usłyszałem ją od holenderskiej żony amerykańskiego bankiera na dwadzieścia minut przed przybyciem Ruperta. Zjawił się na jej przyjęciu na Mount Kellat Road w Hongkongu, bez tchu, prosto ze spotkania z klientem. Rezultat opowieści był taki, że - przynajmniej przez pierwsze minuty - byłem skłonny widzieć w Rupercie ofiarę wypadku, człowieka, którego spotkało nieszczęście. Teraz wiem, że moja reakcja była przesadna, prawie niemądra, ale dobrze się stało, że zareagowałem tak, a nie inaczej. Współzawodnictwo, niby zapach morza, przesyca atmosferę Południowej Azji. Gdybym nie usłyszał jego historii, nigdy chyba nie zostałbym przyjacielem Ruperta. Dzięki zasłyszanej opowieści, zamiast zazdrości, poczułem sympatię. Wyobrażałem sobie, że rozczarowanie, jakiego musiał przecież doświadczyć -niezależnie od tego, jak hojnie wyposażył go los - zarazem tłumaczy i usprawiedliwia sposób bycia, który w innym wypadku zdyskwalifikowałbym prawdopodobnie jako arogancki, a nawet wstrętny. Później, pod zewnętrzną powłoką bankowca -garniturami z Savile Row i stylem z Jemyl Street ~ odkryłem duszę chłopca, który marzył kiedyś o zostaniu aktorem. Ciągle od nowa czerpałem z jego wielkiego daru przyjaźni - śmiałem się, piłem i odnosiłem sukcesy w jego towarzystwie.

Przybyłem do Hongkongu z amerykańskim bankiem inwestycyjnym, w którym pracowałem od ukończenia szkoły biznesu. Była to firma-moloch, lepiej obeznana z handlem ekranami komputerowymi niż ze stosunkami międzyludzkimi. Jej jasne, eleganckie sale handlowe o nisko zawieszonych sufitach zapełniali agresywni mężczyźni o chłopięcych twarzach. Przepisowo szczupli, dobrze ubrani, wielorasowi, upodobnili się do siebie bardziej niż pracownicy jakiegokolwiek innej profesji. Wirowali wokół swoich lamp elektropromieniowych i telefonów niby tancerze w dziwnym nowoczesnym balecie. Pracowałem z dala od nich, w małym zespole zajmującym się fuzjami i zakupami - w dziale zwanym często „butikiem”, wcale nie najlepszym w Hongkongu - i czułem się niezręcznie, obco w ich towarzystwie. Kiedy więc, kilka miesięcy po naszym pierwszym spotkaniu, Rupert przedstawił mi propozycję dołączenia do Battleman Peale, nie zastanawiałem się ani chwili. Pracowaliśmy wówczas nad tą samą transakcją przeciwnych

stronach i choć żaden z nas nie wygrał, musiałem podziwiać sposób, w jaki Rupert negocjował w imieniu swojego klienta. Kiedy zniknęła szansa na zwycięstwo, wycofał się z ogromnym zyskiem, nie naruszając swoich sojuszy. W tym samym czasie zrezygnował do Battleman mój partner Philip Li. Philip był chyba jedynym członkiem grupy, którego wyrafinowany umysł mógł pojąć zawilosci naszego środowiska. Zmieniłem firmę z jego powodu, z powodu reputacji Battleman, ale przede wszystkim z powodu Ruperta, który uosabiał eleganckiego, kosmopolitycznego gracza, jakim chciałem zostać.

W dniu, kiedy spakowałem kartony i opuściłem starą firmę, jedliśmy we trójkę kolację w „Man Wah”, a potem wypiliśmy za dużo armaniaku. Obudziłem się przed świtem, zlany łzami i potem, śmiertelnie przerażony. Był to koniec lata, zabójcza pogoda. Jeżeli wiało, to z południa, z Lamma, ale na parterze domu nawet ta słaba bryza była niewyczuwalna. Powietrze mętniało od żaru za moimi oknami, tak że całe Kowloon zdawało się drgać. Nieustraszona Star Feny nadal spinała oba brzegi portu, ale jej światła, jaskrawa zwykle szarfa Dworca Morskiego, przybladły, jakby przy pudrowanej ciepłym, gęstym powietrzem.

Nie wolno mi pić brandy, przekonałem się o tym wielokrotnie. Jeżeli wierzyć legendzie - a ja wierzę - podczas destylacji sfermentowanego wina, na którego bazie robi się brandy, wywołują się demony. Kilka godzin po tym, jak brandy mnie uśpi, budzę się nagle i mam ją w mózgu, to ona wywołuje mój lęk przed tym, czego w danym momencie najbardziej się boję. Przywołuje przerażające epizody z wyrazistością, jakiej rzadko doświadczamy w stanie pełnej świadomości. Sprowadza pot, zarazem zimny i gorący, strach, przed którym nie ma ucieczki. Tej nocy trzy kieliszki armaniaku wyzwoliły poczucie, że zrobiwszy pierwszy krok w poszukiwaniu przygody, doświadczenia i wiedzy, już posunąłem się za daleko, przypadkiem przekroczyłem niewidzialną granicę i odciąłem się od tego, kim byłem. Zaledwie przed dwoma miesiącami rozstałem się z dziewczyną. Odrzucałem zaproszenia na śluby starych przyjaciół tak długo, aż przestałem je otrzymywać. Odrzuciłem propozycję pracy w Nowym Jorku. Teraz, bez większego zastanowienia, sprzymierzyłem się z firmą z innego kraju. Dlaczego? Kwestia okoliczności. A jednak, prócz wina, odczuwałem rozczarowanie własną postawą. Byłem nielojalny wobec kraju, w którym się urodziłem i wychowałem. Brandy wywołowało mój postęp do rozmiarów zdrady. O czwartej rano, osiem tysięcy mil od Marylandu, drżałem z pragnienia, by przyznać się do zbrodni, która nie jest zbrodnią. Potem, po wschodzie słońca i lodowato zimnym prysznicu poczułem się lepiej, raczej jak odkrywca niż emigrant. Naród amerykański, powiedziałem sobie, wydał największych badaczy i podróżników na całym świecie. Ja byłem jednym z nich, byłem dumny z tego, że nie boję się podjąć wyzwania na obcym terytorium, tak daleko od domu.

„No nie wiem, to ryzykowne”, powiedziałem, kiedy Rupert przedstawił mi propozycję Battlemana. Nie oczekiwałem jej i nie byłem przygotowany na nawał myśli, którą wywołała.

- Tak - odparł Rupert. - Ale czy życie nie polega właśnie na podejmowaniu ryzyka.

Teraz, biorąc ode mnie ostatnią rzecz, po jaką przyszedł, długie, szare kalessy i wełniane skarpety, Rupert marszczy brwi, spogląda na mnie tak samo, jak przy tamtej rozmowie. Jest to badawcze spojrzenie kogoś, kto musi się upewnić -

o niewinności lub lojalności swojego rozmówcy - zanim posunie się choćby o krok dalej. Uśmiecham się szeroko. Obserwuję go, wyobrażając sobie, że tak samo wyglądał przed paroma godzinami, z Julią. Czekam, żeby napomknął o ich rozmowie, o tych tajemnicach, które ich łączą, a kiedy tego nie robi, uśmiecham się jeszcze szerzej, jeszcze bardziej fałszywie, a utrzymanie tego uśmiechu nie przysparza mi żadnych trudności.

- Zobaczmy się przy śniadaniu - mówię.

- Tak. - Znać po nim wahanie. - Julia strzela dzisiaj?

- Na pewno.

- To dobrze.

Pianka na mojej twarzy zdążyła już wyparować i skórę pokrywa niewidoczna, chłodna skorupa. Zanim Rupert odwraca się i odchodzi, wyjmuję mu z ręki wilgotny, śliski pojemnik Erasmusa i wyciskam na dłoń śnieżnobiały wzgórek piany.

- Gratulacje - mówię, oddając mu pojemnik.

- Uważaj, żebyś się nie zaciął przy goleniu.

- Nie ma obawy. - Robię celową pauzę. - Kiedy musimy się za to zabrać?

- Do poniedziałku trzeba obgadać główne punkty.

- Możemy mieć z tym kłopot.

- Postaram się stworzyć okazję i wtedy...

- Dasz mi znać.

- Dyskretnie.

- Jakżeby inaczej.

Zdaję sobie oczywiście sprawę, że przedmiotem tej konferencji będą tylko

1 wyłącznie interesy, że w żadnym razie nie poruszymy kwestii rozmowy Ruperta z Julią. Miał mnóstwo okazji, by o tym wspomnieć i fakt, że tego nie zrobił, dowodzi że chce zachować tajemnicę. Trudno mi rozdzielić nasze stosunki prywatne od zawodowych, ale to właśnie zamierzam uczynić.

Rupert mówił o transakcji przygotowywanej przez Battleman Peale i partnerów, na której mają zarobić ogromne pieniądze. Mówię: Battleman Peale i partnerzy, ponieważ dziesięć lat temu firma ta postanowiła się przeobrazić i dostojną formę partnerstwa, dobrze jej służącą przez dwa wieki, raptownie zastąpiła statutem nowoczesnej korporacji, codziennie notowanej na giełdzie. I chociaż przetrwała nazwa i wspólnicy, dziś są oni tylko jednymi z wielu dużych współdziałalców. Kapitał, jaki firma ma do dyspozycji, wzrósł ogromnie, co przecież było początkowym i zasadniczym celem zmiany. Właściciele zdobyli płynność finansową, podczas gdy kiedyś musieli stosować skomplikowaną procedurę zakupu gotówki. Jednak wyniki finansowe Battleman Peale, niegdyś starannie ukryte, teraz musiały być publikowane co kwartał. A z tym związana jest nieunikniona presja na przedstawienie ich w korzystnym świetle, na tyle korzystnym, żeby

przynajmniej utrzymać cenę swoich akcji, jeśli już nie wywindować ich wartości jeszcze wyżej. Im wyższą, im widoczniejszą pozycję zajmuje się w firmie, tym bardziej staje się odpowiedzialnym za jej wyniki. Ci, którzy otrzymują największą część zysków, są pierwszymi, rzecz jasna, których się wini, gdy zysków nie starcza, lub gdy osiąga je konkurencja. Najwyższe władze firmy, ci, którzy na różne sposoby stanowią ostatni etap na długiej drodze, przed którą człowiek w moim wieku staje w szkole podstawowej, mają mgliste pojęcie o działaniach, które mogą zmniejszyć ich wartość, choćby na papierze. Obdarzają uśmiechem, a później i częścią swojej władzy tych, których wysiłki sprawiają, że mogą pozwolić sobie na jeszcze świetniejsze farmy, domy, auta i żony. Gna ich ambicja, choćby nie wiadomo jak zakamufLOWANA, i wielu bankowców z pokolenia Ruperta i mojego wzniosło się na szczyty lub upadło zależnie od tego, jak i w jakim stopniu przyczynili się do wzrostu prestiżu firmy i jej najważniejszych partnerów.

Nic więc dziwnego, że Rupert, z nadzieją na zdobycie prezesury i ładnego kęsa dochodów w młodym wieku, troszczy się, wręcz obsesyjnie, o transakcję, jaką ma na talerzu. To biznes nowego wieku. To największy interes w historii Battleman Peale. Przy kwotach, jakie teraz wchodzi w rachubę, niedawne jeszcze sukcesy, jakie napędziły kariery ich wykonawców, są wręcz niewidoczne.

Istota tego interesu jest prosta. My w Battleman Peale staramy się załatwić finansowanie, które umożliwi naszemu klientowi - klice naczelnych dyrektorów Ergo Inc. - odkupić tę wielką amerykańską kompanię od jej dotychczasowych akcjonariuszy. Ergo, choć nie znane większości konsumentów, posiada co najmniej z tuzin najpopularniejszych firm amerykańskich: herbata i kawa, produkty zbożowe, guma do żucia i cukierki, napoje, soki, tuńczyk i gotowane szynki w puszkach. Ponadto jej włości obejmują jedenaście centrów handlowych na peryferiach miast w USA i Kanadzie z przyległymi terenami, fabrykę zabawek (uważaną za szczególnie „gorącą” z racji dysponowania nowoczesną technologią obrazów holograficznych), producenta odzieży dziecięcej, trzydzieści tysięcy z kawałkiem hektarów lasu do wyrębu i nieskończoną liczbę licencji na wydobycie ropy. Wiele tych przedsięwzięć wiąże się z dużymi nieruchomościami, a na dodatek jest jeszcze czterdziestoośmiopiętrowa siedziba przy Park Avenue, jeden z najbardziej dochodowych, choć nie najpiękniejszych biurowców w Nowym Jorku. Ergo, co po łacinie znaczy „tak więc”, wyrosło z serii konsolidacji, które zaczęły się w latach dwudziestych, zostały pomnożone w sześćdziesiątych i w końcu, po dekadzie spokoju, przemknęły żywiołowo, z gwałtowną furją przez lata osiemdziesiąte.

Odtąd Ergo świetnie prosperuje, co sprawiło, że obecna dyrekcja zapragnęła posiadać je, a nie tylko nim zarządzać. Istnieją również inne powody, spośród których najbardziej oczywisty jest ten, że w ich opinii części składowe Ergo są więcej warte osobno niż w całości.

Uważają, że zrobią straszny szmal, wyszarpując je po kolei, sprzedając ten kawałek jednemu konkurentowi, a inny drugiemu. Widzieli, jak inni to robią z mniej obiecującymi firmami, i czar ogromnych liczb sprawił, że zaczęli ignorować wszelkie ryzyko. Oczywiście, „wyszarpywanie” nie jest słowem, jakie używają w rozmowach z nami, swymi doradcami finansowymi

i strategicznymi, nawet w najbardziej zaufanym gronie. Przyciśnięci do muru mówią czasami o starannie, artystycznie, czy fachowo prowadzonym skalpeli, ale nie lubią, aby zmuszano ich do ujawniania intencji czy składania oficjalnych deklaracji.

Zamykam drzwi za Rupertem i przekradam się koło naszego łóżka, najciszej jak potrafię. Nawet we śnie ciało Julii emanuje napięciem. Patrząc na nią, na niemal niezauważalne poruszenia kołdry na jej piersiach, zastanawiam się, co przede mną ukrywa i dlaczego. Aż do tej chwili nasza namiętność dorównywała naszemu wzajemnemu oddaniu. Poświęciliśmy - ona karierę, ja, w pewnym sensie, ojczyznę - dla małżeństwa, bez którego życie byłoby nie do pomyślenia. Aż do tej chwili. I kiedy tak patrzę na wzgórek kołdry, pod którym leży Julia, ogarnia mnie przerażenie, że jeden człowiek może być spełnieniem tylu rozpaczliwych marzeń, tylu pragnień. Nie mogę znieść myśli, że ta piękna, utalentowana kobieta, która zrezygnowała ze wspaniałej kariery naukowej, by wychowywać nasze bliźnięta, mogłaby, z powodów jeszcze mi nie znanych, zniknąć z mojego życia i zabrać ze sobą moje dzieci.

Stojąc przed zaporowanym lusterkiem do golenia przypominam sobie nagle wycieczkę do Cambridge, niedługo po naszym poznaniu. Nigdy przedtem nie byłem w Cambridge. Wybraliśmy się tam pod wpływem zachcianki, na początku akademickiej jesieni.

Słońce, już przybladłe, jakby niepewne siebie, osuszało malwy i jałowce rosnące na skwerze na obrzeżach uniwersytetu, gdzie się zatrzymaliśmy - na chwilę. Chmura, w rozmytym kolorze węgla, odpływała zwolna ku horyzontowi przez ciemniejące niebo. Miałem wrażenie, że patrzę na obraz.

- Tato wyróżniał się w naszym środowisku tym, że wierzył w kształcenie kobiet - powiedziała Julia. - Kiedy dostałam się na uniwersytet, co było zaskoczeniem dla wszystkich, a przede wszystkim dla mnie, uznał, że powinnam jechać. W Ameryce jest to naturalne, ale nie tutaj. Kobiety studiują na uczelniach Oxfordu i Cambridge od niedawna. Moja matka nie miała wyższego wykształcenia, jej siostry również nie. Nie znam chyba żadnej kobiety z tamtego pokolenia, która ukończyłaby studia. Ale ojciec tym właśnie zaskakiwał - łatwością przystosowywania się.

- Ile miałaś lat, kiedy po raz pierwszy wyjechałaś z domu do szkoły? - zapytałem.

- Osiem.

Próbowałem to sobie wyobrazić i nie potrafiłem.

- Pamiętam mój pierwszy szkolny mundurek... i beret. Brązowy, w kolorze mlecznej czekolady. Pamiętam, jak stałam na podjeździe czekając na samochód, który miał mnie odwieźć do szkoły, i co chwila odwracałam się ku rodzicom. „Do widzenia, kochanie - powiedzieli. - Bądź grzeczna. Słuchaj się nauczycieli. Pisz. Odwiedzimy cię... wkrótce." Nie zrobili nic, czego nie zrobili przedtem ich rodzice. To takie angielskie, jak kotlet barani i pudding w gorący dzień lata. Nie odesłali mnie z domu, dlatego, że mnie nie kochali...

3

Przenosząc się na stałe do Londynu wiedziałem o istnieniu Julii. W gruncie rzeczy wiedziałem o niej całkiem sporo: że uchodzi za wybitnie inteligentną, a zarazem piękniejszą niż przewiduje ustawa: że jest jakimś naukowcem, jedyną córką brata Ruperta, markiza. Rozumiałem, że porusza się w kilku kręgach naraz: w kołach uniwersyteckich, literackich, w kręgach mody, a nawet dworskich. Tyle zdołałem wywnioskować z zasłyszanych plotek i zdjęć Julii w kolorowych czasopismach, które prenumerował Rupert, bo chciał wiedzieć, co się dzieje w domu. Każdy, kto wspominał dwudziestopięcioletnią, niezamężną (i nie zaręczoną) Julię, nie posiadał się z zachwyty. Ja jednak nie byłem zafascynowany. Jej zdjęcia mnie nie oczarowały. Wydawało mi się, że odkrywam w niej jakiś szyderczy rys, a w owym czasie nie szukałem przygód erotycznych, lecz prawdziwej miłości. Jak większość mężczyzn w moim wieku, miałem wprawę w osiąganiu kompromisów i nauczyłem się fantazjować na temat tylko tego, co możliwe. Nie, to nie jest do końca prawda; nauczyłem się nie fantazjować o tym, co niemożliwe. Znałem swoje możliwości i granice, do których byłem skłonny się posunąć dla przyjemności, choć nigdy ich nie przekraczałem. Może była to cecha wyniesiona z dzieciństwa, z jakiejś młodzieńczej samooceny, z faktu odrzucenia na takim czy innym etapie życia. A może wynikało to z mojej natury i kodu genetycznego, który umiejscowił mnie w hierarchii i moich męskich współzawodników. Nie wiem. Mogę tylko powiedzieć, że w czasie, gdy opuszczałem Hongkong dla Londynu, moja zdolność podejmowania ryzyka i chęć na to były znikome.

Przyleciałem na Heathrow tuż po wschodzie słońca, zanim sierpniowy żar ogarnął miasto. Opóźnienie w rozładunku bagaży spowodowałoby niewątpliwie zator na lotniskowych trasach komputerowych, gdyby nie fakt, że była niedziela. Londyn wydawał się wyludniony, jeżeli nie liczyć turystów i nieszczęśników, którzy już wrócili z urlopów.

Wynająłem mieszkanie na South Kensington od faceta z Battleman, który pojechał przed dwoma tygodniami do Hongkongu, by zastąpić mnie na rynku azjatyckim: salon i dwie sypialnie na parterze wiktoriańskiego domu z czerwonej cegły. Mieszkanie okazało się funkcjonalne - ot, kawalerka, spełniająca moje oczekiwania. Ale kiedy się rozpakowałem i częściowo odespałem lot, poczułem się samotny. Nie miałem nikogo, do kogo mógłbym zadzwonić w tym rozlazłym, rozpalonym, nieznanym mieście. Próbowałem się połączyć ze znajomymi w Ameryce, ale tam też był weekend, a mnie nie chciało się nagrywać wiadomości na automatyczne sekretarki. W telewizji nie było nic interesującego - na każdym kanale krykiet albo australijski serial - i wkrótce przeniósłem wzrok z odbiornika na ścianę zastawioną półkami pełnymi powieści sensacyjnych. Wziąłem jedną czy dwie na próbę, ale wymagały więcej uwagi i energii niż byłem w stanie im poświęcić. Kiedy odkładałem je na miejsce, zauważyłem

równoległy rząd kaset wideo na wprost ukryty za książkami. Było ich może z tuzin. Nosiły sugestywne, dwuznaczne tytuły, wypisane odręcznie na grzbietach okładek. Wsunąłem jedną w otwór magnetowidu, czując pierwszy tego dnia dreszczyk emocji, po raz pierwszy odrywając myśli od własnej osoby. Po kilku minutach jednak znudziły mnie prymitywne i odrobinę niesmaczne techniki uwodzenia i zacząłem dumać nad tym, jak wygląda prawdziwe życie aktorów filmów porno. Szukałem w ich twarzach oznak jakiegoś cierpienia, nieprzystosowania, a nawet występku, które mogły pchnąć do tego zawodu. Wyobrażałem sobie, że ich życie jest łatwe, być może nawet zabawne. Im wyraźniej widziałem to ich życie, tym wydawali mi się bardziej osiągalni - w rzeczywistości. Była to fantastycznie podniecająca myśl. Ale panował upał, a ja byłem wykończony - napięciem ostatnich tygodni i długą podróżą. Na dodatek zaczynała mnie ogarniać chandra.

Przejrzałem kilka dokumentów spoczywających w aktówce - głównie memoranda Battlemana - i przekartkowałem londyńskie A-Z. Kiedy znów spojrzałem w ekran, podniecony aktor leżał na wznak, a na nim siedziała dziewczyna o zaskakująco niewinnym wyglądzie. Aktor był blondynem o kwadratowej szczęce, dziewczyna w typie uczennicy liceum. Zaciekała mnie ta para: jak zdołali odrzucić tak do końca zahamowania, jakie mieli marzenia i dlaczego nie bali się, że wystawiając je na taką straszną próbę, w końcu muszą je unicestwić - w każdej chwili, bliskiej lub bardzo odległej. Ich postępowanie było zaprzeczeniem wszelkich zasad, jakimi kierowali się w życiu ludzie mojego pokroju, obsesyjnie lękający się o własną reputację. Zazdrościłem tym dwojgu na ekranie.

Jednak ich wygibasy szybko mnie znudziły i sięgnąłem po akta inwestycji bio-technicznej, której wyłącznym partnerem był klient Battleman w Hongkongu. Akta liczyły dwadzieścia siedem stron, najeżone były symbolami chemicznymi i wykresami struktur molekularnych, odłożyłem je więc prędko i zacząłem kartkować swój terminarz. Znałem jego treść niemalże na pamięć, większość stron była pusta, czekała na moje nowe angielskie życie: na nowych współpracowników, nowych klientów i zobowiązania, a przy odrobinie szczęścia - na nowych przyjaciół.

Piękna aktorka leżała teraz na kraciastym kocu, na szerokiej bezludnej plaży. Odblask ogniska nadał jej ciału różowy odcień. Kamera odjechała na chwilę, filmując białe grzywacze załamujące się tuż przy brzegu, a kiedy wróciła na plażę, aktor rozłożył nogi dziewczyny i pracował nad nią wolniej, z większym ładunkiem emocjonalnym, mniej mechanicznie niż w poprzednich ujęciach.

Wtem odezwał się dzwonek u drzwi. Zabrział prawie jak gong i aż podskoczyłem na kanapie. Zacząłem gorączkowo szukać pilota porzuconego na perkalo-wej poduszce. Drugi guzik, który nacisnąłem, wyłączył wideo i ekran zgasł.

W progu stała Julia - wyższa, szczuplejsza niż na fotografii. Jej kasztanowate włosy, wyzłoczone słońcem, powiewały na wietrze. Była zadyszana, nie wiem, czy dlatego, że się spieszyła, czy to wiatr pozbawił ją tchu.

- Jestem kuzynką Ruperta - powiedziała, trzymając w ręku jakiś mały przedmiot.

- Wiem - odparłem, dość głupio, jeśli się nad tym zastanowić.

- O! - Sprawiała wrażenie zdziwionej.
- Proszę wejść.
- Tylko na chwilkę. Przyniosłam ci to. - Położyła ten przedmiot, który miała w ręku na chińskiej tacy na stoliku przy drzwiach. Były to kluczyki samochodowe na srebrnym kółku. Obok zauważyłem srebrny owalny breloczek z wygrawerowaną syreną.
- Rupert zadzwonił i poprosił, żebym ci to przekazała.
- To miło z jego strony. Wspominał o tym. Zapomniałem.
- Oczywiście dostaniesz służbowy samochód, ale zanim to nastąpi...
- Tak. Napijesz się drinka, albo...
- Tak. - Zdumiała mnie szybkość i bezpośredniość odpowiedzi.
- Nie wiem, co jest, ale...
- Czy to nie wódka stoi na tacy z drinkami? - zapytała. - Poproszę odrobinę z tonikiem. Jest potwornie gorąco, nie sądzisz?
- Tak. Nie tak potwornie jak w Hongkongu, oczywiście. Z lodem i cytryną?
- Poproszę. Ale w Hongkongu ludzie wiedzą, że latem panująupały. Wiedzą, że będzie gorąco, więc instalują klimatyzację. Kiedy nas zalewa fala upałów, uznajemy to za ewenement pogody i utwierdzamy się wzajemnie w przekonaniu, że to się nie może powtórzyć.
- Byłaś w Hongkongu? - Nie, ale mnóstwo się nasłuchałam. Będziesz tęsknił? Na jak długo przyjechałeś?
- Nie wiem.
- Kwestia miesięcy, lat?
- Och, lat. I to paru.
- To wystarczy. Będziesz tęsknił za Londynem, kiedy wyjedziesz. To moje ukochane miasto... przez większą część roku. Nie w sierpniu i nie w środku zimy. Ale przez większą część roku .
- Więc może nie wyjadę - powiedziałem. Była zupełnie inna niż sobie wyobrażałem. O wiele sympatyczniejsza, swobodniej sza, bardziej zrelaksowana niż na zdjęciach.
- Z mojego doświadczenia wynika - ciągnęła - że ludzie albo stąd wyjeżdżają zaraz, albo zostają zawsze. Oczywiście nie można oczekiwać, że ktoś zostanie, jeśli mu się tu nie spodoba. Chyba odrobinę za dużo wódki. I lodu.
- Sierpień powiedziałem, jakby to wyjaśniało wszystko.
- Masz tu przyjaciół?
- Jednego czy dwóch. Chociaż właściwie, nie są przyjaciółmi.
- Amerykanie?
- Brytyjczycy. Z Hongkongu. To tylko znajomi.
- Pochodzisz z Nowego Jorku?
- Nie, z okolic Waszyngtonu.
- Nigdy nie byłam w Ameryce - powiedziała Julia niemal przepaszająco, w sposób, w jaki zapewne tłumaczyłaby się z nieznamomości jakiegoś przedmiotu czy książki. - Co jest dziwne, zważywszy, że jestem po części Amerykanką.

- Zapomniałem o tym.

- Rupert również. Tak się złożyło, że kiedy już mieliśmy okazję podróżować, wybieraliśmy inne kierunki. Odezwiał się elektroniczny brzęczyk, a kilka chwil później pokój wypełniły jęki i sapania. Wielki telewizor, wyczerpawszy czas przeznaczony na pauzę, rozświetlił się ponownie, akurat gdy obsceniczny film wideo zmierzał nieubłaganie do kulminacyjnego momentu fabuły.

- Czy to kanał trzeci? - zdumiała się Julia. - Niemożliwe, prawda? Kanał czwarty tym bardziej nie.. .bo z pewnością nie jest to BBC.

- Co? - Podążyłem wzrokiem za jej spojrzeniem. Byłem wstrząśnięty, prawdę powiedziawszy przerażony. Co ona sobie o mnie pomyśli?

- Och, nie.. .Przepraszam. To.. .kasety.

- Naprawdę? Twoja?

- Należy do wyposażenia mieszkania.

- Jak miło ze strony właściciela. Czyje to mieszkanie?

- Faceta z Battleman, który pojechał do Hongkongu na moje miejsce.

- Jest ładna, prawda? - Julia obserwowała dziewczynę na ekranie.

- Bardzo ładna - przyznałem. -On raczej...

- Pozwól, że to wyłączę. Jest mi naprawdę przykro. To bardzo żenujące. Nie wiem, jak ci to wyjaśnić.

- A trzeba?

- Punkt dla ciebie - Uśmiechnąłem się niepewnie.

- Więc mówisz, że nie jesteś koneserem? - zapytała kiedy ekran zgasł.

- To drugi film porno, jaki w życiu widziałem. Klnę się na Boga. Pierwszy obejrzałem, kiedy dopiero zaczęły się ukazywać. Kupiłem magnetowid od znajomego i dorzucił kasetę w prezencie.

- Doprawdy?

- Przyjechałaś samochodem Ruperta?

- To niedaleko.

- A więc, kiedy wypijesz drugiego drinka... i kiedy ja wypiję... Odwiozę cię, gdzie zechcesz. Jadłaś kolację? Oczywiście, że nie jadłaś, to jeszcze nie pora. Chciałem po prostu zapytać, czy masz plany na wieczór?

- Niestety - powiedziała z uśmiechem - jestem już umówiona. Naprawdę mi przykro.

- Rozumiem - upokoilem ją.

- Wiesz, jak parkować? Nie wolno przy pojedynczej żółtej linii po osiemnastej trzydzieści, i nigdy przy podwójnej żółtej pod groźbą blokady kół. Samochód Ruperta ma naklejkę Kensington i Chelsea, więc możesz parkować w tej okolicy.

- Wszystkiego się nauczę... powolutku.

- Wymaga to odrobiny czasu.

Rupert miał BMW coupé. Julia zaprowadziła mnie do miejsca, gdzie stał, pokazała, jak działa automatyczny system zamykania, po czym odeszła, pomachawszy mi wesoło ręką, ku jakimś ludziom, których nazwisk jeszcze nie znałem.

Wróciłem do domu, wychyliłem resztkę dzinu z tomkiem i nalałem sobie następnego drinka, wyciskając ćwiartkę cytryny do wysokiej szklanki. Poczułem się nagle nieszczęśliwy, kiedy znów usiadłem na kanapie, noszącej jeszcze odcisk ciała Julii; gapiałem się w ścianę, na półki książek wypełnione literackim chłamem, na poplamioną szarą wykładzinę, jaskrawy dywan perski i martwy ekran telewizora. Przyjechałem do Londynu gotowy zakochać się w mieście, a z czasem w jakiejś jego mieszkanie. Julia przytrafiła się zbyt wcześnie, zbyt nagle. Nie odespałem nawet różnicy czasu, nie zjadłem żadnego posiłku stosownego do pory dnia. Nie spotkałem nikogo poza celnikami i taksówkarzami. Byłem na wpół zamroczony po długim locie, alkoholu i drzemce, która wydawała się z początku zbyt krótka, potem zbyt długa. To się nie miało prawa stać, ale się stało - to porozumienie, jakie nawiązuje się czasem między ludźmi, bezwiedna wymiana energii czy fal radiowych, nagle uczucie euforii i lęku wtedy, gdy nie spodziewamy się niczego niezwykłego. Zakochałem się w kimś, kto, według wszelkich danych, nie powinien mnie pociągać. No, powiedzmy, że pozwoliłem się zafascynować, zaintrygować.

Kostka lodu osunęła się po szklance uderzając o moje zęby i dopiero wtedy uświadomiłem sobie, że dopiłem drinka. Odstawiłem więc szklankę i wyszedłem z domu, zamykając starannie drzwi za sobą. Słońce dotknęło dachów budynków po zachodniej stronie miasta i cienie przełamywały jednolite światło. Poczułem się lepiej na świeżym powietrzu, jakby widok innych ludzi i wielkość metropolii miały moc rozrzedzania emocji. Poszedłem na wschód Fulham Road, mijając rozrzucone z rzadka sklepy z antykami i agencje handlu nieruchomościami, potem kilka sklepów spożywczych i pubów. Następnie skręciłem w Sydney Street tylko dlatego, że sprawiała wrażenie cichej - taki ładny, willowy zakątek. Byłem ciekaw wrażeń Julii z naszego spotkania, zastanawiałem się, z kim się spotyka, czy ma kochankę i czy w ogóle chciałyby go mieć. Pod wieloma względami byłoby prościej gdyby okazało się, że jest zaręczona - albo prawie zaręczona. Marzyłem, że jest wolna, wiedząc, że zdobycie jej wymagałoby większej koncentracji niż pozostało na moim koncie emocjonalnym. Chodziłem więc: King's Road, Birdcage Walk, aż dotarłem do Parlamentu, kompletnie wykończony, desperacko poszukując szaletów. Znalazłem toaletę, potem dobre kebaby w taniej greckiej knajpce stołującej turystów. Po obiedzie ruszyłem niespiesznie z powrotem wzdłuż rzeki i dopiero przed Tate znalazłem jakąś zabłąkaną taksówkę, która zawiozła mnie do domu.. Instynkt mówił mi, że popełniam błąd, kiedy następnego ranka zadzwoniłem do Julii z samochodu Ruperta, żeby podziękować za przyprowadzenie wozu. Wydawała się zaskoczona. Z początku myślałem nawet, że ją obudziłem.

- Mam nadzieję, że zjemy kiedyś razem kolację - powiedziałem na koniec. -Nie tylko dlatego, że nie znam nikogo innego w Londynie. Julia roześmiała się.

- We wtorek? - zapytała po chwili wahania.

- Świetnie. Gdzie mam cię...

- Przyjadę do ciebie.. o ósmej trzydzieści? Wtedy zastanowimy się co dalej.

Jedliśmy kolację w „Czerwonym Smoku”, rozdzieleni płaszczyzną obrusa w biało-czarną kratkę. Zamówiłem zbyt wiele dań z sosem seczuan, chcąc przedłużyć ten wieczór i naszą rozmowę. Dwa dni później siedzieliśmy obok siebie na bankiecie na Walton Street. Na weekend wyjechała - „na wieś”, oznajmiła, nie wdając się w żadne bliższe wyjaśnienia. W poniedziałek poszliśmy na sztukę w Hammersmith, potem na szybkiego hamburgera. Julia była zmęczona - weekendem, długą podróżą, pracą; odrobinę znudzona sztuką. Dokąd bym jej nie zabrał, wszędzie spotykaliśmy jej znajomych - młode kobiety będące niedoskonałą repliką Julii, młodych mężczyzn w bankierskich garniturach lub dżinsach i bankierskich marynarkach. Jedni biegli na wyścigi do naszego stolika, by zamienić słowo i cmoknąć Julię w policzek, inni machali ku nam z daleka. Byli mili, nawet czarujący, kiedy skinieniem głowy przyjmowali do wiadomości moje istnienie, po czym przenosili całą uwagę na Julię, ale denerwowała mnie ich niewzruszona pewność siebie, ich plemienna intymność. Kiedy pewien mężczyzna, który dotykał Julii tak często, że musiał być jej kochankiem, wrócił w końcu do swojego towarzystwa, Julia, wiedzioną nieomylnym instynktem, pochyliła się ku mnie i powiedziała:

- Nie martw się.

- Wyglądam na zmartwionego?

- Miejski cynizm może maskować głęboką ignorancję - upierała się. - A Anglia jest społeczeństwem cynicznego mieszczaństwa.

To był ten zmysł widzenia rzeczy z dystansu, tak samo jak jej uroda i styl, które mnie do niej przyciągnęły. Ale wtedy byliśmy tylko przyjaciółmi i ten stan rzeczy miał trwać jeszcze przez kilka miesięcy. Lato przemijało, Londyn zapełniał się ludźmi i rozpoczął się nowy rok akademicki w Cambridge. Julia nadal utrzymywała bliskie kontakty z ludźmi z college'u, w którym robiła asystenturę. Przeprowadziła się do Londynu, żeby pogłębić swój związek z prywatnie sponsorowanym Instytutem Chamberlaina, prowadzącym badania w dziedzinach antropologii i mitologii, które ją interesowały - oraz, jak mi się zwierzyła, żeby dorosnąć. Uważała, że już zbyt długo mieszka w miasteczku uniwersyteckim. Inna sprawa, że przeprowadzając się do Londynu, porzuciła po prostu miejsce, gdzie miała coraz mniej i mniej rówieśników. Jej tamtejsi przyjaciele - całe uczone grono - porzuciło Cambridge, w większości dla Londynu. A dorosłości, o jakiej mówiła, nie dawało się zdobyć w murach żadnej, nawet najbardziej szacownej uczelni.

Tego popołudnia, kiedy zatrzymaliśmy się w pobliżu Granchester, by podziwiać panoramę Cambridge, Julia wydawała się smutna.

- Prawdziwy Eden, prawda? - zauważyła. - Bóg przeciwko naturze. To, co duchowe i to, co hormonalne, wszystko w jednym kotle. Kontestacja. Tam, gdzie studiowałeś, było pewnie tak samo?

- W Charlottesville? Prawie.

- Zastój i ruch. *Axis mundi*. Dopóki tam jesteś, wydaje ci się, że to pepek świata. Myślisz intensywniej niż kiedykolwiek w życiu, a potem świadomie przestajesz. Nigdy przedtem i nigdy potem życie nie jest tak pełne.

Pojechaliśmy dalej i przy Queen's Road znaleźliśmy miejsce do parkowania. Przeszliśmy piechotą most Trinity i ruszyliśmy spacerkiem aleją wysadzaną amerykańskimi lipami na drugą stronę miasta. Wkrótce znaleźliśmy się w spokojnym zakątku między rzeką a biblioteką Wrena.

- Widzi sz tę wierzbę płaczącą? - zapytała Julia, otrząsnąwszy się z zamyślenia. - Legenda mówi, że jeżeli usiądziesz w jej cieniu podczas pełni księżyca i będziesz patrzył na rzekę, zrozumiesz, co powinieneś robić w życiu. - Podniosła wzrok. - Należy się tylko dziwić, że nie ma kolejki. Przypuszczam, że legenda jest stosunkowo mało znana i niewielu w nią wierzy. Ale zdarza się, że ktoś tu przychodzi i czasem to pomaga.

- A ty przyszedłaś?

- Tak. Ale wtedy nie miałam tylu wątpliwości co dzisiaj.

- Żartujesz! - powiedziałem tylko, wyczuwając, że Julia nie chce się nad tym rozwodzić.

Oczy Julii zdawały się śledzić lot niewidzialnego ptaka.

- Nie chodzi o to, że boję się zestarzeć - szepnęła. - Po prostu czasem brakuje mi pewności, którą miałam kiedyś.

Ruszyliśmy w drogę powrotną, przyglądając się studentom rozłożonym na uczelnianych trawnikach, skwerkach i dziedzińcach. Mgła zgęstniała i osiadała chłodem na skórze. Julia kupiła tabliczkę gorzkiej czekolady w sklepiku, w którym schroniliśmy się przed deszczem. Kiedy przestało padać, poszliśmy Trum-pington Street w stronę Fitzwilliam.

- To prawdziwa frajda - powiedziała Julia, kiedy biegliśmy przeskakując wezbrane ścieki na Hobson's Conduit - pokazywać miasto, które tak kocham, komuś, kto go nigdy nie widział. Oglądał je na nowo. Czy może być coś przyjemniejszego?

Zawahałem się.

- Owszem oglądanie miasta, które kocha ktoś, na kim ci zależy - odparłem i wziąłem ją za rękę, nie odwracając się, jakbym robił to przez całe dorosłe życie. Wyczułem jej oczekiwanie, natychmiastowe napięcie w palcach, silne z początku, potem słabnące i w tej wymarzonej, choć nieoczekiwanej chwili osiągnęliśmy porozumienie, chociaż nigdy się nawet nie całowaliśmy, nigdy nie rozmawialiśmy o wspólnej przyszłości. Potem, kiedy spacerowaliśmy w ciepłej galerii, pośród tłumu ludzi, zafascynował mnie obraz Tycjana „Bracia Pasero”, mistyczna wymiana uczuć i myśli między rodzeństwem. I po raz pierwszy - dosyć późno, trzeba przyznać - potrafiłem realistycznie wyobrazić sobie moje życie dopełnione miłością i dziećmi, koniec młodzieńczych poszukiwań, początek czegoś nowego. Oczywiście, za wcześnie i zbyt niebezpiecznie było o tym mówić. Powiedziałem więc:

- Cóż za niezwykły obraz! - a potem:

- Chciałbym ci się zrewanżować i pokazać swoje miasto.

- Jakie?

- Nowy Jork? - wyrzuciłem z siebie po chwili milczenia.

Julia odwróciła się ze znużeniem, jakbym zaproponował jej przeprowadzkę.

- Muszę tam pojechać pod koniec tygodnia - wyjaśniłem. - Interesy, sama nuda. Ale uporam się z nimi w kilka godzin. - Niepokoili mnie ta podróż, martwiłem się, że moja nieobecność w Londynie w jakiś sposób zakłóci rytm naszej przyjaźni. A teraz, nagle, temat narzucił się sam. - Przy odrobinie szczęścia nie zajmie mi to dużo czasu.

- Jak długo cię nie będzie? - zapytała.

- Moglibyśmy zostać na weekend. Nie wiem: cztery, pięć dni.

- Naprawdę nie powinnam.

- Kroki rozbrzmiewają echem w pamięci - zacytowałem niespodziewanie, fragment jakiegoś zapomnianego wiersza. - W tamtej alei, którą nie poszłaś.

- Nie powinnam - powtórzyła Julia. - Ale pojedę.

Podróżowaliśmy tak, jakbyśmy już byli parą. Wiedziałem, że sprawiamy takie wrażenie, kiedy zatonęliśmy każde w swojej gazecie w sali odlotów na Heathrow, rzucając krótkie uwagi lub popadając w nic nie znaczące milczenie, jak to bywa między ludźmi nawykłymi do swojego towarzystwa. To było dziwne, naturalne, a zarazem niezwykle - że odnalazłem Julię, jakby czas, wyczekawszy chwili, gdy mnogość rozmaitych ewentualności zbiła się nareszcie w jedno przeznaczenie, zatoczył koło i moje życie rozpoczęło się na nowo.

Rozumiałem, że zaczynam kochać nie jakąś fantastyczną wizję, za którą pościg można odłożyć na stosowniejszą chwilę, lecz kobietę krwi i kości. Nie mogłem jej stracić przez zbyt ni pośpiech... lub powolność... lub jakkolwiek błąd.

Manhattan piekł się w słońcu indiańskiego lata przez cały dzień, ale nad wieczorem drzewa szeptały już w harmonii z chłodnym, wilgotnym, portowym wiatrem. Jesień. Zatrzymaliśmy się w mieszkaniu, które Battlemen trzyma w śródmieściu od niepamiętnych czasów. Był to wygodny apartament urządony w stylu lat pięćdziesiątych, wytworny i bezosobowy. Portier bez trudu zapamiętał nasze nazwiska. Pierwszego wieczoru powędrowaliśmy Park Avenue na północ, otuleni wilgocią, która spadała na miasto falami ciemności. Po raz pierwszy przyjechałem tu z Charlottesville sam, na debiut siostry kolegi w Waldorff Astoria. Spoglądając teraz na rzędy oświetlonych okien, na fasady budynków, uświadomiłem sobie, że tylko one są niezmiennie - że w przeciągu tych lat, kiedy studiowałem, kiedy pracowałem na Wall Street, mieszkańcy większości tych domów musieli się zmienić. Poczułem się zagubiony w mieście, jak gość, mający bardzo odległe i kruche powiązania z Nowym Jorkiem. A ponieważ kiedyś tak starannie pielęgnowałem marzenia, tak rezolutnie zakładałem, że spędzę w tym mieście życie, teraz owładnął mną smutek, który minął dopiero wtedy, gdy spojrzałem na Nowy Jork oczami Julii, jakbym widział go po raz pierwszy.

Zjedliśmy lekką kolację i poszliśmy spać w oddzielnych łóżkach w tym samym pokoju.

Następnego wieczora, po pracy, zabrałem Julię do dobrej francuskiej restauracji na Pięćdziesiątej Piątej ulicy i siedzieliśmy długo przy czerwonym winie. Wróciliśmy spacerkiem do mieszkania, Julia szła wypatrując bez powodzenia pierwszych opadłych liści. Byliśmy nowocześni; wzajemnie zaakceptowaliśmy fakty z naszej przeszłości. I podczas gdy ja byłem w pełni gotowy na miłość, Julia zdawała się dojrzewać do kompromisu ze swoimi marzeniami.

- Większość ludzi uważa, że powinno się poślubić osobę, która przyspiesza bicie serca - powiedziała, kiedy zsuwaliśmy nasze wąskie łóżka. - A powinno się poślubić tego, kto napawa cię największym spokojem.

- Czy ja napawam cię spokojem? - zapytałem, niepewny, jaka odpowiedź mnie zadowoli.

Julia wahała się przez chwilę.

- Chyba tak - powiedziała, zagryzając lekko wargę i spoglądając w dół z tym swoim zabawnym półuśmiechem.

Dałem Julii szmaragdowo-brylantowy pierścionek w wigilię Bożego Narodzenia, ale nasze narzeczeństwo rozpoczęło się tamtej wrześniejszej nocy w Nowym Jorku, a przynajmniej tak na to patrzę z perspektywy czasu. Na tradycyjny ślub, który odbył się wiosną, w wiejskim kościółku, przybyło o wiele więcej przyjaciół Julu niż moich. To zgromadzenie Anglików - mężczyzn w prążkowanych spodniach, porannych garniturach i kolorowych krawatach, młodych kobiet w kwiecistych pastelach i drogich kapeluszach - ukazało mi zarazem urok i klaustrofobię świata, w który się wżeniłem. Mistrz ceremonii zignorował tradycję i rozsadził gości panny młodej po obu stronach nawy. Ta ilościowa przewaga Anglików oraz fakt, że po stronie pana młodego znaleźli się tylko rodzice, ciotka i kilku najbliższych znajomych ze środowiska bankierskiego w Londynie uświadomił mi, że poszerzając swoje horyzonty poniosłem strategiczną klęskę - zaniedbałem najwierniejszych, najdawniejszych przyjaciół, nadwyreżyłem nasze stosunki, a na koniec pozostawiłem ich daleko w tyle, pochłonięty pogonią za swoją perypatetyczną, pracoholiczną karierą.

4

Castlemorland, jak we wszystkich wielkich domach w Anglii, korytarze i hole są ciche, wyludnione. Życie toczy się za ciężkimi, zamkniętymi drzwiami, za ścianami z kamienia. Bez wątplenia istnieje po temu jakiś praktyczny powód - choćby oszczędność ciepła - ale dla mnie najważniejsza jest atmosfera dramaturgii, jaką wytwarzają puste korytarze, kiedy dom jest pełen ludzi: stałych bywalców i zaproszonych gości. Ma to miejsce w ten właśnie weekend.

Kiedy schodzę na parter, w Wielkim Holu pełno jest myśliwskich kurtek, wellingtonów, panterek i futerałów na broń. Są zgrupowane luźno, po dwie, trzy sztuki, stoją w kątach sali, oparte o kolumny lub o wolną powierzchnię między boazerią. Pośrodku śpi nie znany mi labrador, z nosem wbitym pod dziwnym kątem w zniszczoną puszkę po amunicji. Oddycha głośno, posapując, i jest to jedyny dźwięk, jaki wypełnia Wielki Hol. Labrador budzi się, kiedy go mijam, unosi głowę jak bardzo stary pies, potem lokuje ją jeszcze bliżej pudła ze świńskiej skóry. Jego oddech cichnie, staje się niemal nieuchwytny i niesłyszalny z wysokości ludzkich oczu i uszu.

Pokój śniadaniowy usytuowany jest w końcu głównego korytarza północno-południowego, który w Castlemorland otrzymał miano Długiego. Krótki Korytarz prowadzi wprost na wschód od głównego wejścia, pod marmurowymi schodami, aż do sympatycznego pokoju Regenta, który od początku istnienia Castlemorland pełnił rolę saloniku pani domu. Z pokoju śniadaniowego, o oknach wychodzących na wschód, bardzo jasnego o tej godzinie, dobiegają charakterystyczne odgłosy poranka w angielskim domu - podzwanianie sztućców zmieszane z szelestem gazet i nierównym szmerem rozmów. Topley, metr osiemdziesiąt wzrostu i prawie osiemdziesiąt trzy lata życia, stoi przy bufecie. Zaczął pracować jako lokaj u dziadka Julii i niedawno obchodził złotą rocznicę kamerdynerowania. Wydano z tej okazji przyjęcie w dawnym holu dla służby. Dziadek Julii sprezentował jubilatowi kieszonkowy zegarek z wygrawerowaną przykrywką, bilety lotnicze oraz urlop dla niego i pani Topley, żeby mogli odwiedzić córkę i wnuki w Gibraltarze. Była to miła, choć odrobinę nostalgiczna okazja, podczas której nikogo z żyjących Middleton-Lyghamów nie opuszczała myśl, że po Topleyu nie będzie już nigdy stałego kamerdynera w Castlemorland. Rodzina zabawiła na przyjęciu niecałą godzinę - dokładnie tyle, ile potrzeba na wypicie dwóch kieliszków musującego wina i króciutką rozmowę z każdym z obecnych - i pamiętam, jak trudno mi było okazać swoją wdzięczność i sympatię w chłodny, doskonale skalkulowany sposób, tak naturalny dla arystokracji.

- Dzień dobry, Topley - mówię.

- Dzień dobry? - odpowiada pytająco, jakby zaistniały nieprzyjemne okoliczności, z których ja - z których wszyscy muszą zdawać sobie sprawę. Okoliczności dość nieprzyjemne, by zadać kłam mojej pochwie dnia.

Składam to na karb sposobu bycia Topleya, który potrafi być cierpki. Cokolwiek się stało, nie zamierzam wyciągać tego z Topleya słowo po słowie. Nie pragnę również dać się wciągnąć w kłopoty domu, w którym tak naprawdę jestem tylko gościem. Dochodzę do wniosku, że jeżeli coś się rzeczywiście wydarzyło, ktoś mnie o tym prędzej czy później poinformuje.

- Są jajka? - pytam.

- Oczywiście, proszę pana. Jajecznicza i sadzone.

- Poproszę jajecznicę.

Topley podnosi pokrywę srebrnego naczynia i nakładam sobie na talerz dwie łyżki jajeczniczy z dodatkiem gałki muszkatołowej i curry. Do tego biorę kawałek gotowanej szynki z kością i tłuszczkiem, przypaloną grzankę i małą szklaneczkę soku pomarańczowego o temperaturze pokojowej.

Siadam przy stole - właściwie przysiadam, nie dosuwając nawet krzesła, bo zdaję sobie sprawę, jak niewiele jest czasu - na miejscu obok Philipa, który podnosi wzrok znad brzoskwiniowych stron sobotniego „Financial Times” i uśmiecha się, najpierw z lekkim roztargnieniem, potem z kpiącą sympatią.

- A to niespodzianka - mówię.

- Mam nadzieję, że miła, ponieważ wszystko wskazuje na to, że rozbijam obóz w City, i to na dłuższy czas.

- Doskonale. Rupert powiedział mi o umowie.

- Trzeba przyznać, że świetnie się spisał - dodaje Philip. Jego twarz jest azjatycka, ale sposób mówienia angielski, a dykcja - wrodzona bardziej niż nabyta - nie różni się niczym od dykcji jego kolegów z Trinity w Cambridge. Znam ten głos dobrze; potrafię go wychwycić wszędzie, ponadregionalne kulturalne mruczando klas wykształconych, jego tembr i rytm, pewny, szybki i pozbawiony litości. Pod wieloma względami jest to głos niezwykle przekonujący, zwłaszcza w słuchawce telefonicznej albo w radiu, głos sprzedający chciwość jako dobre maniere, słabość jako rozsądek.

- John - mówi Philip - pozwól, że ci przedstawię Wileya Ryana. Nie znacie się, prawda?

- Nie - odpowiadam natychmiast. - Chociaż odnoszę wrażenie, że owszem. Witam!

Przez ostatni miesiąc ten człowiek był ośrodkiem mojego życia zawodowego, a teraz mój los jest związany z jego losem. To na jego użytek wyprodukowałem niezliczone stelaże giełdowe, opracowując techniczny projekt sprywatyzowania Ergo, Inc. Codziennie, od południa aż do północy, do zaniknięcia sesji nowojorskiej giełdy, utrzymywałem otwartą linię telefoniczną z Ameryką, wyse-lekcjonując kluczowych graczy, których poparcia będziemy potrzebowali. Ich urabianie było moim głównym zadaniem w Battleman.

- Wiley Ryan - powtarza potężny, rudy mężczyzna po drugiej stronie stołu. Ma bary, przeguby i muskularne dłonie amerykańskiego futbolisty. Wstaje gwałtownie i podaje mi rękę ponad pojemnikiem na przyprawy i srebrną maselniczką. - Rozmawialiśmy Bóg wie ile razy - dziesięć, dwanaście? Nareszcie się spotykamy. To prawdziwa przyjemność. Odwaliłeś kawał solidnej roboty, John. Ka-wał!

- Dzięki.

Wiley Ryan skinieniem głowy wskazuje siedzącą obok kobietę.

- Moja żona, Taggart - mówi ze swadą.

Taggart Ryan jest przystojną czterdziestolatką o twarzy cheerleaderki z moich licealnych lat - wydęte usta w kształcie łuku Kupidyna, spłaszczony nosek, lustrujący wzrok. Jej cera, zakonserwowana przez kosmetyki, jest ewenementem dermatologicznym, gęste szpakowate włosy ma starannie zaczesane w fale.

- Dzień dobry - mówię.

- Czytałam prognozę pogody. Dlatego nie zauważyłam, kiedy pan wszedł -spiesz z przeprosinami.

- Ostatnią prognozę słyszałem przy lądowaniu - wtrąca Philip, jednym okiem patrząc w „Financial Times”. - O ile pamiętam, mówiono o zbliżaniu się frontu z zachodu.

- To jest Anglia - przypominam mu. - Tu zawsze zbliża się front z zachodu.

- Tylko nie wtedy, kiedy trzeba - odpowiada Wiley Ryan.

Nagle rozumiem, co dolega Topleyowi - zły humor, w jaki wpędzić może zapalonych myśliwych śliczna pogoda. Lazurowe niebo, blask słonecznego światła, nieograniczona widoczność wywołują u nich zgnębienie. Chociaż jestem niezłym myśliwym, a to dzięki pewności ręki, nie traktuję tego sportu zbyt poważnie. Gdybym nie ożenił się z Julią i nie związał swojej kariery z krajem, gdzie jest to często sport obowiązkowy, wątpię, czy w ogóle bym go uprawiał. Na pewno

nie na Wyspach Brytyjskich, gdzie ta przyjemność kosztuje więcej niż gdziekolwiek na świecie. W Maryland i Wirginii, gdzie zaczynałem strzelać, polowało się o świcie, z ukrycia. Gęsi i kaczki wędrowały swoimi szlakami, a ludzie starali się wtopić w krajobraz i pokonać je na samotnych trasach przelotu. Bezruch ciemnej wody, przyczajenie myśliwych, na chwilę przed wschodem słońca strzały - jeden, dwa, trzy, cztery - rozlegające się nagle w bezludnym, zdawałoby się, wszechświecie; to były podstawowe doznania życia w dziczy. Były naturalne, były sportowe. Bez naganiaczy. Bez sztucznych kryjówek.

Wileya Ryana nie nękają podobne myśli. Jest dyrektorem naczelnym Ergo. Pięćdziesiąt siedem lat, piegowaty i rudy, były partner firmy prawniczej w Cleveland. Wiem wszystko o Wileju Ryaniu, którego zawodowa droga, od instytucji do instytucji i od sukcesu do sukcesu jest jednym z atutów Ergo. Wiem, że jest człowiekiem, który mówiąc, że zna się na biznesie, ma na myśli nie tylko to, że rozumie kwestie finansowe, ale również wewnątrzbranżowe manipulacje i mechanizmy podziału transakcji między zainteresowane strony. Ale teraz, przy spotkaniu, rzucają mi się w oczy jego inne cechy. Na przykład to, że jest wybredny, niemal pedantyczny w sposobie ubierania się. Jego krawat od Hermesa, w starannie dobrany motyw ptaków w locie, ma węzeł w stylu windsorskim, kołnierzyk jest krótki, kurtka zapięta nawet wtedy, gdy siedzi: ta kurtka, ostatni krzyk myśliwskiej mody, z trzema rogowymi guzikami na każdym rękawie, została uszyta dla niego niedawno - sądząc z jej wyglądu - przez jednego z drogich krawców londyńskich.

Krojąc sadzone jajko, przyciska za mocno trzonek widelca, który ślizga się po chińskiej porcelanie z piskliwym zgrzytem. Ryan uśmiecha się kącikiem ust, ale poza tym ignoruje swoją niezręczność, krągłym ruchem grzanki nabierając pomarańczowo-białą maź.

- W zeszłym roku mieliśmy wspaniałe strzelanie w Hiszpanii - mówi, żeby podtrzymać rozmowę, i znów spogląda na żonę.

- O tak - mówi ona. - Fantastyczne!

- Kuropatwy? - pyta Philip Li.

- Strzelaliśmy w posiadłości faceta o nazwisku Rodieros.

- U księcia Rodieros - uzupełnia Taggart Ryan. - W jednej z jego posiadłości. Ma ich podobno kilka.

-Nie wątpię - odpowiada Ralph Marlowe z drugiego końca długiego mahoniowego stołu. »Ralph Marlowe jest bliskim przyjacielem brata Julii, Adriana -młodym farmerem z Lincolnshire. Chodzili razem z Adrianem do Harrow, a potem do Cirencester, uczelni rolniczej. Z krzesłem odsuniętym trochę, by zrobić miejsce na nogi, z szopą włosów i końską twarzą, sprawia wrażenie niezwykle długiego i po angielsku gamoniowatego. W jego tonie wyczuwa się sarkazm i ton znużenia światem, ale nie jest tak kruchy jakby się mogło zdawać.

- Bez wątplenia - odpowiada Wiley Ryan. - Książę jest autentyczny w stu procentach. Dał nam osiemset strzałów.

-Osiemset! -wykrzykuje Ralph Marlowe. -Nie chcę mówić za Adriana, ale boję się, że Castlemorland nie może tyle zaofiarować.

- Nie szkodzi - mówi Wiley Ryan. - Nic nie szkodzi. Wystarczy nam to, co jest.

Cieszę się, że Adrian nie słyszy tej rozmowy. Ma tradycyjne podejście do polowań w Castlemorland. Sugestię jakiegoś współzawodnictwa między myśliwymi, napomknienie o ilości upolowanego ptactwa (zwłaszcza zakład na ten temat) uznałby za niesportowe i w zależności od humoru oraz od tego, czy pił, wygłosiłby tyradę lub odwrócił się z niesmakiem. Tak czy inaczej nie jest to grupa myśliwska, której skład wzbudziłby pełną aprobatę Adriana. Listę uczestników ustalił Rupert - zorganizował polowanie w pewnym celu. A tym celem jest uwiedzenie.

- Jednak to okropne, że przyjechaliście taki kawał drogi na darmo. To znaczy, przy tak ostrym świetle...

- Nie taki znów kawał - wyjaśnia pani Ryan. - Byliśmy w Cotwolds i...

- W Cotswolds? - powtarzam. - Naprawdę?

- Kupiliśmy trochę antyków - ciągnie Taggart Ryan. - Prowadzę mały antykwariat w Stanach i mam paru klientów, dla których robię zakupy.

Wiley Ryan pochyla się nad stołem i zwraca do Ralpha Marlowe'a, cztery puste krzesła dalej:

- Siedzimy wczoraj w naszym apartamencie, a tu dzwoni Rupert. Z samolotu. Philipie, też tam byłeś, prawda?

- Zgadza się. - Philip zatapia zęby w grzance z marmoladą.

- No więc gdzieś w powietrzu - ciągnie Wiley Ryan - Rupertowi Middleton-Lyghamowi wpadł do głowy ten absurdalny pomysł, że może miałbym ochotę pojechać na małe polowanko, teraz, zaraz. W rzeczywistości sprawa jest bardziej złożona. Załatwili interes w Hongkongu i zadzwonili do mnie do Ameryki, żeby mi o tym powiedzieć. Tylko że nas nie było w Ameryce i jeden z nich wydusił z mojej małomównej zwykle sekretarki, że wybraliśmy się tutaj na parę dni.

Podziwiam umiejętność, z jaką Wiley Ryan próbuje przeciągnąć na swoją stronę Ralpha i Philipa, subtelne komplementy, jakimi obdarza obu mężczyzn i sposób, w jaki te komplementy umacniają jego własny wyjątkowy autorytet.

W tej właśnie chwili otwierają się drzwi Długiego Korytarza i wchodzi Julia z Rupertem. Jeżeli nie liczyć wellingtonów i panterki, Julia jest gotowa na polowanie, Rupert natomiast - ciągle w dżinsach. Jego włosy, przyczesane szczotką, są wilgotne i nadal niesforne. Ma wygląd mężczyzny - często go miewa, nawet po całym dniu w biurze - który dopiero co wyszedł z łóżka ekscytującej kobiety i duchem nadal w nim przebywa. Irytuje mnie jego pewność siebie; niedbały sposób, w jaki sprawia, że staje się niezbędny w każdym momencie i w każdym związku.

- Wiley! Witam! - woła z bufetu. - Tag! Poznajcie moją kuzynkę, Julię. Johna chyba nie muszę przedstawiać. A więc znacie już wszystkich. Przepraszam za spóźnienie.

- Nic nie szkodzi - mówi Wiley Ryan.

Silę się na uśmiech, ukradkiem, w panice szukam w oczach Julii i Ruperta, w ich zachowaniu wytłumaczenia nocnej rozmowy, do której nie chcą się przy-

znać. Wszyscy spoglądają na nowo przybyłych, a ja zastanawiam się, która z osób zgromadzonych przy stole mogła zagrozić mojej żonie. Ralph wydaje się zbyt bliski; Philip zbyt odległy. Ale czy mogę mieć pewność, nie znając natury tej groźby? O ile wiem, Julia nigdy przedtem nie spotkała Wileya Ryana. Mimo to śledzę wymianę ich spojrzeń, szukam w tonie głosu najmniejszego dowodu, że się znają.

-1 tak cofnęliśmy zegarki - mówi Ralph Marlowe sucho, jakby chciał, by te słowa wyparowały. - Czekamy na bardziej odpowiednią pogodę.

Julia bierze plasterek przypalonego bekonu z podgrzewanego talerza i pogryza go, dragą ręką nalewając odrobinę chudego mleka do miseczki i nasypując kilka płatków owsianych. Moja żona ma figurę sportsmenki, rezultat dzieciństwa i wczesnej młodości spędzonych na koniu. Nadal strzela od czasu do czasu - kilka dni w sezonie, prawdę mówiąc coraz rzadziej, ale jest niezwykle zgrabna jak na kogoś w jej wieku. Ta postawa legitymizuje jej urodę, nasuwa myśl, że ta znakomita budowa, nieskazitelna cera, te oczy są wyrazem wewnętrznej siły. Jestem dumny patrząc na nią, jestem dumny z tego, jak patrzą na nią Ryanowie. Pochlebia mi, że zostałem wybrany przez taką kobietę.

Nie kryjąc się i nie usprawiedliwiając swojego zachowania, Julia stawia miseczkę na blacie kredensu i podciąga rękaw kurtki, by spojrzeć na swatch w czerwono-żółtą kratkę.

-Nie zdawałam sobie sprawy! - wykrzykuje, po czym, nie siadając, pochłania płatki i popija kilkoma łykami kawy z mlekiem. - Polujecie oboje? - pyta.

- Tylko Wiley - odpowiada Tag Ryan. - Ale jeżeli można, pojedę z nim.

- Dobrze - mówi Julia. - Kto jeszcze?

- Poza tobą, Johnem i mną? - pyta Rupert.

-1 Philipem. Philip, strzelasz, prawda? - dopytuje się Julia. -1 to z wielką przyjemnością.

- Ralph - dodaje. - Naturalnie!

Ralph odchyła się na krześle, unosząc jego przednie nogi. Balansuje na piętach.

- Naturalnie - powtarza. Julia jest odrobinę zmieszana.

- Miałam na myśli, że otrzymałeś od Adriana pierwszy strzał. Zaprosił cię na długo, zanim pomyślał o mnie.

Ralph wpatruje się w sklepienie, jakby badał uwypuklenia łuków, ornamenty kopuły, marmurowe i porfirowe wykończenia.

- To prawda - mówi tylko.

- Czy to nam daje pełen skład? - pyta Julia.

- Z Adrianem. I Piersem - odpowiada Rupert.

- Cholera, zapomniałam, że on jedzie - mówi Julia nerwowo. - Wydawało mi się, że jego dni przypadają później w sezonie. Zresztą, wszystko jedno. - Zerka na mnie, podnosi i szybko opuszcza wzrok, jakby chciała się wyprzeć jakiegokolwiek znajomości planów Piersa Haiga.

- Zazwyczaj poluje w środku tygodnia - dodaje Rupert. Julia potakuje.

W holu wyjmujemy broń z futerałów, bierzemy torby z nabojami, zakładamy zielone wellingtony typu „myśliwy”, zapinamy pod szyję zgniłozielone kurtki, bo na dworze chłodno i wilgotno, zasuujemy suwaki panterek, trochę znoszonych, pachnących z lekka woskiem. Mężczyźni zakładają czapki - niemal identyczne, wełniane, brązowe lub oliwkowe w bardzo delikatną kratkę. Przynajmniej przez chwilę panuje cisza, to znaczy, nie słychać ludzkich głosów, chociaż robimy mnóstwo szumu.

Na portyku, wsparty ramieniem o gładką kolumnę, stoi Piers Haig. Jest bez reszty pochłonięty rozmową z bratem Julii. Choć są tego samego wzrostu, Piers, ze swoją smukłą, wysportowaną sylwetką, wydaje się wyższy od przysadzistego, muskularnego Adriana. Kiedyś musiał być z niego ładny chłopak, ale teraz konwencjonalnie wyrzeźbiona twarz zaczyna nabierać niepotrzebnej krągłości. Przedwcześnie posiwiiałe, lecz po dziecinnemu sztywne włosy rozwiewa wiatr.

Niczym nie daje poznać, że zauważa moją obecność, nie przerywa rozmowy, nie zmienia wyrazu twarzy. Ścisza głos, świadomie nadając mu jeszcze bardziej osobisty ton. Aleja i tak go słyszę.

- Prawda jest taka - mówi - prawda jest taka, Adrianie, że z Matthew Paxto-na jest, moim zdaniem, wielki spryciarz. To śliski facet. Nie podoba mi się pod żadnym względem. Spędził tu całe życie, a jasne jak słońce, że nic go ta ziemia nie obchodzi. Ani ta ziemia, ani w ogóle nic, z wyjątkiem forsy.

- Matthew to Matthew - odpowiada Adrian. - Znam go odkąd sięgam pamięcią. Wiem, jaki jest.

- Nie byłbym tego taki pewny - mówi Piers, nadal ignorując moją obecność, chociaż stoję trzy kroki od niego.

Adrian spogląda na mnie i wraca wzrokiem do Piersa. Wygląda to tak, jakby uniósł dłoń, uprzejmie lecz stanowczo domagając się ode mnie pobłażania.

- Ojciec Matthew był inny - ciągnie Piers. - To dawny plenipotent twojego ojca, prawda? Wiem, że był agentem mojego wuja i wuj też go lubił. Był jaki był, jeżeli rozumiesz, co mam na myśli. Poważny. Uczciwy. Zrównoważony. Niespecjalnie błyskotliwy, ale bardzo zdolny. Robił co do niego należało i basta; zero niezdrowych ambicji. No i jeszcze młodszy brat, David, oczywiście. Znałem go z czasów, gdy studiował w Cambridge. Mieszkałem niedaleko, a on kolegował się ze starszym rokiem. Wpadaliśmy na niego z Julią od czasu do czasu.

Zachowuję milczenie, choć przychodzi mi to z trudem. Nie lubię, kiedy Piers łączy imię mojej żony z własnym, nawet we wspomnieniach, w historii. Nie lubię myśleć o „Julii i Piersie”, ani o „Piersie i Julii”, o tym, że taka para faktycznie kiedyś istniała i jej istnienie było usankcjonowane przez innych.

Przed ślubem spowiadaliśmy się sobie z dawnych miłości. Zrobiliśmy to spontanicznie, w moim łóżku, w pewien deszczowy niedzielny poranek spędzony wyjątkowo w Londynie (z uwagi na wymogi mojej pracy). Moja lista okazała się dłuższa, co wydało mi się zrozumiałe. Ale później, jadąc Strandem, uzmysłowiłem sobie, że lista Julii ma luki czasowe. Dopiero kilka miesięcy później dowiedziałem się, że ona i Piers Haig byli kiedyś „praktycznie zaręczeni”.

- David był zupełnie inny - ciągnie Piers - chociaż naprawdę nie potrafiłbym powiedzieć, na czym ta różnica polegała.

- Kompletnie inny - przyznaje Adrian. - Pod każdym względem.

- Nigdy go nie znałem - wtrącam.

- Naprawdę? - pyta Adrian.

- Jasne, że go nie znał - mówi Pierś karcącym tonem. - Johna tu jeszcze nie było. Pomyśl, jak dawno temu umarł David.

- Wiem - mówi Adrian. - Cholernie dawno.

Pierś spogląda na mnie. W końcu przyjmuje do wiadomości fakt mojego istnienia, szczęśliwy, że ma już za sobą powitanie i nie musi się zastanawiać, co powiedzieć. Żona Piersa, Marjorie, od przeszło roku jest na wózku inwalidzkim, utraciwszy władzę w rękach i nogach na skutek stwardnienia rozsianego. Jeżeli wierzyć plotce, cierpi na przewlekłą depresję, a Pierś zbyt polega na jej niewielkich dochodach, z których utrzymuje stadninę koło Newmarket. Zaniebuje podobno swoją praktykę lekarską, a jego wierność małżeńską, tak zaskakująca dla tych, którzy go znali w młodości, w końcu się zachwiała.

- Myślę, że była to kwestia jego wyglądu - mówi Pierś. - David był taki młody, taki chłonny. Można by przysiąc, że nie ma w sobie jednego gena swojej rodziny, prawda?

- Faktycznie, fizycznie zupełnie ich nie przypominał.

- Mówił też zupełnie inaczej. I poruszał się inaczej, jakby bardziej.. niewy-sportowany, ale...

- Pełen wdzięku - dopowiada Adrian.

- Właśnie. Miał wdzięk. Nie było w nim nic z klas pracujących. Cholera, z klas średnich też nie. Nigdy przedtem o tym nie myślałem. Nie w ten sposób.

-Ulubieńcy bogów umierają młodo - mówi Adrian. - Albo jakoś tak podobnie. Mówili tak o poległych na wojnie. W szkole, pamiętasz?

- Tak. Zawsze mieli pod ręką uzasadnienie tego, czego nie potrafili wyjaśnić. Uważasz, że David był ćpunem?

- Absolutnie nie.

- Znam parę osób, które tak uważają.

- Zwyczajna zazdrość.

- Hugh Basildon twierdzi, że ma... -Bzdura!

- Nie wiem. Może być w tym trochę prawdy. Mógł wiele uzyskać od Basil-dona - i uzyskał, mógłbym jeszcze dodać. A przynajmniej był w trakcie. Hugh, jeżeli pamiętasz, był jego *entrée*.

-Na litość boską, David Paxton nie potrzebował *entrée*, z całą pewnością nie takiego, jakie mógł ofiarować Hugh Basildon. - Adrian mówi coraz głośniejszym głosem, łapie się na tym i natychmiast ścisza głos. - Miał coś o wiele ważniejszego niż *entrée*.

- O! Co mianowicie?

- Magnetyzm. David miał magnetyzm, już jako mały chłopiec.

- Twierdzą, że na samym magnetyzmie, bez promocji, człowiek nie zajędzie daleko.

- - Musisz pamiętać, że byli śmy mniej więcej w tym samym wieku, David tylko parę miesięcy starszy. Bawiliśmy się razem jako dzieci. Jego ojciec był naszym

plenipotentem. Mieszkali w Thron Cottage, to ten uroczy, kamienny dom na skraju wsi. Choć wszyscy zdawali się sądzić inaczej, ja zawsze uważałem go za szczęściarza. Byłem dziedzicem tej wspaniałej posiadłości i tytułu; on nic nie dziedziczył, a jednak musiałbym być ślepy, żeby nie widzieć, że uwaga ludzi jest zawsze skierowana na niego. Dostawał wszystko, czego zapragnął, kogokolwiek zapragnął, wystarczyło, by ujawnił swoją obecność. Nie musiał nawet artykułować swoich pragnień, wystarczyło, że się pojawił i życzenie się spełniało. Szczęście. Miał na czole wypisane, że jest szczęściarzem. Od jego śmierci upłynęło tyle czasu, a nadal stoi mi przed oczami jak żywy. Ilu jest ludzi, których twarze się zapamiętuje? Cholernie niewielu, jak się nad tym zastanowić. David miał tyle zalet. Nadal widzę jego twarz, w każdej fazie jego życia. Widzę go, jak czyta w bibliotece mojego ojca, zaszczyt, jakiego nie dostąpił nikt spoza rodziny, nikt nie związany z Castlemorland. W ręku trzyma zniszczony tom Trollope'a. Ja dotąd nie przeczytałem Trollope'a. David był zdumiewający, naprawdę wyjątkowy.

Tamtego lata, kiedy przyjechała ekipa filmowa, ile on mógł mieć wtedy lat? Siedemnaście? Chyba nawet nie tyle. Przyjechałem do domu na wakacje, a on już tu był. W jego szkole zakończono rok szkolny parę dni wcześniej, przyjechał do Castlemorland i trafił prosto w to całe zamieszanie, o którym w ogóle nie wiedział. Gdzie nie spojrzysz, ciężarówka i przyczepy kempingowe. Festyn z dodatkami gwiazd filmowych i aurą... nie wiem, chyba powagi. Sztuka przez duże „S”. Dziwne, srebrne światła. Trudno to wyjaśnić, ale w czasie pobytu ekipy wszystko zostało postawione na głowie. Julia wydawała się to rozumieć, bawiła się tym. Nie mogę tego powiedzieć o sobie. W filmie dom nazywał się inaczej - Mudling-ton Hall czy Madlin^ton, nie pamiętam. Zamieszkiwała go fikcyjna rodzina Le-sleyów: earl i księżna Lesley oraz ich piękna młoda córka lady Victoria, grana przez Susannah Finley, która, jak może pamiętasz, w scenie w dojami odsłoniła każdy centymetr kwadratowy swoich zmysłowych pończoszek.

- Zbaczasz z tematu - zauważa Piers.

- Tylko pozornie. Drugiego, trzeciego dnia zdjęć ci Lesleyowie - którzy byli, bądź co bądź, tylko aktorami najętymi do konkretnej roboty, fikcyjnymi postaciami, wytworami wyobraźni jakiegoś scenarzysty - zupełnie opanowali dom. Byli o wiele bardziej interesujący dla mieszkańców wsi, nie mówiąc o turystach włączających się po otwartej części domu, niż my, Middleton-Lyghamowie, którzy mieszkamy tu od siedmiuset lat, a uprawiamy ziemię, walczymy i umieramy dla Anglii od prawie tysiąca.

- Biedactwo, czuleś się zdetronizowany.

- Wcale nie. Takie rzeczy nigdy nie robiły na mnie wrażenia, jak dobrze wiesz. Rozmawialiśmy o Davidzie Paxtonie i poruszyłem tę kwestię w związku z nim. Chcę powiedzieć, że przyjazd ekipy filmowej momentalnie zburzył utarty tryb życia tego starego miasteczka, ludzie wypadli z przypisanych im ról i przyjmowali nowe, o jakich zawsze marzyli. Wszystko to było bardzo interesujące. W przypadku Davida więcej nawet niż interesujące. Prawdę mówiąc, fascynujące. Jak wiesz, dostał rolę w tym filmie. Rolę arystokraty. Reżyser był tak nim oczarowany, że natychmiast wpisał go w scenariusz jako przedstawiciela rasy ginącej.

- Wiem, że otrzymał rolę - mówi Piers. - Nie wiedziałem tylko, jak mu poszło. Trzeba przyznać, że był bardzo fotogeniczny.

- Ja nigdy nie dostałbym tej roli - wyjaśnia Adrian.

- Tym akurat bym się nie przejmował.

- Ciebie też by nie zatrudnili.

- Za przeproszeniem, ale jakoś nie mogę sobie wyobrazić Davida Paxtona w roli arystokraty.

- A co byś powiedział na to, że przespał się z Susannah Finley?

- Żartujesz?

- Mieszkała w domu. Ona, jej partner w filmie i reżyser. David sypiał z nią przez cały czas, od dnia, gdy się poznali, do czasu, gdy wyjechała do Ameryki kręcić następny film.

- I nikt o tym nie wiedział?

- Mało kto. W każdym razie wyrobił sobie reputację, zanim jeszcze poszedł do Cambridge.

- To wszystko jest bardzo dziwne - przyznaje Piers. - Nigdy o tym nie słyszałem. Syn twojego plenipotenty pieprzy dziewczynę, na którą najprawdopodobniej sam miałeś chrapkę.

- Nigdy nie byłem na tyle odważny.

- I tak się składa, że ta dziewczyna jest najbardziej pożądaną kobietą w Zjednoczonym Królestwie. I wszystko to dzieje się pod twoim dachem, z twoim błogosławieństwem. Powiedz mi, Adrianie, czerpałeś jakąś zastępczą przyjemność z faktu, że David gra twoją rolę?

- Nie wiem - mówi Adrian szczerze. - Nie miałem wtedy tyle pewności siebie. Przyzwyczailem się już do myśli, że przysługujami pewne prawa, inni zresztą też. Rodzice, nauczyciele w szkole, farmerzy w posiadłości. To był ściśle zdefiniowany świat, w którym moje prawa były oczywiste. I prawa Davida również - ponieważ oszukujesz się twierdząc, że nie miał prawa, choćby prawa magnetyzmu, pieprzyć kogokolwiek chciał, kiedy chciał i gdzie chciał, bez jakichkolwiek niemiłych konsekwencji.

Patrzę na Adriana i myślę, że jest bardziej spostrzegawczy niż się powszechnie uważa. Jest moim szwagrem; lubię go i cieszy mnie ta łatwa przyjaźń, jaką możemy sobie ofiarować, przyjaźń dwóch mężczyzn, z których żaden nie chciałby zająć miejsca drugiego.

Ciemny grot chmury wychynał zza bukowego lasu i w chwili, gdy nasza grupka opuszcza hol, zmierza w stronę zamku. Po chwili jednak szarzejaca masa zmienia kierunek i odpływa na południe, zaciągając niebo płachtą cienia.

Dopiero teraz Julia dołącza do nas, jak zwykle w takich okazjach ze złotym labradorem o imieniu Cav przy nodze. Wyniosła obojętność Cava wobec innych myśliwych, jego wysoko uniesiony nos i teatralne miny, jak warsztat aktora dramatycznego, od dawna przeszły z pozycji w przyzwyczajenie i stały się drugą naturą.

- Czyje to? - pyta Julia z jakimś ospałym zdumieniem, spoglądając na podjazd.

- Co?... A! - odzywa się Adrian. - Prezent urodzinowy.

Na żwirowej alejce, w odległości trzydziestu metrów na lewo, stoi ferrari model 328 w kolorze jajka rudzika. Ostatnie promienie słońca odbijają się rykoszetem od chromowanej maski; do lewego przedniego zderzaka, nadal wilgotnego po nocnym deszczu, przyległ, niby wisior, pojedynczy dębowy liść.

Julia przetyka z trudem ślinę.

- Adrian! Dla ciebie? Od kogo?

- Od kogoś, kto rozumie ból dwudziestych dziewiątych urodzin. Ostatni rok młodości i tak dalej. Czyli ode mnie. Zawsze byłem zdania, że wieku człowieka nie powinno się mierzyć jego datą urodzenia i liczbą przeżytych lat, lecz czasem, jaki mu jeszcze pozostał. A ponieważ tego nie sposób wiedzieć, należy po prostu brać z życia, ile się da.

Wykładając bez zająknięcia swoją teorię życiową, Adrian nie wspomina, że są to jego pierwsze urodziny po śmierci rodziców. Ojciec, Andrew, którego imieniem nazwaliśmy naszego synka, zmarł przed paroma miesiącami - nagle i stosunkowo młodo - zaś Caroline, jego pełna słodyczy, przesądna matka, zginęła wiele lat temu, kiedy jej samolot zjechał z pasa startowego w irlandzkiej mgłę. Z uwagi na dzieci rodzice Adriana nie podróżowali jednym samolotem. Tamtego fatalnego lata lecieli łowić ryby w rzece należącej do przyjaciół.

- Strasznie drogi?

- Strasznie może nie, jest używany i ma kilka tysięcy kilometrów przebiegu. W końcu nawet John przesiadł się do porsche'a, co go bardzo uwiarygodniło. Ludzie odnoszą się nieufnie do kogoś, kto otwarcie twierdzi, że samochód jest jedynie środkiem transportu i tak należy go traktować.

- Nie na darmo nazywają go „człowiek-porsche" - wtrąca Ralph.

- Na miejscu Johna kupiłbym jednak cadillaca - dodaje Adrian.

- Bardzo dużego cadillaca - przyklaskuje mu Ralph. Wiley Ryan uśmiecha się.

Blżej portyku stoją na podjeździe dwa dżipy. Większy, ciemnozielony lśni czystością; drugi, w maskujące ciapki, upstrzony jest plamkami zasychającego błota. W pewnym oddaleniu od samochodów - i przez chwilę również od nas - stoi pan Cole, główny gajowy. Stoi w grupce trzech kobiet, ubranych o wiele mniej elegancko niż my, prawdę powiedziawszy - niemal niedbale. Pan Cole rozmawia z nimi swobodnie, z chropawym irlandzkim akcentem. Sądząc z wyrazu jego twarzy powtarza tylko coś, co mówił już setki razy.

Rozpoznają pogodną twarz Isabel Wainwright, narzeczonej Adriana, która nagania dla rozrywki, oraz dwie nastoletnie kuzynki Julii, które mieszkają

czterdzieści minut od zamku i zjawiają się na polowaniach, kiedy pogoda dopisuje.

Rozchodzimy się po kilku słowach powitania. Panie dołączają do grupy naganiaczy, nadzorowanej przez podgajowego, Donalda, zaś „strzelby” skupiają się wokół Adriana, który odbywa ostatnią konferencję z panem Cole'em.

Pan Cole pokazuje na niebo. Falującym ruchem dłoni nakreśla kontur posiadłości i przewidywaną trasę polowania na dzisiaj.

- W tym lesie nie będziemy strzelać! - przerywa mu Adrian.

- Dopiero od środy za tydzień, kiedy przyjedzie Jego Wysokość i dżentelmeni, co to jeszcze pamiętają, jak się strzelbę trzyma.

- Od środy za tydzień - zapewnia Adrian i milknie.

- Zawsze się znajdzie jakiś bekas na tych niższych terenach. Dobrze się poszuka, to i będzie. Ostatnia nagonka przed lunchem.

- Miejmy nadzieję - mówi Adrian. - Państwo pozwolą?

Z zewnętrznej kieszeni kurtki wyjmuje skórzany portfelik w kształcie cylindra, otwiera go zręcznie, ukazując patyczki z kości słoniowej. Wiley Ryan ciągnie pierwszy, ale nie spogląda na numerki wygrawerowane na niebieskim spodzie. Philip jest następny, potem Piers', Ralph i Julia. Jestem za moją żoną, przed Rupertem i Adrianem, w takiej kolejności.

Wsiadamy do dżipów i przez dziesięć minut jedziemy za samochodem wiozącym Donalda i naganiaczy, zaprzyjaźnionych lub spokrewnionych z rodziną.

Wylosowałem trójkę, co nie jest korzystne, ponieważ oznacza, że będę zmieniał stanowiska i strzelał z Adrianem, Philipem i Ralphem.

W normalnych warunkach dzień spędzony w ich towarzystwie, zabawne rozmowy, przekomarzania i udawana rywalizacja sprawiłyby mi oczywiście przyjemność. Ale normalny dzień nie rozpocząłby się atakiem lęku, zniknięciem Julii i sekretną rozmową w środku nocy.

Każdego innego dnia Piers' w ogóle nie brałby udziału w polowaniu, a ślepy, złowieszczy los nie rozdzieliłby mnie z Julią. Obecność Piersa irytuje mnie i wytrąca z równowagi, z każdą minutą bardziej. Zaczynam się nawet zastanawiać, czy ten dawny narzeczony nie jest

człowiekiem, którego Julia się obawia, czy to nie on jest w posiadaniu obciążającego ją dowodu. Nie wyczułem między nimi żadnego napięcia, ale Julia potrafi maskować uczucia, jeżeli zaistnieje taka konieczność. Zdaję sobie sprawę, że mój niepokój może być bezpodstawny. A jeżeli nie jest?

Philip siedzi obok mnie w tyle zabłoconego dżipa.

- Julia jest w formie - zagaduje.

- Rozmawiałeś z nią?

- Trudno to nazwać rozmową. Powiedziała: „Dzień dobry, musisz być strasznie skołowany lotem”, i tyle. Dlaczego pytasz?

- Bez powodu. Byłem po prostu ciekaw. Philip przygląda mi się uważnie.

- Dobrze, że strzela z Ryanem - odzywa się w końcu. - Oczaruje go.

- Będzie musiała - woła Ralph przez ramię z przedniego siedzenia. - Jeżeli on się spodziewał ośmiuset strzałów...

- Co? - pyta Adrian. Prowadzi.

- Mówili o tym przy śnadanu - wyjaśnia Ralph. - Jakiś hiszpański arystokrata dał im osiemset strzałów.

- Bzdura! - mówi Adrian.

Opieram się wygodnie o drewniany palik z moim numerem. Jest tu mroczno, mimo iż słońce przedziera się nieśmiało przez nową chmurę pędzoną przez wiatr, a pobliskie pole zalane jest tym specyficznym, jakby rozcieńczonym światłem późnej jesieni. Słońce przesuwa pod ostrym kątem rzadniejące jodły po mojej lewej ręce. Ich wydłużone cienie sięgają aż do moich stóp.

Nie mam ze sobą ani psa, ani ładowacza, posiadam tylko jedną strzelbę. Kupiłem ją na aukcji w Christie's, w okresie narzeczeństwa z Julią. Broń została wykonana pod koniec lat pięćdziesiątych przez W. Wrenneke'a dla Niemca mojej postury i chociaż nie jest tak idealnie dopasowana do mojego ramienia i policzka, jak purdy Wileya Ryana, jestem z niej zupełnie zadowolony. Amerykanin, który za wszelką cenę próbuje upodobnić się do polującego Anglika, naraża się na śmieszność. Ta chęć naśladownictwa jest w moim pojęciu, a także w odczuciu większości Anglików, jakich znam, czymś żenującym. Do sprzętu pewnego kalibru, w każdej dyscyplinie sportowej, należy dojść latami doświadczeń, aby móc go w pełni ocenić i wykorzystać. Czułbym się idiotycznie strzelając z broni Adriana lub Ruperta, odziedziczonej po przodkach. Nie posiadam po temu wystarczających umiejętności i broń ta, jak wiele rzeczy, z których obecnie korzystam, nie jest mi przynależna z racji urodzenia.

Stojąc tak i czekając pośród rzadkich zarośli, pokrzyw i matowych martwych liści, chłonę piękno krajobrazu. Cieszy mnie, że ta ziemia jest nam tak bliska, a zarazem tak odległa. Radość, jaką czerpię z jej piękna, jest równa uczuciu ulgi, że to na Adriana, nie na Julię spadł ciężar chronienia jej. Pomagając w prowadzeniu finansów posiadłości, zrozumiałem jak ogromnej, nieustannej pracy to wymaga. Od ostatniej nocy zastanawiam się, czy pozostałbym w Anglii, gdyby moja żona mnie zdradziła. I nadal nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie.

Cisza.

Potem gwizd, cichy z początku, potem coraz głośniejszy.

Niesharmonizowane dźwięki - przenikliwy brzęk perkusji, niższe tony metalu, głuche postukiwanie drewna. Dzika kakofonia.

Szwadron ludzi biegnie przez wyrąb, płosząc bażanty ku nie dającym osłony niebu.

- Over! - rozlega się krzyk.

- Z lewej...

Strzelam - i to celnie. Mam przed sobą cztery bażanty i jednego z tyłu, jakby zawstydzonego własną opieszałością. Odsuwam się od palika, robiąc miejsce zbieraczom. Z tajonym zadowoleniem stwierdzam, że tylko Philip zestrzelił więcej ptaków.

Palik numer pięć, do którego podchodzę przy następnym stanowisku, znajduje się pośrodku szerokiego wyrąbu, prawie na szczycie łagodnego wzniesie-

nia. Sadowię się przy nim, przygotowując się do załadowania broni. Kiedy ptaki są nade mną, oddają trzy strzały, prowadząc lufę wyczelowanym łukiem. Potem, kiedy odwracam się na pięcie, dostrzegam dwa w locie i dwa spadające ku ziemi. To Adrian spudłował za pierwszym razem i postanowił zestrzelić je na otarcie łez.

- Strzelałeś jak szaleniec - mówi Adrian. - Ale bardzo pięknie.

- Nauczyli cię tego na kursie Holland i Holland? - pyta Ralph.

- Nie, w Wirginii - odpowiadam.

- Jeżeli mógłbym coś doradzić... - ciągnie Ralph z półśmiechem. - Byłoby jeszcze piękniej, gdybyś nie okazał, że wkładasz w to całego siebie. Gdybyś był w stanie zrobić to, co zrobiłeś, bez tak oczywistego wysiłku.

- Dlaczego?

- Dlaczego? Nie wiem. Ponieważ to jest Anglia.

- Może byłoby piękniej - mówię - ale z pewnością mniej uczciwie.

- Tak sądzisz? - pyta Ralph. - A może tylko w odmiennym stylu? Dlaczego wy, Amerykanie, czynicie z każdej decyzji wybór moralny?

- Ponieważ wszyscy idą na uniwersytet? - wtrąca Adrian. Pozostawiam to bez odpowiedzi.

Po kolejnej nagonce udajemy się do miejsca, gdzie reszta towarzystwa zebrała się na szklaneczkę dżinu. Jest to polanka na zboczu wzgórza, cienista, ale dobrze osuszona i pełna tego surowego piękna, które myśliwi z taką łatwością ignorują. Cisza, czy raczej brak rozmowy, zdaje się nie licować z pogodnym, kalifornijskim usposobieniem Taggart Ryan.

- Kiedy polowaliśmy w zeszłym roku - zaczyna opowiadać - to znaczy, kiedy Wiley polował... nie tutaj, w Szkocji... na ostatnim stanowisku znaleźliśmy trupa.

Jej perfumy są słodkie, włosy spływałyby do ramion, gdyby nie skryła ich pod filcowym kapeluszem. Jest w niej zmysłowość i bujne zdrowie.

- Trupa? - wykazuje zainteresowanie Adrian. - Ktoś został zastrzelony?

- Nie przy nas! Skądże! Prawdę mówiąc, nie znamy przyczyny śmierci: nie wiem nawet, czy to był postrzał. Ciało znajdowało się już w trakcie rozkładu i Darcy Jones, moja najbliższa przyjaciółka, nadepnęła na nie przypadkiem.

- I kto to był? - pyta dalej Adrian.

- Nie mam pojęcia. Najbardziej niesamowite było to, że kiedy gajowy przesunął zwłoki, one wydały jęk. Zupełnie jak żywy człowiek.

Lekarz, z którym później rozmawialiśmy, powiedział, że to powietrze wydostało się z płuc.

- Rozumiem - mówi Ralph. - No, ale on nie należał do waszej grupy.

- Nigdy go przedtem nie widzieliśmy. To było wstrząsające, mówię wam.

- Tak to już z truposzami bywa - odpowiada Ralph.

Tag śmieje się w odpowiedzi. Cała jej osobowość jest jak szeroka, połyskliwa rzeka o wartkich, przezroczystych wodach. Patrząc na nią, człowiek uświadamia sobie, jak czas ją uszlachetnił, wysubtelnił, jaka musiała być żądna życia, zanim to życie przekształciło ją w kogoś, kto zgodził się zostać trzecią żoną Wileya Ryana. Ma dzieci z poprzedniego małżeństwa. Są teraz na uczelniach, których

nazw nigdy nie słyszałem, ich życie wciśnięto w jakąś enklawę na Północnym Zachodzie. Ich twarze, wiecznie młodzieńcze, uśmiechają się ironicznie ze zdjęć, z którymi Tag Ryan się nie rozstaje. Widziałem, jak pokazywała je Rupertowi, kiedy wstaliśmy od śniadania. Spójrz - zdawała się mówić, pokazując mu ładną dziewczynę o pustych oczach - jakby stworzona dla ciebie. Idealna dla twojego stylu życia.

- Powiedz mi - zwraca się do Adriana Wiley Ryan. - Często miewasz Amerykanów na polowaniach?

- Rzadko.

- Ale z pewnością wydzierzawiasz im tereny?

- Naprawdę bardzo rzadko - upiera się Adrian przy swoim.

- Jesteś pierwszym, którego tu widzę w charakterze gościa - spieszy z wyjaśnieniem Rupert.

- Dużo kobiet?

- Jedna czy dwie. Trudno mówić o tłumie.

- O tłumie? - Julia śmieje się głośno. - O ile się orientuję, nie było tu jeszcze żadnej. Dlaczego pan pyta?

- Z ciekawości - przyznaje Wiley Ryan. - Obserwowałem z przyjemnością, jak pani strzela i pomyślałem, że może udałoby mi się namówić Tag, żeby dołączyła do pani przy naszej następnej wizycie.

Adrian krzywi się na te słowa. Gwałtownie chwyta szklanę, spoglądając jednocześnie na Ralpha, który wzrokiem nakazuje szkolnemu przyjacielowi milczenie.

Rupert rozumie oczywiście, że Wiley Ryan wprasza się do Castlemorland z następną wizytą w przekonaniu, że to on robi zaszczyt Midleton-Lyghamom. Ryan jest dyrektorem naczelnym firmy Fortune 500, człowiekiem, który z niejednego pieca chleb jadał, i choć oczarował go styl i paraferalia życia arystokracji, doskonale wie, że to on zajmuje wyższą pozycję we współczesnej hierarchii ważności. Ponieważ to on, nie my - nie Adrian ani Rupert, nie Julia i nie ja, nie Philip ani nawet Battlemen Peale - cieszy się zaufaniem tych instytucji, które rządzą światem: banków, rządów i agencji międzynarodowych, a przede wszystkim samego wszechpotężnego, bezosobowego rynku. My jesteśmy pracownikami najemnymi, zaledwie adiutantami tam, gdzie on jest pryncypałem. Jeżeli powiedzie się nasze wspólne przedsięwzięcie, Wiley powiększy swoje osobiste konto o przeszło sto milionów dolarów, ale nie to jest najważniejsze. Jestem przekonany, że poproszony o to, przedstawiłby się nie jako dyrektor korporacji, którym de facto jest, niejako finansista, lecz „gracz” - ktoś, kto dzięki odpowiedniemu połączeniu szczęścia i umiejętności jest uprawniony do uczestnictwa w grze życia, podczas gdy inni pozostają widzami, niezależnie od tego, ile wykazują entuzjazmu i chęci. On należy do świata graczy. I tak jak generałowie oceniają umiejętności generałów wrogich armii, a nie, dajmy na to, poruczników czy kaprali, on porównuje siebie z możliwymi tego świata. Wykup akcji, który planuje, i sprzedaż, która po tym wykupie nastąpi, wyniesie go jeszcze wyżej w hierarchii międzynarodowej finansjery. Wiley stanie się rozgrywającym na polu biznesu: jednym z tuzina

ludzi na całym świecie, którym najlepsze interesy same wchodzą w ręce, zanim inni zdołają dostrzec możliwość ich przeprowadzenia. Wiley Ryan jest realistą. Wie, że wnosi do tej imprezy więcej niż my, chociaż to my jesteśmy gospodarzami.

- Ciekaw jestem - mówi Ralph - czy siedzibą tego waszego korporacyjnego imperium, które zamierzacie przejąć, będzie Castlemorland?

- Nie wiem, do jakich wniosków doszedłeś na podstawie tego, co usłyszałeś przy śniadaniu, ale radziłbym nie wydawać pochopnych sądów.

-Tak?

- Po pierwsze, istnieją pewne zasady. Nie wolno wykorzystywać informacji wewnętrznych, nawet jeżeli przypadkiem weszło się w ich posiadanie. Po drugie, nie wszystko układa się tak, jak by się chciało. Rynek ma tendencje do niespodziewanych zmian kierunku.

- No proszę, ja się martwię o przyszłość posiadłości, tak drogiej mojemu sercu, a ty robisz wyciąg z kodeksu zawodowego maklera giełdowego. Możesz być spokojny, John, moje obecne zasoby sprowadzają się do tego, co nosi wdzięczną nazwę overdraftu. Tak więc nie wykonam żadnego finansowego salto mortale i nie przyniosę ci wstydu.

- Miło mi to słyszeć.

- Adrian nie odpowiedział jeszcze na moje pytanie.

- Nikt nie będzie mieszkał w Castlemorland, z wyjątkiem mojej rodziny-oznajmia Adrian. - Bajdurzysz, Ralph.

- Czy Rupert, jego wspólnicy i klienci należą do twojej rodziny? Wydaje mi się, że Rupert całkowicie przejął organizację polowań.

- Nic podobnego - protestuje Adrian.

- Może masz rację. Może Rupert nigdy nie osiadzie w jednym miejscu na tak długo, żebyśmy musieli się martwić jego stałą obecnością w Castlemorland. Może nie należy do mężczyzn, którzy się żenią i zakładają rodzinę. Sam zresztą nie bardzo się z tym spieszę, nie ma potrzeby. Ale on jest o wiele starszy ode mnie i od ciebie, Adrianie. Nie chcę nic sugerować, ale zaczynam się zastanawiać, dlaczego zdecydował się pozostać kawalerem.

- Może jest wybredny - insynuuje Philip, który jak dotąd traktował wywody Ralpa z pełną wdzięku rezerwą.

- Możliwe. Tłumaczcie to sobie, jak chcecie. Tak czy inaczej, jestem pewien, że okolica roi się od ludzi, którzy z radością wzięliby udział w polowaniu w Castlemorland. Matthew Paxton, na przykład. Jak rozumiem, ma już zapewnione stałe miejsce w polowaniach.

- Zupełnie nie o to chodzi - tłumaczy cierpliwie Adrian. - Nie ma już wolnych terminów polowań w Castlemorland, a nawet gdyby były, i tak znalazłby się na liście aplikantów.

- Sugeruję tylko, że Matthew lubi pieniądze, lubi władzę. I jak głosi plotka, akumuluje jedno i drugie.

- Dlaczego by nie? - dziwi się Adrian. - Dochrapał się wszystkiego samodzielnie.
 - Dochrapał się dużych pieniędzy.
 - Jak dużych? - pyta Adrian.
 - Nie mam pojęcia - odpowiadam, zakładając, że kieruje pytanie do mnie.
 - Przeszło milion - mówi Ralph. - Bliżej dwóch.
 - To duża suma, prawda? Biorąc po uwagę...
 - ... że nie miał własnego kapitału.
 - Trzeba go podziwiać - mówi Adrian. - Pod pewnymi względami zasługuje na szacunek.
 - Nie, nie zasługuje. - mówi Ralph. - Nie musisz podziwiać nikogo, kto zajmuje się niszczeniem krajobrazu dla własnej korzyści.
- Matthew może być cwany, ale jest prostakiem o prymitywnych, przyziemnych ambicjach. Bez klasy i stylu, wyzuty ze wszystkiego, co od biedy można by uznać za pęd do samodoskonalenia.
- A więc „szanować”, jeżeli nie podziwiać. Trzeba go szanować. Dostrzega szanse tam, gdzie nikt by ich nawet nie szukał. I potrafi je wykorzystać.
 - Bez wątplenia. Nie w Castlemorland, o ile zdołałem zauważyć.
 - Nie ma tu dla niego żadnych możliwości.
 - Ponieważ Castlemorland bazuje na uprawie ziemi?
 - Właśnie.
 - I nie chciałbyś, żeby to uległo zmianie?
 - Nie pozwoliłbym na to.
 - Ale nie przeszkadza ci, że na cudzej ziemi wyrastają centra handlowe?
 - Oczywiście, że mi przeszkadza. Ale nie mam na to żadnego wpływu.
 - Ten park rozrywki...
 - W porządku, udowodniłeś już swój punkt widzenia.
 - Chcę tylko powiedzieć, że jestem drobnym farmerem, ty zaś posiadaczem ziemskim i członkiem angielskiej arystokracji. I chciałbym wiedzieć, dlaczego ludziom takim jak ty, którzy mają najwięcej do stracenia, imponują cwaniaczko-wie ze swoją zdolnością robienia pieniędzy. - Wiesz że nie przepadam za Matthew Paxtonem - mówi Adrian. - Ale uważam, że trzeba mu oddać sprawiedliwość.
 - Pewnie masz rację. W każdym razie to płotka w porównaniu z tą amerykańską grubą rybą.
 - Czy to wpędza cię w tak zgryźliwy humor?
 - Adrianie, jesteśmy starymi przyjaciółmi. Nie urażę cię, jeżeli powiem, że nie lubię, kiedy wykorzystuje się polowania do załatwiania interesów. - Rozumiem. Uważasz, że polowanie powinno pozostać wyłączną domeną dzentelmenów.
 - Przykro mi, jeżeli powiedziałem coś przykrego. Nie to było moim zamiarem. Nie mam nic przeciwko wydzierżawianiu polowania, naprawdę nic. Jest to kwestia ekonomiczna, czysta, prosta sprawa. Ale dlaczego samemu w tym uczestniczyć? Jeżeli warunkiem jest zabawianie Amerykanów jak dzień długi, wolę uprawiać jakikolwiek inny sport.

- Uważasz, że to zaszło tak daleko? - pyta Adrian ostro.
 - Obawiam się, że ku temu idzie. Dziwię się, że ten Ryan nie przywiózł ze sobą własnych naganiaczy i przynajmniej jednego ładowacza. Dziwię się, że nie wynajął wyżła z jakiejś miejscowej psiarni.
 - Większość rozsądnych ludzi byłaby wdzięczna losowi za szansę poznania tego Ryana - odzywam się.
 - John ma rację - popiera mnie Adrian.
 - A więc gościcie ich nie tylko przez wzgląd na Ruperta? Rozumiem. Liczycie na to, że sami na tym skorzystacie? Nie zdawałem sobie sprawy. Cofam wszystko, co powiedziałem. Każde słowo. Ponieważ dopiero w tej chwili uświadomiłem sobie, że sprawa jest beznadziejna.
 - Posiadłość tych rozmiarów co Castlemorland może przetrwać tylko wówczas, gdy jest otoczona morzem pieniędzy - wyjaśnia Adrian.
 - Mało oryginalne stwierdzenie, o ile mnie pamięć nie myli - mówi Ralph. - Jakby żywcem wyjęte z ust twojego ojca.
 - Stwierdzenie nie jest może oryginalne, ale wyjątkowo celne. Nie mam pretensji do Ruperta i Johna, że zmienili rozkład polowań. Przeciwnie, jestem im wdzięczny za to, że pomagają mi utrzymać to miejsce przy życiu. Nie muszą przecież. Nie należy do nich. Mają inne sprawy na głowie. Po prostu kochają Castlemorland równie mocno jak ja.
- Ten argument, poparty szczerością głosu, nagle ucisza Ralpha i wydaje się, że nasza rozmowa, niby utwór muzyczny, przechodzi w inną tonację.
- Do lunchu pozostają jeszcze dwie nagonki - pierwsza na szerokim płaskowyżu w pobliżu zachodniej granicy Castlemorland, druga na nizinie, gdzie mroźny wiatr ściał brzegi malowniczego strumienia w skorupę opalizującego kryształu. Spoglądam na to obojętnie, zalekniiony teraz, kiedy zostałem sam, a Julia strzela z Piersem, chociaż dawno temu wyznała, że w młodości pociągały ją właśnie takie miernoty; że dała się nabrać na fałszywe pozory stwarzane przez nieco starszego od niej studenta medycyny, tak różnego od innych jej znajomych. Stanowił wyzwanie jako ktoś, kto nie był ani uległy ani automatycznie dostępny.
- Potem zebraliśmy się na krótko w bibliotece, o tej porze dnia pozbawionej teatralności wieczoru: poświaty z pomarańczowych abażurów, łuków światła i cienia, muzyki głosów, dużo swobodniejszej po dawce whisky i porto. Zakurzony pokój dzienny nie zachęca również do aktów frywolności, jakich dopuściliśmy się z Julią zaledwie przed dwunastoma godzinami. Topley postawił na stole kieliszki z odmierzonymi po aptekarsku dwiema uncjami tio pepe, ale nie widać nigdzie karafki ani butelki sherry. Ktokolwiek miałby ochotę na więcej alkoholu niż ta południowa dawka, musi obsłużyć się sam, z pełną świadomością, że zostanie to odnotowane.
- Rupert bierze mnie na stronę z takim wdziękiem, że nasza nagła izolacja może zostać uznana za naturalną konsekwencję wcześniejszej rozmowy.
- Nieźle idzie! - wyrzuca z siebie. - Nasz pupil wydaje się bardzo zadowolony.
 - Dobrze strzela?

- Dość dobrze - mówi Rupert zdawkowo, pochłonięty czym innym. - Ale miałem na myśli, że podoba mu się cała ta impreza. Docenia to, co dla niego robimy. Założę się, że w życiu nie zestrzelił ptaka, za którego wcześniej nie zapłacił.

Wchodzi Adrian, ogarnia wzrokiem zgromadzonych, wychyla szybko swój przydział alkoholu, po czym dając przykład gościnności, ostentacyjnie chwytając z tacy drugi kieliszek.

- Nie ma wina do obiadu? - rzuca pytanie Julia.

- Nie wiem. - W głosie Adriana brzmi zaczepna nuta.

- Oczywiście, że jest.

- Naprawdę? Nie wiedziałem.

- Sam je wybierałeś - szepcze Julia, chyba nieświadoma tego, że ktoś poza Adrianem ją słyszy. - Zszedłeś do piwnicy i sam je wybrałeś, jak zawsze. Mówię to nie po to, by cię zranić, Ads. Chcę ci tylko pomóc. Nikt nie życzy ci lepiej.

- Odkąd urodziłaś bliźnięta, zrobiłaś się nagle abstynentką.

- Zrobiłam się abstynentką! Cholera, Adrian! Nie tknęłam alkoholu w ciąży, to oczywiste. Ale teraz piję. Niedużo, ale piję. Wiesz o tym.

- Nie - mówi Adrian. - Straciłaś dryg.

Lunch podano przy starym, ciężkim stole na środku kuchni, przesyconej zapachem ciepłego burgunda i gulaszu z zająca, który kucharka trzyma w emaliowanym kociołku.

Jest już późne popołudnie, kiedy podejmujemy polowanie. Białe, wełniste niebo zawisło nisko nad ziemią, zamazując kontury herbaciarni na odległym wzgórzu, wchłaniając popołudniowe ostre światło. Ptaki wzbijają się pod niebo i spadają jeden po drugim na śnieg i przez chwilę, słysząc nieludzkie wrzaski, przenikliwą inwokację naganiaczy, odpływam myślami i marzę - nie o bażantach sunących szybko napowietrznych prądach Wysp Brytyjskich, ale o święcie zmarłych z dzieciństwa, pełnym wzruszeń i lęków.

Po ostatniej nagonce nad parkiem zapada szybki, zimowy mrok. Wracamy we czwórkę: Adrian, Ralph, Piers i ja; Rupert i Philip poszli przodem z Julią i Ryanami.

Maska jaguara Piersa jest jeszcze otwarta, bagażnik wypełnia pęk bażantów, które włożył tam Adrian, a może pan Cole, i patrzymy na siebie w żółtym świetle lampki, tuż ponad czerwonymi ognikami świateł postojowych.

- Zawsze powtarzam, że bażanty to moje ulubione ptaki - wyznaje Piers. - I zawsze twierdziłem, że polowanie na nie jest ostatnią rzeczą, jakiej bym się w życiu wyrzekł.

Adrian kwituje komplement uśmiechem.

- Miło, że tak mówisz.

- Stwierdzam tylko fakt.

Ralph czeka, aż szum silnika zagłuszy jego głos i pyta:

- Jakiej właściwie specjalności lekarzem jest Piers?

- Chyba endokrynologiem - odpowiada Adrian, H Interesuje go głównie odchudzanie. Musiałeś słyszeć jego wywody na ten temat.

Dziwiłbym się, gdyby cię to ominęło. Pigułki na odchudzanie i tym podobne.

- A, faktycznie! Przypominam sobie. Chryste, prędzej udałbym się na konsultację do ciebie albo Johna.
 - Bez komentarza - mówi Adrian. - Masz coś do dodania, John?
 - Rozumiem, co Ralph ma na myśli - przyznaję.
 - Pamiętajcie jednak, że jest ceniony w Niemczech - mówi Adrian. - Wynałazł jakąś metodę leczenia - preparatem przysadkowym, zdaje się, za którą dostał wielką nagrodę.
 - Pamiętam - odpowiada Ralph po chwili. - W Cirencester. Właśnie otrzymałeś prawo organizowania własnych polowań; siadywaliśmy nad szklaneczką whisky i debatowali nad listą gości.
 - Bezustannie ją zmieniając, pamiętam. Dzieliliśmy ludzi na kategorie. Kategoria pierwsza...
 - Ludzie, których lubimy, którzy mogą nas zaprosić na własne polowania. - Na drugim miejscu ludzie, których nie lubimy, ale którzy organizują polowania.
 - A na samym końcu ci, których lubimy, a którzy nie mają terenów łowieckich. - wspomina Adrian.
 - Wtedy było inaczej - ciągnie Ralph. - Ty byłeś inny.
 - Nie miałem żadnych obowiązków - wyjaśnia Adrian. - To wszystko.
 - Kto tam? - pyta Julia z udawanym przejęciem.
 - Tatuś! - krzyczy Andrew.
 - Cześć, tatusiu! - woła Louisa.
 - Cześć wszystkim! - mówię i kiedy dzieci kończą krótki sprint u moich kolan unoszę je w ramionach - najpierw Andrew, potem Louise. Już nie tak wysoko jak niegdyś; mają po pięć i pół roku (ciągle jeszcze pięć, protestuje moja córka) i są za ciężcy, żeby trzymać je w zgięciu ramienia, zbyt pulchni, by zamknąć je w bezpieczną obręcz ramion. Ale podnoszę je tak wysoko, jak to tylko możliwe i nagle przed oczami przesuwiają mi się wszystkie etapy ich rozwoju. Przez parę chwil wspominam ze smutkiem ich pierwsze kroki, pierwsze słowa, zdania, zabawki.
- Jak zwykle odzywają się jednocześnie.
- Słyszeliśmy strzelby - mówi Andrew.
 - Strzelby w parku - dodaje Louisa.
 - Bardzo głośne strzelby? - pytam.
 - Nie bardzo - wyjaśnia Louisa.
 - Nie bardzo - powtarza Andrew. - Bardzo daleko.
 - Czyje to były strzelby?

- Nie bądź niemądry, tatusiu - śmieje się Louisa.
- Nie bądź niemądry, tatusiu - mówi Andrew jak echo.
- Nie jestem niemądry.
- To były wasze strzelby - mówi Andrew. - Twoja i mamy.
- Ach tak! - wykrzykuję.
- Jesteś niemądry - twierdzi Louisa stanowczo. - Przecież to wujek Adrian urządził polowanie.
- Wiem. Masz rację. - Całuję dzieci w czoła, potem stawiam na podłodze. -A kiedy będziecie starsi...
- Zawsze to powtarzasz - dąsa się Louisa. - Zawsze mówisz „kiedy będziemy starsi”, ale nigdy nie jesteśmy.
- Och, będziecie z pewnością.
- Kiedy? - pyta Andrew.
- Raz, dwa - odpowiadam. - Ani się obejrzyjecie, jak będziecie uczestniczyć w takich polowaniach jak to dzisiejsze.
- Ja też? - pyta Louisa.
- Dlaczego nie? - obiecuję. - Będziesz chodziła na polowania tutaj albo w jakiejś innej pięknej posiadłości.
- Może w Szkocji? - proponuje Andrew.
- Może. Przypomnicie sobie dzisiejszy dzień i zapragniecie z całej duszy być znowu dziećmi. Wiem, że mi nie wierzycie, ale to prawda.
- Chciałbym mieć dziewięć lat - konkretyzuje Andrew.
- A ja.. .szesnaście - mówi Louisa.
- A ja.. .sto.. .i.. .sześdziesiąt siedem - mówi Andrew. Zaśmiewa się, ale jednocześnie obserwuje naszą reakcję: swojej siostry, swojej matki, moją. - Nie! Trzysta. Chciałbym mieć trzysta lat i.. .trzydzieści dziewięć!
- Byłbyś bardzo stary - mówi mu Julia.
- Starszy od wszystkich - mówi Andrew.
- To prawda.
- Starszy od wszystkiego - ciągnie Andrew. -No....
- Ale nie starszy niż Castlemorland - wtrąca Louisa. - Starszy.
- Właśnie, że nie!
- Mamusiu!
- Castlemorland jest starsze, Andrew - mówi Julia.
- Jak stare jest Castlemorland?
- Najstarsze partie domu liczą sobie prawie tysiąc lat.
- Widzisz!-wołaLouisa.-Tysiąc lat to o wiele więcej niż trzysta i trzydzieści dziewięć.
- Adrian powiedział, że dom ma dwieście lat. Sam słyszałem - upiera się Andrew.
- Ten dom, ale przed nim były inne - wyjaśnia Julia.
- To przecież tylko zabawa - mówi Andrew. - Mieliśmy się bawić w życzenia.

- Castlemorland to nie tylko ten dom - protestuje Louisa. - Casdemorland to wszystko. Kiedy idziesz na spacer, do wsi albo na pola, nie mówisz, że wychodzisz z Castlemorland. Więc jest starsze i już!

- W pewnym sensie oboje macie rację - mówię, ale ta próba kompromisu spotyka się z politowaniem.

- Mieliśmy się bawić w życzenia - mój syn poucza swoją nieustępliwą siostrę. - Mieliśmy...

- Ma tysiąc lat - ciągnie Louisa.

Z jakiegoś kąta w starym pokoju dziecinnym Andrew wyciągnął wypchanego Babara. Oliwkowe ubranko wesołego słonika Jean de Brundhoff jest podarte, brakuje czarnego guzika przy płaszczyku. Andrew trzyma zwierzątko niedbale, pierwotny entuzjazm, z jakim pochwycił zabawkę szybko minął.

- Tatusiu - pyta płaczliwie po paru chwilach namysłu. - Dziewczynki nie są tak naprawdę dziećmi, prawda?

Czy rozumie sens tego pytania? Zaglądam mu badawczo w twarz, przenoszę wzrok na Julię. Śmiejemy się.

- Nie są - odpowiadam, rozbawiony. - Mądry z ciebie chłopiec.

- Cisz! - mówi Julia. - Nie zwracaj uwagi na swojego ojca. Bajdurzy i doskonale o tym wie. Oczywiście, że dziewczynki są dziećmi, Andrew!

- Tylko na inny sposób - droczę się.

- A zresztą, kto chciałby być dzieckiem? - filozofuje Louisa. - Ja nie. Ja chciałabym...

- Nie wiesz, czego chcesz? - Andrew starannie wypowiada słowa, jakby powtarzał zasłyszane zdanie. - Nie wiesz, czego chcesz - woła przeciągle, podnosi słonika i rusza w pogoń za siostrą. Jest to normalne zachowanie o tej godzinie; siostra odpowiada mu wyzywającym spojrzaniem i unika zwinnie jego ciosów. Louisa ufa we własne siły i nie szuka ochrony u rodziców.

W zeszłym roku, kiedy ojciec Julii jeszcze żył, podobne błżeństwa byłyby sygnałem, że za chwilę wypadną z pokoju dziecinnego i rzucą się pędem do biblioteki. Jeszcze rok temu pokonywały biegiem wąski hol na drugim piętrze, mijały oszklone szafy z książkami, wiktoriańskie krzesła, kanapki i komody, które stoją wzdłuż ścian, przebiegały pod wielkimi, przerażającymi rycinami płowiejącymi w starych ramach, za zmatowiałym szkłem. Zwalniały dopiero na końcu korytarza, przed drzwiami pokoju niańki, by urządzić wyścig ze schodów, zjeżdżając po przeciwległych mahoniowych poręczach. U stóp schodów przystawały na chwilę pod ciężkimi drzwiami, które prowadzą na hol pierwszego piętra. Nasłuchiwały dźwięków z korytarza, potem przechodziły spokojnie do jego końca. Taka jest zasada. Nie wolno zbiegać ze schodów z wielkich żółto-szarych marmurowych płyt. Są zbyt śliskie i twarde. Naturalna obawa przed wysokością i upadkiem sprawia, że dzieci odruchowo zwalniają u szczytu.

Na parterze ojciec Julii podjąłby je podwieczorkiem i patrzył z nieśmiałą ciekawością, jak pałaszują ciasto. Kochał je i był z nich dumny, ale jego uczucia rzadko kiedy się uzewnętrzniały. Umarł na chorobę Berry'ego, po trzydziestu

sześciu godzinach potwornych męczarni, które ustąpiły tuż przed zgonem - bez zauważalnej zmiany wyrazu twarzy, bez widocznego strachu czy żalu.

- W sumie było to bardzo przyjemne życie - powiedział swoim dzieciom na łożu śmierci, po czym jego puls ustał. Adrian trzymał go do ostatka za rękę, ale to Julia zamknęła mu oczy, Julia, która rozumiała go najlepiej, a przynajmniej nie czuła się tak zdezorientowana paradoksami jego osobowości. Mój teść był światowym, kulturalnym człowiekiem, bystrym i elokwentnym, który potrafił zgłębić niemal wszystkie zagadnienia współczesnego świata z wyjątkiem tajników własnej psychiki.

Teraz Louisa i Andrew nie przystają przed drzwiami na hol pierwszego piętra. Przystosowały się już do ostatecznej nieobecności dziadka, do tego, że nie może ich zbesztać, zgromić wzrokiem, wyczuły nowy, mniej rygorystyczny porządek w domu należącym do wyrozumiałego wujka Adriana. Przytrzymują skrzydło ciężkich, obitych skórą drzwi, kiedy wypadają na korytarz, wydając piski radości i przestachu. Jestem gotów przywołać dzieci krzykiem, zanim osiągną głównych schodów, ale ku mojemu zdumieniu biegną w przeciwną stronę, przez sypialną część domu, gdzie za życia dziadka obowiązywała cisza. Biegną szybko i po chwili nikną za zakrętem mrocznego korytarza. Jedyne światło dochodzi przez otwarte drzwi gabinetu na końcu długiego holu.

- Andrew! - woła Louisa. - Wolniej! Nic nie widzę.

- Andrew! - krzyczy Julia.

Ale on nie słyszy, albo udaje, że nie słyszy.

-Pospiesz się! - woła na siostrę. -Pos...-Głos urywa się na wysokiej nucie, w środku słowa, widzę jego postać, zastygłą w żółtym prostokacie światła, odchylną do tyłu w pozie najwyższego zdumienia.

- O! - Mój syn opanowuje zaskoczenie na tyle, by móc wymamrotać przeprosiny. - Nie chciałem.

W gabinecie będącym właściwie alkową, której ściany zasłaniają od sufitu po podłogę półki z książkami, Isabel Wainwright podnosi głowę znad papierów. Potężny mężczyzna, stojący obok, również spogląda na mojego syna z irytacją o wiele gorzej skrywaną niż u narzeczonej Adriana.

- A to niespodzianka - odzywam się.

- Rzeczywiście - mówi Isabel. Jest niebrzydka, trochę zbyt masywną dziewczyną, brunetką o prostych włosach, nieskazitelnej cerze i brązowych oczach, w których maluje się wieczna gotowość służenia innym. Gdyby była trochę mniej klockowata, mogłaby uchodzić za całkiem ładną.

- Witaj, Louiso. - W jej głosie brzmi niepokój. - Witaj, Andrew. Co tam masz?

- Babara - odpowiada mój syn lakonicznie.

- To widzę.

- Jest strasznie zły na Louisę.

- Wcale, że nie! - protestuje Louisa.

- To mało prawdopodobne, żeby był na nią zły - mówi ostrożnie Isabel.

- Ale jest! - twierdzi Andrew z niekwestionowaną pewnością siebie, z jaką dzieci zbywają czasem logiczne argumenty dorosłych. - Może nie wiesz, że słonie wiedzą wszystko? Nigdy nic nie zapominają, prawda, mamusiu?

Potężny mężczyzna przy boku Louisy spogląda na Andrew, potem - na chwilę - opanowuje zniecierpliwienie.

- Nie - odzywa się. - Zdaje się, że aż do śmierci pamiętają wszystko w najmniejszych szczegółach.

Julia celowo ignoruje Matthew Paxtona, którego obecność na tym piętrze domu musi ją zdumiewać i irytować. Nie jest snobką, ale za życia jej ojca Matthew Paxton nie zostałby zaproszony na noc do Castlemorland i nie odwiedziłby sypialnia-nej części domu.

Pięćdziesięcioletni, muskularny Paxton, o okrągłych, nieokreślonych rysach, policzkach ogorzałych od wiatru (albo whisky) i porach skóry szeroko otwartych bez względu na temperaturę, jest o dwadzieścia lat starszy od swojego brata Davida i stanowi - a przynajmniej uchodzi - za jego przeciwieństwo.

- Nie wiedziałam, że nocujesz w Castlemorland, Matthew. - Ton Julii domaga się wyjaśnień.

- Niektórzy muszą pracować - odpowiada flegmatycznie Paxton. - Nawet w weekendy.

- Wydawało mi się - mówi Isabel - że tutaj nie będziemy nikomu przeszkadzali.

- Oczywiście - przyznaje Julia niechętnie. - Ciągle zapominam, że teraz pracujesz dla Matthew. Muszę mieć jakąś blokadę umysłową. - Uśmiecha się zdawkowo do Isabel i wychodzi.

Ale Matthew przywołuje Andrewa.

- Co? - pyta mój syn.

- Ile masz lat? - pyta Paxton. - Ty i twoja siostra?

- Pięć.

- Pięć! Piękny wiek. Andrew nie odpowiada.

- Pewnie w to nie uwierzysz - ciągnie Paxton - aleja pamiętam siebie, kiedy miałem pięć lat. Pamiętam bardzo wyraźnie. I słowo daję - w to też pewnie nie uwierzysz - nie wydaję mi się to tak bardzo dawno temu.

- A ile masz teraz lat? - pyta Louisa ostrożnie. Matthew Paxton waha się.

- Dziesięć razy tyle - odpowiada w końcu. Andrew zdaje się nie rozumieć.

- Całe mnóstwo ludzi miało pięć lat od tamtego czasu - oznajmia Louisa, podczas gdy jej brat otrząsa się powoli ze zdumienia.

- Można to i tak ująć... - Matthew śmieje się z przymusem. - Człowiek w moim wieku myśli już tylko o zmianach, jakie nastąpiły... praktycznie wszędzie, z wyjątkiem tej posiadłości.

- O jakich zmianach? - pyta Louisa.

- Gdzie? - pyta Andrew.

- Och, jest ich zbyt wiele, by je wymieniać - Matthew kiwa nieznacznie głową w stronę Julii.

- Chodźmy stąd, dzieci - mówi Julia. - Isabel i pan Paxton muszą teraz popracować, bo inaczej Isabel nie zdąży na kolację.

- Bardzo ci to przeszkadza? - pyta Isabel.

- Wcale - odpowiada Julia. - Przecież to praktycznie twój dom.
- Nie myślę o nim w ten sposób. To dom Adriana... waszej rodziny.
- Do czasu gdy urodzisz syna - wtrąca Paxton.
- Jeżeli urodzą syna, będę musiała zrezygnować z posady i zająć się jego wychowaniem.
- Więc im prędzej tym lepiej - rzuca Julia.
- No, no - mówi Matthew Paxton. - Nie chciałbym utracić tak doskonałej asystentki ani na dzień wcześniej niż to będzie absolutnie konieczne. Niełatwo będzie zastąpić Isabel.
- Spodziewam się - mówi Julia.
- Mimo tylu ekscytujących perspektyw.
- Właściwie czym się teraz zajmujesz, Matthew?
- Ciągle tym samym.
- Nie wątpię. Pytałam, czyją posiadłość tym razem „udoskonalasz”? Przebudowujesz? Zmieniasz w kopalnię odkrywczą albo parking?
- W tej chwili nie pracujemy nad niczym konkretnym. - Matthew uśmiecha się.
- A więc jest za co dziękować Bogu.
- Mamusiu - odzywa się nagle Andrew. - Chodźmy stąd.
- Tak, mamusiu - dodaje Louisa. - Tutaj nie jest zabawnie. To jest nasz czas z tobą i wcale się nie bawimy.
- Chodźmy poszukać wujka Adriana - proponuje Andrew.
- Dobry pomysł - mówi Julia z szatańskim uśmieszkiem. - Do widzenia, Isabel. Matthew, musisz znów do nas zajrzeć, kiedy będziesz miał mniej czasu.
- Adrian ożeni się z Isabel i będą mieli małego chłopczyka - oznajmia Louisa, kiedy idziemy w stronę głównych schodów.
- Skąd wiesz? - pytam. - Powiedziała nam.
- Urodzi małego chłopczyka i przestanie pracować u pana Paxtona.
- Może tak, a może nie - mówi Julia.
- Czy ten mały chłopczyk będzie naszym bratem?
- Nie - wyjaśnia Julia. - Jeżeli się urodzi, będzie waszym kuzynem. - Moim czy Louisy?
- Waszym wspólnym kuzynem.
- Czy Isabel jest naszą kuzynką?
- Będzie waszą ciotką, ponieważ poślubi waszego wujka. Rozumiecie? Bliźnięta kiwają bez przekonania głowami.
- A pan Paxton? - pyta dalej Andrew.
- Miał bardzo miłego ojca - odpowiada Julia.
- Czy pan Paxton też jest naszym kuzynem?
- Nie. Pan Paxton nie jest z nami spokrewniony. W żaden sposób. Adriana nigdzie nie ma - ani w biurze, które zbudował za sześciokątną galerią, ani w kuchni, nie ma go też w bibliotece ani w Wielkim Holu, ani w zakolu

parku widocznym z okien salonu. Nie ma go też na zwirowym dziedzińcu przed kuchennym wejściem.

- Przypuszczam, że rozmawia jeszcze z panem Cole'em - mówię.

- Tak długo? - powątpiewa Julia. - Nie sądzę. Już prędzej jest w s-a-u-n-i-e. Bierze się w garść. - Julia przeliterowuje słowo „sauna”, żeby dzieci nie mogły jej zrozumieć i wszcząć nowych poszukiwań.

- Nie można brać się w garść, mamusi - zauważa Louisa. - To śmieszne. Andrew wpatruje się nieobecny wzrokiem w jakiś punkt pomiędzy matką a siostrą.

- To oznacza, że ktoś odpoczywa, uspokaja się - wyjaśnia Julia.

- Aha - wzdycha Louisa.

Ale ja wiem, co Julia miała na myśli mówiąc o braniu się w garść. Chciała przez to powiedzieć, że Adrian ma chandrę, jest znowu w dołku i że te okresy depresji zdarzają się częściej niż kiedyś. Czy są przyczyną, czy rezultatem nadużywania alkoholu? Jak dotąd żaden profesjonalista nie zdołał postawić diagnozy, która zadowoliliby ludzi kochających Adriana.

W pokoju dziecinnym niania uprzątnęła już zabawki i krząta się przygotowując herbatę w przyległej kuchence. Kucharka przysłała tacę z kolacją i siedzimy z naszymi dziećmi przy niskim białym stole malowanym w niedźwiadki i kolorowe baloniki, podczas gdy one zajadają swoje porcje pieczonego kurczaka, ziemniaczków purée i zielonego groszku. Z doskonałym wyczuciem czasu Adrian pojawia się w chwili, gdy niania zbiera talerze ze stołu. Jest ubrany w szlafrok frotte i znoszone, przydeptane kapcie. Twarz ma zaróżowioną, ale w jego zachowaniu nie dostrzega się śladu zmęczenia ani pijaństwa, wyraża się jasno i precyzyjnie. Zza pleców wyciąga zawiniątko, które podsuwa Andrew i Louisie. Odchyła rogi lnianej serwetki, ukazując dwa identyczne kawałki urodzinowego tortu. Oczy bliźniąt ogromnieją na widok cukrowych dekoracji, turkusowych i żółtych zakrętasów.

- Sam je odkroiłem, kiedy kucharka nie patrzyła. Zanim go podadzą, goście zdążą się tak opić szampanem, że nawet nie zauważą. Nawet w stanie trzeźwym nie grzeszą spostrzegawczością. W końcu tort jest mój, prawda? Mój tort, moje urodziny. Pierwsze kawałki są dla moich ulubieńców.

- Boże, jesteś słodki! - Julia podnosi się z krzesła, podbiega do brata i całuje go w policzek. - Prawda, Andrew, Louiso, jaki Adrian jest dobry?

Louisa wstaje, żeby ucałować wujka. Andrew podnosi się również, bardziej powściągliwie, wyraźnie zadowolony, że musi tylko ucisnąć rękę, którą Adrian do niego wyciąga. Zaraz potem całą swoją uwagę przenoszą na kawałki tortu o wiele grubsze niż zwykłe dziecięce porcje.

- Jeżeli się nad tym zastanowić - Adrian zwraca się do Julii - gdyby się nam coś teraz stało, tobie i mnie, to wszystko należałoby do nich.

- Co za posepna myśl - mówi Julia.

- Szczera prawda! Och, nie zrozum mnie źle. Nie wybieram się na tamten świat-jeszcze przez jakieś pół wieku, może więcej, w zależności od tego, co wymyślą medycy. Ty pożyjesz jeszcze dłużej. Kobiety są długowieczne.

- Kto upolował najwięcej? - odzywa się nagle Andrew z pełnymi ustami, z policzkami i brodą usmarowanymi lukrem.
 - Twoja matka - odpowiada Adrian po chwili wahania.
 - Co za bzdura! - mówi Julia. - Znalazłam się na szarym końcu.
 - Czy to ten Chińczyk upolował najwięcej? - interesuje się Louisa.
 - Skąd wiesz, że on jest Chińczykiem? - pytam.
 - Widzieliśmy go z okna.
 - On ma nazwisko, ten Chińczyk.
 - Jakie?
 - Pan Li.
 - Czy to on upolował najwięcej?
 - Nie wiem. W każdym razie nie powinno się pytać o takie rzeczy.
 - Dlaczego?
 - Doprawdy, John! - Julia uśmiecha się i potrząsa energicznie głową, udając irytację. Droczy się ze mną. - Są chyba zbyt małe, by wyczuć subtelności etykiety myśliwskiej, nie uważasz?
 - Przepraszam.
 - Co to jest tyki eta? - pyta Louisa.
 - Myślę, że to tatuś upolował najwięcej - oznajmia Andrew.
 - To prawda - przyznaj e natychmiast Adrian. Ucisza mnie wzrokiem i mruga porozumiewawczo.
 - A ja myślę, że Rupert też dużo ustrzelił - mówi Louisa.
 - Tak. Rzeczywiście - potakuje Adrian.
 - Wszyscy lubią Ruperta, prawda? - indaguje dalej Louisa. - Jest taki przystojny.
 - Bez dwóch zdań - mówi Julia. - Wszyscy za nim przepadają.
- Adrian zostaje z nami jeszcze pół godziny, odchodzi niechętnie, ulegając nakazom wcześniej ustalonego harmonogramu zajęć. Ale kiedy jesteśmy już w holu, poza zasięgiem słuchu dzieci, odzywa się bardzo cicho:
- John, czy mógłbyś poświęcić mi chwilę, zanim zaczniesz ten cały cyrk? - Oczywiście.
 - Adrianie - zwraca się do niego Julia. - Rozumiem, że to nie jest moja sprawa, możesz kazać mi się zaniknąć, jeżeli chcesz, ale czy jest absolutnie, ale to absolutnie, bezwzględnie konieczne, czy to leży w naturze rzeczy, żeby Isabel pracowała dla Matthew Paxtona?
 - Nie sądzę, żeby jakikolwiek układ tego rodzaju leżał w naturze rzeczy - odpowiada Adrian.
 - Wiesz, o co mi chodzi.
 - Wiem, że on ci działa na nerwy, ale musisz zrozumieć, że Londyn leży daleko stąd, o wiele dalej niż ci się zdaje. A Matthew Paxton jest miejscowym człowiekiem sukcesu. I jest interesujący. U kogo innego mogłaby Isabel pracować i nie oszaleć? U aptekarza? Na stacji obsługi pojazdów? Musisz przyznać, że wybór ma niewielki. A jeżeli zostanie w domu, Bóg wie, co uczyni z jej życiem matka, ta prawdziwa stara jędra, i co z tego wyniknie. Dla Isabel i dla mnie.

Patrzysz oczami Londyńczyka, z perspektywy, która nie ma żadnego przełożenia na miejscowe warunki. Mieszkać na wsi na stałe to naprawdę zupełnie co innego, niż przyjeżdżać tutaj co drugi weekend.

- Nic na to nie poradzę - mówi Julia. - Nie ufam mu. Nie ufam mu! Tu nie chodzi tylko o to, że on działa mi na nerwy... chociaż działa.

- Na pociechę powiem ci, że Isabel też mu nie ufa. Po prostu przepisuje na maszynie jego listy. Zrozum, ktoś, kto prowadzi korespondencję pracodawcy i jego osobiste rachunki, nie może nie wiedzieć, dla kogo pracuje. Pod koniec dnia Isabel idzie do domu, a pod koniec miesiąca odbiera wypłatę, to wszystko.

- Wiesz, gdzie go zastałam po południu, kilka godzin temu? W gabinecie.

- Samego?

- Z Isabel.

- Więc wszystko w porządku. Ona będzie moją żoną, Julio. Może go zaprosić do każdego pokoju w tym domu.

- Mniej więcej to samo jej powiedziałam.

- Bez wątplenia starała się znaleźć jakieś spokojne miejsce w domu pełnym gości.

- Bez wątplenia... Posłuchaj, może jestem przewrażliwiona, może się mylę. Chcę powiedzieć, że on miał cudownego ojca i uroczą matkę. Jego brata uwielbialiśmy wszyscy, o tym nie trzeba mówić. Ale, Ads... nie mogę pozbyć się wrażenia, że on chowa do nas urazę.

- Do nas czy do świata, który reprezentujemy? -1 jedno, i drugie.

- To typowy problem ludzi, którzy nie dość, że zajmują wysoką pozycję społeczną, to jeszcze mieszkają w wielkich domach - mówi Adrian. - Masz własne życie, ale obok niego masz drugie, równoległe, choć istniejące tylko w wyobraźni innych ludzi. Zajmujesz o wiele więcej miejsca w ich myślach niż oni w twoich. Middleton-Lyghamowie są doskonałym tego przykładem. Zamieszkują tę część kraju, jak na warunki angielskie - od zawsze. Byliśmy stałym elementem w świecie, w którym wyrósł Matthew Paxton, jest więc naturalne, że staliśmy się przedmiotem jego aprobaty, ale również krytyki.

- Mówisz to tak, jakby to były dla mnie całkowicie nowe sprawy - odpowiada Julia.

- Skądże znowu! Wiem, że jesteś inteligentna, kochanie, i wykształcona, o wiele lepiej ode mnie. Ale spędziłem z ojcem wiele godzin rozmawiając o tych sprawach. Znam jego poglądy w tej kwestii, jego życiowe doświadczenia. Nie wydaje mi się również, żebym był zupełnie pozbawiony znajomości ludzkiej natury i instynktu w ocenie ludzi.

- Ja również posiadam pewną znajomość ludzkiej natury - odpowiada Julia.

- Daj spokój, Julio. Przypomnij sobie powiedzenie matki: „Zważ, czy warto”, i nie trać czasu na Paxtona.

Julia jest taka dobroduszna. Boli mnie, kiedy jest nieszczęśliwa.

- Rozsądna rada - wtrącam, chociaż nie znam dobrze Matthew Paxtona i nie podzielałem nigdy głębokiej niechęci mojej żony do tego człowieka.

- Adrianie, Adrianie! - powtarza Julia, kompletnie mnie ignorując. - Twój problem nie ma nic wspólnego z inteligencją, wykształceniem czy instynktem. Twój problem polega na tym, że nie ma w tobie krzty okrucieństwa. Co ja mówię! Nie ma w tobie nawet śladu złości, co dopiero okrucieństwa. Więc nie znasz... gorączki, w jaką pewne emocje wpędzają pewnych ludzi. Miałeś takie cudownie szczęśliwe dzieciństwo, że nie chcesz dorosnąć, uświadomić sobie, ile zła może kryć istota ludzka. Uczucia Matthew Paxtona do nas - w porządku, to tylko moja prywatna opinia - wykraczają daleko poza zazdrość. W rzeczywistości są zbliżone do nienawiści. Zazdrość jest nieprzyjemnym uczuciem, ale rzadko popycha do działania. Za to nienawiść! Nienawiść wymaga jakiejś reakcji od osoby, która jej doświadcza. I dlatego, jeżeli mam być szczerą, trochę się boję Paxtona.

- Dlaczego miałby nas tak bardzo nienawidzić?

- Nie wiesz?

- Z powodu Davida?

- Właśnie!

- Chcesz powiedzieć, że czyni nas odpowiedzialnymi za śmierć Davida, ponieważ faworyzowaliśmy go i zachęcali? Nie wiem, czy mogę się z tobą zgodzić. Już choćby dlatego, że David i Matthew byli jak dzień i noc, nie umierali z miłości do siebie.

- Dopóki David żył. Martwego Davida Paxton mógł kochać, ponieważ fakt, że David umarł, dowodził racji Matthew. Nie rozumiesz? David był surowcem, a my katalizatorem, który przekształcił go w kogoś innego. Rozmaite drobnostki - jak choćby fakt, że ojciec pozwolił mu korzystać z biblioteki, polować z nami - dały mu pewność siebie. Przenikały do jego świadomości i pobudzały jego aspiracje. Uczyniły z niego... nie, nie uczyniły z niego, lecz pozwoliły mu postrzegać samego siebie jako człowieka wyjątkowego. Zmieniliśmy jego horyzonty. Zmieniliśmy w nim wszystko, co mogło ulec jakiejś zmianie. Gdybyśmy się nad tym zastanowili, uznalibyśmy prawdopodobnie, że wyświadczamy mu przysługę. Ale nikt się nie zastanowił. Po prostu cieszyliśmy się jego towarzystwem. Cieszyliśmy, to mało powiedziane. Rozkoszowaliśmy się jego obecnością. Bądź uczciwy! Nikt z nas nie próbował go oczarować - to zarzut, dzięki któremu Matthew uznał nas winnymi. Wręcz przeciwnie. To David był uwodzicielem - zawsze! Zresztą, jaki jest sens w wywlekaniu tych spraw? David nie żyje. To już historia. Matthew widzi to w takim świetle, w jakim chce zobaczyć.

- Chryste, Julia! - Adrian podnosi głos. - Co ja ci mam na to odpowiedzieć? Czego się po mnie spodziewasz?

- Że zachowasz w pamięci fakty, nie dasz się omamić. To wszystko. Adrian stoi przez chwilę nieruchomo, potem kiwa nieznacznie głową. Rusza

cienistym korytarzem w stronę schodów, ale na pierwszym zakręcie odwraca się, żeby na nas spojrzeć. Jego ruchy są niemal mechaniczne, jakby ciało uniezależniło się nagle od procesów myślowych, które nim rządzą. Z tej odległości Adrian wydaje się tylko pionkiem przyciąganym do swoich obowiązków przez taki czy inny magnes.

Wkrótce potem kładę się z poduszką pod plecami na łóżku Andrew mając po obu bokach moje dzieci. Obejmuję je ciasno, trzymając w dłoniach otwartą książkę pod tytułem *Topsy i Tim przeprowadzają się*. Znają ją na pamięć i wyłapują każde pominięte przeze mnie słowo, chociaż nie nauczyły się jeszcze czytać.

- Zaczynaj, tatusiu - prosi Andrew.

Ledwo dochodzę do słowa „kapiel” i wymawiam je na sposób amerykański, Andrew zaczyna chichotać. Louisa mu wtóruje.

- Śmiesznie mówisz, tatusiu - stwierdza Louisa.

- Śmiesznie - powtarza Andrew. - Tatusiu, nie wygłupiaj się.

- Tak, tatusiu, nie wygłupiaj się.

- Nie czytaj takim dziwnym głosem - mówi Andrew.

- Myślę, że kiedy już przyjdzie na to pora, wyślę was do szkoły do Ameryki, gdzie wszyscy mówią tak jak ja.

- Za morze? - pyta Louisa.

- Byłaś tam - przypominam.

- No właśnie! I to jest za morzem.

- Chciałbym chodzić do szkoły w Disney World - odzywa się Andrew.

- Mógłbyś wyrosnąć na Myszkę Micki - mówi Louisa.

- A ty mogłabyś... - Andrew urywa w pół zdania. - Tatusiu, ty mówisz poważnie, czy żartujesz? - pyta z nagłym przejęciem.

- Żartuję.

- Tatusiu - pyta Louisa. - Czy my jesteśmy Anglikami, czy Amerykanami? -1 j ednym, i drugim.

- Nie możemy być jednym i drugim - obwieszcza Andrew. - Prawda, że nie możemy?

- Oczywiście, że możecie - zapewniam, chociaż nie wiem, czy to prawda. - Oczywiście, że możecie.

Adrian dogania mnie na schodach, w chwili gdy wyruszam na jego poszukiwanie.

- Halo! - odzywa się za moimi plecami.

- Halo. To bardzo miło z twojej strony, że przyniosłeś dzieciom tort. Dziękuję ci.

- Nie ma za co. Mówiłem szczerze; są mi bardzo bliskie. Jak inaczej im to okazać?

- Kochają cię. - Milknę na chwilę. - Mówiłeś zdaje się...

- Że chciałbym zamienić z tobą słowo. Tak. Słuchaj, dom pęka w szwach. Weźmy płaszcze i wyjdźmy na zewnątrz. Masz coś przeciwko? Nie jest chyba tak zimno. Najwyżej wrócimy.

Idziemy przez park, a potem oglądamy się na dom, na biało-żółte światła w oknach. Ich blask, zniekształcony mgłą, zmienia się w migotanie, zdaje się nas przywoływać. Niesamowity, modernistyczny kształt ferrari staje się jedynym nawiązaniem do końca dwudziestego wieku. Idziemy w tempie pozwalającym utrzymać ciepło ciała, bez pośpiechu i bez celu.

- Mogę liczyć na to - odzywa się w końcu Adrian - że zatrzymasz przy sobie wszystko, co ci powiem?
- Oczywiście.
- Nie powiesz nawet Julii.
- Zgoda.
- Przede wszystkim, chcę cię przeprosić za Ralpa.
- Nie rozumiem?
- Za to, co wygadywał na polowaniu. Stek bzdur. Nie powinien był tego mówić. Zresztą on wcale nie jest antyamerykański.
- Jeżeli mam być szczery, jego słowa wpadły mi jednym uchem, wypadły drugim.
- To i lepiej, chociaż nie jestem przekonany, czy mówisz prawdę. Ile wiesz o Ralpie?
- Niewiele. Że jest twoim przyjacielem. Że lubi uchodzić za zgryźliwego, czy może sarkastycznego. I że ma dużą zdolność przekonywania.
- Ralph ma dziwny stosunek do poglądów. Przymierza je jak garnitury, nosi przez jakiś czas, sprawdzając, jak leżą. Dzisiaj odgrywał rolę angielskiego farma-ra-dżentelmena, stojącego w obronie swojego ginącego świata.
- Rozumiem.
- Ale jest w nim coś więcej. Mój ojciec zawsze mawiał, że zanim się wyda sąd o człowieku, trzeba poznać jego historię. Ojciec Ralpa, syn barona piwnego, przegrał majątek, po czym strzelił sobie w łeb. Innymi słowy, Ralphowi nie jest łatwo sprostać wymaganiom, jakie, jego zdaniem, stawiają mu inni.
- Rozumiem doskonale.
- Do czego zmierzam? Nie twierdzę, że Ralph każdemu przypadnie do gustu - ktoś taki jeszcze się chyba nie narodził - ale jest moim najstarszym przyjacielem, a starym przyjaciołom wiele się wybacza, choćby po to, by oni wybaczyli nam.
- Wiem. Nie musisz mi nic tłumaczyć.
- Muszę. I chciałem cię przeprosić za Piersa. Wiesz, że staram się, żeby wasze terminy polowań się nie zbiegały, ale tym razem organizowaliśmy wszystko w takim pośpiechu... - Rozumiem.
- To taka nieszczęsna cecha Anglii. Kto raz znajdzie się w jakimś układzie, choćby Pierś w naszym harmonogramie polowań, pozostaje tam na wieki. Nikt tego nie kwestionuje, chyba tylko dlatego, że nie nadarza się po temu okazja.
- To największa zaleta Anglii - stwierdzam z przekonaniem - nie wada. Mijamy tymczasem pole do krykieta, rozległe trawniki i idziemy przez łąkę, gdzie wyższa, bardziej gęsta trawa ugina się miękko pod nogami. Teren podnosi się stopniowo, aż przechodzi w strome, nagie wzgórze, okolonę z dwóch stron starym dębowym lasem. Adrian zatrzymuje się po chwili.
- Wiesz, skąd pochodzi słowo „snob”?- pyta.
- Ma to coś wspólnego z butami - strzelam.
- Nie. Słowo snob narodziło się w angielskich szkołach prywatnych. W dawnych czasach, kiedy robiono spis uczniów, za nazwiskami chłopców, którzy nie

posiadali tytułu, wpisywano: s.nob. Od łacińskiego *sine nobilite*. To nadaje temu słowu zupełnie nowe znaczenie. Zmienia całą koncepcję snoba, prawda?

Skinieniem głowy przyznaję mu rację. Jest to rewolucyjna koncepcja. Chociaż z moich doświadczeń wynika, że największymi snobami są zwykle ludzie posiadający po temu najmniejsze prawa.

- Pierś jest snobem - mówi Adrian. - Pomijając jego pochodzenie, jego motywy są *sine nobilite*. Natomiast Ralph jest inny. Julia twierdzi, że Anglicy wypatrują nieszczęść, martwiąc się, że dotkną ich lub kogoś kochanego. Kto wie, czy nie ma racji? Powtarzam jej, że jest to kolejne uogólnienie, częściej nie odpowiadające prawdzie niż z nią zgodne. Ale muszę przyznać, że ten opis pasuje do Ralpha. Milczę, nie wiedząc, czy Adrian skończył swój wywód.

- Możemy wracać - ciągnie. - Zimno, poza tym prawie skończyłem. Ale nie odebrałem od ciebie przysięgi milczenia, żeby nie plotkować o Piersie i Ralphie. Prawda jest taka - i masz jej strzec z narażeniem życia - że Isabel i ja zamierzamy uciec.

Wiadomość jest zaskakująca, nie potrafię się do niej tak od razu ustosunkować, nie wiem, czy jest to słuszna decyzja, czy nie, czy powinna wzbudzić rozczarowanie, czy przynieść ulgę.

Przyglądam się Adrianowi uważnie, zbliżam twarz do jego twarzy, pokrywając tę inspekcję uśmiechem.

- Uciec? - Stać mnie tylko na to, by powtórzyć bezmyślnie to słowo. Potem dodaję: - Moi rodzice uciekli.

- Naprawdę? Dlaczego?

- To długa historia.

- Nasza jest krótka. Jak zapewne wiesz, matka Isabel nie ma pieniędzy. Mówię to w sensie dosłownym, John. Fizycznie nie ma ani grosza. O przyjęciu weselnym nie może być mowy. Ale nie o to chodzi. Można by to jakoś załatwić. Gdybyś nie zarobił dla nas tylu pieniędzy, sprzedalibyśmy jakiś obraz w Brimb-leby's. Coś by się zaradziło. Prawdziwym problemem jest rodzina Isabel. Zwłaszcza jej matka. Jest pijaczką, wiedziałeś o tym? Tankuje dwadzieścia cztery godziny na dobę. Zdaję sobie oczywiście sprawę, że większość ludzi, słysząc mnie w tej chwili, zacytowałaby przysłowie o garnku i pokrywce. Ale w jej przypadku alkohol jest czymś więcej niż życiowym problemem. Jest całym jej życiem, poddała mu się całkowicie. Żałuj, że jej nie widziałeś. Proste włosy, rzadkie jak szczeble drabiny, zapadłe policzki w pajęczej siateczce popękanych naczynek. Stylizuje się na wsiową wiedźmę. Jej mąż umknął wiele lat temu, mieszka teraz w Marbelli albo w Gibraltarze, nigdy nie pamiętam. Z dziewczyną. Prawdziwa laseczka. Ciut młodsza od Isabel. Wąpliwe czy przyjechałby na ślub, ponieważ matka Isabel tylko czeka na to, żeby go dopaść i wręczyć nakaz sądowy. Nakreśliłem obraz sytuacji?

- Tak.

- Naszym zdaniem, ucieczka oszczędzi wszystkim kłopotów. Weźmiemy cichy ślub, poczekamy, aż ludziska oswoją się z sytuacją i spokojnie wrócimy. Po-

tem, w stosownym czasie, wydamy przyjęcie i wszyscy zjadą do Castlemorland, co dla większości bywa główną atrakcją całej tej ślubnej imprezy.

- Kiedy zamierzacie to zrobić? Jak długo mam udawać głupka?

- Niedługo. Wyjedziemy jutro, zanim powstajecie z łóżek. Nawet tobie nie powiem, dokąd się wybieramy. Jestem pewien, że rozumiesz powody.

- Przyjmij moje najserdeczniejsze życzenia.

- Dziękuję. W razie nagłego przypadku, zostawiam plan podróży w sejfie, w zalakowanej kopercie, która ma pozostać zalakowana, chyba że...

- Jestem pewien, że nie zdarzy się nic, co by wymagało twojej natychmiastowej interwencji. Nie mówisz Julii, ponieważ podniosłaby krzyk?

- Właśnie. Tego jednego toastu nie chcę dzisiaj usłyszeć.

- W porządku. Ale dużo ode mnie żądasz i chcę, żebyś obiecał mi coś w zamian. Przysięgnij, że nigdy nie powiesz Julii, że ja wiedziałem.

- Zrobione. Plan jest następujący: zamknę drzwi na podwójny zamek. Może nawet wywieszę tę wspaniałą tabliczkę, którą ukradłem z paryskiego Ritza kiedy byłem dzieckiem: *Veillez ne pas déranger*. Zresztą, słyszałeś pewnie o nitkach, które pokojówki przeciągają wieczorem nad progiem, żeby rano wiedzieć, kto już opuścił pokój?

- Wiem. Kiedy Julia mi o tym powiedziała, pomyślałem, że to pomysł zaczerpnięty żywcem z filmu „płaszcz i szpady”.

- Pewnie masz rację. Twoje zadanie, gdyby ktoś zaczął się nami interesować, będzie polegało na tym, by przypomnieć o tej nitce, albo o tabliczce na drzwiach, albo... Zresztą rób co chcesz, byleby nikt nie wtargnął do środka. Nie chcę, żeby odkryto naszą ucieczkę, zanim znajdziemy się w samolocie. Możesz usprawiedliwić moją nieobecność, jak ci się podoba. Uwierzą, jeżeli powiesz, że się zalałem i dogorywam. Widzieli to już nieraz na własne oczy.

- I tu pojawia się interesująca kwestia. A jeżeli rzeczywiście zaśpisz?

- Isabel nie pije. Dopilnuje, żebym był punktualny. Zresztą budzę się automatycznie o czwartej rano, zlany zimnym potem, nawet wtedy, gdy się nie żenię.

7

Zgłośników, które Adrian zainstalował w saunie, płynie muzyka *Tannhauser*. Jest to prawdopodobnie jedno z nagrań Filharmonii Berlińskiej, nie wiem, która płyta; Adrian ma ich cały stos przy nowym odtwarzaczu kompaktowym. Nie mam wycucia muzycznego i z wyjątkiem popularnych piosenek z lat młodości nie rozpoznaję utworów i wykonawców. Potrafię odróżnić Bacha od Mozarta, ale nie zawsze od Vivaldiego; Chopina od Wagnera, ale nie zawsze od Liszta. Nie odróżniam „g” od „c”. *Tannhausera* rozpoznaję tylko dlatego, że mój ojciec puszczał go często, jak wszystko Wagnera. Ojciec kocha Wagnera. Kiedyś

marzył, żeby pojechać do Bejrutu, ale nigdy tego nie zrobił - ponieważ nie miał dość czasu, pieniędzy ani wystarczającego pretekstu, by pojechać tam służbowo, a przynajmniej tak mówił. Przypuszczam, że jego miłość do Wagnera była równie żenująca, co naturalna. Był przecież synem Żyda niemieckiego, lekarza, człowieka kulturalnego, w którego przypadku nauka - nie chrześcijaństwo - wyparła stopniowo religię przodków. Mój ojciec pamięta opowieści swojego ojca i uwielbienie, jakim dziadek darzył Kajzera przed, a zdaniem niektórych również po przystąpieniu Ameryki do pierwszej wojny światowej. Pamięta akcent babki i jej wykrochmalony fartuch; jej strudle pachnące gorącymi rodzynkami i cynamonem, leżące w gotowości na najgłębszej półce w spiżarni; oprawione w cielęcą skórę dzieła Goethego, Kanta i Hegla. Pamięta, że jako chłopiec czuł się prawie Niemcem, chociaż jego matka pochodziła ze starej, mało znaczącej amerykańskiej rodziny, której korzenie tkwiły gdzieś w Anglii. Tak więc miłość do Wagnera była nieunikniona, chociaż stworzyła pewien paradoks. Mój ojciec należał do narodu -no, powiedzmy pochodził z narodu - który wyparł się go mniej więcej w czasie, gdy osiągnął wiek męski. Niezależnie od tego, czy reżim hitlerowski wywiódł swoje koszmarnie wizje z Wagnera, czy tylko dopasował je do niego, pozbawił mojego ojca części jego tożsamości, z której był dumny. I z tego powodu, chociaż jest zbyt inteligentny, żeby obarczyć za to winą utwór muzyczny, ojciec nie pojechał do Bejrutu, a noga jego nie postąpiła w Niemczech. I nie sądzę, żeby to kiedyś nastąpiło. Starzeje się. Dorobił się artretyzmu, lęku przed inflacją, deficytu ciekawości wrażeń - tego, czego mógłby jeszcze w życiu doświadczyć. Od czasu mojego ślubu tylko raz czy dwa przyjechał z matką do Anglii. To my odwiedzamy go co najmniej raz do roku w Stanach.

Siedzę w saunie dwadzieścia minut, od czasu do czasu czerpiąc wodę z drewnianej balii i polewając gorące kamienie. Przeglądam numer „Hello”, rzucam okiem na zdjęcia Julio Iglesiasa i książęcej rodziny z Monaco. Czytam ranking restauracji w zesłomiesięcznym numerze „Tatlera”. W kabinie prysznicowej puszcza mocny strumień gorącej wody, golę się i dopiero potem biorę zimny tusz. Przenika mnie chłód i wracam do naszego pokoju otulony ciasno frotowym szlafrokiem, których stosik leży w szatni przy saunie.

Julia śpi. Znajomy zapach olejku do kąpieli przesyca powietrze, moja żona również jest tylko w szlafroku. Kładę się przy niej, ale Julia nie reaguje. Spoglądam na wzgórek jej ciała, unoszony lekko oddechem. Co przede mną ukrywasz? Chcę zadać to pytanie mojej pięknej, kłamliwej żonie. Ale nie robię tego. Spoglądam na zegarek. Za godzinę będziemy musieli zejść na dół. Odwracam się na plecy i gapię w sufit, gdzie gipsowy rycerz nadal wynurza się z morza na słupie ognia. Jestem zmęczony i na chwilę zamykam oczy.

Mój ojciec został ochrzczony z woli matki, ale nie uznawał kościoła. Osiągnąwszy wiek, kiedy mógłby dokonać świadomego wyboru wiary, padł ofiarą pewnego kompromisu i wyjątkowo gruntownego wychowania religijnego. Jego rodzice wyznawali starą zasadę, że syn powinien brać nazwisko po ojcu, a religię po matce, w tym wypadku katolicyzm. Ale kiedy mój ojciec miał dwa, trzy latka, jego matka przeszła coś w rodzaju kryzysu wiary. W jej pojęciu wiara była raczej

kodek postępowania niż aktem osądzania, prowadzącym do życia po śmierci. Im większego nabierała doświadczenia, im szersze stawały się jej horyzonty w obcowaniu z moim dziadkiem, tym częściej kwestionowała spowiedź i mszę świętą. Kiedy mój ojciec osiągnął wiek szkolny, jego rodzice postanowili, kierując się matematyczną logiką, że jedyny syn Żyda i sceptycznej katoliczki powinien zostać wychowany w wierze protestanckiej. Kościół prezbiteriański był najbliższy. Miał pogodnego pastora, śliczną neogeorgiańską fasadę i krótką, zrozumiałą liturgię.

Tak więc w pierwszej, najważniejszej dekadzie życia mój ojciec otarł się o trzy główne religie zachodnie. Poznał mieszkankę Europy i Bliskiego Wschodu, czyli ówczesny zreformowany judaizm. W świąteczne sobotnie poranki siadywał ze swoim ojcem pod bizantyjską kopułą starej synagogi. Gdy jego koledzy grali w piłkę na podwórku, on patrzył, jak cienie wysokich, granitowych kolumn kładą się na tałesach przygarbionych kantorów czytających z beczennych zwojów słowa, których nie rozumiał. Poznał zapach kadzideł i autorytet ornatu, i czasem wydawało mu się, że przyjmuje komunię, do której przystępowała jego matka; ulegał urokowi tego, co nie tylko stare, lecz ponadczasowe. Łacina była dla niego równie niezrozumiała jak hebrajski, ale odnajdował większą radość w muzyce, chóralne uniesienie przemawiało do dziecka silniej niż symfonia lamentu. W prezbiterianizmie najbardziej podobało mu się to, że może śpiewać na cały głos w białym drewnianym kościółku, zawsze pełnym słońca. Nagie lub kwitnące korony pobliskich klonów i dereniów, niebo błękitne lub zachmurzone, nawet klucze ptaków widoczne przez tysiące szybek dawały złudzenie, że odprawia się tam pochwałą życia, nie wyrzeczeń. Odnosił wrażenie, że prezbiterianie czczą życie, jakie znał na co dzień - pełne satysfakcji i rozczarowań, lecz wyzute z tajemniczości.

Nie dowiedziałem się tego wszystkiego podczas jakiejś zasadniczej dyskusji teologicznej, lecz ze zwyczajnych rozmów z ojcem, który chciał, żebym zrozumiał dlaczego on, syn internisty, obrał taką a nie inną drogę w życiu. Twierdził że komuś, kogo poddano działaniu konkurencyjnych systemów religijnych, nie pozostawało nic innego jak zostać „wierzącym obserwatorem”. Och, wierzył w Boga, ale nie wierzył w to, że należy się do niego wspinać po takiej czy innej drabinie stworzonej przez człowieka. Uznał, że Bóg jest wszędzie, zawsze dostępny dla każdego - ale nie bez pewnego wysiłku ze strony człowieka. Bóg był prawdą, do której można dotrzeć przesiewając niezliczoną ilość życiowych danych przez sito wytrwałości i sceptycyzmu. Była to bardzo wygodna teoria, przydatna zwłaszcza w okresie, gdy określał swoje zamiłowania i tworzył pogląd na świat. Oceniając lata dwudzieste z punktu Wielkiej Depresji, doszedł do wniosku, że istnieje wiele powodów przemawiających za tym, żeby podejść sceptycznie do człowieka i motywów, jakimi się kieruje. Oblał biologię w liceum, ale został mianowany redaktorem gazetki szkolnej - działu reportażu, o ile dobrze pamiętam. W tym mniej więcej okresie odkrył swoje powołanie. Po studiach zahaczył się w małomiasteczkowej gazecie w Zachodniej Pensylwanii, a po dwóch latach przeszedł do baltimorskiego „Paragra-phi”. Właśnie wtedy, pisząc rubrykę towarzyską w zastępstwie kolegi chorego na

zapalenie płuc, poznał moją matkę. Wyjawszy trzy lata spędzone w Białym Domu, pozostał w „Paragraphie” przez resztę zawodowego życia.

Nadal twierdzi, że zakochał się w fotografii matki, zanim poznał ją samą, ale nie wiem, czy należy mu wierzyć. Jest to owalna, sepiowa fotografia, na której widnieje Emily Minor chuda jak ptyk, z włosami ufryzowanymi według ówczesnej mody. Portrecik nie oddaje ani jej niezwyklej urody, ani żywotności.

Nie mam pojęcia, jak dużo dziadkowie Minor wiedzieli o moim ojcu, kiedy dawali zgodę na małżeństwo córki. Nie wiem na przykład, czy uświadamiali sobie, że nazwisko Brook zostało, aczkolwiek niechętnie, zangielszczone podczas pierwszej wojny światowej, na fali antyniemieckich nastrojów. Pierwotnie brzmiało Bruchner. Nie wiem również, jakie dziadkowie mogli żywić uprzedzenia wobec Żydów, katolików czy nawet prezbiterian, posądzanych wówczas o głoszenie predestynacji. Minorowie byli przykładowymi członkami Kościoła Episkopalnego w północnym Baltimore, ludźmi systematycznymi, stałymi w swoich nawykach i oczekującymi tego samego od innych. Może wykazano wobec mojego ojca tolerancję, z jaką traktuje się czasem atrakcyjnych przybyszów w małych miasteczkach; może spodobał się rodzicom mojej matki tak bardzo, że nie dbali o jego pochodzenie. A może, biorąc potajemnie ślub, moi rodzice nie dali dziadkom (ani w ogóle nikomu) okazji do wyrażenia dezaprobaty. Istnieją sprawy, w które mnie nigdy nie wtajemniczono, pytania, których nie zadałem.

Przy swoich stu osiemdziesięciu czterech centymetrach wzrostu, ojciec jest wyższy ode mnie o trzy centymetry. Uprawiał kiedyś pływanie i ja poszedłem w jego ślady, ale zawsze wołałem skoki do wody. Jako czternastolatek byłem przez krótki czas lokalnym mistrzem i chociaż nadal ciągnie mnie do popisów na trampolinie, nie odziedziczyłem po ojcu żyłki sportowej. Posiada ją za to moja matka. Grała w klubowej drużynie tenisowej, dopóki nie zrezygnowała na rzecz golfa. Panuje ogólne przekonanie, że golf jest jedynym sportem, który można uprawiać aż do późnego wieku, ale zauważyłem, że te dziewięć dołków kosztuje dzisiaj matkę o wiele więcej niż przed kilku laty. Chociaż nadal trzyma kije w szafie w korytarzu, żeby były „pod ręką”, zarzuciła regularne rozgrywki.

Wyrastałem jako szczęśliwy jednak otoczony kolegami na co dzień i kuzynami w wakacje, nie mając wiele czasu na myślenie. Druga wojna światowa rozdzieliła rodziców, ojciec spędził ją niemal całą na Pacyfiku. Kiedy w końcu doczekali się dziecka, mieli ochotę je porzypieszczać. Urodziłem się rok po demobilizacji ojca, we wrześniu 1946 roku, jako jeden z pokolenia, które, jak się zdawało, otrzymało w spadku cały świat.

Ameryka była bogata. Ameryka była hegemoniczna. Ja i moi towarzysze zabaw zostaliśmy jej spadkobiercami i nie pozwolono nam o tym zapomnieć. Wkrótce mówiło się już wyłącznie o przyuczaniu nas do roli przywódców. Ludziom często wydaje się, że należą do wyjątkowego pokolenia, że narodzili się w przełomowym momencie historii, ale w dziejach świata niewiele było okresów tak głębokich, nieodwracalnych i bezwarunkowych zmian jak w połowie lat czterdziestych. Urodziłem się w rok po tym, jak zrzuciono pierwsze i ostatnie bomby atomowe, a jednak moich myśli nie zaciemniały wizje grzybów.

Dzielnica, w której mieszkaliśmy - a właściwie całe Baltimore - wydawało się pogodnym miejscem, nieustannie zarzucanym cudownymi gadżetami mającymi umilić nam życie. Wychowałem się na Plymouthach, DeSoto, Cadillacu z białymi oponami, na telewizji czarno-białej, telewizji kolorowej i pastelowych telefonach Princess.

Nie oznacza to, że posiadaliśmy te rzeczy wcześniej i w większej ilości niż nasi sąsiedzi. Wcale nie. Moi rodzice byli rozsądni, żeby nie powiedzieć skromni w swoich nawykach. Należąc do wyższej klasy średniej, starali się znaleźć złoty środek między rozpieszczaniem jedynaka a stworzeniem mu warunków lepszego startu w życiu. Ale ważniejsze od tego, co się posiada, jest to, o czym się marzy, a marzenia wypełniające moją głowę i głowy moich kolegów pochodziły wprost z amerykańskich filmów, amerykańskich reklam, amerykańskiego przemysłu. Todd-A-0 i cinerama, Buick Dyna-Flow i Thunderbird, Amana i Maytag. Aspiracje, dotychczas dosyć niejasne i ulotne, nagle zyskały nazwy firmowe i tożsamość narodową.

Pamiętam tylko kilka przedmiotów pochodzenia zagranicznego, które w tamtych, baltimorskich czasach i jeszcze później, po przeprowadce do Chevy Chase, warto było posiadać. Świat podzielił się między obietnicę Ameryki a groźbę Związku Radzieckiego, między szare i zielone wzgórza, bogate i zrujnowane plony. Wszystko inne wydawało się jakby poza rzeczywistością. Nowy porządek rzeczy wydawał się tak niezmienny, że - podświadomie, bez afektacji - nabraliśmy mentalnych zwyczajów imperium.

Zastanawiam się czasem, czy moja miłość do Anglii nie jest pozostałością tęsknot za dzieciństwem i jego dogmatami. Zdarza się, kiedy wystawiają w sklepie otwarte kartony z konfekcją i wygrywa ten, kto rozgrzebie je pierwszy, drzę z tęsknoty za starszą, mniej zachłanną, bardziej wyrafinowaną Ameryką. Jeszcze dziś, niemal na każdym kroku, spotyka się w Anglii sposoby zachowania, ubioru, wyrażenia, napuszone i staroświeckie, przypominające Amerykę z czasów, zanim rozpętało się piekło.

Brat cioteczny mojej matki, ekscentryk, był właścicielem sklepu muzycznego na Saratoga Street, tuż przy Howard, w Baltimore.

Chodziliśmy tam z matką we wtorkowe wieczory. Ojciec, zawałając terminy, przybiegał z „Panagraphu”, którego redakcja mieściła się kilkanaście przecznic na południowy wschód, i szliśmy wszyscy na kolację do wspaniałej kafeterii „Oriole”. We wspomnieniach jawi mi się ona jako architektoniczne cacko w stylu art deco, gdzie jedzenie było obfite i zawsze świeże, sos do pieczenia tak gorący, że bulgotał, ciepły chleb z chrupiącą skórką dopraszał się o masło, śmietanę do beżów dopiero co ubito. Potem robiliśmy zakupy - u Hutzlera i w Hockschild Kohn - a jeszcze później cioteczny brat matki dawał mi w prezencie płytę krótkogrającą. Zawsze zamawiał ich więcej niż był w stanie sprzedać. Ale na te wieczory składało się coś więcej niż konsumpcja. Było w nich coś z teatru, do którego jedenastoletni chłopiec obowiązany był ubierać się w jednokolorową koszulę i krawat. Zapach Vetivera unosił się z pierwszego piętra domu towarowego braci Hutzler. Stare drewniane schody ruchome szumiały, skrzypiały, a bywało, że się zacięły. Windy, o przeszkłonych

drzwiach za mosiężną kratą, jeździły w górę i w dół, przywoływane metalowym świerszczem przez umundurowanego portiera. Nawet ekspedienci wystroili się na tę okazję: ciemne garnitury, ciemne suknie, wykrochmalone białe koszule i bluzki, uprzejme, gorliwe uśmiechy.

Wszystko to stało się oczywiście zbyt kosztowne i zniknęło jak kamfora w natłoku modernizacji. I chociaż nie wątpię, że nowoczesne centra handlowe stanowią widowisko jedyne w swoim rodzaju, że są ekscytującym i tajemniczym miejscem spotkań, zwłaszcza dla młodzieży, która odkrywa tu seks, nie mogą się równać z dawnymi domami towarowymi.

Rzecz w tym, jak ujęła to kiedyś Julia, że cywilizacja amerykańska i moje pokolenie weszły jednocześnie w okres dojrzewania: marząc, eksperymentując, odrzucając iluzję, a jednocześnie akceptując to, co zagadkowe i niejasne.

Bezwzględna ufność w przyszłość, której przejawem była monumentalna architektura amerykańskich ulic - kamienne płyty i sztukateria, heroiczna skala i detale dopracowane do perfekcji - teraz sprawia wrażenie dziecięcej iluzji, równie tragicznej, jak wiara trzylatka, że zamek z piasku, który zbudował razem z tatą, oprze się naporowi morza. Kuzyn mojej matki już nie żyje, jego sklep muzyczny został zabity dyktą grubości dwóch centymetrów. Gołębie zadomowiły się pod okapami opuszczonych domów towarowych na Howard Street, a z tego, co wiem, dzielą lokal ze szczurami, które rezydują w środku. Kiosk na parterze budynku z wiktoriańską fasadą, gdzie za czasów mojego dzieciństwa sprzedawano świeżo uprażoną kukurydzą z karmelem, jest od dawna zaryglowany; oblicowania dobrze już nadgryzł czas.

Zastanawiam się często, czy tak musi być: dlaczego niepowstrzymany upadek amerykańskich miast i wielowiekową trwałość angielskich budowli uznano za równie nieuniknione. Czy leży to w amerykańskim charakterze, czy istnieje gen, który nie pozwala Amerykanom trwać przy tym, co stworzyli, i na odwrót, Anglików czyni niepodatnymi na zmiany?

Jeżeli uznamy Castlemorland za przykład angielskiej pewności siebie, niełatwo znaleźć jego amerykański odpowiednik. Kiedy pewnego ranka, kilka lat po ślubie, Julia zapytała, czy w ogóle coś takiego istnieje, namyślałem się długo, zanim ujrzałem w wyobraźni pewien obraz i odpowiedź nasunęła się sama: terminal PanAmu na lotnisku JFK.

- Oczywiście, kiedy PanAm budował terminal, nie było to jeszcze JFK, lecz Idlewild - dodałem. - I jest to kwestia zasadnicza, ponieważ wszystko zaczęło się walić dopiero po zamordowaniu Kennedy'ego, nie uważasz?

- Nie wiem - powiedziała Julia. - Nie potrafię ocenić.

- Ponieważ jesteś taka młoda?

- No cóż... tak! - Moja żona podkpiwa ze mnie.

- Więc zapewniam cię, że to prawda - powtarzam. - Zaczęło się walić dopiero po jego śmierci

Pamiętam terminal PanAmu tak dobrze, ponieważ stamtąd wyruszałem z rodzicami na bożonarodzeniowe wakacje na Wyspy Karaibskie. Poświęteczne tygodnie były sezonem ogórkowym w dziennikarstwie - z reguły niewiele się działo,

a dzięki zastojowi w reklamie zmniejszała się objętość gazet. Rodzice wyszukiwali hotele poza szlakami turystycznymi, gdzie stawki były niższe, baseny i pola golfowe lepsze niż przeciętne, i gdzie nastolatek nie był skazany na samotność i nudę. Ale bardziej jeszcze niż z tymi wycieczkami, terminal kojarzy mi się z pierwszą podróżą przed Atlantyck, z pierwszym lądowaniem w Anglii w pewien szary marcowy poranek, kiedy miałem szesnaście lat.

Deszcz wisiał w powietrzu. Wzdłuż A-4 i w regularnych odstępach na koncentrycznych drogach osiedli pały się przeciwmgielne lampy w kolorze karmelu. Nie miałem mapy ani żadnej znajomości Anglii, nie potrafiłem rozpoznać dzielnic. Mój ojciec wyjechał do Londynu w jakimś interesie związanym ze sprawami biura prasowego i obiecał, że załatwi go w ciągu jednego dnia. Zabrał nas wszystkich ze sobą, za własne pieniądze, na prawie tygodniową wycieczkę. Za radą jakiegoś dalekiego znajomego zatrzymaliśmy się w starym Berkeleyu na Picadilly, poszliśmy na kolację do Simpsona i Rule'a, na sztukę Noela Cowarda na West Endzie i króla Leara w jakimś innym miejscu, obejrzelśmy zmianę warty, zrobiliśmy objazd miasta taksówką, kończąc turę w Tower, gdzie moja matka oświadczyła, że ani ona, ani nikt, kogo znała w Baltimore, nie miałby żadnego pożytku z takich klejnotów, nawet gdyby je posiadał. Ojciec wynajął zawodowego przewodnika z dżipem, żeby zawiózł nas na wycieczkę po kraju. Jednego dnia zobaczyliśmy Runnymede, Eton, Windsor, Oxford, Blenheim, Stratford i zbombardowaną katedrę w Coventry. Zjedliśmy również smaczny, pożywny lunch w pubie, nie tak pełnym Amerykanów jak można się było spodziewać.

Oczywiście, wtedy jeszcze nie wiedziałem, że istnieją takie miejsca jak Ca-stlemorland, że takie domy nadal żyją, że mają nie tylko swoją historię, ale i dzień dzisiejszy, nie tylko swoje duchy, ale i swoich mieszkańców. Odkrycia tego nie dokonałem tamtego angielskiego poranka, który nastąpił tak szybko po nowojorskim zmierzchu. A jednak pamiętam, jak zasypiałem w starym, skazanym na zagładę Berkeleyu, a wilgotny powiew, wpadający przez szparę w oknie, unosił tiulową firankę. Dachy opadały ciemną płaszczyzną w stronę Curzon Street. W nielicznych oknach płonęły światła, ale Londyn zapadał już w swój odwieczny sen, a ja patrzyłem i patrzyłem, już wtedy świadomy dramatu, jaki skrywała ta cisza. Wtedy utożsamiałem się jeszcze z cudem Pan Arnu w Nowym Jorku, który zdawał się dowodzić dominacji Ameryki. Byłem młody, ciekawy świata, ale niedoświadczony. I choć doznawałem wtedy wielu odczuć, nie potrafiłem rozpoznać w natłoku podniecających wrażeń tej najbardziej oczywistej radości, jaką jest odnalezienie domu.

Nie wiem dokładnie, jak do tego doszło (on pewnie też nie), ale w 1961 roku prezydent Kennedy mianował mojego ojca na wysokie stanowisko w swoim biurze prasowym. Spadło to na nas jak grom z jasnego nieba - dzwonek telefonu w sobotni wieczór, kiedy zasiadaliśmy do kolacji. Ojciec nigdy nie spotkał Kennedyego, nawet nie pisał o nim w „Paragraphie”. Jako redaktor naczelny starał się ograniczyć dział polityczny, wychodząc z założenia, że brak styczności z po-

litykami i ich platformami wyborczymi najlepiej posłuży spokojowi ducha jego czytelników. Ale zdawał sobie sprawę, że mają z młodym prezydentem wspólnych znajomych dziennikarzy i od tych właśnie znajomych wiedział, że przy kilku okazjach Kennedy chwalił jego artykuły wstępne. W końcu w większości domów telefon od prezydenta jest pamiętnym wydarzeniem i kiedy na zakończenie rozmowy ojciec powiedział, że będzie musiał przedyskutować sprawę ze swoją rodziną, oboje z mamą wiedzieliśmy, że przeprowadzamy się do Waszyngtonu.

Doczekaliśmy zakończenia roku szkolnego (który nie należał do moich najlepszych), sprzedaliśmy dom na Roland Park i kupiliśmy nieco mniejszy, ale z basenem, w Chevy Chase. Bez żalu pożegnałem kolegów z klasy w Gilmanie i pełen szczytnych postanowień przeniosłem się do drugiej klasy w liceum pod wezwaniem świętego Albana. Lubiłem Baltimore, moją szkołę i kolegów, ale przebywałem w tym samym towarzystwie dłużej, niż jest to korzystne dla rozwoju niektórych osobowości. Moje mocne i słabe strony były tam tak dobrze znane, że nie mogłem pozbyć się reputacji, jaką wyrobiłem sobie przed wielu laty. Marzyłem o tym, by być ocenianym nie przez pryzmat przeszłości; żeby choć przez jedno popołudnie móc uchodzić za lepszego sportowca, udowodnić, że radzę sobie z chemią i matematyką nie gorzej niż pierwszy z brzegu uczeń.

Przeprowadzkę do stolicy potraktowaliśmy jak premię uzyskaną od losu. W 1961 Waszyngton wydawał się ośrodkiem świata. To, że mój ojciec otrzyma przepustkę do Białego Domu, że - wedle wszelkiego prawdopodobieństwa - będziemy mogli przekroczyć ustanowione granice, znaleźć się w uprzywilejowanej bliskości narodowej legendy, kto wie, może nawet wejść w grono ludzi rozpoznawanych przez prezydenta - wszystko to wydawało się... Cóż, jeżeli mam być absolutnie szczery, wszystko to wydawało mi się dużym atutem w kontaktach z dziewczętami. Nie wiem, jak zmieniłoby się moje życie, gdyby prezydent nie usłyszał o moim ojcu i nie zadzwonił do niego tamtej soboty - nie wiem, czy zbuntowałbym się, czy pogodził z istniejącym stanem rzeczy, ale wiem, że tak czy inaczej zmiany te byłyby gruntowne. Mniej więcej w czasie naszej przeprowadzki do Waszyngtonu wszyscy moi rówieśnicy przechodzili zmiany - nagły rozkwit ciała i umiejętności - i choć dla wielu z nas oznaczało to przełom, ja wyszedłem z okresu dojrzewania psychicznie nie zmieniony nadal próbując poznać samego siebie.

Do świętego Albana, prócz wielkich oczekiwań, wniosłem wszystkie swoje uzdolnienia, nawet tę część swojej osobowości, którą zwykłem trzymać w rezerwie - zwyczaj stawania z boku i obserwowania wydarzeń z perspektywy, oczami kogoś innego, z jakiegoś miejsca w przyszłości. Jak się wkrótce okazało, nie był to nawyk paraliżujący dla otoczenia, nie rzucał się nawet w oczy, wymagał kilku sekund, najwyżej minuty. Tylko tyle czasu potrzebowałem (nadal potrzebuję), żeby uchwycić i zapamiętać wyrażenie, obraz, który zdawał się zawierać istotę rzeczy czy sytuacji; dzięki niemu mogłem później przywołać je i ocenić. Podejrzewam, że ta tendencja do refleksji - pragnienie, by zanalizować i zrozumieć istotę zjawisk - określa mnie w jakiś sposób. Wyróżnia.

Ale jeżeli mam być szczery, nie sądzę, żeby wyróżniało mnie to w drugiej klasie w świętym Albanie. W końcu była to ukryta cecha, a ludzie rzadko kiedy naprawdę

nas rozumieją, choć często to sobie wmawiamy. Nie, to nie moja natura ani stanowisko ojca mnie wyróżniały. Szkoła pełna była prominenckiej młodzieży. Niczym nie odbijałem od reszty, chyba tylko tym, że byłem nowy. Do ustanowienia mojej tożsamości wśród kolegów przyczynił się przypadek: kąpiel w basenie.

Miałem w Baltimore koleżkę, którego kuzynka, nasza rówieśnica, mieszkała w Waszyngtonie. Nazywała się Caroline Carswell; brzmienie tego nazwiska przywodziło na myśl obraz złotowłosej bohaterki komiksu. Kolega, którego zapytałem, jak ona wygląda, powiedział tylko: „Całkiem nieźle. Ciekawa osobowość. Bardzo rozrywkowa”. Wstrzemięźliwa pochwała nie zdawała się zapowiadać rewelacji, ale byłem sam w nowym mieście i pamiętając radę matki, że nie muszę zakochać się w każdej dziewczynie, jaką spotkam, i że jedna znajomość prowadzi do następnej, pod koniec sierpnia postanowiłem do niej zadzwonić. Ku mojemu zdziwieniu była wobec mnie bardzo serdeczna. Powiedziała, że lubi swojego kuzyna i żałuje, że nie widuje go częściej, ale tak się składa, że nikt z jej rodziny - a właściwie nikt, kogo zna - nie jeździ do Baltimore. Powiedziała, że to dobrze, że przeprowadziłem się do Waszyngtonu. Spodoba mi się. Jest tu sympatyczne grono młodzieży. Skoro już mowa o młodzieży, może wpadnę w sobotę na imprezę, którą urządzają w swoim domu w Potomac? Będzie tam mnóstwo ludzi, których - jest pewna - z przyjemnością poznam.

Rodzice wyjechali do Cape Cod na weekend. Wyglądało na to, że cały Biały Dom przeniósł się tam na lato i ojciec nie miał wyboru, musiał pojechać również. Jeżeli chodzi o matkę, był to jej pierwszy od roku weekend poza domem. Napisała numer telefonu „The Yachtsman Motel” w Hyannis na trzech kartkach papieru. Jedną przyczepiła do korkowej tablicy przy lodówce, drugą dała swojej siostrze, która przyjechała do nas na czas nieobecności rodziców, trzecią wręczyła mnie i kazała przysiąc, że będę ją nosił cały czas przy sobie.

Prywatka w Potomac spełniła wszelkie moje oczekiwania, a Caroline Carswell znacznie je przerosła. Była najładniejszą dziewczyną, jaką w życiu widziałem - blondynka, tak jak się spodziewałem, o jasnoniebieskich oczach i włosach związanych w kucyk szafirową wstążką. Biała bawełniana bluzeczka opinała jej piersi tak szczelnie, że można było bez trudu rozeznąć koronkowe wstawki stanika, widać było nawet zapinki. Pomyślałem, że najbardziej w świecie chciałbym poznać te piersi. I co zabawne, miałem wrażenie, że ona wie o tym i wcale się nie gniewa. Dzięki temu sprawiała wrażenie starszej, była pierwszą dorosłą dziewczyną z mojego pokolenia, z jaką miałem do czynienia, chociaż nie pozowała na bardziej doświadczoną czy wyrafinowaną, niż była w rzeczywistości.

Pan Carswell trudnił się najprawdopodobniej handlem bronią. Biblioteka przylegająca do patio, gdzie popijaliśmy coca colę, piwo imbirowe i lemoniadę, pełna była broni rozmaitego wieku i rodzaju. W oszklonych szafkach zamiast książek znajdowały się miecze, sztylety i bagnety, na specjalnie podświetlonych półkach leżały starożytne wschodnie szable. Pamiętam, że stojąc między krzaczastymi sofami, w połowie drogi między patio a łazienką, zapytałem Caroline, czy jej ojciec jest generałem - innymi słowy kimś, o kim powinienem słyszeć. Z oddali dolatywał głos Bobby Vintona i Shelly Fabre.

- Nie - powiedziała Caroline. - Po prostu dużo podróżuje. Wtedy po raz pierwszy odniosłem wrażenie, doświadczane później wielokrotnie w Waszyngtonie, że poza seksem istnieją jeszcze inne tematy tabu.

Ponieważ Caroline była dziewczyną - w dodatku taką ładną i „rozrywkową” - wśród gości znalazło się kilkunastu chłopców, rok, dwa lata starszych ode mnie, posiadających już prawo jazdy, co z miejsca przenosiło ich do innej kategorii ludzi Uczesani w „kaczy kuper” lub w coś, co przypominało „kaczy kuper na tyle na ile pozwolili rodzice, obnosili swoją arogancję w przeświadczeniu, że wywiera wrażenie na ich rówieśnikach i młodszych kolegach, co niewątpliwie miało miejsce. Stali zbici w gromadkę, paląc i spoglądając na dziewczyny z takim znużeniem, jakby poznali je wszystkie na wylot i ta wiedza nie dawała im już żadnej radości. Znalazło się wśród nich kilku moich kolegów ze świętego Albana. Około dziesiątej jeden z „kaczych kuprów” zaproponował, żeby wyskoczyć na hamburgera. Ponieważ tańce jakoś nie szły tego wieczora i goście podpierali ściany, Caroline wyraziła zgodę. .

Zadzwoiłem do ciotki, która odwiozła mnie do Carswellow, i wyjaśniłem, że nie musi po mnie przyjeżdżać. Ciągle jeszcze odreagowywała nieoczekiwany rozwód i sądząc z tonu głosu, ucieszyła się, że może łyknąć tabletki nasenne i uciec od smutnej rzeczywistości w niebyt. Wyruszyliśmy więc w tę letnią noc pontakiem z opuszczanym dachem, impala i czarny corvair podążyły naszym siadem. Wiatr zbierał soczyste zapachy z nadrzecznych równin i gnał je ku nam - całe bogactwo dojrzałego lata, zapach skoszonej trawy, dojrzałej kukurydzy i jedliny. Pojechaliśmy na południe River Road i nikt, o ile dobrze pamiętam, nie sprecyzował celu wycieczki. Wkrótce przedmieścia się skończyły i wyjechaliśmy na otwarte przestrzenie. Rozmowa, której przysłuchiwałem się uważnie, dotyczyła nieobecnych członków grupy, którzy nie wrócili jeszcze z wakacji spędzanych z rodzicami na Nantucket albo Martha's Vineyard, albo w innych miejsc, takich jak Maine i Rehoboth Beach. Nie znałem jeszcze tych ludzi, chociaż zdawałem sobie sprawę, że od września niektórzy z nich staną się moimi kolegami z klasy, z drużyny, nowymi przyjaciółmi, może rywalami. Słuchałem więc uważnie informacji na ich temat, udzielanych tak niedbale.

Kierowca naszego wozu palił kenty z filtrem. Puścił otwartą paczkę w obieg po samochodzie. Poczęstowałem się, ale dopiero na czerwonym świetle na skrzyżowaniu z Brandywine udało mi się przypalić papierosa. Pochyliłem się, osłaniając płomień kolanami i zaciągnąłem się kilkakrotnie dymem o smaku mięty. Jednak mimo usilnych prób nie udało mi się dorównać moim współtowarzyszom, którzy wypełniali idealnymi kółkami niebo nad otwartym pontakiem. Zajechaliśmy do Hot Shoppe" i obsiedliśmy kilka stolików, czekając, dziwnie uciszeni, na nasze'icoktajle mleczne, hamburgery i frytki. W restauracji było luźno i kelnerka zagadywała najstarszych chłopców z naszej paczki w sposób, który sugerował zażyłość. Przyjmując pozy ludzi, którzy muszą spędzić jakoś czas w oczekiwaniu na świetlaną przyszłość, przekrzywiali kpiąco głowy za każdym razem, gdy ktos siędonich zwracał, chyba że tą osobą była Caroline Carswell, i spoglądali gdzieś w przestrzeń ponad ramieniem mówiącego, jak ludzie nieobecni duchem,

pochłonięci własną ekscytującą wizją. Na mnie nie zwracali większej uwagi. Ten i ów zadał mi jakieś pytanie, ale nic ich nie obchodziło Baltimore i Biały Dom, w którym niemal wszyscy mieli przyjaciół, krewnych albo sąsiadów, a nawet gdyby chcieli okazać zainteresowanie, problem polegał na tym, że nie wypadało im tego robić, ponieważ byłem młodszy. Rozpaczliwie zatęskniłem za tą przeszłością, którą miałem w Baltimore i której tak bardzo chciałem się pozbyć. I to pragnienie, by przenieść się z peryferii do centrum ich świadomości, być cenionym i lubianym, sprawiło, że kiedy impreza zdawała się dobiegać końca, zaproponowałem wszystkim kąpiel w naszym basenie.

Ciotka, ledwo żywa, spała w gościnnym pokoju, którego okna wychodziły na ulicę. Nasza siódemka przemknęła przez frontowy trawnik, wzdłuż żywopłotu i klombu okalającego boczną werandę, potem w dół zbrocza do basenu, który leżał niby laguna w zagłębieniu posiadłości. Krąg srebrnych świerków odgradzał go od sąsiadów, a liściasty klon zasłaniał widok z okien naszego domu. Między „Hot Shoppe” a naszą ulicą zmaterializowały się dwa sześciopaki piwa National Bohemian i ja również otrzymałem zimną puszkę od kierowcy czarnego corvaira. Jeden chłopak rozebrał się już do kąpielówek i stał niezdecydowany, czekając na zachętę reszty towarzystwa.

Obraz - widziany z perspektywy wieku średniego, łóżka w Castlemorland, małżeństwa tak trwałego (mam nadzieję), jak to gwarantują lata spędzone razem i fakt posiadania dzieci - wydaje się osobliwy i niemal wzruszający. Bezwłose torsy czterech młodych mężczyzn w slipach, trzy młode kobiety w kostiumach kąpielowych z początku lat sześćdziesiątych, ich rozedrgane odbicia w marszczonej wiatrem tafli podświetlanego od dołu basenu w Chevy Chase.

Caroline Carswell nie zwracała na mnie najmniejszej uwagi. Patrzyła na chudego kierowcę pontiaka, który pociągał z butelki swoje piwo. Potem powiedziała półgłosem: „To bez znaczenia”, przysięgłbym, że do mnie. Chłopiec rozebrał się do naga, wspiął na niską trampolinę, zakrywając komicznym gestem genitalia, wydał z siebie żalostną wersję okrzyku Tarzana, po czym rzucił się do wody. Wylądował na pośladkach. Caroline zaśmiała się, odwróciła niespodziewanie i odeszła w stronę świerków, ale widać było, jak zdejmuje stanik i majtki. Po chwili wszyscy byliśmy nadzy i pływaliśmy w przyzwoitej odległości od siebie, śmiejąc się i chlapiąc z różnym natężeniem, próbując dostrzec - a właściwie utrwalić w pamięci - szczegóły zamazywane przez wodę i gwałtowne ruchy.

Caroline miała duże brodawki, to pamiętam wyraźnie. Były twarde, sterczące, włosy łonowe czarne, ale wcale nie gęste. Pływała przeważnie pod wodą, swobodnie, bez śladu skrępowania. Jedna z dziewcząt wspinała się kolejno na ramiona chłopców z nadzieją wszczęcia wodnej bitwy. Nie była ładna i pulchność jej ciała wydawała się czymś nieprzyzwoitym. Natomiast Caroline odmówiła uczestnictwa w zabawie, pływała sama, niedostępna.

Po piętnastu minutach chwyciła się krawędzi basenu i jednym podrzutem ciała wydostała na zewnątrz, by umknąć w cień wysokich drzew. Poszliśmy cichaczem za jej przykładem, ubieraliśmy się pośpiesznie. Nie był to ekshibicjonizm, lecz przelotny apetyt na zakazany owoc.

Odprowadziłem ich wszystkich do ulicy, podziękowałem za przejażdżkę, a Caroline za zaproszenie, ale nie odważyłem się jej dotknąć. Po chwili już ich nie było. Zakradłem się z powrotem nad basen, pobierałem puste i na wpół opróżnione puszki piwa i ukryłem w szarym żelaznym pojemniku na śmieci, kilka domów dalej. Potem poszedłem do swojego pokoju, rozebrałem się i leżałem patrząc w sufit tak długo, aż udało mi się nazwać i opanować uczucia.

a kąpiel w basenie zaważyła na całym moim życiu. Wkrótce potem pojawił

JL się w nim Chas Ledbetter, siostrzeniec kumpla z wojska mojego ojca. Kiedy mieliśmy po dziewięć lat, nasze rodziny wybrały się razem na jednodniową wycieczkę po Chesapeake wynajętą łodzią rybacką. Ledwo go pamiętałem: nie należał do chłopców cieszących się popularnością. Był cichy, spokojny, włosy miał nienaturalnie czarne i gęste, profil niemal zbyt ostry u dziecka, jakby wszedł w okres dojrzewania na długo przed czasem. Pamiętam, że matka i ciotka stwierdziły, że jest przystojny i zastanawiały się, dlaczego właściwie. Zanim wyprowadziliśmy się z Baltimore, informacje o Chasie przenikały jednak różnymi drogami do naszego domu i mojej świadomości. Wiedziałem od rodziców, którzy słyszeli od przyjaciół jeszcze dalszego towarzysza broni, że Chas uczy się u świętego Albana. Z innych źródeł dowiedziałem się, że będzie przewodniczącym mojej klasy, zaś w „Wiadomościach” Gilmana przeczytałem, że był gwiazdą drużyny wrestlingowej, oraz „obiecującym” hokeistą. Jego zdjęcie ukazało się na pierwszej stronie. Ta informacja oraz inne utrzymane w tym tonie pozwalały żywić nadzieję, że jeżeli rozegram to właściwie, zapewnię sobie niezły start w nowej szkole. Jak tylko przeniesienie zostało załatwione, zadzwoniłem do Chasa, który okazał się niezwykle sympatycznym gościem. Rozmawiał ze mną jak ze starym kumplem. Zapytał, czy nadal wędkuje, powiedział, że wyjeżdża na całe lato, najpierw jako opiekun młodzieżowy na obóz w Maine, potem z rodzicami do Adirondacks. Ustaliliśmy, że spotkamy się pierwszego dnia szkoły. Spodoba mi się u świętego Albana, obiecał; będziemy „trzymać się razem”.

Tygodnie między prywatką u Caroline a rozpoczęciem szkoły były wyjątkowo senne, a jednocześnie pełne narastającej, podświadomej paniki. Ojciec pracował dzień i noc. Kosił trawniki, przycinałem żywopłoty i pielęgnowałem przywiedłe kwiaty na klombach, a potem siadywałem przy basenie, choć żar lał się z nieba, przerzucałem ostatnie pozycje z letniej listy lektur i utrwaląłem opaleniznę. Jednego dnia wybraliśmy się z mamą pociągiem do Baltimore na zakupy; innym razem spędziłem tam noc u dawnego kolegi z klasy. Ale wiedziałem, że pozostawiłem za sobą więcej niż miasto, że przechodzę zmiany osobowościowe, równie fundamentalne i nieuniknione, jak te, przez które przechodzi moje ciało,

i że nie ma odwrotu. Czekałem niecierpliwie na szansę reinkarnacji, jaką miała mi dać nowa szkoła, a jednocześnie z każdym dniem stawałem się bardziej niespokojny, przerażony i pod każdym względem piętnastoletni.

Chas Ledbetter odmówił modlitwę na pierwszym szkolnym apelu. Dogonił już swoje przedwcześnie dojrzałe rysy, był równie wysoki jak ja, ale bardziej barczysty, mniej pałakowaty. Mówił wolno, z przekonaniem kogoś, kto poświęcił sporo czasu na zgłębienie metod kościoła anglikańskiego, do czego miał faktycznie okazję, śpiewając jako chłopiec w chórze kościelnym. Mówił o honorze, przyjaźni i obowiązkach obywatela szkoły. Pierwsza myśl, jaka mi się nasunęła na widok Chasa, dotyczyła jego wyglądu. Matka i ciotka miały niewątpliwie rację -był przystojnym chłopcem o klasycznych rysach twarzy, choć bardziej typowych niż indywidualnych.

Zaraz potem pomyślałem, że z pewnością planuje zostać prezydentem. Wszyscy chcieli zostać prezydentami Stanów Zjednoczonych w tym 1961 roku, jeżeli chłopak nosił trochę dłuższe włosy i czesał się z przedziałkiem z lewej strony, a la JFK, jego plany na przyszłość były jasne dla wszystkich. Ja również liczyłem na tę posadę.

Ale Chas był zbyt mocno osadzony w swoim środowisku, żebym mógł sobie pozwolić na zazdrość. Po apelu, w obecności nauczyciela łaciny, który był opiekunem naszej klasy, Chas wziął mnie na bok i oficjalnie powitał w szkole. Zapewnił łacinnika, że z przyjemnością mnie oprowadzi, zapozna z miejscowymi zwyczajami, przedstawi kolegom, jednym słowem wprowadzi w życie szkoły. Nauczyciel powiedział, że mam szczęście, skoro pieczę nade mną sprawuje Chas, przyznałem mu entuzjastycznie rację i poszliśmy razem na zajęcia z najnowszej historii Europy. Na każdej przerwie wokół Chasa formowała się nowa grupa, a podczas wolnej godziny po lunchu uściskałem dłonie większości uczniów mojego roku i niemal wszystkich sportowców z wyższych klas - tylu, że w pamięci utkwily mi tylko niektóre nazwiska.

Jednak dziwnym trafem na salę gimnastyczną szliśmy z Chasem sami. Odniosłem nawet wrażenie, że on to zaaranżował. Słońce świeciło jasno, niejesien-nie, a od strony boisk dolatywał zapach majeranku. Kiedy wydostaliśmy się w końcu z płataniny gotyckich podcieni i minęliśmy remontowaną katedrę, Chas zatrzymał się nagle, rozejrzał wokoło, jakby chciał się upewnić, że cokolwiek powie, nie trafi do niepowołanych uszu, po czym utkwiał we mnie bezlitosny wzrok.

- Wracaj do Gilmana - powiedział. - Tutaj przejdziesz przez piekło.

- Nie wydaje mi się - odparłem bez zastanowienia. - O ile zdołałem się zorientować, z większości przedmiotów przerabiamy mniej więcej to samo; czasem wy jesteście ciut do przodu, czasem ja, ale nie jest to...- Dopiero teraz dotarła do mnie złowrogość jego tonu i zachowania. - Dlaczego? - zapytałem. - Dlaczego przejdę tutaj przez piekło?

- Ponieważ ja ci je urządzę - wyjaśnił wolno, spokojnie, tak samo jak przemawiał na apelu.

-Nie rozumiem.

- To się pieprz.

- Czy to jakaś próba, przez którą przechodzą nowi? W porządku, skoro tak, powiedz mi tylko, czego mam oczekiwać, ale Jezu, Chas...!
- To nie jest żadna próba. Jeżeli jesteś taki głupi, na jakiego wyglądasz, pozwolą ci zgadywać trzy razy, a możesz zacząć od Caroline Carwell.
- Którą widziałem raz w życiu. - I to całkiem dokładnie.
- No i co z tego?
- Co z tego?! - Po raz pierwszy podniósł głos, ale zaraz się opanował. - Zaprosiłeś ją do domu, na basen, społeś piwem rodziców, a potem nakłoniłeś podstępem, żeby się rozebrała.
- To nie było piwo rodziców - zaprotestowałem. - A ona nie była tam sama.
- Tak to sobie zaplanowałeś?
- Nic nie planowałem. - Daj spokój!
- Nie wiem, skąd to piwo się wzięło.
- Dajże spokój, człowieku!
- Nie wiem nawet, kto tam był.
- Każdy, kto tam był, również Caroline, potwierdzi, że wszystko odbyło się dokładnie tak, jak ci to właśnie opisałem. Więc nie mów, że nie pamiętasz, kto tam był. Wracaj do Gilmana, Brook. Wracaj do Baltimore, gdzie twoje miejsce.
- Ona jest twoją dziewczyną, czy jak? Skąd mogłem wiedzieć? Jak możesz czynić mnie odpowiedzialnym za coś tak... nieprzewidywalnego? Znam dwoje ludzi w tym zaszranym mieście i oni chodzą ze sobą, są o siebie zazdrośni! Jezu! Nie chciałem niczego złego.
- Jeżeli komukolwiek o tym wspomnisz - powiedział Chas - napytasz sobie biedy. Prawdziwej biedy. Sześć osób potwierdzi, że to był twój alkohol. Twój pomysł. Powiedzą o tobie wszystko, co najgorsze.
- Chas... na litość boską!
- A ja się do nich przyłączę.

Nie wróciłem do Baltimore. Nie powiedziałem również nikomu o groźbach Chasa Ledbettera. I nie spotkałem się już z Caroline Carswell, ubraną ani gołą. Zachowywałem się jakby nigdy nic, licząc na kojącą moc czasu. Wiedziałem, że nikt mi nie uwierzy, jeżeli zarzucę kłamstwo szkolnemu bohaterowi, chłopakowi o takich osiągnięciach i nienagannej opinii. I podejrzewałem, że zżyta grupka cynicznej młodzieży skłamię bez wahania w obronie swojego przywódcy, przeciwko komuś z zewnątrz. Omówienie tej sprawy z rodzicami również nie wchodziło w rachubę. W niczym nie mogli mi pomóc. Zmartwiliby się tylko - że mam nieprzyjemności i że oskarżenia przyjaciół Chasa mogą przysporzyć kłopotów pracownikowi Białego Domu. Tego wieczoru, kiedy Caroline Carswell przysłała na basen, rodzice byli przecież na Cape Cod, w grupie towarzyszącej prezydentowi. Potrafiłem sobie wyobrazić okoliczności, w jakich tego rodzaju skandal kosztowałby ojca posadę, a nawet reputację człowieka nieposzlakowanego.

Ponieważ nie miałem jeszcze prawa jazdy, ostracyzm narzucony przez Chasa nie dopiekl mi tak, jak to miałoby miejsce rok później. Podobnie jak większość

kolegów z klasy, nie spędzałem weekendów objeżdżając kolejne imprezy, lecz siedziałem w domu z rodziną. Ale bywało, raz, dwa razy w miesiącu, że moje pojawienie się kładło kres rozmowie i już wiedziałem, że szykuje się balanga, wypad nad rzekę czy inna impreza, z której zostałem celowo wykluczony. Kiedy zdarzyło się to po raz pierwszy, musiałem szybko odejść, by wypłakać się w pustej pracowni chemicznej na parterze, jednak szybko nauczyłem się obracać ból w siłę, czerpać z niego doświadczenie, a co najważniejsze, przekładać na słowa wszystko to, co czuję.

W obecności nauczycieli i rodziców - zawsze, gdy zachodziła taka potrzeba - Chas Ledbetter zachowywał się bez zarzutu. Ale kiedy zostawaliśmy sami lub w gronie jego oddanych przyjaciół i zwolenników, był lodowaty i okrutny. Pamiętam, w dniu Halloween przeprowadzaliśmy wybory do samorządu klasowego. Zgłoszono już wszystkie nominacje na skarbnika, a Chas miał już zapewniony ponowny wybór na przewodniczącego, kiedy uniósł rękę i wysunął moją kandydaturę. Wszyscy odwrócili głowy, przenosząc wzrok z niego na mnie. Byłem zdumiony. Na koniec otrzymałem trzy głosy, podczas gdy zwycięzca otrzymał ich trzydzieści trzy, a trzeci kandydat - szesnaście. I uświadomiłem sobie, że Chas rozkoszuje się tym, jak prędko jego szydercze pochlebstwo przekształciło się w ogólną pogardę.

W rezultacie tych wydarzeń odwróciłem swoją uwagę od szkoły ku światu zewnętrznemu i stopniowo skierowałem ambicje na inne tory. Zachwiany w swojej pewności siebie, uznałem, że nie mam żadnej szansy w polityce. Zawsze będę przegrywał z takimi Chasami Ledbetterami, chronionymi przez własny cynizm. Było w nich jakieś, połączenie intelektualnej i moralnej płytkości z intensywnością przeżyć, które działa na publikę jak lep na muchy. Nic dziwnego, że przyciągali Caroline Carswell i dziewczęta jej pokroju. Ale Ledbetterom, choć mają powodzenie u dziewcząt, brak poezji i coraz częściej dochodziłem do wniosku, że właśnie poezja może być tym darem, który ja posiadam. Zacząłem postrzegać Johna Kennedy'ego - który był bohaterem niemal dla wszystkich i obiektem nienawiści tych, którzy niechęć do rodziny Kennedych wyssali z mlekiem matki - bardziej jako mistrza słowa niż polityki. Nadawano wtedy program telewizyjny - dokumentalną kompilację starych kronik - zatytułowany *Świat w dobie wojny*. Postać Winstona Churchilla zajmowała w nim dużo miejsca i pamiętam, co pomyślałem podczas emisji jednego z odcinków: że Kennedy po prostu naśladuje Churchilla, podczas gdy inni naśladują go. Czasy i pokolenie były inne, ale poza ta sama - mityczna poza bohatera, jak określiłaby to Julia. Wtedy jeszcze nie potrafiłem myśleć tak abstrakcyjnie, ale wiedziałem, że nie da się tego osiągnąć fryzurą, sposobem bycia, uśmiechami, młodością i urodą. Trzeba idei ubranych w słowa, które potrafiłyby się przebić przez bastion sceptycyzmu Amerykanów i poruszyć ich uczucia.

Wkrótce moje szkolne wypracowania, na wzór mocnych przemówień Kennedy'ego, pełne były alienacji i inwersji. Używając tak często tego stylu, nawet w wewnętrznych monologach, stałem się znawcą jego mechanizmu. Człowiek albo wierzy automatycznie w prawdy objawione, albo poddaje je drobiazgowej anali-

Czyniłem i jedno, i drugie w tym samotnym okresie życia, i ostatecznie doszedłem do wniosku, że natknąłem się na coś bardziej zagadkowego i obiecującego niż współcześni byliby skłonni przypuszczać. Nie, żebym sam spodziewał się wspiąć na wyżyny władzy, lecz przypadkiem odkryłem źródło takiej władzy. W rezultacie spojrzałem na świat - w tym także na ludzi odnoszących się do mnie z rezerwą - z perspektywy wyższości, niczym fizyk obserwujący działanie sił natury.

Albo tak mi się wydawało. Zimą Caroline Carswell rzuciła Chasa Ledbettera

dla egzotycznego syna francuskiego dyplomaty. Jej nowy chłopak miał gitarę akustyczną, trzymał gauloise'y między kciukiem a palcem wskazującym i śpiewał folkowe piosenki na przeciągły, paryski sposób. Chas, taki konwencjonalny i typowy, przestał zaspokajać jej głód przygody. Ich zerwanie podziało na mnie elektryzująco. Uznałem to za zemstę losu dokonaną w moim imieniu i byłem wdzięczny zwłaszcza za to, że Caroline opowiadała każdemu, kto chciał słuchać, - iż (mimo milczących insynuacji Chasa) nigdy nie obiecała mu przejścia „drugiej bazy”.

Jednak kiedy wiosna odmroziła kampus, Chevy Chase, wąskie drogi i rozległe pola kukurydzy nad Potomakiem, stało się jasne, że ich zerwanie bardziej niż Chasa upokorzyło mnie.

To samo wydarzenie, które przedtem wznieciło jego nienawiść, teraz obudziło jego sympatię. Ja, który byłem świadkiem upadku Caroline, widziałem jej brodawki twardniejące na nocnym chłodzie, jej rzadkie włosy nad wargami sromowymi, mogłem zaświadczyć o czymś wiele ważniejszym niż to, czy Caroline spała z Chasem Ledbetterem. Samą swoją obecnością przypominałem ludziom (tym, którzy znali tę historię), że była łatwa i płocha, a tym samym nie przedstawiała wartości dla kogoś tak cenionego i wyróżnianego jak Chas. Stawiałem pod znakiem zapytania jej czystość i prawdomówność. Trzymając z przewodniczącym klasy, gwiazdą zapasów i hokeja, swoją gotowością przebaczenia i przystania do grupy pomazańców bożych ocaliłem miłość własną Chasa.

Wiedziałem doskonale, że idę na kompromis i chyba właśnie wtedy po raz pierwszy zrozumiałem, że kompromis stanie się podłożem mojego życia. Nigdy nie sądziłem, iż zastosuję się do jakichś zasad tak bezwzględnie, że z czasem będę musiał o nie walczyć. Ale podczas tej wymuszonej izolacji w pierwszym semestrze nauczyłem się cenić swój zmysł obserwacji i umiejętności retoryczne, wyobrażałem sobie, że jestem pisarzem - niedoświadczonym jeszcze, ale utalentowanym - który, nie napawając się dystansem między sobą a życiem innych ludzi, rozumie, że taki dystans jest konieczny. Byłem pewny, że nie mógłbym wyrzec się swojej tożsamości - swojej izolacji i wypracowanej obojętności - by stać się członkiem jakiegokolwiek zamkniętej grupy. A jednak, kiedy nadeszło zaproszenie, skorzystałem z niego bez namysłu.

Następne pory roku - tamtą wiosnę kwitnących wiśni, drugie letnie wieczory na boisku do krykieta, jesień płonących drzew i zaciętych meczów piłki nożnej - spędziłem jako członek wąskiej elity, umacniając swoją pozycję wśród nowych, nielitościwych przyjaciół i uczniów niższych klas.

W piątki i soboty chodziłem zwykle na przyjęcia; imprezy te, rozpoczynające się w domu któregoś z kolegów lub takiej czy innej dziewczyny, kończyły się najczęściej w „Hot Shoppe” na Wisconsin Avenue. Sadzano nas tam niemal według zasady pierwszeństwa, jak na przyjęciach w wyższych sferach, a nasze tarcze prestiżowej szkoły i fakt, że mój ojciec tak często pokazywał się w wiadomościach telewizyjnych u boku prezydenta, gwarantowały nam przywileje cenionych bywalców.

Zostałem reporterem, a potem redaktorem naczelnym „Wiadomości”. I chociaż grałem w szkolnych drużynach piłki nożnej i tenisa, ceniony byłem przede wszystkim za swoje artykuły, za satyryczne portrety nauczycieli i uczniów, za niezłe opowiadania o sporcie i przyjaźni. Teksty te miały wydźwięk przemówień agitacyjnych, ponieważ w dalszym ciągu poszukiwałem własnych środków wyrazu naśladowując innych - zwłaszcza Kennedy'ego oraz Teda Sorensena, piszącego prezydenckie mowy. Ale wiedziałem - ponieważ zapewniano mnie o tym dość często - że moje próby literackie odbijają na korzyść od prac innych uczniów.

Drugiego roku ojciec zorganizował wycieczkę mojej klasy do Białego Domu. Program przewidywał obchód Zachodniego Skrzydła i wizytę u prezydenta w Gabinetce Owalnym. Spotkałem Kennedy'ego tylko raz i było jasne z bezosobowego sposobu, w jaki nas powitał, że nie wie, który z nas jest synem Brooka. Spojrzałem mu prosto w oczy i uściśnięciem dłoni tak mocno, jak na to pozwalało dobre wychowanie, próbując przekazać mu tę informację, wymusić uśmiech świadczący o tym, że mnie poznaje. Nic podobnego nie nastąpiło i kiedy Kennedy rzucił jakąś dowcipną uwagę, spojrzał na Chasa Ledbettera, nie na mnie. Co dziwne, niewiele mnie to obeszło. Miałem wrażenie, że ten mężczyzna stojący przed nami tylko przypomina, lecz w żaden sposób nie jest tożsamy z wystylizowanym obrazem, jaki oglądało się co wieczór w telewizji, w gazetach i tygodnikach. Musiałem chyba rozumieć, nie potrafiąc ubrać myśli w słowa, że zafascynował mnie ten właśnie obraz (dźwięk i światło przechodzące przez celuloide), nie sam człowiek, któremu byłem tak oddany. Po śmierci prezydenta Kennedy'ego czułem nie tyle ból po stracie kogoś bliskiego, nie tyle strach, że zakłóci to życie mojego ojca, a więc i moje, lecz smutek, jakiego doświadcza dziecko, kiedy gasną światła wielkiego teatru. Od tego dnia błąkałem się wraz ze swoimi rówieśnikami po manowcach dorosłości trochę bez celu, coraz bardziej złakniony seksu i doświadczenia, ciekawy, a jednocześnie podejrzliwy wobec każdego, kto rościł sobie prawo do głoszenia prawdy. Ponieważ w nagłej mrocznej ciszy, jaka zapadła po cudownej kreacji tego prezydenta, niewiara wkradła się z powrotem w narodową wyobraźnię - wkradła się również w moją.

Złożyłem papiery do Harvardu, ale jakiś młody członek komisji kwalifikacyjnej doradził mi, żebym „zrobił sobie rok przerwy, wybrał się w podróż, postudiował trochę za granicą”, a potem ponownie złożył papiery, bez gwarancji przyjęcia, oczywiście. Powiedział, że mimo czwórek na świadectwie roją pewne nadzieje, ale przydałoby mi się trochę więcej dojrzałości. Zapytałem, czy zna kogoś, komu by się nie przydało, po czym złożyłem papiery na uniwersytet wir-

giński w Charlottesville. Do Świąt Dziękczynienia zdołałem stracić dziewictwo i odkryć Hemingwaya. Miał czystszy, ostrzejszy styl niż Kennedy i przez jakiś czas pisałem zdania czyste i ostre, aż do chwili, gdy odkryłem bardziej romantyczną, bardziej liryczną wizję Fitzgeralda, świetnie uzupełniającą moją własną. William Faulkner wykładał na uczelni i polubiłem go koniec końców za jego technikę, za uzdrawiającą sugestię, że być pisarzem, znaczy być geniuszem, oderwanym od świata i ponad jego bolączkami. W te noce, kiedy czytałem *Wściekłość i wrzask* i *Światłość w sierpniu*, przy uchylonym oknie, wdychając zapach kwitnących klonów, odzyskałem niemal dawne poczucie własnej odrębności. Potrafię tak pisać, powtarzałem sobie, czytając jakiś wirtuozowski akapit, genialne wyrażenie, ale kiedy przychodziło co do czego... Byłem zbyt leniwy, brakowało mi czasu. Byłem też nieustannie zakochany i nie wyobrażałem sobie, bym mógł leżeć w łóżku po stosunku i oddawać się cierpieniu, które czyni z pewnych ludzi artystów. Nadal myślałem o sobie z przyjemnością jako o pisarzu, chociaż pisałem coraz mniej - zdawałem sobie jednak sprawę, że jako sposób na życie pisarstwo wymagałoby większej odporności na kompromis, niż posiadałem.

Ukończyłem uczelnię w przerwie między jedną miłością a drugą. Wreszcie po czterech latach i sześciu letnich tygodniach obozu ćwiczebego korpusu R.O.T.C., dostałem rangę oficerską w wywiadzie wojskowym i stawiałem się do czynnej służby w Fort Holabird, w Maryland.

Wniosłem do armii tyleż niepokoju co oddania, ale wkrótce, tuż przed i w trakcie służby w Wietnamie, ten niepokój przekształcił się w lęk. Po pierwszych patrolach i śledztwach, kiedy nie było wiadomo, jakie pytania zadać, w jakiej kolejności, jak zinterpretować milczenie, a nawet odpowiedzi i niedomówienia, strach stał się elementem mojej egzystencji i po jakimś czasie straciłem kontakt ze światem, w którym ten lęk nie byłby czymś nieodłącznym.

Kiedy wróciłem do Ameryki, uniewinniony zabójca, wiedziałem tylko, że chcę robić coś, co nie miałoby zbawić świata, a zarazem nie byłoby działalnością czysto zarobkową. Uświadomiłem sobie, że był to przywilej - dziki fart - że wyszedłem z tego wszystkiego żywy i w jednym kawałku, a jednocześnie pragnąłem opowiedzieć swoją historię - historię ludzi takich jak ja - i o niej zapomnieć. Bardzo starannie przepisałem na maszynie kilka opowiadań napisanych w trakcie studiów i w różnych obozach wojskowych - historie o pierwszej albo nieodwzajemnionej miłości, o nieprawdopodobnych przyjaźniach, przypadkowych, niepotrzebnych ofiarach wojny - i wysłałem je wraz z podaniem o przyjęcie na wydział dziennikarstwa uniwersytetu stanu Iowa. Jednocześnie, za radą kapitana, który studiował w Harvardzie, wysłałem papiery do harvardzkiej szkoły biznesu. Kapitan zapewnił mnie, że odpowiedzi, jakich udzieliłem w kwestionariuszu, w połączeniu z referencjami wojskowymi będą miały większe znaczenie dla komisji rekrutującej niż stopnie na dyplomie, na które każda dobra szkoła prawnicza miała prawo kręcić nosem. W tamtych czasach studia prawnicze były najbardziej prestiżowym wyjściem dla młodego człowieka, który nie bardzo wiedział, co zrobić ze swoim życiem. Problem w tym, że jeśli w ogóle byłem czegoś w życiu pewien, to tego, że nie chcę zostać prawnikiem.

W dniu, w którym wyszedłemz wojska, poczta przyniosła dwie koperty. Pierwsza, wymięta, sklejona w jednym rogu taśmą, ostemplowana „zwrot do nadawcy”, zawierała materiały, które wysłałem do Iowa. Wskutek pomyłki pocztowej nigdy nie dotarły na wydział dziennikarstwa. W drugiej znajdowało się zawiadomienie o przyjęciu do Harvardu.

Wydarzenie to spowodowało zwrot w moim życiu. Przez lato przeglądałem podręczniki z księgowości i ekonomii, a we wrześniu wprowadziłem się do Morris Hall wraz ze starą welurową kanapą, wiklinowym fotelem bujanym i dwoma stolikami kupionymi okazjnie od poprzedniego najemcy. Cieszyłem się, że jestem w Cambridge, ale miasto wydało mi się równie wystrzępione na brzegach jak moja sofa i choć raz po raz zachodziłem na Square, Coop czy do Brattle Theatre, lub jadłem kolację z młodszym bratem kolegi ze świętego Albana, który studiował w Eliot House, na ogół prowadziłem spokojny tryb życia, pochłonięty nauką i samym sobą. Całymi wieczorami dodawałem kolumny cyfr, odejmowałem, mnożyłem i dzieliłem równie starannie jak unikałem wszelkich myśli o własnej przyszłości.

Po dyplomie zdecydowałem, że poza życiem z niezależnego dochodu, którego nie posiadałem, najbardziej odpowiadałaby mi praca free-lancera. To właśnie perspektywa nienormowanego czasu pracy, niezależność i szerokie możliwości pociągały mnie w pisarstwie. Praca polegająca na obrocie papierami wartościowymi zdawała się posiadać przynajmniej część tych zalet.

Wstąpiłem więc do pierwszej firmy na Manhattanie, która zaproponowała mi godziwą pensję, oddałem jej kilka lat życia i większość energii, po czym przeszedłem na drugą stronę ulicy do innej, która obiecała wysłać mnie nie tylko na piętro, za biurko partnera, ale za granicę, do Hongkongu. Chryste, byłem gotów wyjechać! Moi rówieśnicy dorobili się już wtedy apartamentów rodzinnych na najszerszych, najbardziej prestiżowych skrzyżowaniach ulic, a ja po raz pierwszy w życiu czułem, że się starzeję i ta świadomość zaczęła mi doskwierać. Droga przede mną była prosta - ale dokąd prowadziła? Bez żony, bez dzieci, byłem kłopotliwym przydatkiem do życia żonatych przyjaciół, przysłowiowym piątym kołem u wozu. Stawaliśmy się sobie coraz bardziej obcy. Nadal miałem mnóstwo nieokielzanych, egzotycznych marzeń, które zdawały się nie obciążać nikogo innego. Dorosłem, wziąłem na siebie obowiązek zarabiania na życie, w Południowej Azji straciłem swoje zasady, być może nawet wiarę, rzeczywistość ekonomiczna i ogrom ryzyka w kraju pozbawiły mnie czystości ambicji, ale instynkt podpowiadał mi, że przede mną długa droga, zanim osiągnę spokój, szczęście i zadowolenie. Nigdy jeszcze nie czułem się tak staro, jak wtedy, zbliżając się do trzydziestki.

Pojechałem do Hongkongu, ponieważ jest to kierunek najczęściej obierany przez niespokojne duchy. Ale nawet wtedy, gdy przekroczywszy strefę czasową utraciłem jeden dzień z mojego starannie skalkulowanego życia, nie byłem pewny, czy dotarłem tak daleko, jak bym sobie życzył. Niemal przez przypadek, w rezultacie czasów, w jakich żyłem, a także okoliczności, w jakich się znalazłem celowo lub przypadkiem, pozostawiłem część siebie w zbyt wielu miejscach.

- To bez znaczenia - powiedziała Julia, kiedy po raz pierwszy dyskutowaliśmy o takich sprawach, niejako znajomi czy przyjaciele, lecz zakochani planujący się pobrać. - W dzisiejszych czasach ludzie nie zamieszkują miast, a nawet krajów. Egzystujemy wzdłuż osi, linii łączących dowolną liczbę punktów, jak mapa połączeń lotniczych albo dziecięcy rysunek polegający na łączeniu cyfr.

Myślę, że miała rację i że sedno tkwi w tym, jak postrzegamy dane punkty. Jadąc do Hongkongu, nie jechałem do Chin starożytnych dynastii i przesądów, lecz do miasta wolnego rynku, tętniącego życiem, będącego kwintesensją nowoczesności, rzeczywistą szansą zdobycia dużych pieniędzy. Ale choć tak wysoko rozwinięta, ta malutka półwyspiarska placówka pozostawała przecież krainą Jossa, bożką zmiennych kolei losu. Jadąc tam na rok lub dwa (pięć w razie wyjątkowo dobrej passy) z moim amerykańskim pracodawcą nie miałem pojęcia, jak nagle, całkowicie i na zawsze zmieni to moje życie.

Teraz, leżąc przy mojej uśpionej żonie, świadomy tego, że przyjęcie urodzinowe Adriana rozpocznie się lada chwila, spoglądam jeszcze raz na gipsową scenę ponad moją głową - rycerza na słupie ognia - i zastanawiam się, czy gdybym nie wyjechał z Nowego Jorku, znalazł tam i poślubił kogoś, miał dzieci i wychował je w ojczyźnie, dał im dzieciństwo na podobieństwo własnego, byłbym tak szczęśliwy, jak jestem teraz? I równie przerażony?

9

-John?

- Rupert?

Jego głos, dobiegający z tyłu, zaskakuje mnie. Schodzimy na dół jako pierwsi, pierwsi wchodzimy do głównego salonu, wysokiej, sześciokątnej sali z galerijką, usytuowaną między pokojem śniadaniowym a Regenta. Tę ogromną przestrzeń urządzono w stylu transatlantyku z lat trzydziestych: plamy światła z lamp

0 abażurach z matowego szkła, grupy kanap i foteli obitych adamaszką, kwiecista bezosobowość. Na kominku płonie ogień, a obraz Rubensa „Chrystus między dwoma złoczyńcami”, oświetlony odległą lampą, burzy złudzenie, że życie

1 jego przyjemności mogłyby okazać się trwałe.

- Masz chwilę?

- Oczywiście.

- Musimy się pospieszyć. - Rupert podchodzi do wielkiego lustra w złoconych ramach, które jest głównym elementem dekoracyjnym na ścianie naprzeciwko kominka, sięga za jego barokowe ozdóbki i czeka, aż rozsunie się przed nim część boazerii. Daje nura w ciemność i przywołuje mnie gestem, potem zamyka

za nami zamaskowane drzwi. W wąskim korytarzu panują egipskie ciemności, pachnie drewnem cedrowym.

- Gdzie jesteście? Nigdy...

- ...tu nie byłeś, wiem - mówi Rupert. - Nie możesz wiedzieć o tym przejściu. Twój teść nigdy z niego nie korzystał. Adrian może nawet nie wiedzieć o jego istnieniu, nie jest w jego stylu. W dawnych czasach, kiedy żył mój dziadek, a w domu była odpowiednia liczba służby i dbano o etykietę, rodzina przechodziła tą drogą do salonu, już po przyjściu gości. Nie było w tym nic teatralnego, żadnej ostentacji, wręcz przeciwnie, odbywało się to prawie niepostrzeżenie; w jednej chwili ich nie było, w drugiej już kręcili się między gośćmi. Materializowali się nie wiadomo skąd, zupełnie jak duchy. - Rupert zapala jarzeniówkę na suficie. - Jeżeli naciśniesz ściankę przy tej szafce, ustąpi powoli - jest w niej przeciwwaga - i znajdziesz się z powrotem w Długim Korytarzu. Z zewnątrz drzwi nie różnią się niczym od granitowych płyt.

- Zdumiewające. Skoro mowa o szafce, co w niej jest? - Oszklony front wypełniają dziwne, skorupiaste przedmioty.

- Skorupy żółwi, z których zrobiono zupy dla siedemnastowiecznych smakoszy.

- Żartujesz!

- Wcale nie. Pytałeś, więc odpowiadam. - Rupert ubrany jest w niebieską marynarkę od smokingu, do tego ma granatową jedwabną apaszkę, nieskazitelnie białą koszulę i - szczególnie który zauważam dopiero teraz - dżinsy.

- Robisz się okropnie hollywoodzki - mówię bez zastanowienia.

- Staram się podróżować bez bagażu. - Wąska talia i szerokie ramiona nada-jąmu wygląd zaprawionego w bojach narciarza, ale jego wcześniejszy uścisk dłoni był miękki, a teraz w oczach maluje się więcej smutku niż determinacji. - Nie mówiąc o tym, że nie wiadomo jakie formy tu teraz obowiązują.

Żałuję, że wspomniałem Hollywood, zastanawiam się, czy mogło go to urazić albo zirytować.

- Nie mamy wiele czasu - mówi Rupert. - Pomyślałem, że powinienem zapoznać cię z sytuacją.

- Bardzo proszę.

- Asia & Omnibus są zdecydowani.

- Znakomicie. Ile wezmą?

- Trzecią część - mówi Rupert nawiązując do operacji, która umożliwi Wi-leyowi Ryanowi sfinansowanie wykupu udziałów Ergo. - Może trochę więcej.

- Czy to dzieło Philipa?

- Z pewnością zrobił, co do niego należało. Ale jest to efekt pracy całego zespołu.

- Naturalnie, ale A&O.. Wiesz przecież, kto jest jego sponsorem. Jak on się nazywa?

- Chuan Ch'u.

- Właśnie! Chuan Ch'u. Nigdy nie wiem, który człon idzie najpierw.

- Lepiej poćwicz.

- Zrobię to z radością.

- Prawdziwym plusem przy współpracy z taką firmą jest ograniczenie kosztów ubocznych. Mniej jest niespodzianek. Już przez samą skalę ich zasobów, przez wysokość cyfr, które kształtują ich sposób myślenia.
- Bez wątpienia - przyznaję mu rację. - Zaletą jest również to, że nikt ich dotąd nie zatrudnił, ani tutaj, ani w Stanach. Przynajmniej ja o tym nie wiem. Jest to więc dla nich szansa wejścia na rynek międzynarodowy. Muszą być tego świadomi, są na takie sprawy bardzo wyczuleni. To zwiększy ich zaangażowanie, co z kolei uspokoi innych, Amerykanów i Europejczyków. Cholera, mnie też uspokoi! Zmierzam do tego, że powiązania Philipa zapewnią nam większą swobodę ruchu.
- Z pewnością otworzyły niejedne drzwi.
- Przez które weszliśmy my, ciągle jeszcze uwięzieni w granicach własnego języka. Mamy wiele do powiedzenia i warto nas posłuchać, ale potrzebujemy tłumacza i Philip spełnia tę rolę. Cieszy się poza tym zaufaniem wszystkich stron, co w ostatecznym rozrachunku może okazać się najistotniejsze.
- Sprawy nabiorą teraz tempa również na innych odcinkach frontu - mówi Rupert. - Będziesz musiał pojechać do Ameryki, ale jeszcze nie teraz. Najpierw musimy pociągnąć parę sznurków w Zurichu i Genewie, potem poinformować naszych przyjaciół w Niemczech i Holandii. Myślę, że zrobimy to właśnie w takiej kolejności.
- Zgadzasz się z tobą.
- Czeką nas mnóstwo pracy. Trzeba rozprawić się z papierkową robotą, przygotować dokumentację, dogadać się z Wileym, a przede wszystkim, pozatykać wszystkie chciwe gęby. Kawał roboty, ale gra jest warta świeczki.
- Warta, warta.
- Nie wspomniałem tylko Wileyowi, że strona chińska spodziewa się dostać więcej, niż on gotowy jest jej dać. Kręcą także nosem na wysokość jego honorariów. Nie ulegli jeszcze kultowi menedżera i wyznają zasadę, że istnieje ścisły związek między wysokością wynagrodzenia a wkładem pracy.
- Kiedy zamierzasz mu o tym powiedzieć?
- Kiedy nadarzy się sposobność. Wypalimy cygaro i omówimy tę sprawę w miłej atmosferze.
- Czy zdajesz sobie sprawę, że może nas wystawić rufą do wiatru?
- Nie wydaje mi się. Jest to po prostu kolejne równanie, które należy rozwiązać. Obie strony muszą pójść na kompromis. Są tak oszołomieni sumami, że myśl o dezercji nawet nie postanie im w głowie. Jak sam mówiłeś, taka szansa...
- Sami też będziemy musieli spuścić trochę z tonu.
- Możliwe. Odbijemy to sobie w taki czy inny sposób. Co innego mnie martwi. Stanowisko Ryana. Wydaje się bardziej skupiony na ostatecznych zyskach niż na robocie, którą mamy do wykonania. Wygląda to tak, jakby dał się nabrać na własną autoreklamę. Zdumiewające u kogoś z takim doświadczeniem. Zbyt szybko odtrąbił zwycięstwo. Ile razy otwiera usta, mam ochotę zawołać: „Odpukaj w niemalowane drewno!”
- Jak możemy temu zaradzić? - pytam nerwowo, po raz pierwszy rozpatrując realną możliwość, że operacja Ergo może się nie udać, że zamiast rozdmuchać, zgasi nasze kariery.

- Niestety niewiele da się zrobić. Trzeba mieć go nieustannie na oku. Pilnować, żeby zmierzał w kierunku, który sami wyznaczymy.
- Sporo na to postawiliśmy, prawda, Rupercie?
- W rzeczy samej - przyznaje Rupert. - Myślę, że przyjęcie już się zaczęło - dodaje nagle, podnosząc małą drewnianą płaskorzeźbę, pod którą ukryty jest wizjer. - No, może jeszcze niezupełnie.
- Kto tam jest?
- Ralph Marlowe.. .jednachwileczkę.. .Tak! Ulubienica wszystkich, Lucinda Lowe. To na razie wszyscy. Nie, przepraszam! Oto nadchodzi twoja przyszła szwa-gierka, naganiaczka.
- Isabel.
- Adrian mógł trafić gorzej.
- Mógł trafić o wiele gorzej. Isabel jest bardzo solidna. Rupert uśmiecha się, jakby smakował przyjemność.
- Bardzo solidna. Podobnie jak Adrian. Adrian jest supersolidny.
- Nie bądź złośliwy - mówię. - Z mojego punktu widzenia to ty otrzymałeś to, co najlepsze.
- Mogę spytać, jak doszedłeś do tego wniosku?
- Otrzymałeś wszystko z wyjątkiem domu i tytułu.
- Skoro ty tak mówisz, to widocznie prawda.
- Uważasz, że jest inaczej?
- To zależy, co dla ciebie oznacza „wszystko”.
- Wszystko, co pozostaje, gdy traci się dobra materialne. Zalety wewnętrzne. Jesteś zdrowy, masz rewelacyjny umysł. Osiągnąłeś ogromny sukces. Kobiety za tobą przepadają. Czy muszę mówić dalej?
- Dziwne, jak takie rzeczy się rozchodzą - mówi Rupert w zadumie. - Ludzie zakładają, że zazdroścę Adrianowi dziedzictwa, ponieważ sami odczuwaliby zazdrość na moim miejscu. Ale ja mu nie zazdroścę, słowo honoru! Nie twierdę, że zawsze tak było, ale człowiek z czasem godzi się, z losem. Traci jedno, ale zyskuje co innego. Myślę, że gdybym dobrze poszukał, znalazłbym kogoś, komu mógłbym zazdrościć. Ale nie byłby to Adrian.
- A kto?
- Trudno powiedzieć. Z pewnością chciałbym być młodszy. I nie mieć nic wspólnego z City ani z bankowością. Ty pragnąłeś zostać pisarzem. Ja chciałem grać. Jak, na Boga Ojca, wylądowaliśmy tutaj? Oto jest pytanie. Może nie próbowaliśmy dostatecznie mocno? Może nie dopisało nam szczęście? Może pragnęliśmy sukcesu, ale bardziej obawialiśmy się porażki? Może odziedziczyłem zarówno marzenia mojej matki jak powściągliwość mojego ojca?
- Rzeczowość analizy Ruperta umacnia mnie tylko w przekonaniu, że jest bystrzejszym obserwatorem niż większość znanych mi ludzi, że jasności widzenia nie zaciemniają mu własne kompleksy.
- Nie znałeś Davida Paxtona - ciągnie Rupert.
- To było zanim tu nastąłem - wyjaśniam. - Choć po raz drugi dzisiaj pada przy mnie jego nazwisko.

- Wcale mnie to nie dziwi. David ciągle nawiedza ten dom. Pomyślałem o nim, ponieważ ze znanych mi ludzi tylko jemu udało się zostać gwiazdorem filmowym, gdyby tego zapragnął. Powiem ci o nim coś, czego nikt nie wie. Wnioski wysnujesz sobie sam. Jak wspomniałeś, działo się to na długo przed twoim pojawieniem się. David dopiero co pojechał do Cambridge, a Julia jeszcze tu była. Nie pamiętam dlaczego, ale nocowałem tu któreś soboty, a David przyjechał do rodziców. Mój wujek pozwolił mu korzystać z biblioteki, dość kontrowersyjna decyzja, muszę przyznać, można więc go było spotkać w różnych częściach domu. Ale wtedy zastałem go w tym pokoju, którego istnienie było największą, świętą tajemnicą rodzinną. Ja również nie miałem prawa tu być, ale chciałem zniknąć z planu na kilka minut. I kogo spotykam? Davida.

- Co on tu robił?

- Czytał, jak przypuszczam. Nie wiem co. Cokolwiek to było, schował za plecami.

- Wytłumaczył się jakoś?

- Właściwie nie. Był już wtedy sławny z racji przespania się z Susannah Fin-ley. Miał grubą powłokę pewności siebie, ale obawiał się mnie w głębi duszy.

- Więc nic nie powiedział? -Nic.

Przyglądam się Rupertowi.

- A co ty zrobiłeś? - pytam. -Nie wydałem go.

- Ale miałeś go w ręku, że się tak wyrażę.

- Nie na długo, jak się okazało. Wkrótce potem umarł.

- Rozumiem. To smutne.

- Bardzo smutne. Co za paskudna myśl, Johnie! Ale wiesz, co jest miłe dla nas, którzyśmy tyle zainwestowali? Miłe jest to, żeśmy przetrwali i wygrali. Ten się śmieje, kto się śmieje ostatni. Wiley Ryan czeka na nas w sąsiednim pokoju, czy to nie przyjemna myśl?

- Słodka - przyznaję, siląc się na uśmiech, bez jego absolutnej wiary.

Nie sprawdzając już, na jakim etapie znajduje się przyjęcie, zostawiamy żółwie skorupy i posepny, klaustrofobiczny pokój.

Wychodzimy wprost na Długi Korytarz, uchyliwszy wpierw ostrożnie granitowe drzwi, żeby sprawdzić, czy hol jest pusty. Goście skupili się już wokół obitego aksamitem kompletu wypoczynkowego na środku sali. Topley roznosi kruga w kieliszkach w kształcie spodeczków. Prym w towarzystwie wiedzie Wiley Ryan.

- Facet przychodzi do salonu rolls royce'a - mówi swoim donośnym barytonem. - Spokojny, kulturalny gość. Staje przed niebieskim corniche z opuszczanym dachem - obicia ze świńskiej skóry, chrom, jednym słowem cacko. Przez kilka minut przygląda mu się pustym wzrokiem. W stosownym czasie podchodzi do niego sprzedawca i pyta uprzejmie, czym mógłby służyć. „Tylko patrzę, dziękuję”. I przygląda się dalej, coraz intensywniej, coraz bardziej rozanielony. Po

pół godzinie sprzedawca, bojąc się, że ma do czynienia z jakimś łazikiem, podejmuje kolejną próbę. „No i co? - pyta. - Kupuje pan ten wóz, czy nie?” Klient uśmiecha się od ucha do ucha. „O tak, samochód kupuję, ale nie o tym myślałem. Myślałem o seksie”.

Śmiech, szybko stłumiony.

- Sedno tkwi w tym...

- Że dla tego gościa samochód nie różni się od interesu. Ten obraz wzbogaca jego wyobraźnię, ale nie opanowuje jej bez reszty. Bo i nie powinien.

- Ponieważ ludzie mają różne wyobrażenia? - pyta Julia.

- Po części. W dzisiejszych czasach wykładasz interes na stół i lepiej dla ciebie, jeżeli zrobisz to dobrze. Ale jest czas na wałkowanie liczb i dogrywanie szczegółów, a także na to, by usiąść i choćby to było nie wiem jak trudne, pozwolić, by ktoś inny nasycił twój pomysł własnymi nadziejami i marzeniami. Mam nadzieję, że wyrażam się jasno.

- Bardzo jasno - mówi Philip. - Marzenia, kontynuując myśl Julii, nie są wymienialne.

- Co to znaczy? - pyta Lucinda Lowe. Lucinda jest jedną z najstarszych przyjaciółek Julii - wesołą szkolną kumpelką i fiamą Ralpha - która gotuje zawodowo dyrektorskie lunche w City i organizuje małe przyjęcia w Londynie.

- To znaczy, że nie można określić ich wartości ani wymienić - dajmy na to, jak baryłkę ropy na kwintal pszenicy.

- Nie, nie są wymienialne - ciągnie Wiley. - I dlatego jesteśmy tutaj, nie zaś za biurkiem w gabinecie. Pozwalamy plonom dojrzeć, pozwalamy, by dojrzały marzenia naszych klientów.

- Dzięki temu mamy urlop - uzupełnia Tag. - Taka przerwa bardzo się przyda, mnie, żeby wyszukać antyki, a Wileyowi, żeby nadrobić rozmaite zaległości.

Rupert uśmiecha się pytająco.

- Tag chce przez to powiedzieć, że powinienem kupić nowe garnitury i buty, nie wspominając o paru tuzinach koszul.

- Zawsze mu powtarzam, że Londyn jest dla mężczyzn tym, czym Paryż dla kobiet. Staram się nie opuszczać pokazów paryskich, kiedy...

- Co ci się nieodmiennie udaje - przerywa jej Wiley dobrodusznie. - Zgadzam się z tym, że od czasu do czasu człowiek przyjmuje zupełnie nową rolę i musi być na to przygotowany. Przypomina to trochę premierę teatralną, tyle że bez próby kostiumowej. Oczywiście wasi londyńscy krawcy nie są w takich razach żadną pomocą. Stanowią pod tym względem przeciwieństwo swoich kolegów z Hongkongu. Nie uszyją ci garnituru w dwadzieścia cztery godziny. Musisz więc planować wszystko z dużym wyprzedzeniem, albo z góry zrezygnować. Z butami jest jeszcze gorzej - co najmniej sześć miesięcy oczekiwania. - Spogląda wprost na mnie i milknie wyczekująco, domagając się tym milczeniem aprobaty.

Uznają to za dobry znak. To może się okazać ważne. Chociaż jesteśmy zespołem, nie chcę, by Rupert i Philip zmonopolizowali kontakty z Ryanem. Nie mam nic przeciwko temu, by Rupert był głównym operatorem Battleman Peale w operacji Ergo, ale wiem z doświadczenia, że lepiej dać się poznać klientom,

wpoić w nich przeświadczenie o własnej użyteczności. Cóż, sukces ma to do siebie, że wymazuje z pamięci dyrektorów nazwiska co skromniejszych pracowników, podczas gdy porażka wyłania ich z tłumu anonimowych twarzy. Jednak nie przychodzi mi do głowy żadna mądra ani zabawna odpowiedź i to mnie frustruje.

- Ma pan z pewnością rację - mówię tylko.

- Nawet wy musicie uważać, by nie zamulić swojej podświadomej wyobraźni - ciągnie Wiley Ryan. - Sprawność techniczna i wizja są niezwykle ważne, ale wizja jest nieporównywalnie cenniejsza. Nie tak daleko stąd mam stajnię. To żadna tajemnica. Jedziemy tam z Tag, prosto z Castlemorland. Dlaczego to robię? Dlatego, że jestem urodzonym jeźdźcem? Ponieważ jestem miłośnikiem tych zwierząt? Absolutnie nie! Dla tych samych powodów kupuję abstrakcyjne dzieła sztuki i chodzę po górach w odległych rejonach świata. Ludziom może się wydawać, że zaniedbuję interesy, ale zdarza się, że jestem na szlaku górskim lub na otwarciu galerii, albo wiszę na linie na ścianie lodowca i nagle w tym, co widzę, dostrzegam metaforę transakcji, do której się przygotowuję. Rozwiązanie zostaje mi podane na talerzu. W dziewięciu przypadkach na dziesięć sprawa ukazuje mi się w zupełnie innym świetle.

Philip milczy, co wydaje się dziwne, zważywszy temat dyskusji.

- Czy ktoś ma ochotę na papierosa? - pyta Lucinda Lowe. Z marlboro w dłoni, unosi ramię tak wysoko, że malachitowa bransoleta zsuwa się prawie do łokcia. Skórę na ramionach ma jasną i, podobnie jak twarz, piegowatą. Wierzchem dłoni odrzuca długie, rude włosy na plecy, przekrzywiając przy tym leciutko głowę. Jej spadziste ramiona o klasycznej linii wyłaniają się z fałd materii w kolorze kości słoniowej.

Z wrodzonym wdziękiem Rupert postępuje ku niej z zapaloną zapalką, osłaniając stuloną dłonią chwiejny siny płomynek.

- Dziękuję bardzo - mówi Lucinda, zaciągając się dymem.

- Rupercie! - zwraca się do niego Tag. - Coś zauważyłam. Zobaczyłam, że na mankietach koszuli masz wyhaftowany monogram. To mnie zafascynowało, ponieważ zaledwie przed paroma dniami widziałam podobne u innego Anglika i powiedziałam Ryanowi, jak ładnie wyglądają.

- Doprawdy? - Rupert podnosi rękę i przygląda się niebieskim literom wyhaftowanym na mankietach własnej koszuli, jakby zdumiał go fakt ich posiadania.

- A ty, Adrianie? - dopytuje się Tag. - Też je masz?

- Co? A, nie, nie mam, niestety.

Tag spogląda na niego ze zdawkowym współczuciem.

- To bez znaczenia. Możesz przecież nie dbać o takie rzeczy.

Adrian podnosi wolno wzrok znad szerokiego kieliszka, potem przeciąga palcem po dolnej wardze, maskując ziewnięcie.

- Kiedyś bardzo chciałem je mieć - mówi w końcu. Wzdycha ostentacyjnie, potem upija kolejny łyk urodzinowego kruga.

- Naprawdę? I co sprawiło, że zmieniłeś zdanie? - Tag nie mogłaby zdradzać większego zainteresowania, gdyby Adrian był dyktatorem mody.

- To długa historia - mówi Adrian. - Ale spróbuję się streszczać.. Pewnego wieczoru, mogłem mieć wtedy piętnaście lat, ojciec zadzwonił do mnie do szkoły, żeby umówić się na lunch i wizytę u swojego krawca. Sporo urosłem przez ostatni rok i ojciec doszedł do wniosku, że osiągnąłem już maksymalny wzrost. Jego przewidywania okazały się słuszne.
- Pamiętam to - wtrąca Rupert.
- Zjedliśmy lunch w Mayfair, w małej włoskiej restauracyjce, gdzie wszyscy go znali. Linguini pasipillo. Dziwne, jak pewne rzeczy potrafią utkwąć człowiekowi w pamięci. Poszliśmy do jego krawca na Bury Street, zostałem obmierzony i spędziliśmy pół godziny przeglądając katalogi wzorów. Ojciec zdawał się nigdzie nie spieszyć, rzecz zupełnie niezwykła podczas jego wizyt w Londynie. Wybrałem chyba z tuzin koszul, starając się wytargować jedną w paski zamiast konserwatywnej białej, jaką zdaniem ojca powinien nosić chłopiec w moim wieku. Nigdy nie był specjalnie odważny w ubiorze. Powiedział mi kiedyś, że wychowano go zgodnie z zasadą: jeżeli minąłeś mężczyznę na Berkeley Square i pięć minut później potrafisz sobie przypomnieć, co miał na sobie, oznacza to, że był źle ubrany. W każdym razie byłem tak zdenerwowany u tego krawca, jak chyba nigdy w życiu.
- Dlatego, że chciałeś coś odważniejszego - pyta Lucina.
- Och, nie! Ponieważ pragnąłem czegoś innego, ale bałem się poprosić. Wiecie, jak to jest, kiedy człowiek chce coś powiedzieć, ale nie wie, jak zacząć.
- W moim przypadku jest to zawsze seks - mówi Ralph. - Czy ona będzie chciała zrobić to, na co ja mam ochotę - teraz i tutaj, pal licha wcześniejsze ustalenia? Ale u krawca, z ojcem...
- W tym wypadku - śmieje się Adrian - pragnąłem tych haftowanych monogramów, jakie mieli chłopcy w szkole. Dokładnie takich, jakie ma Rupert: małe drukowane litery na rękawie lub prawej kieszeni koszuli. W tamtych czasach było to naprawdę coś: jak opalenizna w zimie, albo własne zdjęcie w „Tatlerze”. No wiecie - szpan! W końcu zebrałem się jednak na odwagę. „Ojciec - wyrzuciłem z siebie - niektórzy moi koledzy mają inicjały wyhaftowane na koszulach i uważam, że to wygląda bardzo elegancko... Zastanawiałem się, czy też nie mógłbym ich mieć.” Nie wyobrażacie sobie, jaką ulgę sprawiło mi wypowiedzenie tych słów!
- A co na to twój ojciec? - pyta Wiley. Adrian waha się, ze szklanką w pół drogi do ust.
- Spojrzał mi prosto w oczy, łagodnie, bez gniewu, i powiedział: „Adrianie, jeżeli potrzeba ci inicjałów na koszuli, żeby inni wiedzieli, kim jesteś, to oczywiście otrzymasz je.”
- Druzgocąca odpowiedź!
- Wcale tak nie uważałem.
- Nie? - pyta Julia.
- To było jak odkrycie jakiejś oczywistej prawdy.
- Czy od tamtego czasu zamówiłeś coś z inicjałami? - pyta Lucinda. -Nie.
- Wolno spytać, jakie są twoje inicjały? - indaguje Tag.
- A.F.H.M.L. Adrian Frederick Henry Middleton-Lygham.
- Zgadza się z twoim ojcem. Wiley ma tylko trzy litery. Jego pełne nazwisko brzmi Wiley Augustus Ryan, W.A.R., co już stanowi pewną deklarację.

- Bardzo ważną deklarację - przyznaje Ralph.

Rozlega się pojedyncze uderzenie. Wskazówki zegara-planetarium stojącego na stoliku w alkwie wskazują dziewiętnastą trzydzieści. Mosiężny wszechświat ponad tarczą ukazuje położenie planet układu słonecznego względem Saturna.

- Zanedbujemy cię - zwraca się Rupert do Wileya Ryana, stwierdziwszy, że gość ma pusty kieliszek.

- Och, nie martw się. Nie twoja wina. Przecieka od góry.

- Pozwolisz...

- Wiesz, czego bym się chętnie napił, jeżeli nie sprawi to kłopotu? Martini. Ze wstydem przyznaję, że mam taki brzydki zwyczaj - jedno wytrawne martini z cytryną, jeśli to możliwe.

- Z dżinem czy z wódką? - pyta dalej Rupert.

- Z dżinem, proszę. Kojący efekt jałowca i tak dalej. Adrian szybko podejmuje temat.

- Nie wolno zapominać o kolendrze. Trudno również przecenić znaczenie kosaćca, a także dzięgielu i kasji. Niestety, ja nie mogę znieść zapachu dżinu, wiecie, co mam na myśli. - Nie zważając na niezręczną ciszę, jaka zapanowała po jego wystąpieniu, rusza w stronę szafki z alkoholem, najwyraźniej z zamiarem zastąpienia Ruperta w roli barmana. Mahoniowa szafka z czasów regencji jest dość zmalretowanym meblem, którego przeszklone drzwiczki zasłania od środka plisowany surowy jedwab. Sfatygowany zawias skrzypi przenikliwie, kiedy Adrian otwiera prawe skrzydło.

- Rozwiązaniem jest... uwaga, proszę państwa! Rozwiązaniem jest centymetr noilly pratt, nie więcej, dwa centymetry dżinu i odrobina wódki towarzysza Smirnoffa. Wszystko to należy wlać do shakera, dodać lodu i dokładnie wymieszać... W górę, w dół i na boki, oto sekret mieszania alkoholu! I co o tym myślisz?

Ku mojemu zdumieniu Adrian nie próbuje specyfiku, lecz nalewa go do kieliszka Ruperta, jakby tylko jego pochwały szukał, jakby tylko jego zdanie się liczyło. Rupert podnosi niechętnie kieliszek do ust, bierze na język kilka kropli.

- Co zauważyłeś? - pyta Adrian. Rupert przełyka.

- Wódka całkowicie neutralizuje dżin.

- Abrakadabra! Teraz możemy poczęstować maluchem pana Ryana, skoro trunek zyskał aprobatę jego bankiera. Ktoś jeszcze reflektuje?

- Poproszę - mówi Rupert.

- Dla mnie tylko odrobina - przyłącza się Philip.

- Och, ja dziękuję - wymawia się Isabel. - Może John. Rozśmieszasz mnie, Adrianie.

- Nie, ja dziękuję - mówię.

- Daj spokój! - nalega Ralph.

- Dlaczego ja?

- Amerykanie są przyzwyczajeni do mocnych trunków - wyjaśnia. - Bardziej niż my. Musisz przyznać, że to prawda. Wypijacie kilka petard przed kolacją, podczas gdy my zadowalamy się jakimś cienkuszem.

- Którego sączycie przez cały wieczór... i popołudnie - dodaje.

- Zdarza się. Dlaczego nie? Przy picciu ważna jest kwestia czasu. Liczy się nie tylko to, co pijesz, ale w jakim tempie to robisz.

- Ja w każdym razie pozostanę dzisiaj przy szampanie - mówi Adrian. - Jestem przecież na cenzurowanym. - Odstawia shaker i kieliszek na srebrną tacę, spogląda porozumiewawczo na siostrę i uśmiecha się.

Julia prowadzi nas do holu i dalej Długim Korytarzem ku jadalni, której drzwi stoją otworem. Pod trzema edynburskimi żyrandolami długi stół czeka, nakryty od rana, połyskując najcenniejszymi kryształami i srebrną zastawą Castlemorland. Ciężkie draperie zasłaniają całą jedną ścianą, opadając w malowniczych fałdach na podłogę.

Wchodzimy buńczucznie do tej wspaniałej sali, pod okiem malowanych Che-viotów i Gravesendów. Portret drugiego earla Gravesenda, wiszący wysoko ponad wielkim marmurowym kominkiem, został namalowany specjalną techniką, która sprawia, że oczy earla zdają się podążać za patrzącym i spoczywają na nim, kiedy gość staje. Zwracam uwagę Wileya Ryana na tę malarską sztuczkę i wyjaśniam, że drugi earl - którego długie włosy w kolorze orzecha laskowego, jasna cera i ostre rysy tak bardzo przypominają mojego syna - otrzymał od swoich dwudziestowiecznych potomków przydomek „Chytre Oko”.

- Staraliśmy się rozsadzić gości według płci - oznajmia Julia spokojnie, obchodząc stół - ale nie jest nas do pary. Przy każdym nakryciu znajdziecie karteczkę z nazwiskiem. Adrianie, zajmij miejsce u szczytu stołu. Tag usiądzie po twojej prawej ręce, Lucinda po lewej.

- Jakże to ma znaczenie, czy goście są do pary? - wyrywa się Ralph. - To przyjęcie urodzinowe, nie orgia.

- Dzięki Bogu! - wykrzykuje Lucinda.

Śmiejąc się zajmujemy miejsca. Gości jest dosyć, by można mówić o przyjęciu, choć bez wątpienia mniej, niż zasiadłoby przy tym stole, gdyby nie niedawna śmierć ojca Julii. Świece - fale płomieni, migotliwe iglice żółci i oranżu - zdają się dobywać róż z damasceńskich draperii i nasycać nimi przestrzeń nad stołem, a także naszą skórę, przywracając do życia gładkie, wyczekujące twarze z naszej młodości. Na odległej ścianie po mojej lewej ręce dzieło dawnego mistrza wylania się na chwilę z mroku i ponownie w nim ginie. Spoczywa na nas wzrok zbrojnych wojowników i polityków, upolowanej grubej zwierzyny i zestrzelonych ptaków, Boga i upadłego anioła.

- Łosoś jest dziełem Lucindy - oznajmia Julia. Ma na myśli malowane talerze maźnięte kawiozem z bielegi, które ma przed sobą każdy z nas. - Kawior jest prezentem od państwa Ryanów.

Taggart Ryan siedzi po mojej lewej ręce. W chwili, gdy pochylam się ku niej, by podziękować w imieniu gospodarza, Wiley ściąga na siebie uwagę całego stołu, pytając donośnym głosem:

- Słyszałem, Julio, że piszesz książkę?
- Raczej marzę o tym. Chciałabym napisać opowiadanie dla dzieci.
- Ale to nie jest twoja pierwsza książka?
- Bardzo żałuję, ale tak.
- Z tego co mówił Rupert, zrozumiałem...
- Napisałam kilka monografii, jedna z nich została umieszczona w zbiorze, ale cała książka nie była moja. Zresztą było to w innym życiu, przed Andrew i Louisą. Teraz spędzam dni z dziećmi i psami i nie powiem, żeby mi to nie odpowiadało.
- O czym ma być ta książka? - pyta Tag.
- O kobietach, które wypadły z historii angielskich rodów. A przede wszystkim o tym, jaki efekt miało ich zniknięcie i co by się stało, gdyby pozostały równie czynne jak mężczyźni, których poślubiły lub z którymi sypiały.
- Wiele kobiet odegrało jednak jakąś rolę w waszej historii - mówi Ryan.
- Jedna czy dwie królowe.
- Julia studiowała filozofię - wyjaśnia jej brat. - A potem również historię sztuki.
- Należałoby raczej powiedzieć, że liźnęłam temat.
- Nie, poważnie - mówi Adrian. - To interesująca kombinacja.
- Szlachetne nonsensy - upiera się Julia.
- Wcale nie - zapewniam zgromadzonych. Alkohol nie wywiera na mnie tak natychmiastowego, zniewalającego wpływu, jak na Adriana, niemniej osiągnąłem już fazę łagodnego ubzdryngolenia.
- Oczywiście, że nie - przyklaskuj e mi Adrian.
- Zawsze miałem najwyższy podziw dla ludzi, którzy potrafią napisać książkę- wyznaje Wiley. - Gdybym tylko miał talent, usiadłbym i napisał epopcję, mówię wam. Widziałem tyle, że starczyłoby na trylogię.
- Byłby to z pewnością wspaniały thriller - zapewnia Tag.
- Kto wie, kto wie? - odpowiada Riley. - Po części thriller, po części autobiografia. A po części podręcznik ekonomii i historii finansowości. Czy istnieje lepszy temat? - Chrząknięciem oczyszcza gardło, a jego zadumane spojrzenie wędruje ku sufitowi. - Co najważniejsze, zmienia się mechanizm kontroli. Jeszcze przed paroma laty ktoś, kto miał świetny pomysł i nic poza tym, musiał się zdrowo namęczyć, żeby zdobyć kapitał, a kiedy już go zdobył i przystępował do realizacji pomysłu, okazywało się, że wpadł w łapy bankierów. Musiał oddać im ogromną część tego, co posiadał, ponieważ genialnych młodych ludzi i małe przedsiębiorstwa o dużych możliwościach liczone wtedy na pęczki, a władza należała wyłącznie do tych, którzy kontrolowali kasę. Pożyczki, o ile nie były przeznaczone na szybkie operacje, w ogóle nie wchodziły w rachubę, a nawet te nadrobmej-sze musiały przejść przez banki lub, co gorsze, przez firmy lichwiarskie. Rynek papierów wartościowych, do którego wielkie przedsiębiorstwa mogły się zwrócić

o pożyczkę, działał na zasadzie ekskluzywnego klubu. Żeby tam pójść, trzeba już być członkiem. Jak z tym przysłowiowym bankiem, który pożyczyci ci pieniędzy dopiero wtedy, gdy zdobędziecie pewność, że ich nie potrzebujecie. My możemy poszczycić się jednym - udowodniliśmy, że bardziej niż historia przedsiębiorstwa liczy się jego aktualna zdolność spłaty zadłużenia. I dzięki Bogu. Byłoby z wielką stratą dla nas i dla wielu innych ludzi, gdybyśmy tego nie zrozumieli. Przeszlibyśmy przez życie nie wiedząc, że przedmiot naszego pożądanego, choć wydaje się nieosiągalny, znajduje się w zasięgu ręki. W zasięgu ręki! Po raz pierwszy w historii największe operacje - ogólnoswiatowe transakcje, o zasadniczym znaczeniu dla naszego codziennego życia - są w zasięgu ręki. Potrzebna była tylko wyobraźnia.

Jestem zdumiony jego wystąpieniem - zdumiony i przestraszony. Jeden rzut oka wystarczy, by stwierdzić, że Philip i Rupert doznają podobnych odczuć.

- Planujesz jakiś duży zakup? - pyta Ralph.

- Och, nie! Na razie nie mam nic na oku. Z drugiej strony, nigdy nie wiadomo, kiedy trafi ci się transakcja życia. Najczęściej wielkie okazje zdarzają się, kiedy najmniej tego oczekujesz i dobrze wtedy wiedzieć, że istnieją środki, które pozwolą ci tę szansę wykorzystać.

- O ile dobrze rozumiem - Julia ściąga brwi z namysłem - twierdzisz, że na rynku skumulowane są duże pieniądze, które da się wykorzystać w ryzykownym przedsięwzięciu. I że nagle to myśl stała się dobrem cenionym najwyżej. Gdyby to miało być prawdą, musiałby nastąpić rewolucyjny przewrót w społecznym sposobie myślenia.

Wiley Ryan kiwa głową potakująco.

- Gospodarka musi utrzymywać formę, tak jak kraje czy ludzie - dodaje.

- Ale w przeciwieństwie do gospodarki - mówi Julia - czy nawet kraju, człowiek nie może zmienić praw natury, odzyskać młodości i zacząć wszystkiego od początku. - W głosie mojej żony pobrzmiwają żartobliwe nutki.

- Czy aby na pewno? - śmieje się Wiley Ryan. - Kto wie, czego istota ludzka potrafi dokonać, dysponując dostatecznie wysokim kredytem?

10

Ico ty na to? - pytam Ruperta, który zaszedł do toalety w Długim Korytarzu i teraz stoi obok mnie przed marmurowymi pisuarami, które dziadek Julii kazał zainstalować na początku wieku.

- Na co? - Rupert wpatruje się w oprawiony plakat, wiszący na poziomie naszych oczu. - A! Nic.

- Przez chwilę bałem się, że wszystko wypaple - mówię, zdziwiony jego niewzruszonym spokojem.

- Ja nie. Kiedy się nad tym zastanowisz, zrozumiesz, że Wiley Ryan nie powiedział nic konkretnego. Nie operował faktami. To prawdziwa sztuka. Zauważ, jak mądrze się asekurował, mówiąc, że w najbliższym czasie nie przewiduje większych zakupów. Cieszę się, że Ralph zapytał go o to wprost. To dowodzi, że nawet on może się na coś przydać.

- Mam nadzieję, że się nie mylisz.

- Możesz być spokojny.

Zgarniamy Philipa i Wileya do sali bilardowej za biblioteką. W pokoju jest chłodno i ciemno. Rupert naciska przełącznik i pomieszczenie zalewa niesamowite, fioletowe światło jarzeniówki. Na stole dwadzieścia dwie bile tworzą różnobarwną piramidę.

- Rozegramy partyjkę? - zwraca się Rupert do Wileya.

- Mamy na to czas?

- A kto patrzy na zegarek?

- Mówiłem, że rano wyjeżdżamy z Tag do Newmarket. Co nie znaczy, że będę nieuchwytny. Można się ze mną kontaktować o każdej porze dnia i nocy. Zostawię wam numer. - Wprowadza do elektronicznego notatnika oprawionego w świńską skórę numer telefonu komórkowego, który najwyraźniej zna na pamięć. - A jakie są wasze plany?

- Jadę do Londynu - odpowiada Rupert. - Jutro po południu spotykam się z pracownikami Asia and Omnibus. Spróbują wydobyć z nich ostateczną deklarację, ustną oczywiście, przedstawię nasz plan rozmów, żebyśmy mogli zacząć przygotowywać dokumentację. Philip będzie ze mną.

- Dobrze, bardzo dobrze. John?

- Ja też wyjeżdżam wcześniej rano. Mam spotkanie z Amerykanami, którzy dołączą do syndykatu. Naturalnie bez żadnych konkretów, na tym etapie chcemy ich tylko ogólnie przygotować. No i czeka nas mnóstwo papierkowej roboty w biurze. Załatwię to sam, z jednym tylko współpracownikiem, żebyśmy mogli zacząć nie wtajemniczając postronnych. Byłoby dobrze, gdyby prawnicy weszli za parę dni, ale trzeba im przygotować ile się da. Nie byłiby zachwyceni tym, co teraz powiem, ale im więcej roboty odwalimy za nich, tym lepiej dla nas. Nie tylko dlatego, że są cholernie kosztowni, kiedy już włączą liczniki, ale ponieważ w połowie przypadków przynoszą więcej szkody niż pożytku, dając stronom tyleż powodów, żeby zerwać układy, co żeby je kontynuować.

- Mnie to mówisz! Starajcie się trzymać prawników w nieświadomości jak długo się da - błaga Wiley.

- Wiley... - zaczyna Rupert. - Jeżeli chodzi o kierownictwo A&O...

- Chuan chce więcej niż oczekiwaliśmy? - przerywa mu Ryan.

Rupert próbuje ukryć zdziwienie; nie zmienia tonu głosu i nie odwraca wzroku.

- Właśnie! Obawiam się, że mają inną skalę wyceny menedżerów. Nie są przyzwyczajeni do takich stawek.

- Oczywiście, że nie są przyzwyczajeni! Nikt nie jest. Ustalamy precedens. Ale spodziewałem się, że to na nas porobią oszczędności.

- Zaznaczyli to na samym wstępie. Co nie oznacza, że suma przeznaczona dla ciebie i twojego zespołu nie znajduje odzwierciedlenia w ogólnych liczbach. Jesteśmy absolutnie przekonani, że jej wysokość da się uzasadnić.

Wiley śmieje się szelmowsko.

- Zgódź się na wszystko, czego chcą... dla zasady, jak to mówią dyplomaci.

- Nie wydaje mi się, żeby to było konieczne, naprawdę nie uważam. Jeżeli mądrze to rozegramy, wyjdą nam w pół drogi.

- Nie rozgrywaj tego mądrze. -Nie?

- Posłuchaj, co ci powiem.

- Słucham.

- Rupercie - zaczyna Wiley - zawsze powtarzałeś, i zgadzaliśmy się co do tego, że budujemy ten interes od podstaw, prawda? Na bazie istniejącej sieci instytucjonalnej Battleman w U.K. Na bazie kontaktów twoich, moich i kilku menedżerów w Stanach. A także przy udziale trzeciej strony, którą okazało się A&O, nawiasem mówiąc znakomity wybór. Strona chińska, oferując autorytet ludzi, którzy wnoszą własne pieniądze, jest naszym filarem. Chryste, to są zawodowcy! Najstarsi handlowcy świata i pod wieloma względami nadal najlepsi. Zdobędziemy ich szacunek, jeżeli staniemy w obronie własnych interesów, ale dopóki transakcja nie będzie w toku, nie chcemy, nie możemy sobie pozwolić na antagonizowanie naszych partnerów. Przyjmij więc wstępnie ich warunki; daj im odczuć, że zgadzamy się w zasadniczych punktach. Wyklócaj się o drobnostki, o coś, co nie spowoduje zerwania układów, jeżeli wydaje ci się, że musisz, jeżeli to cię uszczęśliwi. Przedstawiając im pełną dokumentację, przyjmujemy twardszą linię postępowania, obiecuję. Ale wtedy wszystko będzie już dograne, wszystkie elementy łamigłówek znajdą się na swoim miejscu, perspektywy staną się tak oszałamiająco atrakcyjne, że oni nie ośmielą się niczego storpedować, nie drgnie im nawet powieka. - Wiley Ryan uśmiecha się dobroduszenie, wybiera kij z kosza, pociera jego koniuszek kredą. - Prawda, Philipie?

- Duma sprawia, że ludzie robią dziwne rzeczy.

- Tak - mówi Wiley Ryan - ale ja przez całe życie przyglądałem nastroszone piórka. I spodziewam się, że kiedy przyjdzie czas, wyuczynicie to samo. Pomogę wam. Wiary, Philipie.

- Jest jednak inny aspekt tej sprawy, wart rozważenia. - Rupert udaje obojętność, pozornie pochłonięty oględzinami swojego kija bilardowego.

- Tak?

- Może należałoby doprowadzić negocjacje z A&O do punktu, skąd nie ma odwrotu i nie istnieje możliwość blokady.

- Ale taki punkt w ogóle nie istnieje, nawet w życiu - oznajmia Wiley. - To podstawa mojej filozofii. Zawsze wynikną nieprzewidziane koszty - takie, których się nie wzięło pod uwagę przez zapomnienie, rachunki prawników i mnóstwo innych. Wypełzają nie wiadomo skąd. Nie pozostaje nam nic innego, jak przygotować się na to, nauczyć się lawirować między nimi z wdziękiem, bez uszczerbku dla kieszeni.

Patrząc jak bila, pchnięta celną ręką, mknie po zielonym suknie i rozbija inne kule, odczuwam niepokój, prawdę mówiąc boję się: nie tego, że strategia Wileya okaże się zupełnie chybiona, lecz że spowoduje trudności, stworzy podwaliny ogólnej klęski. Z doświadczenia wiem, że interes zbudowany na uczciwości, choćby przypieczętowany uściskiem ręki, może przetrwać trzęsienie ziemi, podczas gdy transakcja oparta na kłamstwie przypomina zamek na ruchomych piaskach. Proszę mnie źle nie zrozumieć. Nie jestem niewiniątkiem. Zdaję sobie sprawę, że ludzie bogaci są często kłamcami, lub byli nimi w przeszłości; sądzę również, że kłamcy jako gatunek posiadają większy talent bogacenia się niż ludzie z gruntu uczciwi. Poczytuję sobie jednak za szczęście, że nie musiałem reprezentować zbyt wielu takich ludzi. Stylizuję się bowiem na profesjonalistę, wysoko opłacanego niewolnika, kogoś, kto służy radą raczej niż obmyśla i przeprowadza wielkie transakcje, którego nazwisko nie pojawi się w żadnym podręczniku historii biznesu. I nie mam absolutnie nic przeciwko temu, by ludziom takim jak ja, pracującym w miejscach takich jak ja, przypinano etykietkę świętoszka. Jest to swego rodzaju rekompensata, premia za to, że pozostajemy w cieniu każdej transakcji. Do Battleman przyciągnęła mnie niemal anachroniczna reputacja firmy dyskretnej i uczciwej, jej absolutnie nienaruszalny kodeks honorowy. Tchórzostwo Ruperta wobec przewrotnego planu Wileya Ryana, milczenie Philipa i moje własne, wywołują we mnie gniew i zniechęcenie. Jaki jest sens służyć radą klice menedżerów i potencjalnych właścicieli, którzy o wiele wyżej cenią naszą aprobatę niż nasze szczere opinie?

Głupie pytanie. Chodzi przecież o pieniądze - honoraria na skalę, która przyniesie nie tylko jednorazowy dochód, ale realne bogactwo każdemu z nas. Kwoty mogące wywołać reakcję łańcuchową: większe honoraria, pozwalające wyrobić sobie odpowiednią reputację, która daje jeszcze większe honoraria. W praktyce pomyślne sfinalizowanie operacji Ergo ustawi mnie na resztę życia, pozwoli utrzymać Julię i dzieci na odpowiednim poziomie, pozwoli zaspokoić wszystkie ich potrzeby: najlepsze szkoły dla Louisy i Andrew, ich wakacje, wielkie i małe przyjemności, które stanowią o radosnym lub smutnym dzieciństwie. Będę mógł spłacić hipotekę i kupić letni dom na wsi, przestanę drzeć o swoje zarobki, uniezależnię się od kapryśnego rynku pracy i układów partnerskich. Julia, mam nadzieję, poczuje się swobodniej, nabierze oddechu. Zniknie może ten element współzawodnictwa, który cechuje jej stosunki z bratem. A ja po raz pierwszy w życiu będę mógł zwolnić trochę tempo, pozwolić sobie na relaks. Żadne z nas, ani Julia, ani ja, nie marzyło o takim bogactwie, ja chyba jeszcze mniej niż ona. Myślę z przyjemnością o tym, że będę mógł pomóc Adrianowi zabezpieczyć przyszłość Castlemorland, choć na razie nie wiem jeszcze w jaki sposób.

Może zdarzyć się również coś odwrotnego. Człowiek otrzymuje tak mało prawdziwych szans w życiu, a i na te nieliczne czyhają inni - młodszy, bardziej chciwi, twardsi, a równie zdolni - którzy jak wyspecjalizowane sępy wyczyszczą pole pozostawiając same resztki. To mnie przeraża, ale staram się odsunąć od siebie okropny obraz, ponieważ nadeszła moja kolej przy stole bilardowym. Posyłam czwartą bilę do bocznej kieszeni, a potem, po uważnym ustawieniu, sześć

karamboli do przeciwległego rogu. Uderzone rykoszetem suną przez gładkie zielone sukno. Zapada cisza i ta cisza trwa. Najwyraźniej osiągnęliśmy porozumienie, milcząc. Zaciągam się głęboko dymem cygara, patrząc na biały cylinder popiołu, który narósł poza linią ognia.

- Dołączycie do nas z Tag w bibliotece? - pyta Rupert Wileya Ryana kiedy zakończyliśmy tę mocno skróconą partię bilarda.

- Dziękuję, nie - wymawia się Wiley. - Powinniśmy już iść spać. Przed nami długa droga, a chciałbym być w formie, kiedy dostanie mnie w ręce nasz trener.

Nagle pozbawieni towarzystwa Ryanów, sadowimy się w bibliotece przed kominkiem, Adrian z mosiężnym pogrzebaczem w ręku. Dorzuca polano z pojemnika na drewno i ogień bucha jasnym płomieniem. W jego świetle przestrzeń między kanapami, osaczona zewsząd mrokiem, nabiera intymności obozowiska. Mimo woli gromadzimy się wokół ogromnej kwadratowej komody służącej za stolik. Julia błyskawicznie zgarnia z niej stopy czasopism - starych „Country Life” i „Field” - tworząc pustą przestrzeń między książkami o sztuce i sobotnimi dodatkami dzienników. Siadamy jedno obok drugiego na głębokich aksamitnych sofach. Na podłodze, rozluźnieni alkoholem i późną porą, leżą Lucinda i Ralph. Dużym palcem u nogi Lucinda gładzi pękata nóżkę komody, dłoń Ralpa spoczywa na talii dziewczyny. Nieoczekiwanie osiągnęli nowy poziom intymności, do czego nie upoważnia ich nawet długa wspólna historia. Nieokreślona uroda Lu-cindy wydaje się teraz bardziej jeszcze nieuchwytna niż przy kolacji. Jest w niej coś hipnotyzującego, kiedy tak leży, wsparta na jednym łokciu, z wygiętym ciałem, oczami, które nic nie skrywają i w tym świetle wydają się bardzo młode. Górna warga, nieco za krótka, nadaje jej twarzy wyraz rozdrażnienia, prawie okrucieństwa, ale Lucinda zwilża usta językiem, po dziecinnemu, i efekt znika.

Ralph udaje, że całą jego uwagę pochłania talia kart, którą Julia wyjmuje z celofanu i zaczyna tasować, przygląda się Lucindzie tylko kątem oka. Adrian i Isabel zajmują sofę naprzeciwko nas.

Zjawia się Rupert z butelką armaniaku i z korkociągiem, którym już otwiera butelkę. Za nim podąża Philip z pękatymi kieliszkami. W jego oczach zapala się iskra zazdrości, kiedy dostrzega oczywiste przyzwolenie Lucindy, ale jest to tylko iskra, tęsknota, która nie przetrwa wieczoru.

- Gramy na pieniądze? - pyta Ralph.

- Mam nadzieję, że nie, o tej godzinie! - protestuje Lucinda.

- Więc rozbierany poker?

- Możemy zacząć od zdjęcia marynarek. Ogień strasznie grzeje - proponuję.

- Tylko nie na ubrania - mówi Lucinda. - Nie znamy się aż tak dobrze, prawda?

- Prawda - przytakuje Julia.

- Tylko żartowałem - wyjaśnia Ralph. - Dwadzieścia pięć pensów za zeton?

- Pięćdziesiąt.

- Niech będzie pięćdziesiąt. Na to przystajemy wszyscy.

Dostaję dzokera karo, dwójkę kier, trójkę treflową, siódmkę i dziewiątką pik, i staram się powstrzymać grymas niezadowolenia. Niemal ukradkiem Rupert podnosi i studiuje zwarty wachlarz kart, które dała mu Julia.

Lucinda się uśmiecha.

- Nie słyszałaś nigdy o twarzy pokerzysty? - zwraca się do niej Ralph.

- Co? A, przepraszam - mówi ona. - Nawet nie myślałam o kartach.

Julia kładzie resztę talii na stole, grzbietem do góry, żetony wędrują do puli.

- Ktoś sobie życzy karty?

Oddaję dwójkę kier i trójkę treflową. Philip odrzuca piątkę pik. Lucinda nie oddaje nic.

- Faktycznie robi się tu gorąco - mówi Rupert.

- Nie patrz na mnie - broni się Adrian. - To Isabel jest odpowiedzialna za nasze kontakty z państwowym zakładem gazowniczym.

- Co masz na myśli? - pyta Ralph.

- Musisz ją spytać - mówi Adrian. Isabel wzdycha omdlewająco.

- Kochanie, opowiedz im, proszę. To jest takie śmieszne.

- Nie śmieszne, tylko moralnie uwłaczające - wyjaśnia Isabel. - Kilka lat temu kupiłam mieszkanie. Kupiłam je za wszystkie swoje pieniądze i całkiem sporą ilość bankowych. A potem przyszedł rachunek za gaz... osiemdziesiąt pięć funtów, zdaje się... i zapłaciłam go. Wstydziałam się zapytać, dlaczego tak dużo. Po prostu uznałam, że widocznie wszyscy tyle płacą. Koszty utrzymania w Londynie i tak dalej.

- Przepraszam, że przerywam - odzywa się Ralph - Nie będzie więcej kart?

- Przepraszam, Ralph. Ja poproszę.

- Jest jeszcze coś do pięcia? - pyta Adrian.

- Obok ciebie - odpowiada Rupert.

- Ktoś jeszcze ma ochotę? - Adrian rozgląda się po swoich gościach. - Znakomity trunek. A propos, skąd pochodzi?

- Z lotniczego sklepu bezcłowego - odpowiada Rupert.

- Lepszy niż koniak. O wiele lepszy, zawsze to powtarzałem.

- Więc zapłaciłaś rachunek i... - Philip przynagla Isabel po kilku chwilach ciszy.

- To trochę nudne.. .Więc po miesiącu przyszedł następny rachunek. Listopadowy, zdaje się, robiło się chłodno. Opiewał na sto siedemdziesiąt z kawałkiem. Doznałam szoku, ale zapłaciłam z moich bardzo skromnych oszczędności. Nie mogłam sobie wyobrazić, jak radzą sobie inni. Może nie płacą i marzną? - Pas - mówi Julia.

- Ja też - wtóruje Ralph. - Robię to ze smutkiem.

- Stawiam funta - mówi Lucinda.

- Funt pięćdziesiąt - dodaje Philip. - Przepraszamy, Isabel.

- Nie ma sprawy. - Isabel odkłada własne karty. - Niestety, ja też wypadam.

- Korona by wam z głowy nie spadła, gdybyście dali fory solenizantowi -zwraca się Adrian do Julii. - Pas.

- Ja też - mówię.
 - Skończ opowiadać, zanim się wyłożymy - nalega Lucinda.
 - Zostałaś tylko ty i Philip - mówi Julia.
 - Grudzień był naprawdę mroźny tamtego roku, na pewno pamiętacie. Brrr, było naprawdę okropnie. Przyszedł rachunek na czterysta funtów.
 - Jezu! To straszne! Musiałaś mieć ogromne mieszkanie.
 - Wcale nie. Odbylałam poważną rozmowę z dyrektorem banku i zapłaciłam z overdraftu, po czym wezwałam dwóch robotników, żeby poszukali przecieku.
 - Ico?
 - Nic nie znaleźli. Instalacja była absolutnie szczelna. Za styczeń kazali mi zapłacić siedemset sześćdziesiąt trzy funty i pięćdziesiąt sześć pensów. Pamiętam dokładnie. Siedemset sześćdziesiąt trzy funty i pięćdziesiąt sześć pensów. Znalazłam się na granicy rozpacz, zapewniam was. Po zapłaceniu rachunku byłam praktycznie splukana. Któregoś razu pokazałam go Adrianowi. Właśnie zaczęliśmy się spotykać i byliśmy na etapie „poważnych kolacji”. Przecież nie wszyscy mają do dyspozycji takie sumy, powiedziałam, bez względu na to, jak jest zimno, nie mogą płacić tyle za ogrzewanie. „Pokaż ten rachunek”, powiedział Adrian. I co się okazało? Kwoty, które wpłacałam co miesiąc, to była nadpłata - nie wiem, skąd się wzięła - po odliczeniu prawdziwych kosztów ogrzewania, które nie były wielkie.
 - Teraz rozumiecie - kończy opowieść Adrian - dlaczego żenię się z Isabel. Żeby mieć darmowe ogrzewanie do końca życia. Kto wygrał to cholerne rozdanie?
 - Trzy asy - oznajmia Lucinda.
 - Dwa króle - mówi Philip.
 - Chyba czas spać - proponuje Julia. -Najwyższy - przyznaje Adrian. - Jestem wykończony.
- Rupert i Philip ruszają pierwszą ku głównym schodom, ich chód zdradza zmęczenie długim lotem i wielogodzinnym urabianiem Wileya. Są najbardziej trzeźwi, a jednocześnie najbardziej zmęczeni z całego towarzystwa. Ralph i Lucinda, symulując znużenie sobą otoczeniem, wchodzą po szaro-żółtych marmurowych schodach, nie rzuciwszy nawet okiem na jeden z najwspanialszych westybuli w Anglii. Ona wyciąga ku niemu otwartą dłoń, a on podąża za nią z beztróskim wdziękiem bogatego chłopca, któremu takie okazje spadają z nieba.
- Kierujemy się z Julią ku schodom, kiedy dzwoni telefon: dwa alarmujące dźwięki i cisza. Julia przystaje, pełna wahania. Kto może dzwonić o tej porze? Tłumiąc niepokój, wracam pospiesznie do biblioteki, gdzie zastaję Adriana przy biurku jego ojca, z wysłużoną słuchawką w ręku. Zauważywszy mnie, zakrywa membranę i mówi szeptem, który aż dudni w pustej sali:
- Matka Isabel.
 - Wszystko w porządku?
 - Jak najbardziej.
 - Powodzenia.

- Dzięki za wszystko, John.

W łóżku Julia wpatruje się w ciemność nad swoją głową, z takim napięciem, jakby gipsowy rycerz mógł być jeszcze widoczny.

Wzdycha ciężko, ostatnim wysiłkiem woli zbiera myśli.

- Biedny Ads - szepcze. - Mam tylko nadzieję, modłę się... - Nagle jej ciało unosi się i opada, kiedy Julia odwraca się na bok, tyłem do mnie, i zapada w sen. Obejmuję ją w talii, czując na łydkach jej pięty.

Castlemorland ucisza się w końcu. Każdy ruch, nawet najlżejszy szept niesie teraz daleko, nadspodziewanie daleko. Wchłaniam w siebie tę ciszę, dotykam mojej żony i nagle wspomnienie wczorajszej nocy przeszywa mnie na wskroś, wstrząsa nerwami. Czy obudzę się, a ciebie znowu nie będzie, zastanawiam się.

W półśnie słyszę chrzęst żwiru pod kołami, szum potężnego silnika nasila się, potem gaśnie.

11

Niecałe tysiąc lat temu - powiedział Adrian rzeczowo, niemal obojętnie - pewien rycerz otrzymał w lennie tyle ziemi, ile pokryje lot strzały. Wasalem tym był mój szlachetny przodek. Cięciwa została naciągnięta, strzała poszybowała w dal i kiedy miała już opaść, trafiła kozła, który, przeraziwszy się śmiertelnie, rzecz zupełnie zrozumiała, pomknął w siną dal. Rana nie była na tyle poważna, by nie mógł biec, toteż przemierzył szmat kraju, ciągle ze strzałą w boku. W ten oto sposób ustanowiono granice tej posiadłości. Dlatego zajmujemy dolinę i zbocza, ale tylko do wierzchołków wzgórz. Kozioł bowiem, wykończony biegiem pod górę, nie miał już sił zejść w sąsiednią dolinę.

Rozmowa ta miała miejsce podczas mojej pierwszej, dość nieoczekiwanej, wizyty w Castlemorland, zaledwie kilka tygodni po poznaniu Julii. Byliśmy na kolacji z moim znajomym i jego najnowszą długonogą zdobyczą. Podczas wieczoru wypłynęła kwestia weekendu; nasi znajomi jechali do Paryża. W samochodzie Julia powiedziała:

- Moglibyśmy się wybrać do domu, jeżeli masz ochotę. W piątek?

Pozostaje pytanie, czy zostałem zaproszony, czy zawezwany do Castlemorland; czy był to rewanż za kolacje, sztukę w Old Vic i koncert w Albert Hall, na które zapraszałem Julię, czy też miałem zostać oficjalnie przedstawiony rodzinie? Nigdy się tego nie dowiedziałem.

W sobotę naciągnęliśmy wellingtony i ruszyliśmy na obchód posiadłości. Julia zamknęła za nami furtkę, przez którą weszliśmy na pastwisko, prowadzące do następnego pastwiska, po czym stanęła niezdecydowana.

- Lepiej się pospieszmy, Johnie - powiedziała. - Tutaj jest byk.

Rzuciłem spojrzenie na stado po drugiej stronie łąki, zrobiłem w tył zwrot i pomknąłem do wyjścia. Kiedy już znalazłem się na zewnątrz, Julia roześmiała się wesoło.

- Boże, jesteś płochliwy niczym gazela - zadrwiła. - Nie ma tu żadnego byka. Przecież to widać.

- Otrzymałeś próbkę poczucia humoru mojej siostry - powiedział mi Adrian następnego dnia. - Nie martw się. Ona je okazuje tylko wobec ludzi, których naprawdę lubi. Wierz mi.

Był październik, schyłek popołudnia. Słońce utrzymywało się jeszcze ponad linią klonowego zagajnika, gdzie staliśmy przyglądając się grze światła w koronach norweskich świerków, które okalały z trzech stron meliorowaną plantację.

Wypiliśmy z Adrianem piwo w wiejskim pubie i ruszyliśmy na roboczy obchód Castlemorland. Po sprawdzeniu stanu prac przy żniwach, obejrzeniu wszystkich luźnych kopek pszenicy, jęczmienia i strąków rzepaku, schnących w szopie, skąd miał je zabrać kupiec, trafiliśmy do tej części farmy, gdzie plantacje nazywane są imionami dzieci Midleton-Lyghamów. Zgodnie z tradycją plantację zakłada się w pierwszym sezonie po narodzinach potomka. Do pola noszącego imię Julii przylegał wyrąb o powierzchni pięciu akrów.

- Plantację drenuje się po każdym zbiorze - wyjaśnia Adrian podnosząc z ziemi gałąź, żeby użyć jej jako laski.

- Drenuje?

- Osusza rowami. Ścinka drzew zabiera całe tygodnie, bo brakuje sprzętu rolniczego i ludzi. Potem jest spokój na pięćdziesiąt lat, aż do następnego wyrębu.

Adrian daje się ponieść tematowi, jak niektórzy ludzie dają się ponieść poezji albo opowieściom o wojnie toczonyj w latach młodości.

Widzę, jak zacieśnia i rozluźnia uchwyt palców na gałęzi. Musiał odziedziczyć te ręce, tę muskulaturę po przodkach farmerach. Jest w nim jakaś krzepkość i spokojna siła, cechy mniej może pociągające niż klasyczna uroda jego siostry, ale z pewnością równie godne szacunku.

- Nigdy nie byłem w Ameryce - oznajmił Adrian nagle. - Wiem, że jest piękna; przy takich przestrzeniach nie może być inaczej. Ale to tutaj również ma swój urok, prawda? Co o tym sądzisz? - Wskazał w stronę budynekczku, na wpół ukrytego pośród drzew. Była to gotycka herbaciarnia o bajkowej architekturze, stojąca na szczycie odległego wzgórza. - Zbudował go mój pra-pra-prawujek - mruknął Adrian niechętnie, zorientowawszy się, że dostrzegam w tym budynekczku raczej jego absurdalność niż malowniczość.

- Po co?

- Żeby umilić sobie całodniowe polowanie. Nie macie takich rzeczy w Ameryce?

- Nie.. .To znaczy, może na Zachodzie. Gdyby nawet były, to zupełnie inne. Może równie stare, albo wyglądające na równie stare, w zabawny, pierwotny sposób. Ale sprawiałyby wrażenie czegoś przynależnego do natury, nie do konkretnej rodziny.

- Tak takie rzeczy mogą istnieć tylko w Anglii. Nawet w Europie, która szczyci się długą tradycją polowań, jest inaczej. Ciągłość została przerwana. Starożytne społeczeństwa, ale zbyt sponiewierane przez historię. Praktycznie każde z nich znajdowało się pod obcą władzą przez dłuższy lub krótszy czas, zmieniały się ustroje. .

- A w Nowym Świecie ludzie polują na ptactwo tam, gdzie ono lata.

-Właśnie. .

Zapach torfu doleciał do nas wraz z falą chłodnego, wilgotnego powietrza. Zeszliśmy z pól, kiedy niespodziewana ściana deszczu odgrodziła nas od parku. Ziemia pod podszewkami wellingtonów była śliska od liści i igieł, wyraźnie twardsza tam, gdzie dokonano już melioracji.

Przyglądałem się Adrianowi przez chwilę w burzliwym, napierającym zewsząd zmierzchu.

- Gdybym był tobą... - zacząłem, ale me pozwolił mi dokończyć.

- Oszalałbyś po tygodniu, zapewniam cię. Farmerzy nachodzący cię ze swoimi problemami. Leśnicy z utyskiwaniami. Gajowi ze swoimi sporami i katastroficznymi prognozykami. Dzierżawcy ze wsi... rozwiążesz jeden problem, pojawia się następny. Zeszłej jesieni do naszego agenta przyszła kobieta, żeby spytać, komu przypadnie dom i dzierżawa, jeżeli rozwiodą się z mężem. Teraz jest w czwartym miesiącu ciąży i ani jej w głowie rozstanie. Ty prowadzisz o wiele ciekawsze życie, John. Nie chciałbyś być na moim miejscu i zamiast finansować wielką międzynarodową transakcję, szukać pieniędzy na pokrycie dachu. Życie ofiarowało ci wszystkie szanse. Naprawdę me pragnąłbyś być mną.

- Co chciałbyś robić, gdybyś się nie urodził Midleton-Lyghamem?

- Uprawiać ziemię. To jedyny talent, jaki posiadam, jedyna rzecz jaką umiem robić Oczywiście, gdybym był kompletnie kimś innym, chciałbym pewnie czegoś zupełnie innego. Z pewnością chciałbym robić coś... trwałego i godnego szacunku Możeszostałbym weterynarzem... -Uśmiechnął się nieoczekiwanie. -Jeżeli mam być szczery, swoją mocną stroną odkryłem dopiero, kiedy skończyłem osiemnaście lat i mogłem chodzić na popijawy.

- Zapewnienie przetrwania Castlemorland wydaje mi się zajęciem wystarczająco trwałym i godnym szacunku - skwitowałem śmiechem żart, a wraz z mm temat alkoholu, z którym, jak słyszałem, miał problem. -Nie wiem, czy coś może się z tym równać.

- Oczywiście, to ogromny przywilej. I człowiek robi to z miłości, me dla spodziewanej nagrody. Dopominanie się o uznanie zasług wydaje się w tych okolicznościach takie... niestosowne. W każdym razie nie jest to zajęcie, które zapewniłoby człowiekowi kącik w wieczności. Polega raczej na kultywowaniu tych aspektów przeszłości i dnia dzisiejszego, które przyszłość zechce zaakceptować. To wszystko. Ciągła zmiana. Nic nie stoi w miejscu. Nic nie pozostaje takie jak dawniej. Musisz to przyznać. Ani tutaj, ani w Ameryce.

- Ale Anglia zmienia się wolniej.

- Naprawdę? Może dlatego, że w tym kraju potrzeba trzech zezwoleń na budowę, żeby zbudować jedną stodołę. Mój ojciec mógł postawić budynek

gospodarczy, ale gdyby, dajmy na to, był miłośnikiem modernizmu w architekturze i zapragnął zbudować na tamtym wzgórzu dom ze szkła, szybko wybiliby mu to z głowy. Pewnie o tym nie wiedziałeś?

- Faktycznie nie wiedziałem.

- Jest to cena, jaką się płaci za przywilej mieszkania w kraju pozbawionym betonowych pudełek. Chociaż zdaję sobie sprawę, że dla wielu ludzi posiadanie kawałka ziemi z takim właśnie betonowym pudełkiem byłoby szczytem marzeń i ogromną poprawą standardu życia. Z pewnością mają na ten temat swój własny pogląd. W Ameryce stanowią większość.

- I zaglądamy sobie nawzajem w okna - powiedziałem. - Dolina by zniknęła. Zniknęłaby cisza. Wkrótce ci, którzy przybyli tu dla widoków i ciszy, znaleźliby się na przedmieściu, na kolejnym przedmieściu. - Usłyszałem w swoim głosie ton, który mi się nie spodobał: nie brak patriotyzmu, uchowaj Boże!, ale jakaś kocia nielojalność, która nie ujawniłaby się, gdybym znajdował się w Ameryce. Tak jak słuszny wydaje się pogląd, że należy bronić ojczyzny bardziej zażarcie za granicami niż czyniłoby się to w domu, tak naganne jest krytykowanie swojego kraju wobec obcych, choćby to była krytyka uzasadniona. Kochałem Anglię, ale ta miłość wywodziła się z miłości do dawnej, nie istniejącej już Ameryki. Wtedy nie wiedziałem jeszcze, że wypadki, które przywiodły mnie do Anglii, zatrzymają mnie w tym kraju o wiele dłużej, niż przewidywała wiza w paszporcie. Z czasem moja anglofilia osiągnęła absurdalne rozmiary. Doprowadziła do tego, że katalogowałem najmniejsze różnice między Anglią i Ameryką: kształt spinaczy do papieru (kwadratowe lub owalne), miejsce naklejania znaczków na kopertach (na boku lub u góry), ale przede wszystkim cenilem spokój i relatywny brak pośpiechu, wyraźnie odczuwalny w porównaniu z Hongkongiem i Nowym Jorkiem.

- Komu sędzić, po czyjej stronie leży racja? - zapytał sentencjonalnie Adrian.

- Człowiekowi, który przyjdzie tu za sto lat i ujrzy to samo, co my widzimy teraz, albo coś zupełnie innego.

- Tak brzmiałaby moja odpowiedź, ale przyznaję, że nie jestem w tej kwestii obiektywny. Zawsze czułem - prawdopodobnie dlatego, że nauczono mnie tak właśnie odczuwać - że pewnego dnia będę musiał zaopiekować się Castlemor-land. Nie przejąć w posiadanie, lecz zaopiekować się. Po maluchu?

- Słucham?

- Piersiówka. - Uniósł piękną srebrną flaszeczkę, którą wyjął z kieszeni kurtki. - Litościwie napełniona johnny walkerem.

- Odrobinę - powiedziałem, wyczuwając, jak bardzo pragnie, żebym się z nim napił.

- Ile zechcesz. Uwielbiam johnny walkera. Chociaż wolę czerwonego niż czarnego, nie wiedzieć czemu...Wracając do tematu, tysiąc lat to kawał czasu, prawda? Połowa drogi stąd do Chrystusa. Mój ojciec użył kiedyś tego porównania w niedzielnym wystąpieniu kościelnym. Byłem wtedy dzieckiem. Jego słowa wpadły mi jednym uchem i wyleciały drugim, a potem, wiele lat później, odkry-

łem, że we mnie tkwią. Dziwne, jak działa umysł ludzki. Tysiąc lat, no, prawie tysiąc.. Nie można tego lekceważyć.

-Nie-powiedziałem.-Nie można.

- Wiedziałem, że mój ojciec był „stary”, kiedy się urodziłem. Starszy mój ojciec większości kolegów w szkole. Zdawałem więc sobie sprawę ze z czasem - być może prędzej, niż to na ogół bywa - zamieszkam w tym zamku. Trzeba orzyznać że jak na dwunastolatka wiedziałem mnóstwo o swojej przyszłości. Wiedziałem nawet, gdzie zostaną pochowani. Wystarczyło wyjrzeć przez okno by zobaczyć rodzinny cmentarz. Nie wiedziałem tylko, kogo poślubię... nadal nie wiem. Znałem swoje słabości i swoje mocne strony. Wiedziałem, że ważniejsze jest abym był odpowiedzialnym człowiekiem niż wybitnym uczniem czy nawet sportowcem. Wiedziałem, że jestem jednym z ogniw łańcucha i jeżeli go zerwę/pozostanie zerwany na zawsze. Nigdy bym do tego nie dopuścił, nie potrafiłbym żyć z tą świadomością.

Szliśmy w milczeniu. Las ustąpił w końcu miejsca parkowi i wspaniała absurdalna herbaciarnia wtopiła się w jesienną noc. Po drugiej stronie rozległych trawników i pól golfowych rozżarzone okna Castlemorland mrugały i przywoływały, i obiecywały.

Wspominam tę rozmowę z Adrianem w niedzielny poranek, siedząc na metalowym krzeselku przy kanale ogrodowym, który toczy wodę z basenu na podaniowym tarasie do ozdobnego jeziora trzy piętra niżej. Kanał obmurowany jest starymi płytami z pobliskiego kamieniołomu, wykończony drewnem bukszpanowym i siedzę pośród tego murarsko-stolarskiego cacka, w nietypowej o tej porze roku powodzi słonecznego światła. Jest bardzo wcześnie. Siedzę sam z gazetą i szklanką soku pomarańczowego. Julia jeszcze się ubiera. W drodze do ogrodu minąłem sypialnię Adriana i zgodnie z obietnicą sprawdziłem, czy czerwona nitka, którą pokojówki Castlemorland przeciągają nad progiem sypialni, jest na swoim miejscu.

Ralph również już wstał. Słyszę jego kroki na żwirowej alejce, podnoszę wzrok i widzę, jak zmierza ku mnie z rulonem gazety pod pachą.

- Trochę chłodno - woła.

- Kiedy się wyjdzie z cienia jest cudownie. Wcześnie wstałeś.

- Potem zawsze robię się głodny - mówi Ralph znacząco. -Lucinda już...

- Śpi słodko.

- Nikt więcej się nie pojawił?

- Widziałem nitkę przed drzwiami Adriana.

- Tak, też ją zauważyłem.

- A na klamce wisi tabliczka „Nie przeszkadzać”. Możesz uwierzyć w coś takiego? Ten chłopak nigdy nie dorośnie. Zresztą, to bez znaczenia.

- Kiedy wczoraj szliśmy na górę, zadzwoniła matka Isabel. Przez chwilę obawiałem się, że znowu ma zapaść.

- Nie, nie. Takie telefony są na porządku dziennym. Siedzi sama w domu, spogląda na telefon i zastanawia się, do kogo by tu zadzwonić.
- Wydawało mi się, że słyszałem w nocy samochód. Musiał mi się przyśnić.
- Wybierasz się do kościoła? Czy z powrotem do Londynu? - pyta Ralph.
- Niestety, to drugie. Interesy.
- Fatalnie. Jadłeś śniadanie? Jest w ogóle jakieś? Gdzie?
- Na kredensie.
- Dzięki Bogu, oni nie są katolikami - mówi Ralph. - W takim katolickim domu nie można liczyć nawet na kromkę chleba przed mszą. Nie dostaniesz nic, w co by się dało wbić widelec...
- Brzegiem kanału biegnie Andrew, wyprzedzając Julię. Za nimi sunie dostojnie Louisa. - Tatusiu - woła Andrew. - Ja chcę zostać.
- Ja też - wtóruje Louisa.
- To był taki miły weekend, prawda? - zwraca się Julia do dzieci.
- Jest dopiero rano - tłumaczy Louisa. - Nigdy nie wyjeżdżamy stąd rano.
- Wkrótce przyjedziemy tu znowu - obiecuję. - Przerwaliście panu Marlowe.
- Przepraszam - Andrew zwraca się do Ralpha wyuczonym tonem. - Tatusiu?
- Nic nie szkodzi - zapewnia Ralph z uśmiechem.
- Tatusiu - włącza się Louisa.
- Przerywasz bratu.
- Chcę pojeździć na kucu - mówi Louisa.
- Ja też - wtóruje Andrew. - Ja też chcę na konia.
- Wszyscy jeszcze śpią - oznajmia Louisa.
- My nie - Andrew chichocze bez opamiętania.
- To nieładnie wyjeżdżać, kiedy wszyscy śpią - mówi Louisa. - Chcę obudzić wujka Adriana.
- Nie ma mowy - mówi Julia stanowczo. - Wujek Adrian jest bardzo zmęczony. Napracował się wczoraj na polowaniu. I były jego urodziny. Przyniósł wam po kawałku tortu, pamiętacie?
- Tak - odpowiadają chórem, niemal onieśmieleni.
- Louisa wyjmuje z kieszeni płaszczyka plastikową butelkę w płóciennym pokrowcu w czerwono-żółte paski.
- Napełnię moją butelkę sokiem, tatusiu. I możemy iść na spacer, tylko ty i ja. - Dokąd? - pytam.
- Do Ameryki - mówi Louisa i wybucha śmiechem.
- Nie możesz iść piechotą do Ameryki - informuje ją Andrew. - Tatusiu, chcę iść z tobą do biura.
- Nie - mówi Louisa. - To niesprawiedliwe. - Oboje pójdziecie ze mną do biura, ale nie dzisiaj.
- Możecie sami wybrać, co chcecie dzisiaj robić - kusi Julia. - Możemy pójść do.. .muzeum dziecięcego, możemy pójść do kina....
- Na jaki film?
- Nie wiem. Możemy wypożyczyć kasetę wideo.

- Ale prawdziwy film, nie grę - upewnia się Louisa.
 - Możemy nawet iść do parku - obwieszcza Julia.
 - Tak, chcę iść do parku zobaczyć konia - mówi Louisa.
 - A ja chcę pojeździć na rowerze. Jak wczoraj.
 - No cóż - Julia zwraca się do mnie. - W sumie jest to tylko sprawa załadowania walizek do samochodu.
 - Przypilnujesz dzieci?
 - Jesteście nudni - wtrąca Ralph.
 - Sam jesteś nudny - mówi Andrew.
 - Tak, sam jesteś nudny - przytakuje Louisa.
 - Natychmiast przeproście pana Marlowe'a - upominam dzieci. - Albo nie...
 - Nie muszą mnie przeproszać - zapewnia Ralph. - Jestem nudny. Z natury. I wcale się tego nie wstydzę. W dzisiejszym świecie jest to prawdopodobnie największy komplement, jaki można usłyszeć.
- Zostawiam dziesięć funtów na nocnym stoliku - napiwek dla pokojówek - i wynoszę walizki do frontowego holu, potem wracam po bagaże dzieci. Dom jest cichy. Nie słychać nawet trzasku zamykanych drzwi, skrzypienia okiennic huśtających się na zawiasach. Cicho jest również w samochodzie. Dzieci, w pasach bezpieczeństwa na tylnym siedzeniu, zajęte są kolorowaniem książeczek.
- Jedziemy wyludnionymi drogami w stronę autostrady.
- Znalazłeś Topleya? - pyta Julia.
 - Wczoraj wieczorem.
 - Nie potrafię nawet wyjaśnić - mówi moja żona - jakie to dziwne uczucie zostawiać napiwki we własnym domu. Oczywiście, nie jest to już mój dom. Dając napiwki akceptuję ten fakt. Mimo wszystko to miły gest, jedyny sposób, by wyrazić służbie wdzięczność za jej starania. Cieszę się, że znalazłeś Topleya.
- Jedziemy wozem Julii, ze specjalnym zabezpieczeniem drzwi dla dzieci, ale bez telefonu. Radio jest nastawione na Capital: orkiestra pana Akerbilka gra „Won-derlandbyNight”. Muzyka mojego dzieciństwa, które przypadło o całe lata przed dzieciństwem Julii.
- Powinniśmy przyjechać dwoma samochodami - mówię. - Wtedy moglibyście zostać na cały dzień.
 - Wracamy z przyjemnością. Prawda, dzieci, że wracamy z przyjemnością?
 - Powinniśmy przyjechać porsche'em tatusia - oznajmia Andrew lakonicznie.
 - Następnym razem - odzywa się Louisa.
 - Możesz pojechać z mamą - przyzwala Andrew. - Tatus i ja...
 - Albo ty pojedziesz ze mną - wchodzi mu w słowo Julia.
 - Zobaczymy - mówię. - Co kolorujecie?
 - Supermana. - Głos Andrew nakłada się na głosik Louisy, tak że nie da się ich rozdzielić.
- Julia odwraca się ku dzieciom.
- Jak brzmi nasze motto? - pyta z łagodnym naleganiem. Dzieci wahają się. -Louisa, Andrew, jak brzmi nasze motto?

- Uspokójmy się - odpowiadają chórem.
- Weźmy głęboki oddech, odliczmy do trzech i...
- Uspokójmy się.
- Superman - mówię do Julii, kiedy dzieci wracają do kolorowania książeczek. - Pamiętasz...
- Wiedziałaś, że to powiesz.
- .. .ten wieczór, kiedy poszliśmy do „Joe Allena”, po teatrze?
- Tak. Wcale nie zerkałam ponad twoim ramieniem, ale, doprawdy, trudno ich było nie zauważyć!
- Byłem przekonany, że to we mnie się tak wpatrujesz i pomyślałem, że sprawy posuwają się szybciej niż mogłem oczekiwać.
- Zainteresowali mnie.
- Raczej oczarowali.
- Co z tego?
- A potem, kiedy wstaliśmy od stolika i zobaczyłem Supermana i Luke'a Skywalker'a siedzących za mną, na linii twojego wzroku...
- Poczuleś się zdruzgotany.
- Kompletnie.
- Ledwo ich zauważyłam.
- Ale nic mi nie powiedziałaś, a oni siedzieli tam przez cały wieczór.
- Pytam jeszcze raz: co z tego?
- Czulem się wniebowzięty, a powinienem być głęboko zaniepokojony.
- Bzdury - mówi Julia. - Wyszłam za ciebie, nie za Christophera Reeve'a i nie za Marka Hamilla, bo tak się chyba nazywał?
- Chyba tak.

Dwie godziny później Londyn spowijają resztki porannej mgły, chodniki są ciemne po deszczu, a asfalt ulicy połyskuje w niepewnym jeszcze słońcu. Kredowobiała wieża po drugiej stronie Pimlico Green odcina się ostro od skrawka nieba w kolorze cyjanitu, przy krawężniku czeka kilka pustych czarnych taksówek. Z przeciwległej strony dobiegają dźwięki organów św. Marii, pieśń kościelna spływa z chóru i snują się niby dym ku Ormonde Place, gdzie mieszkamy.

Nasz dom, źródło mojej dumy, został zbudowany przed dziesięcioma laty na podstawie oryginalnych planów Thomasa Cubitta dla tej dzielnicy Londynu. Do drugiego piętra wyłożony klasyczną białą sztukaterią, ostatnią kondygnację ma z brązowej cegły. Stoi na rogu małego, zamkniętego placu, który kiedyś musiał być częścią stajen, z dala od głównej ulicy. Na malutkim skwerku przyduje posąg Herkulesa, a wjazd jest kontrolowany przez barierkę i system kart elektronicznych. Jedynym ustępstwem regencji na rzecz nowoczesności jest dwupiętrowy podziemny garaż.

W czasach, gdy go kupiłem, kilka miesięcy przed ślubem, dom kosztował małą fortunę. I choć nie mogłem dać Julii tytułu ani prawdziwego majątku, sprawiło mi ogromną przyjemność wprowadzenie jej do domu, o jakim inni znani jej mężczyźni mogli tylko marzyć. Istnieją plusy życiowych kompromisów, a ja jestem skłonny się nimi cieszyć. Gdybym został pisarzem, a nie bankowcem, gdybym zamiast do Harvardu trafił na uniwersytet w Iowa, nie udało by mi się tyle zarobić, a co dopiero

zaoszczędzić. Trudno sobie również wyobrazić, bym w tej sytuacji zawędrował do Anglii, osiadł tu na stałe i założył rodzinę; że byłbym w stanie dać rodzicom nie tylko gadżety i transatlantyczne bilety lotnicze, ale co ważniejsze, cudowną świadomość, że ich syn i wnukowie mają zabezpieczoną przyszłość. Gdybym jako dwudziestoparolatek został pisarzem, uchroniwszy od zniszczenia swoją wyobraźnię, kto wie, jakie życie, jakie książki powstałyby w rezultacie? Kto potrafi ocenić szkody, jakie wyrządza duszy ludzkiej oglądanie świata praktycznymi oczami bankowca, ocenianie mężczyzn i kobiet według kryterium użyteczności - im bardziej natychmiastowej, tym lepiej? Człowiek, który na co dzień trudni się wytwarzaniem zysku, nie może sobie pozwolić na marzycielstwo. Pod presją, pozbawiona pożywki, wyobraźnia więdnie, unika ryzykownych wypraw, ogranicza samą siebie. Doświadczam tego czasem na sobie, i nie wiedząc jak temu przeciwdziałać, odczuwam lęk. Nasz dom jest wspaniały, a życie, jakie się w nim toczy, naprawdę szczęśliwe. Zwłaszcza wieczorami, kiedy wracam do ognia trzaskającego na kominku, wesołych pokojów, do spontanicznego śmiechu i uroczego bałaganiarstwa moich dzieci, jestem za to wdzięczny losowi. Jednocześnie zdaję sobie sprawę, że człowiek, który mieszka w tym domu, nie jest już chłopcem, który potrafiłby to sobie wyobrazić. Jest mądrzejszy, lecz słabszy, w jakimś sensie pomniejszony, choć życie tak go wzbogaciło.

- Chyba nie ma chleba - mówi Julia, kiedy wnoszę bagaże. Kieruje dzieci do domu. - Mleka nie ma na pewno. Płatków mamy całe tony, ale soku pomarańczowego niewiele. Nie skoczyłbyś do sklepiku przed wyjazdem do biura?

- Pozwól mi tylko rozbroić Banhama - mówię.

- Mogę ja to zrobić? Proszę! - woła Andrew.

- Nie. To zadanie dla dorosłych - odpowiadam.

- Wcale nie. Po prostu wciskasz jeden, dziewięć, trzy i pięć.

- Skąd to umiesz? - pytam, zdumiony. - Wiesz, że to sekret, prawda? Największy sekret? Nie wolno tego nikomu mówić.

- Włamywaczom? - Nikomu!

- To nasz numer telefonu od tyłu - mówi Andrew. Wymieniamy z Julią spojrzenia: duma i lęk.

- W ten sposób pamiętacie, co nacisnąć? - pyta Louisa.

- Tak - przyznaje Julia. - Ale nie jest to niezawodna metoda i zmieniamy ją od czasu do czasu, na wszelki wypadek.

- Tereferę - mówi Louisa.

- Brzydko tak mówić. A teraz sprawdzimy, czy przyszła jaka interesująca korespondencja. Najpierw listy.

Przed zaprzyjaźnionym sklepem Pakistańczyków, na rogu Pimlico Road, zgnieciony kłęb celofanowego opakowania po chlebie podskakuje gnany wia-

trem, żeby wreszcie zatrzymać się na skórcie pomarańczy. Przechodzę wzdłuż sklepowych półek, uzupełniając listę Julii o pudełko herbatników, paczkę chipsów i, pod wpływem nagłej zachcianki, schłodzoną puszkę coca-coli. Czekam w kolejce do kasy, patrząc jak z oszronionego pojemnika soku spływająca ładę kropelki wody.

Dźwięk organów nasila się, kiedy zbliżam się do świętej Marii, cichnie, kiedy skręcam w stronę naszego placyku. Błady promień słońca, który przedarł się przez chmury, odbija się od torsu Herkulesa.

Dzieci i Julia poszli na górę, do biblioteki, której okna wychodzą na mały ogród na tyłach domu. Cała trójka stoi tam w zastygłych pozach, niby żywy obraz. Bliźnięta wpatrują się jak zaczarowane w słuchawkę, którą matka trzyma przy uchu z wyrazem napięcia i niezrozumienia na twarzy.

- Co się stało? - pytam.

Julia podnosi wolno rękę, całą jej uwagę pochłania głos w membranie. Czekam.

- Proszę - mówię po chwili. - Co się stało?

Unosi rękę wyżej, zakazując nam mówić i poruszać się.

- Oczywiście. Z pewnością - mówi do tego kogoś na drugim końcu linii. - Niecałe dwie godziny, wyjedziemy natychmiast. Nie. Dziękuję za troskę... Tak... To jest... On już tu jest. właśnie wszedł. Zrobię tak... Bardzo ci dziękuję.. Tylko się modlić. Możemy się tylko modlić.

Julia odkłada słuchawkę, nie trafia w widelki i słuchawka spada z hukiem na podłogę. Wzrok mojej żony wędruje gdzieś w przestrzeń, poza nami. Jest odrętwiała, jak jej palce, jakby starała się dostrzec na horyzoncie jakiś niewidzialny świat wpleciony w naszą rzeczywistość.

- Adrian nie żyje - mówi z wymuszonym spokojem. - Isabel też.

- Co? - Przez sekundę odmawiam przyjęcia tego do wiadomości. Potem czuję suchość w ustach, głucho uderzenia serca o klatkę piersiową.

- Nie żyją. -Jak...?

- Wypadek samochodowy.

- O, Boże! - Nadal nie mogę zaakceptować tego, co mówi Julia. To zbyt nieoczekiwane, zbyt złożone. - Teraz?

- Nie. Zeszłej nocy. Na Home Farm Road. Niedaleko. -Ale...

- Najwidoczniej nie było go w pokoju - przerywa mi Julia. - Musieli wyjechać, jak tylko poszliśmy na górę.

- Kto dzwonił?

- Rupert.

- Och, Julio! - Biorę ją za rękę. - Tak mi przykro.

Louisa płacze już, kiedy Andrew przysuwa się do matki, jakby nagle uświadomił sobie, że i jej może się przydarzyć coś złego.

Julia wstrzymuje oddech. Po raz pierwszy od czasu narodzin bliźniąt jej uwaga nie jest skupiona na dzieciach. Chociaż są tutaj i cierpią, zdaje się ich nie

widzieć i nie słyszeć, tak jak nie widzi i nie słyszy mnie. Oddycha wolno, jakby wbrew woli, jakby utraciła zdolność odczuwania. -

Odeszli - szepcze. - Cokolwiek się stało...

12

Nie ma nic bardziej zwodniczego, sztucznego niż spokój, jaki ogarnia zespół Fuzji i Zakupów w banku inwestycyjnym przed sfinalizowaniem transakcji typu operacja Ergo. Gorączkowe przygotowania - etap zbierania informacji i projekcji, cogodzinne zestawy prognoz - szybko ustępują miejsca opracowywaniu hipotez, tym bardziej wyszukanych, w im większej tajemnicy zostały poczęte. Układa się plany, burzy je i tworzy następne. Intrygujące, wariackie plany, których poszczególne elementy są przyjmowane entuzjastycznie bądź odrzucane. I wtem, jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, z galimatiasu liczb, splątanych niby tajemne znaki spisane na papirusie, wyłania się kartografia transakcji, równie przejrzysta jak mapy, z których usunięto znaki pomocnicze. Cel wydaje się tuż tuż, w zasięgu ręki. Bankowcy, jak dzieci, są często zbyt niecierpliwi. Dlatego musimy czekać... by właściwie ocenić wielkość i prawdopodobieństwo naszego marzenia. Musimy czekać i rozważnie obierać kierunek na każdym skrzyżowaniu dróg. Siedzimy z Philipem w sali konferencyjnej - wysokiej sześciokątnej sali ze szkła i drzewa tekowego - w bardzo nowoczesnej, budzącej kontrowersje dobudówce starej siedziby Battleman Peals. Wiele pięter poniżej drobne, czarno odziane figurki podążają w pośpiechu wąskimi chodnikami, w gęstniejącym mroku porannej burzy. Spoglądam na Philipa.

- Jakież wiadomości od Ruperta? - pytam.

- Od wczoraj nic. Jest nadal w Hongkongu.

- Kiedy rozmawiałem z nim ostatnim razem, wydawał się zadowolony.

- Fakt - przyznaje Philip. Znać było, że nie może mówić swobodnie, ale zdradzał optymizm. Bo i nie ma powodu do niepokoju.

Wszystko gotowe do odpalenia. Próbuje po prostu opanować emocje, aż do chwili, gdy zaczniemy odliczanie. Jak w „do biegu, gotowi, start”. Jesteśmy na etapie „gotowi”.

- Wiem.

- Kiedy ma się do czynienia z nami, Azjatami, atmosfera negocjacji jest niezwykle ważnym elementem - śmieje się Philip. - Jesteśmy cwani, wałkujemy cyfry w każdą stronę, ale instynkt nadal znaczy dla nas więcej niż dla was - wycucie sprawy, które jest czymś niewymiernym.

- Idź do diabła - mówię. - Właściwie, dlaczego z nim nie pojechałeś?

- Tutaj jestem bardziej potrzebny. Zresztą, te czterdziestoośmiogodzinne rajdy podkopują moje siły. Nie wiem jak ty, ale ja nie jestem już taki młody i odpor-

ny jak niegdyś. A Rupert doskonale panuje nad sytuacją. Ta podróż dobrze mu zrobi, pozwoli spojrzeć z pewnego dystansu na wszystko, co się wydarzyło.

- Wiesz, co wydaje mi się szczególnie smutne, szczególnie przejmujące? To, że Adriana pochował ten sam wikary, który go chrzczył. Kiedy staliśmy nad grobem, rozpętała się nagle śnieżycą, rzadkość o tej porze roku, odcinając nas od świata. Wiatr siekł lodem i wydawało się, że żywi także zostaną wtłoczeni do ziemi przez białe, wezbrane niebo.

- W takiej rodzinie, w jaką się wzeniłeś, życie zatacza wąskie kręgi - mówi Philip. - Myślałem, że on już nie pije. Adrian. I to od dobrych paru lat. Nie miałem pojęcia, że do tego stopnia nie panuje nad sytuacją. Czy wiecie już, jak to się stało?

- Nie mamy bladego pojęcia. Nadal dopasowujemy elementy układanki. Nieprzyjemna sprawa, głównie z uwagi na matkę Isabel. Pamiętasz telefon, który Adrian odebrał, kiedy szliśmy na górę? Zasłonił słuchawkę i powiedział, że dzwoni matka Isabel. A teraz ona twierdzi, że nie dzwoniła.

- O ile pamiętam, ona też lubi zaglądać do kieliszka. Może nie pamięta, do kogo dzwoniła.

- Chyba jednak nie wyjechałby z domu o tej godzinie dla nikogo innego. Z wyjątkiem matki Isabel, wszyscy bliscy mu ludzie - wszyscy, wobec których miał jakieś zobowiązania - byli na miejscu.

- Wiem tylko, że kiedy ma się nowiutki wóz, ręce aż świerzbią, żeby chwycić za kierownicę.

- W tym wypadku tak nie było.

- Cóż, muszę ci uwierzyć na słowo.

Rodzice Philipa uciekli z Singapuru do Hongkongu po okupacji japońskiej i rewolucji komunistycznej w 1949 roku. Ojciec jest rzemieślnikiem, specjalizuje się w wyrobie drewnianych skrzyń do przechowywania odzieży. W jego małym, pozbawionym witryny sklepiku, obok skarbonek z drzewa tekowego można było kupić skrzynie, wyłożone kamforą, o ciężkich wiekach, na których widniały postaci szlachetnych, starożytnych wojowników, rozgrywały się wielkie bitwy. Na klepisku leżały kopki schludnie zmiecionych kamforowych wiórków. Podczas mojej pierwszej wizyty ojciec Philipa dał mi do powąchania kamforę. Jej gorzki, mocny zapach natychmiast wysuszył mi nozdrza. Pan Li uśmiechnął się.

- Dzisiaj młodzi ludzie chcą nosić garnitury i aktówki - powiedział, jakby odpowiadał na pytanie, którego jeszcze nie zadałem. Jak to się stało, że syn pana Li porzucił jego świat dla mojego?

Mimo ogromnych fizycznych i kulturowych różnic, jakie dzieliły nasze dzieciństwo, odkryliśmy z Philipem pewien fakt - zupełnie przypadkiem, wypełniając formularze ubezpieczeniowe dla naszego pracodawcy - który stworzył między nami silną więź: otóż urodziliśmy się tego samego dnia. Ten prosty zbieg okoliczności dał nam pretekst, by porównać nasze kompletnie różne doświadczenia.

Wkrótce wynaleźliśmy sobie zabawę. Jeden z nas przywoływał wspomnienie, cokolwiek, byle to miało związek z konkretną datą, drugi próbował sobie przypomnieć, co robił w tym momencie. Strona przegrywająca dawała fant: stawiała kolację, lunch, drinka albo hawańskie cygaro. Okazało się, że w wielu przypadkach obaj potrafiliśmy przypomnieć sobie sytuacje z naszego życia.

W święta Bożego Narodzenia, kiedy miałem trzy lata, dziadek sprezentował rodzinie nasz pierwszy telewizor, Dumonta w obudowie z drzewa czereśniowego, zaś ojciec zainstalował zestaw kolejki na szynach - sześć wagonów i lokomotywa, razem z szynami, semaforami, tunelem i bliźniaczymi wiaduktami - na dużym kawałku grubej dykty pomalowanej na kolor trawy. Philip znajdował się wtedy na statku handlowym na Morzu Południowochińskim. Po ucieczce z Singapuru przez tydzień ukrywał się w dzielnicy portowej, zanim przemycono ich na statek. Była to jego pierwsza podróż w życiu. Przy burzliwej pogodzie tylko raz odważyli się wyjść na górny pokład i matka musiała przywiązać go do siebie liną ratowniczą. Szanghaj poddał się przed paroma miesiącami. Przebyli niemal całą podróż pod pokładem, w małej kabinie przy maszynowni.

Czasy, kiedy mieliśmy po sześć lat, były równie pogodne w Hongkongu, jak w Baltimore. Ja poszedłem do pierwszej klasy, dumny z nowego niebieskiego pudełka na lunch; Philip wędrował z jednym zeszytem ze szkoły do domu za sklepem w Chek Chue.

- Mówiono nam zawsze, że jeżeli wykopimy bardzo głęboką dziurę w ziemi, dostaniemy się na drugą stronę kuli ziemskiej, do Chin. Czy wam mówiono to samo o Ameryce? - zapytałem.

-Nie. Wydawało mi się, że Ameryka jest gdzieś za morzem - równie daleka i nieosiągalna jak raj.

- Leżała na wschód czy na zachód? Za Pacyfikiem czy za Europą?

- To było bez znaczenia.

Tego lata, kiedy przeprowadziliśmy się do Waszyngtonu, Philip terminował u swojego ojca. I zostałby pewnie rzemieślnikiem-artystą, jak jego ojciec i dziadek, gdyby nie pewna namiętność do cyfr i zapał do nauki, odziedziczony, jak sądził, po matce. Kiedy ja przesiadywałem na ławce rezerwowych swój ostatni sezon piłkarski, Philip zdobył stypendium matematyczne i zwrócił na siebie uwagę miejscowego rekina biznesu, przedsiębiorcy budowlanego. Ta cenna znajomość otworzyła przed nim świat i jego możliwości. Jako szesnastolatek pedałował na rowerze z „Hong Kong Club” na Chater Street aż na sam Peak, i spoglądał na kolonię z tego dogodnego punktu obserwacyjnego, który Brytyjczycy, wykazujący większy instynkt posiadania za granicą niż w domu, zarezerwowali dla siebie. Pragnienie naśladowstwa rywalizowało w nim z chęcią odwetu i jak sam mówił, „każde z tych uczuć mogło przeważać”. Ale rok później jego bezdietny sponsor, który wyznał, że w młodości ulegał podobnym emocjom, namówił go na przystąpienie do egzaminu na Oxford lub Cambridge, a następnie pokrył koszty studiów i corocznych podróży do domu.

. Po uzyskaniu przez Philipa dyplomu z historii i matematyki w Cambridge, Chuan Ch'u nadal mu patronował: podczas rocznych studiów w Londyńskiej

Szkole Ekonomii, a następnie stażu w banku kupieckim w City. To dzięki rekomendacji Chuan Ch'u Philip został zatrudniony przez amerykański bank inwestycyjny, z którym przybyłem do Hongkongu. Fakt, że jego sponsor był głównym klientem firmy do pewnego stopnia związał Philipowi ręce i zanim zjawilem się ja, zielony i zachłanny, przetrwał siedem niemrawych prób zreformowania działu Fuzji i Zakupów.

Nasze biura mieściły się naprzeciwko elegantszej siedziby Battleman Peale, w stosunkowo nowoczesnym betonowym wieżowcu, którego owalne, głęboko osadzone okna zyskały mu przydomek „Domu Tysiąca Dziur”. Tam pracowaliśmy z Philipem, narzekając i ironizując, tam nasza obopólna sympatia zmieniła się w przyjaźń, aż do momentu, gdy po wyjątkowo niesatysfakcjonującym rozdziale premii z okazji chińskiego Nowego Roku, Philip złożył rezygnację, by zostać najmłodszym (i pierwszym azjatyckim) partnerem w długiej historii Battleman Peale.

Pamiętam dobrze, jak mi o tym opowiedział w pogodny listopadowy ranek. Kiedy podniosłem wzrok znad „Wall Street Journal”, Philip wchodził właśnie do herbaciarni „Luk Yu”, kierując się do stolika, który zarezerwował i przy którym już się rozsiadłem. O tej porze dnia „Luk Yu” na Stanley Street okupowali biznesmeni, siedzący przeważnie parami lub w większych grupach - może rodzinnych? O ile mogłem się zorientować, byłem jedynym cudzoziemcem w lokalu, jedynym „gweilo”. Salę wypełniał nieustanny szum rozmów, chóralny i odległy, przytłumiony do poziomu, kiedy nie można już rozróżnić słów. Rzednąca chmura dymu unosiła się nad stolikami. Niezależnie od rzeczywistego celu tych spotkań, dominowała atmosfera skupienia i powagi, jaka obowiązuje na Wschodzie przy picciu herbaty i omawianiu interesów.

Zjawiała się przy nas kelnerka z metalową tacą dim sum. Philip wskazał nasiona lotosu i ryżowe kluski. Ja wybrałem to samo.

- Sądziś, że nasze kierownictwo pójdzie kiedyś po rozum do głowy? - zapytał Philip.

- Nie tracę nadziei - roześmiałem się. - Ale mam wątpliwości.

- Ja w każdym razie się wypisuję. Prawdę mówiąc, nie pozostawili mi wyboru. Przełknąłem z trudem, nabrałem głęboko powietrza.

Wiedziałem, że to oznacza koniec naszego działu.

Pojawiła się druga kelnerka, wyśpiewując niemal nazwy dań na tacy. Wskazałem ciastko z mlekiem kokosowym i *haw bun*. Philip na razie podziękował. Wydawał się roztargniony; popatrzył na wypolerowaną mosiężną spluwaczkę przy naszym stoliku, potem na ścianę wyłożoną boazerią, połyskliwą w świetle kinkietu w kształcie muszli.

- Battleman zgłosił się do mnie jakiś miesiąc temu. Zaproponowali mi partnerstwo - powiedział po prostu.

Przerwaliśmy rozmowę, kiedy kelner (znany nam obojgu, chociaż nie potrafiłbym wymenić jego imienia) przyniósł duży porcelanowy czajniczek, do którego włożył cierpkie liście ulubionej herbaty Philipa, a następnie zalał je wrzątkiem. Niemał natychmiast zlał wywar do miski, nie pozwalając dostać się tam

liściom. Znaliliśmy z Philipem obowiązujący w „Luk Yu” rytuał. Należało obmyć filiżanki w tej samej misce, okręcając je, żeby nagrzały się do odpowiedniej temperatury, a kiedy kelner napełnił ponownie czajniczek wrzątkiem, zostawić napar na parę chwil. W ten sposób wyzwalaly się wszystkie olejki, kofeina i tannina zawarte w zielonych liściach. Kiedy napój przestygł, rozlewaliśmy go do własnych filiżanek. .

- Battleman? Duża rzecz - powiedziałem, siląc się na entuzjazm. - Moje gratulacje.

- Dziękuję, John... Przygotuję tam miejsce dla ciebie.

Herbata miała natychmiastowy, rozgrzewający i stymulujący efekt. Podeszła do nas jeszcze jedna, trzecia już kelnerka z *dim sum*. Spróbowałem pędów bambusa; Philip, z filiżanką w ręku, wskazał naleśnik z krewetkami. Kropla nadzienia spadła na obrus. Philip odruchowo nakrył płamę talerzem.

Teraz czeka nas zadanie przejrzenia stosu papierów. Musimy porównać projekty, sprawdzić, czy zgadzają się z pierwotnymi ustaleniami na różnych etapach wielostronnych negocjacji. Dokumentem, który miał moc sprawczą, było oczywiście pełnomocnictwo podpisane przez Ruperta i Wileya Ryana, na mocy którego Ryan upoważnia Battleman Peale do działania w jego imieniu. List, wyrażając intencje Ryana i jego zespołu nabycia akcji Ergo w takiej liczbie, która umożliwi przejęcie kontroli nad przedsiębiorstwem, obarcza jednocześnie Battleman zadaniem znalezienia na to pieniędzy - w dwóch etapach, w fazie krótszej i dłuższej.

Naturalnie, był to najtajniejszy z dokumentów i po podpisaniu natychmiast został uzupełniony o cały zbiór odpowiednich kwitów finansowych, obejmujący aktualny bilans, rachunek strat i zysków oraz raporty o przepływach pieniężnych Ergo (i jej składowych części), a także wynikających z nich prognozach. Zbiór zawierał również drażliwe dane dotyczące finansów i intencji Wileya Ryana i jego ekipy, w związku z czym trzeba było przygotować zobowiązanie do zachowania taj emnicy, podpisywane przez każdego, komu zbiór udostępniano.

Umowy, jakie badamy i weryfikujemy, jedne już zawarte, inne tylko możliwe, dotyczą kredytu uzupełniającego, krótkoterminowej pożyczki, która pozwoli Ryanowi *et consortes* kupić udziały będące przedmiotem przetargu. Finansowanie to zostanie dokonane przez Battleman w konsorcjum ze współpracującymi z nim instytucjami w Londynie, Nowym Jorku, Fi[^]furcie, Zurychu, Hongkongu, Singapurze i Tokio, a same jego rozmiary, stanowiące dla nas międzynarodowe wyzwanie, któremu - na dobre i złe - musimy sprostać, będą bezwzględnie wymagały od nas dalszego marszu, przejścia na mniej znane pastwiska. Powołanie konsorcjum gwarantuje, że kredyty zostaną przekazane i uruchomione tego samego dnia, chroniąc w ten sposób kredytodawców, których dusze targane są chciwością i niepewnością, i których instynkty przedsiębiorczości i swobody są krępowane sztywnym gorsetem odpowiedzialności oraz kodeksami cywilnymi i kryminalnymi swoich państw. Okoliczności i czas, w jakich tacy finansiści mogą wycofać się z kredytowania lub utrzymać je, są elementami o ogromnych poten-

cyjnych konsekwencjach, które należy analizować z wielką czujnością, mając na względzie wszystkie możliwe sytuacje, takie jak zyski lub straty ze sprzedaży czy inne zmiany w przychodach Ergo, a nawet alternatywny poziom stóp procentowych na rynku w interesującym nas okresie...

Potem będziemy musieli równie starannie przebadać mozaikę kombinacji papierów wartościowych wszystkich typów, które pojawią się nie później niż rok po naszym przetargu. Będziemy sprzedawać je na tych samych rynkach światowych, aczkolwiek innym instytucjom, czy przynajmniej innym odgałęzieniom tych samych instytucji. I wszystko to zanim skończy się nasza praca, zanim zgarniemy swoją forszę.³

- Na każde zagadnienie można spojrzeć przynajmniej z dwóch stron - odzywa się Philip po chwili, rozprostowując ramiona nad głową.
- Ktoś mógłby powiedzieć, że porywamy się na zbyt wiele, że jesteśmy ciut za mali i zbyt brytyjscy na tego rodzaju transakcje. Ale - i jest to bardzo poważne „ale” - jesteśmy jedyną firmą, która w tym momencie może się tego podjąć. Nie widzę żadnej konkurencji i nie sądzę, żeby pojawiła się w najbliższej przyszłości. Jesteśmy pазerni ale w cywilizowany sposób; obowiązuje pełna kultura bez względu na okoliczności. Nie da się jednak ukryć, że apetyty nam dopisują. Jesteśmy wyrafinowani doświadczeni, ale na naszą korzyść przemawia przede wszystkim natura tej transakcji. Jej niezwykłość. Powinniśmy maksymalnie wykorzystać warunki zwłaszcza element czasu. W tej chwili pазerne dranie nie znajdują żadnej firmy która zadowolili ich w tym stopniu, co Battleman Peale.

- Musimy jednak uważać, by nie przesadzić. Zbyt ostre warunki.

- O tym nie ma nawet mowy!

- Trzeba brać pod uwagę, że ci goście z A&O będą wymagali specjalnego traktowania. Istnieje duże prawdopodobieństwo, że również złożą ofertę.

- O, to więcej niż prawdopodobne.

Rozmawiając, przerzucam poranną pocztę. Teraz spoglądam na Philipa i zaraz potem, ponad jego ramieniem, na młodą kobietę, która schodzi ze schodów za szklaną ścianą, dokładnie na poziomie naszych oczu. Ubrana jest w plisowaną niebieską spódniczkę, białą bluzkę i ciemną kamizelkę zarzuconą na ramiona ale jej zdecydowany krok sprawia, że nie można jej wziąć za uczennicę

- Kto to jest? - pytam Philipa. Philip spogląda za siebie.

- Kto? - A.. rozumiem, Amerykanka. Pracuje po drugiej stronie Chińskiego Muru.

Jak każdy bank inwestycyjny zajmujący się zarazem transakcjami handlowymi i finansowaniem przedsiębiorstw, obawiający się nawet pozorów konfliktu interesów, a tym bardziej reprimendy od banku angielskiego czy DTI - Batteman Peale przedsięwziął daleko idące środki ostrożności, które mają zapewnić dyskrecję i odseparować od siebie pracowników różnych działów. Nasze karty-klu-cze umożliwiają nam wstęp jedynie do wind wschodniego skrzydła budynku i to

na określone piętra. Biura działu handlowego, na którego schodach widnieje postać młodej Amerykanki, znajdują się tuż obok naszych, ale jedynym połączeniem między nimi jest wyjście ewakuacyjne, otwierające się tylko w razie pożaru. Poruszenia pracowników rejestrowane są przez centralny komputer, który odnotowuje każde użycie karty-kłucza. Nawet software i sieć komputerowa są inne. Pracownicy Fuzji i Zakupów odnoszą się z wyższością do kolegów zza Muru, a to ze względu na liczbę magistrów i doktorów w swoich szeregach. Handlowcy natomiast uważają się za sprytniejszych, odważniejszych, z uwagi na wymierne ryzyko, jakie podejmują. W firmie tego rodzaju szacunek, jakim cieszą się przedstawiciele działów, zależy przede wszystkim od zysków, jakie przynosi ich działalność i ta wiedza, codziennie weryfikowana, jest przyczyną zakłamania, a nawet lęku po obu stronach Chińskiego Muru.

- Skąd wiesz, że jest Amerykanką? - pytam.

- Poznaliśmy się.

- Naprawdę? Gdzie?

- W bibliotece. Oprawdzali ją po firmie. Jest tutaj tymczasowo, na jakimś stypendium, zdaje się. Ma się po prostu rozglądać i robić znajomości. Może wiesz, kto jest jej ojcem? Jakiś klient? Mało prawdopodobne. Nie pamiętam jej nazwiska. Nie załapałem za pierwszym razem i nie poprosiłem, żeby powtórzyła, co jest waszym zwyczajem. Pomyślałem, że nietrudno będzie je uzyskać od tych z handlowego.

- Jesteś zainteresowany?

- Ma pieprzenie wypisane na twarzy, tylko tyle wiem. Kiedy ją zobaczysz z bliska, zrozumiesz co mam na myśli. Ale działam ostrożnie. Cholernie ostrożnie. Nie musisz się niepokoić.

- Jesteś wolny. Zakładam, że ona też. Dlaczego miałbym się niepokoić?

- Bez powodu. Chiński Mur, to wszystko. Niewielkie ryzyko, zapewniam cię - prawdopodobnie wyimaginowane, ale dlaczego w ogóle je podejmować? Po co dawać ludziom powód do gadania, dopóki nie sfinalizujemy Ergo? Kiedy publika dowie się tego, co my wiemy, kiedy już zgarniemy nasze premie, a ona będzie w Londynie, z pewnością do niej zadzwonię. Weekend na wsi będzie wtedy jak znalazł.

- To zabawne, prawda? - mówię. - Można sypiać z kimś spoza Muru, ale nie wolno z nim rozmawiać. Śniadanie i kolacja nie wzbudziłyby żadnych obiekcji, natomiast lunch wyglądałby z pewnością podejrzanie. To nienormalne.

- Ale pozory muszą być zachowane, choć wszyscy wiemy, że to idiotyczne. Nie wspominając o tym, że myśl o utracie pieniędzy... w tym wypadku dużych pieniędzy... może podziałać jak zimny prysznic.

- Tu masz rację.

- Tak więc na razie się wstrzymam, choć mam nadzieję, że moja wstrzeźliwość nie potrwa długo. I tak tego nie zrozumiesz. Nie wiem, dlaczego ci to wszystko mówię. Miałeś szczęście, chyba wiesz o tym? Przyjechałeś do tego kraju i z miejsca, bez większego trudu

- a przynajmniej tak to wyglądało w oczach postronnych - zdobyłeś najbardziej pożądaną, najbardziej apetyczną kobietę

w Zjednoczonym Królestwie. Taki łut szczęścia powinien ci wystarczyć na resztę życia. Przecież musiała otrzymać wiele propozycji małżeńskich.

- Może wydałem jej się egzotyczny.

- Wątpię, Middleton-Lyghamowie już mają w sobie krew amerykańską. Musisz mieć jakieś ukryte zalety - więcej w spodniach albo w repertuarze niż się wydaje na pierwszy rzut oka. Bez obrazy. Interesuje mnie - i jeżeli mam być szczery, dziwi - fakt, że nadal się rozglądasz.

- Nigdy! - mówię stanowczo.

- Zauważasz zgrabne ciało na schodach, chociaż trzymasz się w przyzwoitej odległości.

- Byłbym głęboko zaniepokojony, gdybym nie zauważył!

- I jesteś zainteresowany na tyle, by spytać do kogo to ciało należy.

- Ponieważ nieustannie mam na uwadze twoje potrzeby. -Chrzaniś!

- Pewnego dnia, Philipie, przestaniesz planować przyszłość na dwadzieścia lat naprzód, zakochasz się, ożenisz. A kiedy już to zrobisz, odkryjesz, że małżeństwo, zwłaszcza gdy wraz z nim pojawiają się dzieci, zmieni całkowicie twoje życie, ale nie twoją naturę.

- Dziwne, że o tym wspomniałeś. Miałem bardzo niepokojący sen nad ranem, a teraz mogę przypomnieć sobie tylko jego zakończenie. Jest przyjęcie, jakieś zgromadzenie rodzinne, no wiesz, przegląd pokoleń, pełno par z dziećmi. Rozmawiałem z jedną osobą, potem z następną, nie był to nikt, kogo znałbym w rzeczywistym życiu. Nie wiadomo dlaczego, pozostawiono mnie na chwilę na straży tych wszystkich dzieci. I nagle wszystkie zniknęły, z wyjątkiem jednego. Chaos, potem cisza. Rozmawiałem z małym, może trzyletnim chłopcem - odpowiadał bardzo grzecznie, ale nie mogę przypomnieć sobie słów, jakich użył. Przez cały czas patrzył gdzie indziej, w tę samą stronę co ja. Nagle odwrócił się ku mnie i natychmiast zrozumiałem, kto to jest. Wiedziałem, że nie znam tej pięknej, tak realnej twarzyczki nie dlatego, że nie istnieje, lecz dlatego, że jeszcze nie istnieje. W chwili gdy się odwrócił, Johnie, zrozumiałem, że ten chłopiec jest moim synem. .. będzie moim synem. Przysięgam, że tak było. Wierzysz, że w snach zaglądamy czasem w przyszłość?

- Tak - mówię po długiej chwili wahania. Philip obrzuca mnie badawczym wzrokiem.

- Co cię gnębi? - pyta w końcu.

- Nic fatalistycznego. Już ci mówiłem. W moim przekonaniu istnieje różnica między budowaniem przemysłu a likwidowaniem go.

- Cholera, John! Znasz przecież główne punkty operacji. Omawialiśmy je aż do znudzenia.

- Wiem.

- Nie trać wiary. Nie teraz, John. Nie zostaliśmy zatrudnieni po to, by interpretować wyroki Opatrzności, co jest, a co nie jest wolą Boga; pracujemy tu nie jako święci, lecz zwykli profesjonaliści. Wiesz, co mówią: „Moc miecza Damo-klesa tkwi nie w tym, że spadnie, lecz że wisi”. Nie tylko pomagamy Ergo uczynić

to, co konieczne. Bijemy na alarm ostrzegając wszystkie przedsiębiorstwa tego typu.

Jest oczywiste, że Philip wierzy w to, co mówi, albo nauczył się w to wierzyć. Istnieje między nami przepaść, jaka rozdziela człowieka wierzącego od sceptyka, ale nie jest tak szeroka ani tak niebezpieczna, jakby się mogło zdawać. Jestem członkiem kongregacji z długim stażem, mam zbyt wiele do stracenia, zbyt wiele osób na mnie polega, żebym nie spróbował pokonać tej przepaści. Będę dyskutował ze sobą - prywatnie, intelektualnie, od czasu do czasu, jak teraz.

- Mam nadzieję - mówię.

- Stare chińskie przysłowie - ciągnie Philip z uśmiechem. - „Dobrze jest znać prawdę i głosić ją, ale lepiej mówić o palmach”...O, Boże! Słuchaj, strasznie cię przepraszam. Zapomniałem ci powiedzieć, że była wiadomość od Dicky'ego Mortlake'a. Zamierzałem ją zapisać, ale zaczęliśmy rozmawiać i umknęło mi z pamięci. Chyba nie jest za późno.

- Dicky? Powiedział, o co chodzi?

- To nie był Dicky osobiście. Ktoś z jego biura. Prosił, żebyś spotkał się z Dickym na lunchu. Mówił, że to ważne.

- Nie mam pojęcia, o co tu może chodzić. Gdzie ten lunch? - „Wiltons”, za piętnaście pierwsza.

- W dodatku „Wiltons”! No dobrze. Mam do niego oddzwonić?

- Tylko gdybyś musiał odwołać. Aha! John, tam będzie pełno grubych ryb. Nie strać panowania nad sobą.

- Postaram się zachować spokój. Doprawdy, Philipie, nie urodziłem się wczoraj!

13

Tak więc po paru godzinach plotek i spekulacji, które w wykonaniu starszych pracowników firm takich jak nasza uchodzą za analizę, Philip rusza do „Brasserie Rocque”, a ja idę King William Street w stronę stacji Monument. Wiatr jest ostry, kąśliwy, niemal morski. Stawiam kołnierz płaszcza, chowając twarz. Pokłady chmur nad moją głową - szaro-biały przekładaniec - gnają z furją ku Europie. Między rzeką a świętym Pawłem płyną spokojniej, niby ciężkie brygi. Idąc na skróty przez St. Swithins Lane mijam nie znanego mi człowieka; jest jakby przełożeniem klimatu na kształt ludzki: chód umiarkowanie szybki, senny wyraz twarzy. Jego sposób bycia wywołuje u mnie nieuchwytny, metaforyczny lęk. Zastanawiam się, czy sprostamy zadaniu, jakie sobie postawiliśmy, czy potrafimy rozegrać tę grę w amerykańskim stylu, czy w ogóle potrafimy wygrać, i co się stanie, jeżeli przegramy.

. Przy Monument kupuję „Spectatora” w kiosku z gazetami i wsiadam w pociąg do St. James's Park. Otwieram gazetę na rubryce „High Life”, potem czytam „Low

Life" i opis restauracji „Nouvelle Anglais" w Battersea. Wsiadam przy parku, gdzie snują się karmiciele gołębi, a nieliczni turyści pozują do zdjęć na tle pałacu Buckingham. Wiatr zmarszczył ciemną wodę, uniósł nawet kilka fal. Jednak, mimo chłodu, scena jest raczej jesienna niż zimowa, a Londyn nasycony wilgocią. Nie ma zapowiedzi nadchodzącej zimy w szarym niebie, nie ma atmosfery świąt, chyba że ktoś szukałby jej na wystawach sklepowych na Jermyn Street. Zatrzymuję się przed witryną magazynu z najmodniejszą odzieżą męską, utrwalam w pamięci wzór koszuli w paski, łączący delikatne odcienie żółci, błękitu i zieleni.

Docieram na miejsce przed czasem. Jest za dwadzieścia pierwsza i „Wiltons" dopiero budzi się do życia. Chowam znoszony szalik do rękawa, po czym wręczam płaszcz młodemu człowiekowi w białej kelnerskiej marynarce.

- Jestem umówiony z panem Mortlake'em.

Młody człowiek o starannie przyczesanych włosach skłania głowę. Podchodzi do nas czterdziestoletni mężczyzna ubrany jak bankier.

- Z panem Mortlake'em? - pyta uprzejmie, po czym dodaje: - Jeszcze nie przyszedł.

- Ale mamy rezerwację?

- Oczywiście. Mam przyjemność z panem Brookiem?

- Zgadza się.

- Zaprowadzić pana do stolika, czy...?

- Zaczekam tutaj - mówię. Jednakże miejsce na pluszowej kanapie, które sobie upatrzyłem, zostaje w tym momencie zajęte przez starszego pana, który wszedł do restauracji za mną. - .. .Chociaż właściwie...

Mijamy wiktoriański bar ostrygowy, oferujący homary, wędzonego indyka w całości i sałatkę z krabów. Na marmurowym blacie stoją tace z północnoafrykańskimi warzywami, a w wiaderkach z lodem chłodzą się butelki szampana. Bar jest już gotów na przyjęcie gości, ale nikt jeszcze nie zasiada na wysokich drewnianych stołkach.

Dostaję stolik w pierwszej sali, tuż przy ścianie. Z niskiego krzesła obitego oliwkowym atłasem mogę obserwować wchodzących do restauracji.

- Czy podać coś z trunków, sir? - pyta szef sali. - Może kieliszek szampana?

- Dlaczego nie? Przecież niedługo święta.

- W rzeczy samej, proszę pana. Nie wiem, doprawdy, gdzie podział się ten rok. Już podaję.

W ciągu następnego kwadransa sala zapełnia się stopniowo. Kiedy zjawia się Dick, większość stolików jest już zajęta. W najbliższym sąsiedztwie mamy księcia z misternie utrefioną głową i jednego z byłych sekretarzy stanu Jej Królewskiej Mości w wełnianej kamizelce pod marynarką.

Richard Mortlake jest maklerem o reputacji szczęściarza, uprzejmym - mimo okazjonalnie okazywanej arogancji - facetem, którego niesamowity instynkt przyprawia podobno klientów o gęsią skórę.

Ojca Julii poznał akurat w chwili, gdy główny makler markiza wycofał się na skutek raka prostaty i w ten sposób przejął prowadzenie kont Midleton-Lyghamów. Dicky jest mniej więcej w moim wieku, ale nasze życiowe drogi jak dotąd wiodły nas w przeciwnych kierunkach; jego ku pewności, mnie coraz dalej od niej. Jego miłość do produktów własnego intelektu wprawia mnie często w zakłopotanie. Dla Dicky'ego żadna kwestia nie jest bardziej godna natychmiastowego zainteresowania świata niż ta, która zwróciła jego

uwagę, żadne odkrycie równie rewolucyjne jak to, którego dokonał przy śniadaniu. „Ubiera wybitnie amatorski talent w płaszczyk profesjonalizmu”, podsumował go Philip lekceważąco w czasach, gdy Dicky pracował jeszcze po drugiej stronie naszego Chińskiego Muru, a odkąd złakomiał się na wysoką premię i dyrektorską pensję w nowojorskim biurze konkurenta, Philip w ogóle przestał się nim interesować. Dicky to bądź co bądź handlowiec, nie jest, jednym z nas”. Mimo to udało mu się dostać trochę pieniędzy Julii (część funduszy na utrzymanie posiadłości), a także moich i nieźle je zainwestował.

Jedną najbardziej interesujących cech Dicky'ego, a w gruncie rzeczy wszystkich ludzi sukcesu, jest łatwość, z jaką zmienia osobowość, prezentując w jednym obozie mocne strony drugiego. Wśród maklerów znany jest jako technik, wśród techników, z uwagi na umiejętności maklerskie, za człowieka, któremu można powierzyć „urabianie” klientów. To właśnie ta dwoistość odróżnia go od jednych i drugich i nadaje wagę jego opiniom.

Drugi syn księgowego z Basingstoke, wszedł w odpowiednie towarzystwo w Charterhouse, ciężko pracował, wyjechał na studia na zachód i skończył je korzystając z niewielkiego stypendium. Po dyplomie zatrudnił się w filii Battleman Peale w Huston i tą okrężną drogą wrócił do Londynu.

- John! - woła idąc ku mnie przez salę. Głos ma chrapliwy, gardłowy, jak w ostatnim stadium zaziębienia. - Przepraszam, że musiałeś czekać. Naprawdę mi przykro. - Lewe ramię Dicky'ego jest w gipsie, zawieszona na temblaku z niebieskiej apaszki w złote konie.

- Nie spóźniłeś się - mówię. - Przyszedłem za wcześnie. Zerka na zegarek, który nosi na prawym mankiecie koszuli.

- Naprawdę? Która godzina? Nie zdawałem sobie sprawy. Wydawało mi się, że jest dużo później.

- Kawał drogi z City.

- Byłem u klienta w Park Place - wyjaśnia Dicky. - Dobrze się złożyło. Kiedy dostałem twoją wiadomość, postanowiłem, że załatwię to za jednym zamachem. Wstąpiłem do niego po drodze - tak czy inaczej musiałem to zrobić. Straszny nudziarz, znasz ten typ. Kilka minut ciągnie się w nieskończoność. Mniejsza z tym. - Uśmiech, który pojawia się na okrągłej, jakby zakłęśniętej twarzy jest jowialny, znaczący, profesjonalnie zaraźliwy. Na tle brunatnożółtej ściany i brązowych zasłon, ze swoimi rzędnącymi, kędzierzawymi włosami przypomina korpulentnego, ale jeszcze żwawego cherubinka.

- Powiedziałeś, że dostałeś moją wiadomość? - pytam. - O jakiej wiadomości mówisz?

- O zaproszeniu na lunch. -Co?

- Tutaj. Teraz.

- W porządku - mówię. - Podzielimy rachunek, jeżeli o to ci chodzi. Nie ma problemu.
- Chwileczkę. Naprawdę myślałeś, że to ja ciebie zaprosiłem? Tak myślałeś? W dodatku do „Wiltonsa”?
- Obawiam się, że tak. Ty zaś...
- Byłem przekonany, że zostałem zaproszony. Myślałeś, że próbuję cię podkupić?
- W ogóle nic nie pomyślałem. Ale gdybym pomyślał, to właśnie to. Uznałbym, że ci się poszczęściło na rynku i że chcesz o tym porozmawiać.
- A więc nie zamierzasz postawić mi lunchu? - pyta Dicky.
- Żeby cię wy badać? Raczej nie.
- No cóż, skoro ja do ciebie nie zadzwoniłem i ty nie zadzwoniłeś do mnie, a obaj siedzimy przy stoliku w „Wiltons”... ?
- Kto bawi się naszym kosztem? Właśnie.
- Nikt mi nie przychodzi do głowy. Musiałby to być ktoś z niewielkiego grona ludzi. Ktoś, kto zna dobrze nas obojgu. No cóż, skoro się powiedziało A, trzeba powiedzieć B. Przeglądałeś menu?
- Nie.
- Wezmę homara. A na przystawkę z pół tuzina ostryg. Nie mogę im się oprzeć. Choć niemal z równą przyjemnością zjadłbym melona z szynką.
- Myślę, że poprzestanę na gorącym daniu. Zupa rakowa i skarp z rusztu. Dicky skinieniem głowy wyraża swoją aprobatę.
- Zerkniemy teraz w kartę win?... Powiedz mi, j aką drogą otrzymałeś tę rzekomą wiadomość ode mnie? Jeżeli pamiętasz.
- Philip mi ją przekazał. Powiedział, że dzwonił ktoś z twojego biura, jakiś czas temu, a jemu wyleciało to z głowy podczas naszego spotkania. Podał mi godzinę i miejsce. Mówił, że mam oddzwonić tylko w przypadku, gdybym musiał odmówić.
- Nie wymienił, kto dzwonił?
- Nie. Zapytam go oczywiście, ale... -1 to wszystko?
- Tak. A jak ty otrzymałeś moje zaproszenie?
- W ten sam sposób, z tą różnicą, że sam odebrałem telefon. Kobiety głos, nie przedstawiła się. Nie zwróciłem uwagi, nawet gdyby to zrobiła. Dzwoni w twoim imieniu, powiedziała. Przeprasza, ale jesteś chwilowo nieosiągalny. Oddzwonić tylko w przypadku odmowy. A kto odmawia darmowego lunchu w „Wilton-sie”? I jeszcze coś. Chyba zasugerowała, że sprawa jest pilna. Powiedziała, zdaje się, że lepiej dzisiaj niż jutro, coś w tym rodzaju. Padło słowo „arabeska”. Czy to ci coś mówi?
- Arabeska? Nic.
- Może jest to nazwa innej restauracji. Chociaż jestem prawie pewny, że miał być to temat naszej rozmowy. Jej ton sugerował, że powinienem wiedzieć, w czym rzecz.
- Nigdy o czymś takim nie sły szałem. Chociaż.. .Zdaje się, że był kiedyś taki film...

- Wszystko jest możliwe - przerywa mi Dicky. - Zapytaj Philipa, czy ta nazwa coś mu mówi.

- Zrobię to z pewnością.

- Zbiera się tu prawdziwa plutokracja - zauważa po chwili. - Rozejrzyj się. Prawdziwi bogacze wystrzegający się swoich klubów, a również paru takich, których wystrzegają się kluby. Fascynujące. Ci faceci działają na zupełnie inną skalę niż my. Liczą forse na kosze. Na kosze!

- Niektórzy. Zapewniam cię, tylko niektórzy.

- Ja jestem tylko sprzedawcą - obrotnym, przyznaję, ale w gruncie rzeczy sprzedawcą.

- Naprawdę w to wierzysz?

- Wierzę w to, że człowiek jest kowalem swojego szczęścia - nie do końca, oczywiście, ale w zadowalającym stopniu. Żyjemy w świecie ostrej rywalizacji. Sprawa ma się tak, jak w pokerze. Spasowałeś, nie liczysz się, wypadasz. Licytujesz dalej - jeszcze grasz. Człowiek musi spróbować przyswoić sobie podstawy tego świata, najlepiej jak potrafi.

- Mógłbyś być bardziej konkretny?

- Wykluczone. Na twoim miej scu bałbym się nawet pytać. Perwersyjne, nieprawdaż? Mnie wolno gawędzić z tobą - a przynajmniej mógłbym, gdybym miał coś konkretnego do omówienia - natomiast ty, robiąc to samo, udostępniasz mi informacje, a tym samym popełniasz przestępstwo. Potencjalne więzienie. Surowo zakazane. Cholerna niesprawiedliwość.

- Musisz postawić się na miejscu kierownictwa. Każdy, kto pracuje w Fuzjach i Zakupach, z założenia posiada wiedzę, którą jeszcze nie powinien dysponować rynek. Maklerzy, cokolwiek usłyszeli czy wydedukowali, opierają się jedynie na spekulacjach.

- 1 hipotezach - mówi Dicky sarkastycznie. - Nie zostałem stworzony do życia w stresie. Podejrzewam, że ty również nie.

Po mieście krąży słynna historia o Dickym Mortlake'u i przypominam ją sobie, patrząc jak metodycznie soli ostrygi. Wyjechał na rok do Los Angeles, do pracy w filii Battleman Peal. Ponieważ obsługiwał nowojorskie rynki, a różnica czasu między Nowym Jorkiem a Kalifornią wynosi trzy godziny, musiał zaczynać pracę o szóstej trzydzieści, a wstawać o piątej rano. W Houston miał współlokatora z ra-dio-budzikiem, ale w Kalifornii mieszkał sam. Zadzwoił więc do przedsiębiorstwa telekomunikacyjnego i próbował zamówić stałe budzenie, jak to uczynił jego przyjaciel w Londynie. Ale, ku jego zdumieniu, opłata za taką usługę była astronomiczna. „Więc co zrobiłeś?” zapytałem, kiedy opowiadał mi o tym zdarzeniu. „Namyślałem się przez chwilę - odpowiedział - po czym zadzwoniłem do portiera w moim londyńskim klubie. Ojciec zapisał mnie tam, kiedy byłem brzdącem. Piąta rano w L.A. to była pierwsza po południu w Londynie. Pora lunchu. Umówiłem się z portierem, że będzie do mnie dzwonił codziennie o tej godzinie”. „Ile cięto kosztowało?” - zapytałem, trochę zdziwiony. „Nic - wyjaśnił Dicky. - Facet dzwonił pięć razy i-odkładał słuchawkę. Przez cały rok ani razu jej nie podniosłem - z wyjątkiem ostatniego dnia, oczywiście, żeby mu podziękować.”

- Jak twoje ostrygi? - pytam.
- Wyśmienite - Dicky podnosi rozwartą muszelką do ust i wysysa jej zawartość. Olejny obraz Bally'ego „Les Mangeurs d'Huitres" wisi na ścianie w pobliżu naszego stolika i Dicky wydaje się współczesną repliką osiemnastowiecznych postaci. - A to, kurwa, kto? - pyta nagle, odkładając muszlę na talerz i podnosząc wzrok.
- Młody szczupły człowiek w czarnym, obcisłym jak rękawiczka stroju motocyklisty przepycha się ku nam przez tłumek oczekujących na stoliki.
- Bardzo przepraszam... - woła za nim kelner. - Proszę pana!
- Ale młody człowiek, który zdaje się dobrze wiedzieć, dokąd zmierza, wpycha się na salę i po chwili stoi już przy nas.
- Pan Brook? - pyta. - To ja.
- Papiery, o które pan prosił.
- Nie prosiłem o żadne papiery. Od kogo?
- Z pańskiego biura. Kazano mi je oddać do rąk własnych. Wyłącznie i bez żadnych wyjątków. Nazywa się pan John Brook?
- Tak...Dziękuję.
- Poproszę o pokwitowanie. - Posłaniec kładzie urzędową kopertę przy moim widelcu, po czym rusza ku drzwiom z równie bezceremonialnym pośpiechem, z jakim tu wszedł. Dwaj kelnerzy przybiegają z przeprosinami, chociaż to ja powinienem prosić o wybaczenie.
- Czy też masz takie wrażenie, że od czasu, gdy zrobiłeś dyplom, wszystko stało się pilne? - pyta Dicky. - Co jest aż tak ważne, że musisz to czytać nad skarpem?
- Nie mam pojęcia. - Rozrywam celofanową taśmę, którą zaklejono kopertę. W środku znajdują się trzy strony papieru formatu A-4. Rozkładam pierwszą, przelatuję wzrokiem treść, potem przyglądam się uważniej. Biorę dwie następne. Są to polecenia przekazu, z których usunięto nagłówki. Liczby nic mi nie mówią.
- To zupełnie bez sensu - stwierdzam. -Co to jest?
- Możemy sobie tylko pozgadywać.
- Pokaż. - Dicky wyciąga rękę.
- Nie. - Odsuwam papiery na bok. - Lepiej nie. Dla zasady.
- Jak chcesz - mówi Dicky, skrywając ciekawość. - Bylebyś uregulował rachunek za lunch.
- Nie bierz tego do siebie.
- Rozumiem. Lepiej na zimne dmuchać.
- Niewiele tracisz - tłumaczę. - To nadeszło z mojego biura a nic z tego nie rozumiem. Ty zrozumiesz jeszcze mniej.
- Trudno powiedzieć, skoro tego nie widziałem.
- Jak się miewa twoja żona? - zmieniam temat.
- Uwielbia wieś. Naprawdę uwielbia.
- To dobrze.

- Kurewsko dziwnie być zonatym. Też masz czasem takie wrażenie?

- Czasem.

- Nigdy nie sądziłem, że się ożenię - ciągnie. - Cóż, zdarza się to najlepszym z ludzi. I całej reszcie też. Żona, kilkoro dzieciaków. Nianie, opłaty za szkołę - dobrze oznakowana droga bez zjazdów. Ja się nie skarżę, skąd! Bądź co bądź, powiodło mi się. A nie każdy ma tyle szczęścia. Ale po pewnym czasie sukces staje się czymś normalnym, musisz go mieć, jak jedzenie albo powietrze. Wpadasz w uzależnienie.

- Prawdziwy narkotyk.

- Najpierw ledwo wiążesz koniec z końcem, potem odnosisz sukces, ale musisz ciągle na niego pracować. Ani się spostrzegłeś, jak kobieta roztyła się w biodrach, a dzieciaki odeszły z domu. Co ci zostaje?

Milczę.

- No, co ci zostaje? - powtarza Dicky. - Masz dużo szczęścia, jeżeli cię czasem odwiedzają. Jeżeli przyjdą w niedzielę na lunch albo na święta Bożego Narodzenia. Jeżeli pamiętają, by wysłać ci kartkę na urodziny. Jesteś w średnim wieku, spragniony pieprzenia, jakiego już nigdy prawdopodobnie nie uświadczysz i do jakiego prawdopodobnie nie jesteś już zdolny. Wspomnienia. To wszystko, co ci zostaje. Wsteczne lustro. Czy to ma być sens życia?

- Trochę przesadzasz.

- Spoglądam realistycznie w przyszłość, to wszystko. No, powiedzmy szczerze, dość odległą, ale realną, stary! - Dicky oddziela mięso homara od skorupy.

- Nie jestem o tym przekonany.

- Bądź ze sobą szczerzy, John. Oprócz naprawdę nielicznych wyjątków, tak zwanych szczęśliwców, na świecie istnieją tylko dwa gatunki ludzi: faceci marzący o seksie, jakiego nie mają i najprawdopodobniej nie będą mieli; i faceci, którzy mają go w nadmiarze, chociaż go nie chcą, nigdy nie chcieli, a przynajmniej już nie chcą.

- Co cię tak przygnębiło?

- Wcale nie jestem przygnębiony.

- A więc znakomicie udajesz.

- Po prostu spoglądam życiu prosto w twarz. Jestem uczciwy wobec siebie. Och, przyznaję, że potrafię się zakochać we własnych prognozykach. I przyznaję, że od czasu do czasu tafię jak kulę w płot, ale na ogół się jednak nie mylę.

Spoglądam na Dicky'ego, metodycznie oprawiającego homara, zaskoczony nutą beznadziejności w jego głosie. Bez wątplenia zdaje sobie sprawę, że się przede mną odsłonił; teraz jest cichy, zamyślony, skoncentrowany wyłącznie na jedzeniu.

Wychodzimy z restauracji paląc cygara i wracamy jedną taksówką do City. Lekka mżawka ustaje, zanim dojeżdżamy do Square Mile. Na mokrym asfalcie przy Finsbury Circus, przed wejściem do budynku, w którym mieści się siedziba obecnego pracodawcy Dicky'ego, kręci się włóczega. Kiedy Dicky biegnie od samochodu w stronę drzwi, mężczyzna błyskawicznym ruchem chwytając przelatującego nad chodnikiem gołębia i wpycha go do papierowej torby. Światło się

zmienia i moja taksówka, pochwycona przez sznur aut, mknie na południe ku Battleman Peale.

14

Nie przejmuj się tym, co ludzie o tobie myślą. W ogóle nie myślą - radzi Julia. - Oczywiście, że myślą - sprzeciwia się Simon Basildon, radca prawny rodziny Midleton-Lyghamów.

- Wiem - mówi Julia. - To była życiowa maksyma mojej matki. Ludzie we wsi mają specjalne oczekiwania wobec każdego mieszkańca dworu. Wobec mnie, Adriana, przedtem wobec taty.

- Z całą pewnością - przyznaje Basildon.

- Herbata chińska czy indyjska? - pyta Julia.

- Chińska, jeżeli można. -John?

- Chińska, dziękuję.

- Pan Basildon uważa, że powinniśmy odbyć konferencję, tylko we trójkę -mówi moja żona, informując nas o czymś, o czym już wiemy.

- Chce przedyskutować pewne sprawy. - Jest późne czwartkowe popołudnie, niespodziewana wiosna w środku zimy.

- Sprawy zasadnicze dla przyszłości Castlemorland. - Wysoki, z brzuchem wylewającym się z paska spodni, Simon Basildon musi rozstawić szeroko nogi, kiedy pochyla się po swoją filiżankę. Ma długie srebrzyste włosy, zdumiewająco gęste u siedemdziesięciolatka, i ogorzałe policzki. Okularki w złotych oprawkach nadają mu wygląd człowieka zadowolonego z siebie i z losu, stan dość naturalny u starszego partnera Pitfieldsa.

Caveat leży przy krześle Julii, z oczami wbitymi w piernik, który zostanie za chwilę pokrojony. Jego wyuczona powściągliwość osiągnęła poziom pozwalający uznać ją za cechę wrodzoną.

- Julio? - mówię między jednym łykiem herbaty a drugim.

- Kochanie?

- Poprosiłaś Ruperta, żeby do nas dołączył? -Nie.

- Wydawało mi się...

- No tak.. .Byłoby to.. .logiczne, pod wieloma względami, ponieważ on zna się niemal na wszystkim. A przynajmniej na sprawach, o których ja nie mam pojęcia. A ty.. .nie masz czasu, by poświęcić im swoją uwagę.

- Na przykład na polowaniu?

- Między innymi. Te wszystkie organizacyjne szczegóły! Ale pan Basildon uważa, że dzisiaj powinniśmy się spotkać sami.

- Oczywiście, rozumiem pański punkt widzenia - mówi Basildon. - Wasz kuzyn Rupert jest nie tylko doświadczony, ale i niezwykle inteligentny. Jestem przekonany, że będziecie niejednokrotnie zwracali się do niego po radę i jego opinia będzie dla was najcenniejsza. Ale na skutek szczególnych okoliczności Castlemorland przeszło na ciebie, Julio. Na ciebie, a po twojej śmierci na twoje dzieci - na Andrew, jak należy przypuszczać. Do czego zmierzam? Otóż z mojego doświadczenia wynika, że niektóre sprawy lepiej omówić w gronie najbliższej rodziny. Obecność osób nie zainteresowanych bezpośrednio jest tu zupełnie zbędna. Lubię Ruperta nie mniej niż wy, ale ta sprawa go nie dotyczy. Ma teraz tytuł i takie perspektywy, od których normalnemu człowiekowi zakręciłoby się w głowie. Ale ilekroć zmiesza się krew i pieniądze, wybuch jest tylko kwestią czasu. Lepiej tego unikać.

No dobrze - ciągnie Basildon, przechylając okulary pod takim kątem, żeby odcyfrować notatki. - Teraz musimy zrobić małą powtórkę z historii. Po Waterloo, Middleton-Lyghamowie wzbogacili bardzo swoją i tak niemałą kolekcję obrazów. Niektóre z tych obrazów znajdują się dzisiaj w Castlemorland. Niestety, twoja rodzina, Julio, wzorem sąsiadów, próbowała założyć nowe miasto górnicze na terenie posiadłości i została oszukana przez swojego plenipotentą. Na nieszczęście nie było wówczas firm takich jak Hillyardowie, a nie mieli przy sobie człowieka o zaletach świętej pamięci George'a Paxtona. Węgiel okazał się niskiej jakości, a całe przedsięwzięcie katastrofą. Straty pociągnęły za sobą konieczność sprzedaży części ziemi i obrazów, a co ważniejsze, oddanie w hipotekę znacznej części posiadłości w Northamptonshire, Claydown. Z czasem, jak wiemy, twój dziadek, Julio, ożenił się z Edną Stacey z Nowego Jorku. Była niezwykle piękną kobietą, córką potentata kopalnianego z Chicago.

- Ale sprzedać Northamptonshire musieliśmy dopiero, gdy przyszło zapłacić podatek spadkowy po śmierci dziadka, a potem mojego ojca. Do tego zmierzasz, jak przypuszczam.

- Twój ojciec - ciągnie Simon Basildon - trzeba mu to oddać, słuchał rozsądnych rad. Przekazał posiadłość synowi, jak tylko rząd ponownie zezwolił na to posiadaczom ziemskim, jeszcze w czasach, gdy Adrian był na akademi rolniczej. Andrew cieszył się wówczas doskonałym zdrowiem i taki układ wydawał się idealny. Płacił synowi rentę, a poza tym mieszkał nadal w swoim domu i prowadził taki sam tryb życia jak dawniej. Niestety wkrótce potem ciężko zachorował i zmarł. A my pozostaliśmy z czymś, co nosi miano nie sfinalizowanego przekazania tytułu własności. Mieliśmy do wyboru albo zapłacić podatek wysokości czterdziestu procent wartości domu i ruchomości, albo ubiegać się o warunkowe zwolnienie, na co się, koniec końców, zdecydowaliśmy. W przypadku Castlemorland nie przedstawiało to żadnego ryzyka i z łatwością uzyskaliśmy zgodę. Udzielono nam warunkowego zwolnienia. Warunkiem było otwarcie domu dla zwiedzających w określonym dniu tygodnia - w środy, i to tylko przez trzydzieści dni w roku. Trzeba przyznać, że nie był to uciążliwy warunek. Problem w tym, że Adrian nie spodziewał się umrzeć w najbliższej przyszłości. Tak więc znajdujemy się w dość trudnej sytuacji. Gdybyśmy mieli do dyspozycji większe farmy lub

lepsze dzierżawy, sytuacja wyglądałaby inaczej. Ale obawiam się, że odzyskanie gospodarstw jest mało prawdopodobne.

- Nie pozwolę niepokoić dzierżawców w żadnym domu i w żadnym gospodarstwie na terenie posiadłości - oświadcza Julia. - Co ty, na Boga, myślałeś?

- Ja tylko przedstawiam sytuację. Adrian pozostawił posiadłość tobie. W swoim testamencie wyraża nadzieję, że postarasz się przekazać Castlemorland swojemu synowi. Posunął się nawet do tego, że zaproponował podział ruchomości, by twoja córka nie była na tym stratna. Ale nie pozostawił prawnych rozporządzeń. Posiadłość była majoratem do czasu, gdy za zgodą świętej pamięci markiza - to znaczy twojego ojca - i jego ojca, Thomasa, został on zniesiony, zgodnie z duchem czasu. Pamiętam jeszcze, jak mówili, że trzeba iść naprzód, a nie oglądać się wstecz.

- To co robimy? - naciska Julia.

- Będziemy musieli wystąpić o ponowne zwolnienie domu i ruchomości. Oczywiście, nigdy nic nie wiadomo, ale na obecnym etapie jest to tylko formalność. Zakładając, że zgodzisz się na warunek zwolnienia...

- Otwarcie dla zwiedzających? Och, oczywiście!

- ..nie widzę powodu, dlaczego spłata podatku od dziedziczenia nie powinna zostać odroczone. Niestety, dotyczy to, jak już wspomniałem, tylko domu i ruchomości. Reszta podlega opodatkowaniu. Poza tym będziesz musiała uwzględnić w swoim budżecie koszty utrzymania tego domu, Castlemorland jest siedzibą bogatego człowieka, to nie podlega dyskusji.

- Owszem, to jest pewien problem - mówię lekkim tonem, próbując, bez skutku zresztą, rozładować napięcie.

Simon Basildon rzuca mi spojrzenie spod oka, poprawia okulary.

-Amerykańska fortuna twojej babki, Julio, jest na wyczerpaniu, nawet takiej części, która nie podlegała podziałowi, zgodnie z zasadą pierworództwa. Poza tym istnieją pewne anachroniczne, powiedzmy szczerze, restrykcje dotyczące pierwotnych chicagowskich funduszy - taki to a taki procent musi być zainwestowany w metale, stal, nawet koleje. Z drugiej strony, dzięki twojemu mężowi, fundusze dyskrecyjne, którymi operował, przyniosły w ostatnich latach niezły dochód.

- Przyniosłyby większy, gdybym mógł wziąć kredyt - wtrącam. - Ale nie mogę. Kilka rachunków pozostaje nadal w rękach maklera o nazwisku Richard Mortlake. Bardzo kompetentny gość. Natomiast te największe złożyliśmy z Ru-pertem w ręce zawodowców. Cały kredyt należy do nich.

- W każdym razie - mówi Basildon - skumulowane zyski z tych pięciu lat odciążą was finansowo, choć jak już wspominałem, one również podlegają opodatkowaniu. Dadzą wam jednak trochę luzu. Ale jeżeli zamierzacie zatrzymać Castlemorland i mieszkać tu...

- Oczywiście, że zamierzamy! - wybucha Julia. - Zamierzamy zatrzymać Castlemorland, to nie podlega dyskusji. Natomiast trudno nam w tej chwili powiedzieć, ile dni czy miesięcy w roku będziemy tu spędzać.

- Radzę dobrze to przemyśleć. Jeżeli okaże się, że sobie nie radzicie, mogłabyś oddać dom w powiernictwo.

- Oddać?
- Tylko takiemu powiernikowi, którego rodzina mogłaby kontrolować.
- Dom, który raz dostanie się w narodowe powiernictwo, nawet jeżeli rodzina nadal w nim mieszka, z czasem staje się czymś w rodzaju ekskluzywnego hotelu na wsi. A zdarza się, że i to nie. Kiedy o tym myślę, zawodzi mnie poczucie humoru.
- Zgadzam się z tobą - mówię.
- Przypuśćmy, że zatrzymamy dom i będziemy żyli tak, jak zawsze żyła moja rodzina?
- Jest to oczywiście możliwe - twierdzi Basildon. - Choć nastęrczy pewnych trudności i będzie wymagało odpowiedniego planowania.
- John? - Julia zwraca się do mnie pytająco, niemal bez tchu.
- Jakoś to zorganizujemy. Niezależnie od tego, ile nas to będzie kosztowało - obiecuję, choć odczuwam niepokój. Na skutek nieszczęśliwego wypadku ciężar Castlemorland spada niespodziewanie na moje barki i zastanawiam się jak, i czy w ogóle, zdołam go udźwignąć.
- Mogę wrócić do pracy - proponuje Julia.
- Nie. Jeszcze nie. Lepiej zostań z dziećmi.
- W Akademii niewiele płacą, ale mogłabym znaleźć coś innego. Jestem pewna, że gdybym się rozejrzała...
- Nie martw się - uspokajam ją. - Poradzimy sobie. Wkrótce wszystko się ułoży.
- Nie mogę znieść myśli, że to ja miałabym zerwać więź mojej rodziny z ziemią. Bez względu na to, jak banalnie to brzmi.. nie zniosłabym tego. - Julia wstaje i podchodzi do okna, skąd widać wzgórze wznoszące się łagodnie za dziedzińcem.
- Castlemorland nie jest domkiem weekendowym - odzywa się Basildon po chwili dyskretnego milczenia. - Masz rację, Julio, zamieszkanie tu jest równoznaczne z przyjęciem pewnych zobowiązań wobec zamku, wobec całej posiadłości, ale przede wszystkim wobec wsi i jej mieszkańców. W większości wypadków jest to, praca dająca nieporównywalną satysfakcję. Tak to odczuwał twój ojciec, a także Adrian. Ale nawet ich nachodziła często myśl, że grają tylko pewną rolę, robią to, czego oczekuje się od arystokracji, dla audytorium, które już o to nie dba. Dla członków kościoła, którzy przestali wierzyć, dla młodzieży, która wypatruje tylko okazji, by uciec do Londynu albo innego wielkiego miasta, dla mieszczuchów, którzy kupili ziemię po zawrotnej cenie i spędzają tu dwa dni w tygodniu, ponieważ wieś działa na nich kojąco.
- Jaki mam wybór? - pyta Julia.
- Nie wiem, czy wybór w ogóle istnieje. Przypuszczam, że mogłabyś zawrzeć jakąś umowę z Rupertem, jeżeli ostatecznie zdecydowałibyście, że nie osiedlicie się tu na stałe.
- Z Rupertem? Nie ma dość pieniędzy, żeby mnie spłacić, a co ważniejsze, nie jest żonaty, nie ma dzieci. Jaka jest szansa, że ktoś, kto romansuje z trzema modelkami naraz, kiedykolwiek się ustakuje?

- Mówiąc „układ” nie miałem na myśli sprzedaży Castlemorland. Myślałem o podziale obciążeń. Takie rozwiązanie przyszło mi do głowy, ale przecież nie rozmawiałbym o tym z Rupertem bez upoważnienia z waszej strony.

- Będziemy musieli jakoś to zorganizować. John nie może codziennie dojeżdżać do City.

- Dlaczego nie? - pytam.

- To za daleko. Poza tym mamy dom w mieście. Całe nasze życie skupia się wokół Londynu. Kariera Johna wymaga, żeby był dyspozycyjny. Nie możemy sobie pozwolić na utratę jego dochodów. Zresztą on kocha swoją pracę. Jest w niej fantastyczny. W firmie wróżą mu wspaniałą przyszłość. Na razie nie podejmujemy żadnych postanowień, starajmy się rozwiązywać problemy w miarę ich pojawiania się, a potem zobaczymy.

- A więc rozumiemy się - mówi Simon Basildon. - Spotkam się z księgowymi i przedstawię wam dokładny szacunek płatności.

- Również dochodów, proszę - śmieje się Julia.

- Naturalnie! Porozmawiam z chłopakami od Hillardów i może zorganizują wam przyspieszony kurs z rolnictwa i leśnictwa.

- To byłoby świetnie. Na wszelki wypadek zadzwonię do znajomego w Brim-blebys. Nie leżymy w sferze jego zainteresowań, nie ten okres malarstwa, ale on ma dobre oko i doradzi mi, czego się pozbyć w pierwszej kolejności, gdyby zabrakło nam pieniędzy. Ale liczę przede wszystkim na to, że John wróci do City

1 zbije fortunę, która uwolni nas od wszystkich kłopotów. Co ty na to, kochanie? - Julia puszcza do mnie oko.

- Przy odrobinie szczęścia.

- Ale lepiej się pospiesz.

Według legendy, pewien mieszkaniec Castlemorland ujrzał ducha w Długim Korytarzu, a ponieważ był malarzem, naszkicował jego postać. Duch na jego rysunku przypomina średniowiecznego rycerza w stroju, którego współczesny człowiek nie mógł znać.

Czasami, zwłaszcza ostatnio, kiedy blade zimowe słońce ulega tak szybko naporowi nocy, wydaje mi się, że ja również wyczuwam istnienie czegoś, co przykuwa nas do siebie nawzajem i do Castlemorland. Jest to jakby nić przeznaczenia, która związała mnie z tym domem, zanim dowiedziałem się o jego istnieniu, wizerunek naszkicowany w mojej podświadomości, tak wyraźny, jak obraz ducha w umyśle artysty.

Często myślę, że czas powinien nas jednak ostrzegać o zbliżaniu się chwil przełomowych, jak tablice na autostradzie uprzedzają o zbliżaniu się zjazdu. Byłem turystą, z amerykańską wizą via Hongkong, i nagle stałem się kochankiem, a jeszcze później, mężem. Nie zdawałem sobie sprawy, że na mojej żonie zaciąży historia, że ja również przyjąłem ją na siebie składając przysięgę małżeńską, że historia ta odbije się w twarzach, głosach, umysłach naszych dzieci.

Pamiętam moją pierwszą rozmowę z Rupertem o przejściu do Battleman Peale, w restauracji, nad talerzami jagnięcia z szalotką. Hongkong dyszał gorącem,

kiedy po kolacji szliśmy ulicami: ja, Rupert i Philip. Pamiętam równoległe pasma wysokich okien biurowców, rozpalonych ambicjami i żądzą bogactwa. Zgodziłem się - nie myśląc prawie o Anglii, nie wiedząc o istnieniu Julii.

Zastanawiam się tylko, czyja też mógłbym przedstawić ducha Castlemorland tak wiarygodnie. Myślę, że tak, ale mniejsza z tym. Mniejsza z tym.

Przepowiednia Julii sprawdza się bardzo szybko: posuwamy się po omacku. Zbliżający się termin wykupu Ergo przez klikę Wileya Ryana - spotkania we-wnątrzzespołowe, konferencje z naszymi przyszłymi syndykatorami, konieczność ciągłego korygowania kosztów, uzupełniania danych, zasięgania opinii, a nawet pocieszania doradców sprawia, że muszę spędzać w City coraz więcej czasu. A dni są krótkie - osiem godzin dziennego światła wyrwane z sezonu mroku. Castlemorland również wymaga coraz więcej czasu i nakładu sił. Najpierw poniedziałkowe ranki, a potem i piątkowe popołudnia są zarezerwowane na spotkania w sprawie lasów, ziemi uprawnej i dzierżaw: poczmistrz domaga się nowego szyldu, stacja benzynowa łagodniejszego podjazdu od wschodniej strony. Do majątku należy trzydzieści domów we wsi. Dwa są puste, stając się łupem włóczęgów, jeden wystawiono na sprzedaż. Tak więc tydzień jest okrojony z obu stron, wiejskie życie wypiera miejskie i na odwrót.

Jeżdżę tam i z powrotem, w godzinach zmierzchu lub świtu, w porannej lub wieczornej mgle, przez otwarte przestrzenie wokół autostrady lub wzdłuż linii żywoptotów, prowadzony jedynie przez światła reflektorów. Moje dzieci albo już śpią, albo jeszcze śpią. Słucham Góreckiego, Dino LiPatti grającego Bacha, ósmej sonaty Mozarta, Chirsa DeBrugha i Cole Portera.

Czuję się rozdarty. Castlemorland mnie przytłacza, intryguje i przeraża. Jestem dumny z tego, że moje dzieci go odziedziczą, a jednocześnie obawiam się, że stworzy jeszcze większy dystans między nimi a moją własną historią, moją ojczyzną. Castlemorland jest pod wieloma względami szczytem życiowych aspiracji, ale na jego istnienie składają się trywialne wydarzenia, takie jak festyny flory i fauny, które działają na mnie klaustrofobicznie. Ironią losu zostały przypisane do bogactwa bardziej wyrafinowanego, bardziej namacalnego niż spodziewałem się zdobyć. Jednak ten dom i ta ziemia mają dziwną moc, potrafią pochwycić i przekształcić osobowość. Uczono mnie żyć, pracować, walczyć o dobrobyt własny i mojej rodziny. Cel ten wydawał mi się zawsze wystarczający sam w sobie - jeżeli nie był szczytem marzeń, to w każdym razie zapewniał samorealizację. Ujemną stroną takiego podejścia jest świadomość, że mimo heroicznych wysiłków człowiek nie stworzy ani nie przyczyni się do zachowania dzieła większego niż on sam. Nie mógł mi tego zapewnić nawet Battleman Peale, którego jestem partnerem, jednym z wielu.

Nasze próby załatwienia wszystkich spraw Castlemorland w weekendy są z góry skazane na niepowodzenie. Pewnego niedzielnego popołudnia postanawiamy, że po zakończeniu roku szkolnego, w okresie między przedszkolem a pierwszą klasą, dzieci wraz z Julią przeniosą się na stałe do zamku. Ja będę przyjeżdżał w piątek, wyjeżdżał w poniedziałek rano, wpadał w środę, jeżeli moje zajęcia i pogoda na to pozwolą.

Pod koniec tego tygodnia natykam się na Ruperta, który wychodzi z biura gajowego mieszczącego się daleko, w kompleksie stajni.

- Nie wiedziałem, że tu jesteś - mówię.

- Nie? Zostawiłem ci wiadomość. -U Julii? U Topleya?

-Na twojej poczcie głosowej.

- To wszystko wyjaśnia. Już dwa razy rozmawiałem dzisiaj z Philipem, dowiadując się, co w pracy: kto dzwonił, do kogo oddzwonić, tak że nie sprawdziłem poczty. A powinienem, jak się okazuje.

- Nie ma zmartwienia. Poszedłem zobaczyć się z panem Cole'em.

- Z panem Cole'em? -Z gajowym.

- Wiem, kim jest pan Cole.

- Julia mnie o to prosiła.

- Wspominała mi o tym.

- Chciała się tylko upewnić, że wszystko w porządku.

- Moja żona nie traci czasu. Rupert ignoruje moją uwagę.

- Chyba że chciałbyś sam się tym zająć - mówi uprzejmie. - Nie chcę wdzierać się w twoje...

- Nie wdzierasz się - zapewniam. - Jeżeli chodzi o ścisłość, to był mój pomysł.

- Ach tak?

- W końcu masz doświadczenie,którego mnie brakuje. Mam już całkiem niezłe pojęcie o tym, co tu się dzieje, o tym, co się powinno dziać - ale jest to wiedza nabyta, nie instynktowna.

- Skoro już o tym mowa, pojawiło się kilka problemów - wyjaśnia Rupert, ruszając wolnym krokiem w stronę nasłonecznionego ogrodu południowego. -Wcale nie uważam, że istnieje rozwiązanie właściwe i niewłaściwe w jakimś absolutnym pojęciu, natomiast musi istnieć dla danego miejsca i czasu. Trochę zamazała się nam ogólna koncepcja. Co właściwie robimy? Czy próbujemy trzymać się staroświeckich zwyczajów, strzelając zwierzynę dla przyjemności, w gronie przyjaciół? Czy próbujemy czerpać z tego zysk, a jeżeli tak, to czy to ma być zysk bezpośredni, czy pośredni. Nie wiem, czy mnie rozumiesz.

-Chyba tak.

- Czy dochód z wydzierzawiania dni łowieckich ma utrzymywać nasze tereny w sensie dosłownym - czyli bilans wychodziłby na zero - czy, biorąc pod uwagę naszą sytuację, powinniśmy przyjąć bardziej wyrafinowany punkt widzenia i postawić na zysk pośredni, wykorzystać polowania dla naszych zawodowych celów? Wiem, wiem! - Rupert unosi obie dłonie. - Ta koncepcja wzbudziłaby święte oburzenie biednego Adriana. Ale Adrian nigdy nie żył w prawdziwym świecie. Rozpaczliwie próbował zrobić coś, co nie leży w możliwościach ludzkiej istoty -zatrzymać czas, stanąć w miejscu. Teraz nie żyje i do nas - a właściwie do Julii i do ciebie - należy dokonanie zmiany w tym podejściu.

- Słucham.

- Zaznaczam, że jest to tylko moja opinia. Zawsze uważałem, że istnieją dwa aspekty strzelania zwierzyny: pokrewieństwo i sport. Bardzo proste, prawda? Na odcinku sportu wszystko jest w porządku, Cole jest w tym dobry. Wątpię, czy znajdzie się w Anglii tuzin gajowych, którzy mogliby z nim rywalizować, i najwyżej kilku, którzy okazaliby się lepsi. Dopóki nie możemy ich zatrudnić. Zmian należałoby dokonać w departamencie pokrewieństwa. Nie jest to miłe zadanie, ale czy mamy wybór? Co myślisz o tym? Dopiero na to wpadłem i jestem otwarty na sugestie. Battleman, albo nasz syndykat w jego ramach, może wykupić pewną liczbę dni za niezłą cenę. Oczywiście, zatrzymamy dla siebie te najlepsze. Poza tym wszystko pójdzie utartym torem. Pozornie nic się nie zmieni, natomiast strona finansowa zostanie zrjonalizowana, jeżeli można tak powiedzieć. Tradycja polowań na tym nie ucierpi. Żeby nie mieszać znajomych z płatnymi gośćmi, zarezerwuje się odrębne terminy. Takie rozwiązanie odciąży was finansowo.

- W każdym razie trzeba to rozważyć.

- Prawda? Bardzo niewielkie ryzyko, a korzyść znaczna. Bo niby dlaczego ty i moja kuzynka mielibyście dokładać do czegoś, co jest normalnie działalnością dochodową? Z drugiej strony dlaczego, u licha, nie mielibyście wykorzystać zasobów, będących waszą własnością? Castlemorland, a zwłaszcza jego polowania, są teraz waszą wizytówką. Szalenie przydatną w warunkach, w jakich się obecnie znaleźliśmy. Nie uważasz, że byłoby nonsensem wysyłać naszych klientów gdzie indziej? Lepiej zrobić użytek z tego, co mamy. Rozgraniczenie między życiem towarzyskim a zawodowym jest w obecnych czasach czymś sztucznym. Jak myślisz, dlaczego w ogóle budowano takie domy jak Castlemorland? Nie po to, żeby spędzać miło czas z przyjaciółmi, zapewniam cię. Żeby zaimponować królowi, zapewnić sobie przychyłność dworu. Jednym słowem - interesy.

- Przekonałeś mnie - mówię. - Ale decyzja nie należy do mnie.

- Sprawa może poczekać - wycofuje się szybko Rupert.

- Może, a zarazem nie może. Zajmiemy się tym we właściwym czasie. W tej chwili wydaje się to trochę skomplikowane.

- Byłoby jeszcze bardziej skomplikowane, gdyby oni się pobrali, a Isabel przeżyła katastrofę.

Jestem wstrząśnięty cynizmem tego stwierdzenia.

- Tak, z pewnością - mówię, patrząc w jego nieprzeniknioną twarz. - Chociaż trudno mi to sobie wyobrazić. Muszę ci się do czegoś przyznać. Czuję się dość dziwnie mieszkając tutaj zamiast ciebie.

- To dlatego, że jesteś Amerykaninem. Gdybyś był Anglikiem, zostałbyś przygotowany na takie niespodzianki losu. Jeżeli cię to uspokoi, wcale nie uważam tego za dziwne. I nie budzi to we mnie żadnych negatywnych odczuć.

- Może nie, ale to coś więcej niż niespodzianka losu.

Niski, niezwykle stary i długi mur z kamienia, do którego doszliśmy, odgradza południowy ogród od parku. Zatrzymujemy się przy nim na chwilę, oślepieni słońcem.

Rupert przykłęka nagle i rozgarnia wysoką trawę, która obrosła płaski kamień, stary zegar słoneczny.

- Zastanawiałem się często, jak to się stało, że całe dziedzictwo przeszło mi koło nosa, bo przyznaję, że w dzieciństwie tak się na to zapatrywałem. Zastanawiałem się nad tym nieustannie, przed narodzinami Adriana i długo potem. Przyjeżdżaliśmy tu z Londynu. Z pieniędzmi było krucho - nigdy się o tym, oczywiście, nie mówiło, ale przed dzieckiem nie sposób ukryć niedostatku. Między rodzicami panowała napięta atmosfera, a potem matka odeszła. W tamtych czasach to pastwisko było łąką, wystrzyżoną jak trawnik do gry w golfa. Siadałem często przy tym starym zegarze słonecznym i odbywałem w wyobraźni najbardziej egzotyczne podróże. Spójrz na ten kamień - Rangun, a zaraz obok Kuala Lumpur. Dalej jest Nowy Jork, Chicago i Honolulu, w tej kolejności. Stawałem często między Chicago i Honolulu i oddawałem się marzeniom. Zaznaczyłem wszystkie miasta Nowego Świata, tylko że niestety zarosła je trawa. Oczywiście zdawałem sobie sprawę z tego, że moim przeznaczeniem będzie ożenić się bogato i w ogóle radzić sobie, jak najlepiej potrafię. Ale pokusa, by uciec od tego wszystkiego, była silna, dużo silniejsza niż mój charakter. Stąd wiem, jak się teraz czujesz. Naprawdę! Każdy człowiek, który jest coś wart, stara się postawić na swoim. Wtedy najczęściej interweniuje los. Ale ja nie narzekam. W dzieciństwie rzeczywiście miałem ukryty żal i chciałem w jakiś sposób ukarać ludzi, którzy otrzymali to, czego mnie los pozbawił. Kompletny absurd, ale trzeba wziąć poprawkę na to, że byłem bardzo młody i na ogół bujałem w obłokach. Nawet gdybym miał odwagę i został aktorem, wbrew wszelkiemu prawdopodobieństwu -dobrym aktorem, i tak nie dotarłbym tam, dokąd wydawało mi się, że zmierzam.

Ralph i Lucinda przyjeżdżają parę tygodni później, on jako doradca rolniczy, ona, żeby pomóc Julii w organizacji domu, zwłaszcza kuchni. Pogoda jest pod psem.

- Co robisz? - pyta Julia tego popołudnia, na parę godzin przed przyjazdem gości. Jej wysoka postać rysuje się ostro w prostokącie światła. Stoi w progu małego pokoju, wciśniętego niemal pod schody na poddasze, który przerobiłem na biuro.

- Odpowiadam na faks. To potrwa tylko chwilkę. Philip przysłał mi ostatnie obliczenia i prosił, żebym rzucił na nie okiem. Wyglądają nieźle.

- To dobrze. Zastanawiałam się, czy mógłbyś sprawdzić kominek w pokoju gościnnym.

- Nie ciągnie?

- Zapchany.

- Zaraz go obejrzę, daj mi dziesięć minut. A tak w ogóle, to co jest między nimi?

- Między Ralphem i Lucindą? Oboje za dobrze się bawili jako nastolatko-wie, żeby teraz mieć ochotę wydorosnąć. Trudno im przejść do następnego okresu rozwoju, jemu jeszcze ciężiej niż jej.

-Ale jesteś pewna, że oni...?

- Och, śpiąją ze sobą, ale nic poza tym.

- Gdzie są dzieci?

- Oglądają film wideo.
- Wydawało mi się, że jest dziwnie spokojnie.
- Zostały zaproszone na jutro na podwieczorek do kolegi z sąsiedniej wsi. Odwieszysz je?
- Już wpisuję to do swojego terminarza. Oto jest: czarne na białym. W przyszłym tygodniu, jak tylko podamy sprawę wykupu Ergo do wiadomości publicznej, rozpęta się piekło. Ale na razie mamy ciszę przed burzą, jak to mówią. Zostawiliśmy sobie taki margines błędu, że teraz możemy tylko siedzieć i czekać. Stan skupienia, zanim szef wyda komendę „naprzód”. A szef tymczasem łowi ryby we Florida Keys. Żeby uspokoić nerwy. Odbywa taki trening, jak to nazywa, w najdziwniejszych momentach. Podobno to mu rozjaśnia w głowie. Twierdzi, że kiedy wróci do „gry”, będzie miał tak jasny obraz sytuacji, jak nikt z jego otoczenia. Tam, skąd ja pochodzę, mówimy przy takich okazjach, że ktoś spuścił wzrok z piłki. Mam nadzieję, że się mylę.
- Znam ten typ - mówi moja żona. - Nie dzwoń do niego w środę, bo zmarnujesz mu oba weekendy. Możesz tylko czekać, prawda?
- I pocić się. Ale wszystko jest zapięte na ostatni guzik. Sprawdziliśmy z Ru-pertem każde słowo w każdym dokumencie, Philip - każdą cyfrę. Nie ma takiego przecinka, takiej klauzuli, plusa czy minusa, którego nie obejrzelśmy co najmniej sto razy - na papierze i na ekranie komputera. Nie ma nikogo - w Stanach, w Europie, w Azji - z kim się nie skontaktowaliśmy, bo należało. W tej chwili na całym świecie jest mnóstwo takich ludzi jak my: zdenerwowanych, trwających w oczekiwaniu, ufających tylko swoim partnerom i żonom, a czasem i to nie.
- A więc pozostaje tylko czekać - mówi Julia i uśmiecha się.

15

Wiem, że mówię rzeczy oczywiste, ale ziemia i las to organizmy żywe i musisz o tym pamiętać - oznajmia Ralph, a bezlistne drzewa zdają się przeczyć jego słowom. Ralph wyklada mi swoją teorię, tak samo jak przed paroma laty uczynił to Adrian. - Zarządzasz życiem we wszystkich jego postaciach; nowe zasiewy, ale także bardzo stare drzewa. Ziemia zniesie niemal każdy naturalny kataklizm, a jednocześnie jest bardzo delikatna i trzeba o nią dbać. Nie muszę wspominać, że pola i lasy to nie wszystko; zarządzasz przede wszystkim ludźmi.

- Jedno mnie martwi - mówię. - Adrian był urodzonym farmerem. Odziedziczył umiejętność uprawy ziemi po przodkach. Julia jest również związana z ziemią, chociaż nie w tym samym stopniu, co jej brat. Ma inne zainteresowania, równie silne.
- Oczywiście.
- Rupert...

- Rupert - wzdycha Ralph - uważa, że „ziemia” i „własność” to synonimy Nie możesz żyć na farmie, a właściwie na kompleksie farm, jakim jest ta posiadłość, jakbyś żył w Londynie. Musisz współdziałać z naturą, jeżeli chcesz produkować cokolwiek, obojętne - pszenicę czy jęczmień. Nie możesz po prostu zawołać „kelner!” I me masz wyboru, jak tylko zarządzać ziemią w harmonii z porami roku. Świnie zarzyta się zimą, kiedy jest utuczona... i tak dalej, i tak dalej.

- Rozmawiałeś o tym z Julią?

- Nie wprost. Nie było takiej potrzeby. Natomiast z Adrianem często poruszaliśmy ten temat. Inna sprawa, czy słyszał, co mówiłem. Ta rodzina stawia sobie za punkt honoru, żeby nie słuchać. Zawsze mogłem mieć pewność, że jeżeli sprawa jest błaha, potraktują moje słowa poważnie, i na odwrót, że potraktują frywolnie każdą poważną kwestię. Taka rola została mi narzucona - bardzo, bardzo dawno temu.

Po lunchu odwozimy z Ralphem dzieci na przyjęcie do przedszkolnego kolegi, do odrestaurowanego domu farmerskiego dwanaście mil od Castlemorland. Po drodze zatrzymujemy się przy sklepie z pamiątkami. Andrew wybiera drewniany, jaskrawożółty traktor; Louisa pudełko plakatówek. Postanawiamy kupić jedno i drugie.

Kiedy wychodzimy ze sklepu, Andrew, z ozdobną paczką w ręku, pyta nagle- Tatusiu, dlaczego my tu jesteśmy?

- Żeby kupić Justinowi prezent - przypominam mu.

- Tak, głuptasku - powtarza za mną Louisa. - Kupić Justinowi prezent Na jego urodziny. Skończył sześć lat. Ty dasz mu traktor, a ja...

- Nie o to pytałem - przerywa Andrew. - Pytałem, dlaczego my jesteśmy tutaj? Skąd się tu wzięliśmy? I co się z nami stanie, kiedy umrzemy?

Ralph zagląda mi w twarz, ciekawy mojej reakcji, ale zanim ktokolwiek z nas odważył się podjąć próbę wyjaśnienia dziecku spraw, których nie rozumieją filozofowie, Andrew dodaje:

- Tatusiu, myślę, że wiele ludzi chciałoby to wiedzieć.

W niedzielę po kościele Julia, Lucinda, Ralph i ja idziemy do pubu w hoteliku „Midleton Arms”, przynależącego do majątku, ale oddanego w długoterminową dzierżawę władczemu Austriakowi.

- Po kuflu miejscowego? - pyta Ralph.

- Dlaczego nie?

- Dla mnie małe - mówi Julia. - Jest świetne, ale działa usypiająco.

- Dla mnie też - dodaje Lucinda.

- Z tego wnoszę, że nie wracasz dzisiaj do Londynu - mówi Ralph.

- Jutro skoro świt.

- Myślę, że my wyruszymy koło szóstej. Lucinda może prowadzić. Zresztą to niedaleko, w dodatku niemal wyłącznie bocznymi drogami. Zostaniesz w Londynie cały tydzień?

- Wbrew rozsądkowi.

- Nigdy nie zgodziłbym się pracować w City. I nie zazdroszczę nikomu, kto odniósł tam sukces, ponieważ dla mnie taka ewentualność w ogóle nie istniała. Oczywiście, czasem żałuję, że nie jestem bogaty, ale... Dobrze wam idzie?

- W miarę - odpowiadam niezobowiązująco. - Nic ciekawego. Nie ma o czym pisać do domu.

- Znasz tego potentata, Amerykanina, który był tu w ten weekend, kiedy Adrian... - Głos Lucindy zamiera.

- Tak, oczywiście. Wiley Ryan - odpowiadam. Sam fakt, że wypłynęło to nazwisko, wzbudza niejasny niepokój.

- Właśnie, Wiley Ryan. Pisali o nim w jakimś czasopiśmie, które poniewierało się po sali konferencyjnej, gdzie przygotowywałam lunch. Nie zdawałam sobie sprawy, że z niego taka gruba ryba. Powinnam dać mu swoją wizytówkę i katalog usług.

- Daj Johnowi - podpowiada Ralph. - Spotyka się z nim.

- Bardzo rzadko.

- Och, proszę cię - mówi Lucinda. - On musi podejmować ludzi w Anglii. Wiem, że smakowała mu kolacja w Castlemorland.

- Patrzenie, kto przyszedł! - wykrzykuje Ralph.

- Przysięgłabym, że on smaruje włosy pastą do butów - szepcze Lucinda, kiedy Matthew Paxton holuje swoją żonę, była seksbombę, w stronę dwuosobowej sofy.

Wita nas skinieniem głowy.

- Dzień dobry.

- Dzień dobry.

- Zimno, ale ładnie - zagaduje Rachel, nie zwalniając kroku. Jest czterdziestoletnią, dogasającą, ale uznaną piękną, córką oberżysty z Northumberland.

Przy barze Matthew Paxton opiera swój znaczny ciężar na delikatnej barierce z sosnowego drewna i zapatrzony w piwo żony czeka, aż barman napełni drugi kufel. Jego uwagę przyciąga gazeta, porzucona na wysokim stołku. „Coraz więcej napadów rabunkowych na wsi”. Zapomina o nagłówku w chwili, gdy otrzymuje swoje zamówienie, przysuwa ku sobie wilgotne kufle, płaci. Znosi piwo żonie i siada obok niej w małżeńskiej ciszy.

Parę lat temu Matthew Paxton odbywał staż w firmie swojego ojca, przeprowadzającej badania rynku na zamówienie klienta. Podobno rokował duże nadzieje, ale okazał się złośliwy, zbyt agresywny jako negocjator, nie należał również do przykładowych ojców rodzin.

Przynajmniej tak głosi plotka.

Po kilku chwilach sięga po porzuconą gazetę, jakąś popołudniówkę.

- Wasza? - pyta. - Nie.

- Chciałem się tylko upewnić.. To wina autostrad..

- Co jest winą autostrad? - podejmuje rozmowę Lucinda.

- Wzrost liczby rozbojów. Uważam, że Castlemorland powinno być zamieszkane. Ktoś tam powinien być dwadzieścia cztery godziny na dobę, siedem dni w tygodniu. W tych czasach!

- Chcesz, żebym przyznała ci rację, Matthew? - pyta Julia. - Czy żebym ci zaprzeczyła?
- Pozwolisz, że usiądę? - pyta Matthew.
- Pytanie, czy Rachel pozwoli.
- Nie przejmuj się nią.
- A więc proszę.
- Od śmierci Adriana dużo myślałem o przyszłości wsi. W końcu zbliża się nowy wiek. Co tam nowy wiek, nowe tysiąclecie! Zastanawiałem się, co dla wsi byłoby najlepsze. W ogóle dla wszystkich. I jeżeli mam być szczery, nie wiem. Bardzo tego żałuję. Jest tyle sposobów na życie, że wyborów należy dokonywać okresowo, biorąc pod uwagę realne warunki.
- Jakże mianowicie?
- Specyfikę czasów, przede wszystkim specyfikę czasów.
- Ach tak? - śmieje się Ralph, po czym zwraca się z jakąś uwagą do Lu-cindy, subtelnie wycofując się z rozmowy, która zaczyna nabierać prywatnego charakteru.
- Widzisz, według mojej teorii świat się nie zmienia, on już się zmienił -peroruje Matthew. - Anglia nie jest Anglią z czasów mojego dzieciństwa. Tylko wygląda tak samo... gdzieś. Ludzie zyskali szerszy punkt odniesienia. Czy to przez telewizję, telefony, komputery, czy może podróże? Stare imperium nikomu już dziś nie jest potrzebne. Dzisiejsza wieś nie spełnia swojego zadania. Z jednej strony masz Tesco, w odległości dwudziestu mil, z drugiej Sainsbury'ego. Dzisiaj w modzie jest podejście regionalne.
- Nie smakuje ci piwo? - pyta Julia.
- Owszem. - Matthew Paxton zdejmując wargami pianę z krawędzi szklanki.
- Miejsce? -Tak.
- To dobrze. Pewnie nie wiesz, że zamierzają zaprzestać produkcji. Za mało jest na nie chętnych. Szkoda by było z niego zrezygnować, zgodzisz się ze mną?
- Całym sercem - mówi Matthew. -1 tu pojawia się interesujący aspekt. Daleki jestem od lekceważenia dzielących nas różnic, ale tak się składa, Julio, że łączy nas coś bardzo istotnego - kochamy ten sam zakątek Anglii, w różnych płaszczyznach jego przeszłości i z różnymi możliwościami na przyszłość.
- Jak dotąd wszystko się zgadza. Z tym, że ten zakątek jest w moich rękach, nie w twoich.
- Ale oboje go kochamy.
- A ty masz zamiar przedstawić mi propozycję podobną do tej, jaką odrzucił Adrian.
- Niezupełnie.
- Przejdźmy więc do rzeczy - mówię.
- Proszę uprzejmie. Adrianowi proponowałem budowę osiedla mieszkaniowego. Trzeba by na to trochę ziemi na obrzeżach majątku, minimalny procent całości, prawie nic. Jednak okoliczności się zmieniły. Tematy wówczas aktualne dzisiaj są już nie na czasie. Rzecz w tym, że ja mam poparcie. To wiele zmienia.

- Poparcie? - powtarza Julia.
- Bardzo zasadnicze. Mam również powody przypuszczać, że uda mi się zdobyć zezwolenie na budowę.
- Noto wszystko jasne-mówi Julia.
- Zdobędziecie majątek, o jakim się wam nigdy nie śniło, bez żadnego wysiłku z waszej strony. Manna z nieba.
- Można to i tak ująć.
- W gruncie rzeczy nie macie ochoty tu mieszkać.
- Jakby to zależało wyłącznie ode mnie! - mówi Julia.
- Nie chcecie tego. Żadne z was.
- Pozwolisz, że się z tym nie zgodzę? - odzywam się.
- Możesz się nie zgodzić, twoje prawo, ale to się rzuca w oczy - mówi Matthew.
- John ma rację - upiera się Julia.
- Jesteś pewien? - zwraca się do mnie Matthew. -Obydwoje chcemy tu mieszkać.
- Znudzić się szybko - ciągnie z przekonaniem Paxton. - Jeżeli mam być zupełnie szczery, nie jestem jeszcze pewny, czy mój projekt będzie możliwy do przeprowadzenia. Wierzę, że tak, a już dzisiaj... Wprowadź pomysł znajduje się w fazie wstępnej, ale już dzisiaj mogę powiedzieć, że jest chyba zbyt dobry, by mógł być prawdziwy. Dasz mi jeszcze sześćdziesiąt sekund?
- Za dobry, żeby mógł być prawdziwy?
- W ogólnych zarysach wygląda to tak...Zacznę od samego początku, od pierwotnych założeń, czyli od tego, jak to wyglądało kiedyś. Podstawowym zadaniem takich domów jak Castlemorland, poza dostarczeniem schronienia oczywiście było stworzenie ośrodka, centrum dla całej okolicy. W niektórych krajach oznaczało to tylko najbliższą wioskę, w innych sfera wpływów sięgała aż do następnego takiego domu. Podobną rolę spełniały kościoły - od parafii do paratu, a nawet katedry. Otóż Castlemorland ma idealne położenie, by pełnić funkcję takiego właśnie centrum w nowej epoce, w której przyjdzie nam żyć. Jako takie zyskałoby na wartości, zamiast ją tracić z roku na rok. Wartość domu przestałaby mieć wymiar li tylko historyczny. Gdyby wszystko poszło zgodnie z planem, a jestem przekonany, że ryzyko niepowodzenia jest znikome, moglibyście ciągnąc z Castlemorland maksymalne zyski. Dom zostałby odrestaurowany w tych partiach które tego wymagają, poza tym zachowany w nie naruszonym stanie. Na wieki Julia zatrzymałaby wszystkie meble i dzieła sztuki, jakie by zechciała. Sama posiadłość byłaby zarządzana tak jak dotąd, bez konieczności niepokojenia któregośkolwiek z dzierżawców. Przypuszczam nawet, że wystarczyłby skrawek ziemi na budowę największego w okolicy...
- Parku rozrywki?
- Oczywiście zatrzymalibyście wygodne mieszkanie w zamku, na czym z pewnością wam zależy. Życie bez troski. A co ważniejsze, mogłabyś, Julio, zabezpieczyć posiadłość przed zmiennymi kolejami losu, jak mawiał mój świętej pamięci ojciec. Obawiam się, że byłem zbyt szczery. Ale czasem tak jest lepiej.

- Cieszę się, że powiedziałaś wprost, co myślisz. Nie znałam twoich planów, nie w szczegółach. Niestety, obawiam się, że twoja propozycja jest nie do przyjęcia.

Matthew Paxton pozwala sobie na lekki grymas, potem przenosi wzrok z Julii na mnie.

- Nasza rzeczywistość zmienia się szybciej niż przewidywałem. W nowych warunkach powstaje nowa arystokracja, oparta na talencie, a nie na urodzeniu, pierwsza od czasu...chyba od pionierskich czasów Ameryki, kiedy w osiemnastym wieku koloniści ruszyli na Zachód. Moim zamierzeniem - dzisiaj, gdy usuwa się przeżytki - jest znalezienie sposobu, by uwolnić was od ciężaru, który będzie się stawał coraz bardziej dokuczliwy, a zarazem zapewnić Castlemorland bezpieczną pozycję w nowym porządku, jaki się tworzy. Pozycję historycznego centrum konferencyjnego, wyposażonego we wszystkie nowoczesne udogodnienia, z jedynym ośrodkiem sportowym w okolicy... Cóż, zawsze lepiej przewodzić stadu niż ciągnąć się w ogonie. - Matthew Paxton dopija piwo.

- A ten park wypoczynkowy? - zagaduję.

- Oferowałyby atrakcje dla wszystkich, niezależnie od wieku i upodobań. Nie dopracowałem jeszcze szczegółów i jestem otwarty na sugestie.

- Wspomniałeś o Ameryce - mówi Julia. - Byłeś tam kiedyś?

- Tylko raz, na Florydzie.

- Ameryka pod wieloma względami wraca do swoich najwcześniej szych dni -mówi w zadumie Julia. - Do czasów, kiedy ludzie Ignęli do siebie. Ich zawołaniem było: „Zasiedlić ziemię” oraz „Na Zachód, młody człowieku!”. Ludzie szukali ochrony przed nieznanym, przed Indianami. Było tyle ziemi, że nikt nawet nie przypuszczał... A potem nagle okazało się, że tej ziemi już nie ma. Nam zostało to oszczędzone - choć zaczynam się obawiać, że do czasu - właśnie dzięki istnieniu posiadłości ziemskich, utrzymywanych dla potomności, nie dla zysku, a ostatnio również dzięki wprowadzeniu ograniczeń w budownictwie. Masz rację, nie tak wyobrażałam sobie swoją przyszłość, a i John nie tego się spodziewał. Ale mylisz się zakładając, że ulegnę pokusie ucieczki, beztroskiego życia, którego wizję przed nami roztoczyłeś, w zamian za porzucenie moich obowiązków, pozbawienie dziedzictwa Andrew i Louisy.

- Jak sobie życzysz. - Ton Paxtona jest mroząco uprzejmy. Wstaje. - Ale obawiam się, że z czasem przyznasz mi rację.

- Żyję z dnia na dzień, Matthew. Z miesiąca na miesiąc, z roku na rok...

Zmierzch, późniejszy i dłuższy niż kilka tygodni temu. Deszcz wisi w powietrzu, rozmazuje odległe kształty. Na trawniku przed kuchennymi drzwiami Julia kąpie Caveata. Używa w tym celu dwóch wiader ciepłej wody i dużej zielonej flaszki „Fairy Liquid”.

Caveat siedzi zdumiewająco spokojnie, dumną głowę trzyma lekko przechyloną - obraz prowincjonalnego notabla w kąpiele.

- To jest płyn do mycia naczyń, nie psów, o ile mnie wzrok nie myli..

- Wiem. Ale skończył się nam szampon, a on wytarzał się na polu w końskim łajnie, co, o ile się orientuję, jest psią wersją raję.

- Będzie błyszczał jak kryształ.
- Lepiej, żeby błyszczał, niż żeby zasmrodził dom. Mogłabym jeszcze odesłać go do Paxtonow.
- Skoro już o nich mowa, Matthew był bezczelny. - Ty zaś za mało stanowczy.
- Ja? Ja nie byłem stanowczy?
- A kto powiedział: „Słabość i zdrada to dwie różne rzeczy, choć przynoszą jednakowe rezultaty”?
- Nie mam pojęcia. Kto?
- Zdaje się, że ja.
- Nie obchodzi mnie to.
- Wiem, że cię nie obchodzi...Boże, irytuje mnie takie podejście. – Głos Julii powinien wznieść się na fali emocji, ale niespodziewanie opada.
- O jakie podejście ci chodzi? - pytam.
- Dobrego dyrektora. Główna zasada: nie wytwarzać turbulencji.
- Nie - Czy powiedziałem Matthew Paxtonowi coś, co nie było absolutnie jednoznaczne albo za mało stanowcze?
- Ale ten twój ton! Zresztą mniejsza o to.
- Jeżeli tak było, to przepraszam. Ale naprawdę nie odniosłem takiego wrażenia. Staralem się być absolutnie jednoznaczny. Oboje chcemy tu zostać. Bo chcemy, prawda? - - Skoro tak mówisz.
- Napijesz się?
- Może.. .Może powinnam wypić kieliszek wina. Z jakiś względów jestem poirytowana.
- To zrozumiałe. Mówiłem, że Caveat będzie błyszczał. - Wycieram psa ręcznikiem. Labrador wyrywa się, otrząsa i wbiega przed nami do domu.
- Matthew mnie denerwuje. Przyznaję. Z jednej strony wiem, że nie może nam zaszkodzić; z drugiej... jestem pewna, że zaszkodziłby, gdyby miał taką możliwość.
- Matthew zapuszcza sondę, sprawdza, czy nie znajdzie słabego punktu, to wszystko. Dalej się nie posunie. Umówmy się, że od dzisiaj ja będę z nim rozmawiał. Ty zachowuj dystans.
- Spróbuję - obiecuje Julia.
- Chcesz wrócić ze mną jutro do Londynu? Po zakończeniu sprawy Ergo moglibyśmy przyjechać tu oboje. Znajdę sposób, żeby pracować w Castlemorland. Musi być jakieś rozwiązanie. Nie podoba mi się to, że mieszkamy w różnych domach.
- Mnie się to też nie podoba. Ale na razie wszystko jest w porządku. Zobaczymy, jak będzie dalej.
- Musimy położyć dzieci - mówię.
- A potem napijemy się tego wina. Jesteś głodny? - Niespecjalnie.
- Zostało jeszcze trochę rostbefu.

- Nie wiedziałem, że chciałaś, żebym był twardszy - mówię. - Przepraszam. Postaram się następnym razem.

- Zachowałeś się doskonale. To ja byłam zirytowana. Przepraszam.

- Przeprosiny przyjęte. Wiesz, co myślę?

- Tak - mówi Julia. - Chyba wiem. To jest bardzo dobry pomysł. Chodźmy.

Później budzę się, jak oślepy, w pokoju zupełnie pozbawionym światła. Dzwoni telefon. Przerywa mi jakiś sen, zaczątek snu. Sięgam ponad śpiącą Julią, szukając słuchawki. Julia przekręca się na bok i natychmiast, jakby zniechęcona, z powrotem na plecy, nie otworzywszy nawet oczu. Teraz sobie przypominam: zapakowaliśmy dzieci do łóżek, przeczytaliśmy im bajkę, przełknęliśmy kolację, a potem butelkę czerwonego wina. Wzięliśmy razem prysznic, namydleni szamponem rumiankowym, który szczypał w oczy. Julia zachowywała się namiętnie, jak nastolatka, dla której seks jest jeszcze nowością, kiedy kochaliśmy się na kafelkach łazienki.

- Halo - szepczę do słuchawki.

- Czy mówię z Johnem Brookiem? Przykro mi, że niepokoję o tej godzinie. Mam nadzieję, że nie obudziłem?

- Nie - kłamię. - Która godzina?

- Dwudziesta druga trzydzieści osiem, według zegara na naszej ścianie.

- Nie spaliśmy - zapewniam. - Słucham.

- Nazywam się Wilson Blaine. Pracuję w sekcji finansowej Reutera, tutaj w Londynie.

- Bardzo mi miło. W czym mogę panu pomóc?

- Czy zechciałby się pan wypowiedzieć na temat obrotów wewnętrznych jakich ostatnio dokonujecie?

- Obrotów wewnętrznych?

- Akcjami Ergo Ltd. Słyszał pan o tym przedsiębiorstwie.

- Słyszałem.

- Otrzymaliśmy informacje o spekulacjach akcjami Ergo, według niektórych źródeł może to mieć związek z przewidywaną sprzedażą przedsiębiorstwa. Nasi informatorzy twierdzą, że pan i pańska rodzina - mam tu na myśli rodzinę pana żony - jesteście w to zamieszani.

- To nieprawda.

- I to wszystko, co ma pan do powiedzenia? Nieprawda, że skupował pan akcje Ergo łamiąc zasady bezpieczeństwa, czy że brał pan udział w przygotowywaniu sprzedaży przedsiębiorstwa?

- Bez komentarza.

- Ale jest pan pracownikiem Battleman Peale, który jest bankiem kupieckim Ergo?

- Tak. To żadna tajemnica. Natomiast wszystko, co dotyczy mojego klienta - teraz lub w przyszłości - jest poufne. Jestem pewny, że pan to zrozumie i uszanuje.

- Nie wie tego nawet Richard Mortlake? - pyta natarczywy pan Blaine.

- Słucham?
- Zna pan Richarda Mortlake'a?
- Tak, oczywiście.

Szmer mojego głosu budzi w końcu Julię. Siada, podnosi palec do ust. Ma w sobie promiennosc kobiety, która spełniła się w miłości, ale w oczach lęk.

- Według dobrze poinformowanych źródeł Richard Mortlake rozmawia z Departamentem Handlu i Przemysłu.

- Na temat?

- Ergo.

- Nic o tym nie wiem. Bez komentarza.

- Twierdzi pan, że nie jest w to zamieszany?

- Nie biorę udziału w niczym, co byłoby nieetyczne czy niezgodne z prawem. Niestety, muszę zakończyć naszą rozmowę. Dziękuję za telefon.

- Ostatnie pytanie - nalega Wilson Blaine.

- Przykro mi.

- Kto to był? - pyta Julia sennie, kiedy odkładam słuchawkę. - I która to godzina?

- Nie ma jeszcze jedenastej.

- Dokąd idziesz?

- Tylko do biura, na parę minut. Muszę wykonać jeden telefon. Ty śpij. Zaraz wrócę.

- Nie powiedziałeś, kto dzwonił.

- Z pracy - mówię. - Wygląda na to, że się zaczęło. Tydzień wcześniej, niż planowaliśmy.

W małym biurze, które sobie niedawno urządziłem, znajduję laptop, a w jego pamięci numer telefonu Dicky'ego Mortlanda. Spoglądam w sufit, potem na fotografię rodziców zrobioną w ich dwudziestą rocznicę ślubu, wyblakłą już trochę, w ramkach z zielonej skóry.

Próbuję sobie wyobrazić, jakie powiązania może mieć Dicky z Ergo - inne niż przeze mnie; skąd się dowiedział, czy miał powody, by podejrzewać; co sprzedał, w czyim imieniu i komu? Żołądek ściska mi się boleśnie. Sięgam do telefonu, ale odkładam słuchawkę nie wykręciwszy numeru. Widziałem zbyt dużo filmów, przeczytałem zbyt dużo powieści szpiegowskich, by podjąć takie ryzyko.

Starając się nie robić hałasu, znajduję ubranie, kluczyki i portfel. Wyprowadzam porsche z garażu i jadę do sąsiedniej wsi, odległej o dwadzieścia mil. Bywamy tam rzadko, nie mamy żadnych znajomych. W przeciwieństwie do Castle-morland wieś nie należała nigdy do żadnego majątku. Większość domów powstała w latach pięćdziesiątych, są to betonowe pudełka, bez słupków okiennych, źle wkomponowane w krajobraz. Przy stacji benzynowej na końcu miasteczka znajduję tradycyjną budkę telefoniczną, jaskrawoczerwoną i przejmująco wilgotną. Wsuwam kartę telefoniczną, naciskam metalowe guziczki. Odskakują podzwaniając cicho.

. Telefon zostaje odebrany przy drugim sygnale, ale zamiast Dicky'ego Mortlanda odzywa się nie znana mi kobieta.

- Przykro mi, że dzwonię tak późno - mówię, powtarzając obłudne zapewnienie Wilsona Blaine'a. - Zastąpiłem może Dicky'ego?
- A kto dzwoni? - Walijski akcent.
- Jestem znajomym Dicky'ego. To ważna sprawa.
- Z przykrością muszę powiedzieć...
- Słucham?
- On nie żyje.
- Dicky?! Dicky Mortland?
- Dziś po południu.
- Nie żyje? Jak to się...? Wypadek?
- Popęłił samobójstwo. Czy mogłabym prosić pana o nazwisko? Nie ustalono jeszcze daty pogrzebu.
- Zadzwoń później.
- Myślę, że będzie lepiej...
- Nie teraz. Dziękuję. Byłem tylko znajomym.

16

Latarnie płoną nad autostradą, żółte, przyćmione mgłą. Jadę zbyt szybko, w ciszy, bez radia, bez płyty kompaktowej. Potrzebuję ciszy, poczucia, że sprawuję kontrolę nad tym, co się wokół mnie dzieje. Skupiając się wyłącznie na jeździe, rozładowuję w jakiś sposób agresywną, nerwową energię ciała i zapewniam umysłowi spokój.

Kiedy dojeżdżam do City, poranne gazety są już w kioskach. Jak dotąd, żadnej wzmianki o Ergo. Ulga, jakiej doznaję, trwa krótko. Dostrzegam zdjęcie Dicky'ego, jego dziwnie posępną twarz, na pierwszej stronie „Mail”. Relacja z jego samobójstwa, już bez zdjęć, ukazuje się we wszystkich brukowcach.

- Philip zaklina się, że nie masz z tym nic wspólnego - mówi Rupert, rzucając wymowne spojrzenie na schludny stosik gazet, który złożyłem w rogu swojego biurka. - Że nie mogłeś o tym wiedzieć. Powiedz, że to prawda.
- To prawda.
- Spójrz mi w oczy.
- Rupercie, znasz mnie bardzo dobrze. Albo mi wierzysz, albo nie. Obejdzie się bez teatralnych gestów.
- Chcę ci wierzyć. Bardzo chcę. Ale mówi już o tym całe Bloomberg, wszyscy. Globalna plotka. Akcje Ergo będą spadać, dopóki nie wstrzyma się sprzedaży. Jak dotąd nie wymieniono żadnych nazwisk z wyjątkiem twojego i Ryana.
- Gdzie jest Philip?
- Z Wilejem, w bocznej sali konferencyjnej. Zaraz tam pójdziemy. Jeszcze tylko jedna sprawa. Zaproponowałem, żeby sprowadzić profesjonalistę, kogoś,

kto rozumie Fleet Street, ale Ryan się sprzeciwił. Upiera się, że wybrniemy z tego o własnych siłach. Uważam, że to błąd.

- Co ja na to poradzę?

- Nic. Uważałem po prostu, że powinieneś o tym wiedzieć.

- Jedynymi profesjonalistami, którym dowierza, są gajowi, naganiacze i ładowacze.

Kiedy wchodzę do sali konferencyjnej, Wiley Ryan unika podania mi ręki, udając, że patrzy przez okno na ruch uliczny kilka pięter niżej. Towarzyszy mu porucznik marynarki Stanów Zjednoczonych i doradca prawny; żaden nie zostaje mi przedstawiony.

- Nasi chińscy partnerzy wykazują dużą ostrożność - odzywa się Philip.

- To chyba naturalne - mówię.

- No, niezupełnie. Nie chodzi o to, że nie chcą złej reklamy, bo woleliby dobrą. Oni nie życzą sobie w ogóle żadnej. Absolutnie żadnej. Spełnienie tego warunku może okazać się teraz niewykonalne.

- Czyli zwijamy interes - stwierdza Wiley sucho. - Zakładam, że to chciałeś powiedzieć.

- Lepiej zakładać najgorsze i przyjemnie się rozczarować - odpowiada Philip. - Zasada ta odnosi się zwłaszcza do A&O... biorąc pod uwagę poziom strat, jakie z tego tytułu poniosą.

- Ty znasz ich najlepiej - oznajmia Wiley. - Ale nie zdziwi mnie już nic, nawet widok ludzi działających wbrew swoim najlepiej pojętym interesom. Za długo już chodzę po tym świecie. Jak to się mogło stać... Akurat w chwili, gdy... To przechodzi moje wyobrażenie.

Kurewsko dziwna sprawa.

- Nasze udziały spadną na łeb na szyję.

- Chciałbym coś powiedzieć - odzywam się wbijając wzrok w doradcę Wileya Ryana i w jego porucznika. - Nigdy nie inwestowałem pieniędzy mojego szwagra, ani w ogóle niczyich, w tym również funduszy mojej żony i własnych, w żadne spekulacje związane z Ergo. Wbrew temu, co gazety jeszcze na ten temat napiszą. Nie twierdzę, że Adrian nie miał udziałów Ergo. Wszyscy je posiadamy, niektórzy od lat. Ale z naszej strony, nie nastąpiły żadne nowe zakupy.

- Ja ci wierzę - mówi Philip.

- Bóg z tobą - odzywa się Wiley.

- Jest takie stare chińskie przysłowie - ciągnie Philip. - Nie ma sekretów, są tylko ludzie, którzy dowiadują się później niż inni. Przy tak szerokim dostępie do informacji wszyscy wiedzą wszystko i jeżeli Richard Mortlake faktycznie spekulował, mógł to robić na własną rękę, w oparciu o własne wnioski, wrażenia, na podstawie informacji uzyskanych gdzie indziej. Tego nie wiemy; nigdy nie będziemy wiedzieć.

- Jak długo potrwa śledztwo w tej sprawie? - pyta Wiley ostro.

- Trochę potrwa - zabiera głos jego milczący dotąd doradca. - DTI potrzebuje sporo czasu, żeby przekopać się przez dokumentację i inne materiały dowodowe, zanim w ogóle zdecyduje, czy należy skierować sprawę do prokuratury.

- Tak? To wielka szkoda. Jeżeli to śledztwo w jakimkolwiek stopniu potwierdzi plotki...
- Groźby nie pomogą nam wyjaśnić tego wszystkiego - przerywa mu Rupert.
- W tej sytuacji nie będę silił się na uprzejmości.
- Pański plan ulokowania funduszy emerytalnych przed wykupem został podany do wiadomości publicznej. Jakies pół godziny temu - informuje go Rupert. - Jak należało się spodziewać, nie zostało to przyjęte oklaskami. Istnieją dowody na to, że sprzedawał pan udziały pańskich akcjonariuszy i kredytodawców dla osobistego zysku. Ten fakt stawia pana w j jeszcze mniej korzystnym świetle. Obawiam się, że znaleźliśmy się na cenzurowanym.
- Chryste!
- Rupert patrzy na Wileya, który próbuje otrząsnąć się po ciosie..
- Wszystko to jest wysoce nieetyczne - mówi.
- Przyznam, że nigdy nie byłem pewny A&O w stu procentach - pociesza mnie Philip, kiedy zamykamy się w gabinecie Ruperta. - Przekonywałem sam siebie, bazując na faktach, ale w głębi duszy zawsze podejrzewałem, że coś jest nie w porządku, że coś może pójść nie tak. Zwłaszcza od czasu, gdy namierzili Rileya.
- Wiemy tylko, że Dicky przyjął bardzo agresywną metodę działania. -mówi Rupert. - Na nieszczęście konta Lyghamów, którymi zarządzał, były dyskrecjonalne. Osiągnął niezłe wyniki i mój wuj ufał w jego zdolność oceny, bardziej może niż należało. Dicky zaczął skupować akcje, ale pod wpływem jakiegoś bodźca szybko przeszedł na transakcje opcyjne o wysokim poziomie ryzyka, a co istotniejsze dla mentalności Dicky'ego, o maksymalnym poziomie zysku. Muszę powiedzieć, że jego ryzykanctwo nie szło w parze z dyskrecją. Kupował otwarcie, o wiele za dużo, z katastrofalnym skutkiem. Co gorsze, kupował przeważnie na kredyt. Konta Middleton-Lyghama potwornie na tym ucierpiały.
- Nie miałem o tym wszystkim pojęcia - zapewniam po raz kolejny.
- John... Głos Philipa brzmi kojąco. - Gdybyśmy uważali, że było inaczej...
- Dzięki. Ale rozumiem, że dla kogoś z zewnątrz, dla kogoś, kto mnie nie zna, jest jasne, że maczałem w tym palce.
- Jak myślisz, od kogo Dicky mógł się dowiedzieć o operacji Ergo? - pyta Rupert.
- Mnóstwo ludzi o tym wiedziało. W każdej firmie syndykatu. Prawnicy, doradcy od Nowego Jorku po Hongkong. Mógłbym sporządzić całą listę. -
- Ale on handlował na korzyść twojej rodziny. -I to jest właśnie niezrozumiałe.
- Może byli inni.
- To zawsze możliwe - mówi Philip. Zamówiliśmy kanapki od Birleya w Royal Exchange. Philip nadgryza sandwicza i milknie zajęty jedzeniem. - Upłynie trochę czasu, zanim to wyjdzie na jaw.
- Jak dużo czasu?

- Ciągnie się to jak flaki z olejem, ten człowiek Wileya miał pod tym względem rację. Nie wiem dokładnie. Możemy to sprawdzić.
 - Twoim zdaniem leżymy martwym bykiem, czy mamy szansę? - pytam.
 - Dogorywamy - odpowiada Rupert. - Dotychczasowe ustalenia diabli wzięli i trudno sobie wyobrazić, by pojawił się nagle nowy gracz po naszej stronie boiska. Teoretycznie on istnieje, ale gdzie go szukać? Teraz powinniśmy się martwić o innych oferentów, nie powiązanych z Ergo, z Ryanem czy z nami.
- Wychodzę z biura o wiele wcześniej niż zwykle, wracam do Castlemorland. Potrzebuję samotności. Muszę oddzielić szczegół od szczegółu, przemyśleć każdy z osobna, a być może uda mi się dostrzec ogólny wzór lub wyłapać ten element, który jest produktem umysłu ludzkiego.
- Andrew i Louisa kończą lekcję gry na skrzypcach. Uczy ich rosyjska emigrantka, której córka poślubiła kogoś z Ministerstwa Spraw Zagranicznych i mieszka w pobliżu. Louisa jest muzykalna i sumienna; Andrew mniej zainteresowany. Słuchamy z Julią w nabożnym skupieniu.
- Wkurza mnie nie to, co zrobił Dicky - mówię, kiedy dzieci są już w łóżkach - ale że zrobił to w tak bezczelny sposób. Nie rozumiem, co mu strzeliło do głowy, żeby podcinać gałąź, na której siedzi, zwrócić się przeciwko wszystkiemu, co zapewniało mu byt. Przeciwno nam! I pozostawić tak oczywisty ślad.
 - Myślałam, że wszystkie rozmowy maklerskie są nagrywane.
 - Widzę, że się nieźle orientujesz.
 - Czytam gazety. Czy fakt, że nie kontaktowaliśmy się z Mortlake'em, nie oczyszcza nas z zarzutów?
 - Do pewnego stopnia. Oczywiście DTI może nas oskarżyć o to, że poinstruowaliśmy Dicky'ego osobiście, albo w ogóle nie wydaliśmy mu żadnych instrukcji; to było konto dyskrecjonalne, mógł obracać pieniędzmi według własnego uznania.
 - Rozumiem.
 - Wszystko zależy od tego, jaką przyjmą linię postępowania. Czy uznają, że to ja przekazałem Dicky'emu zastrzeżone informacje, czy też uzyskał je jakąś inną drogą. Jakie przyjmą powody jego samobójstwa. To wszystko jest bardzo zagmatwane.
 - A mnie się wydaje niedostatecznie zagmatwane - oznajmia Julia. - To właśnie mnie niepokoi. Mam takie wrażenie, jakby hasła krzyżówki ktoś umieścił w tekście pod spodem. - Julia zaczyna kaszleć, z początku lekko, potem coraz gwałtowniej.
 - Bardzo ciekawe porównanie. Słuchaj, bierzesz coś na ten kaszel? Brzmi paskudnie.
 - Dostałam syrop w aptece.
 - Może powinnaś pójść do lekarza, zanim to się przekształci w coś poważnego.
 - Wcale bym się nie dziwiła, przy naszym obecnym szczęściu. Johnie, chciałabym wiedzieć, jak dużo straciliśmy?

- Nawet jeżeli nie uwzględnimy kar, jakie mogą nam zasądzić...
- Boże! Nawet o tym nie pomyślałam.
- To i tak straciliśmy wszystkie nasze oszczędności, oszczędności twojego ojca i Adriana, oraz od trzydziestu do czterdziestu procent kapitału posiadłości.
- Jak to możliwe?
- Dicky nabywał opcje kupna na kredyt, w dodatku najbardziej ryzykowne.
- Całkowicie na własną rękę?
- Obawiam się, że tak, kochanie. Chociaż kiedyś daliśmy mu to prawo i dlatego jesteśmy za to odpowiedzialni.

Przez chwilę Julia zmaga się z sobą.

- Cholera! - wykrzykuje. - Cholera! Przepraszam, ale tylko tak mogę to skomentować. Nie spodziewałam się, że odziedziczę Castlemorland, a już na pewno, że dożyję chwili, gdy przejdzie w obce ręce, że to ja go stracę.
- Nie stracisz - mówię miękko, chcąc ją pocieszyć. - Mamy problem, ogromny problem, to prawda. Ale problemy są po to, by je rozwiązywać. Wszystko będzie dobrze, obiecuję.

Stopniowo uświadamiam sobie, że moja kariera, nasze finanse, zaufanie, nasze małżeństwo są zagrożone, nawet moja wolność, jeżeli zarzuty wobec mnie zostaną wysunięte i podtrzymane. Tyle się dzieje, nie dostrzegam jednak logicznego następstwa zdarzeń i zaczynam się zastanawiać, czy to rzeczywiście los jest autorem spisku przeciwko mnie. Los? Wystarczy chwila namysłu, by uznać to za absurd. Trzeba czegoś więcej niż ślepego losu, żeby zabić Dicky'ego Mortlake'a, zrobić mnie, sterroryzować Julię groźbą ujawnienia tajemnicy tak strasznej, że nie sposób o niej mówić. Ktoś musiał przyłożyć do tego ręki.

Julia wychodzi na spacer z psem, a ja ruszam w przeciwnym kierunku, przez zimowy ogród. Otwieram furtkę zbitą z desek, oddzielającą ogród od cmentarza. Kościół po drugiej stronie dziedzińca jest ciemny, mocne światło księżyca wślizguje się przez okna, rozjaśnia nawę. Zajmuję miejsce w naszej ławce, odsuwam poduszkę we włóczkowej powłoczce, klękam. Zaczynam się modlić, za nas, za naszą rodzinę, modlę się, żebyśmy wyszli z tego bez szwanku. I przypominam sobie, czego uczyła mnie matka: nigdy nie proś Boga o to czy o tamto; proś go jedynie o siłę. Siłę, by zrozumieć, siłę, by przetrwać, siłę, by wyjść zwycięsko z takiej czy innej próby. Więc dzisiaj o to proszę, wznosząc oczy na ołtarz, wstrzymując oddech, czekając odpowiedzi - w zawodzeniu wiatru, może w dniu jutrzejszym.

Jadąc rano do biura, odbieram telefon od kobiety, której głos jest mi nie znany. Mówi z europejskim akcentem, charakterystycznym dla ludzi, którzy kształcili się długo w Szwajcarii, w międzynarodowym gronie zdominowanym przez Anglików.

- Pan Brook? - W jej głosie wyczuwa się wahanie. - Jestem asystentką pana Jasona Argusa, o którym słyszał pan zapewne.
- Oczywiście.
- Monsieur Argus bardzo chciałby z panem porozmawiać.

- Cała przyjemność po mojej stronie. - Nareszcie jakaś dobra, a przynajmniej obiecująca wiadomość!
- Byłby zobowiązany, gdyby zechciał pan zadzwonić do nas przy pierwszej sposobności, z telefonu sieciowego.
- Mogę spytać, czego dotyczyć będzie rozmowa?
- Wszystkiego dowie się pan w swoim czasie. - Kobieta podaje mi numer w centrum Londynu, mówi: „Bardzo panu dziękuję” i rozłącza się.

Kilka minut później zatrzymuję samochód przed „Little Chef”, gdzie na ścianie w korytarzu prowadzącym do toalet znajdują telefon. Moja poprzednia rozmówczyni zgłasza się niemal natychmiast.

- Pan Brook? Czy mógłby pan przylecieć popołudniowym samolotem Swissair do Zurychu?
- Dzisiaj?
- Pan Argus byłby wdzięczny.
- Czy mogłaby pani powiedzieć mi w przybliżeniu, o co chodzi?
- Sprawa dotyczy ewentualnego uczestnictwa w transakcji, nad którą pan obecnie pracuje. Czy to wystarczy?
- Pan Argus czyta gazety.
- Z j ednodniowym wyprzedzeniem.
- Nie widzę powodu, dlaczego nie miałbym znaleźć się w tym samolocie - mówię.
- To dobrze. Bilet będzie czekał na pana na lotnisku. Nasza rozmowa jest oczywiście poufna.

Jak większość ludzi z branży, znam nazwisko Jasona Argusa, choć nie potrafiłbym powiedzieć o nim nic konkretnego. Jest jeżeli nie jednym z największych, to w każdym razie jednym z najbardziej enigmatycznych finansistów świata, człowiekiem, którego pokażne konta są często łączone z kontami innych ludzi, zawsze pod jego kierownictwem. Choć nie udowodniono mu nigdy żadnego nadużycia, otacza go aura skandalu - naturalna konsekwencja jego tajemniczości, tego, że nigdy nie tłumaczy się ze swoich poczynań, nie zabiega o względy prasy i jest cudzoziemcem.

Nie mając żadnych przesłanek, na jakich mógłbym oprzeć swoje przypuszczenia, zakładam wersję najbardziej prawdopodobną, mianowicie, że Argus czytał lub słyszał o kłęsce operacji Ergo i uznał, że mimo jej kontrowersyjności (na co powinien być uodporniony) fundamentalne założenia transakcji są genialne, w związku z czym on sam lub grupa, którą reprezentuje, zamierza zastąpić A&O lub jakiegoś innego członka naszego syndykatu. Przed podjęciem zaś ostatecznej decyzji chce poznać - może ocenić - mnie, moją wiedzę, dyskrecję, prawdopodobieństwo, że faktycznie należę do konspiracji, której sam mógłby paść ofiarą. Oczywiście jego myśli mogą biec zupełnie innym torem, ale po zastanowieniu dochodzę do wniosku, że zważywszy moment jaki sobie wybrał na spotkanie ze mną, jest to mało prawdopodobne. Jestem gotowy wykorzystać każdą szansę. Ryzyko wydaje się minimalne, zwłaszcza wobec perspektywy ocalenia operacji Ergo, naszego majątku, ograniczenia strat do maklerskiego honoru Dicky'ego Mortlake'a.

. Czekam do lunchu, a kiedy nie zgłasza się do nas nikt z Giełdy, z DT1 ani żadnego innego pokrewnego urzędu, mówię do Philipa:

- Chyba istnieje szansa, że wydostanę nas z tego. -Jak?
- Nie mogę ci powiedzieć. Przez parę godzin nie będę ci potrzebny, prawda? Powiedzmy, na resztę popołudnia?
- Zawsze jesteś potrzebny, Johnie, co nie oznacza, że nie przetrwamy twojej nieobecności.
- Zastąpisz mnie w razie czego.
- Nie po raz pierwszy, nie ostatni. - Philip uśmiecha się.

Wychodzę nie zauważony na ulicę i w kilka sekund później siedzę już w taksówce.

Czytałem gdzieś, że cechą wspólną większości pisarzy jest nawyk myślenia

o sobie w trzeciej osobie, jako o głównych bohaterach w narracji własnego życia. Chociaż nie napisałem powieści, o jakiej zawsze marzyłem, tę cechę dzielę z pisarzami. Odkąd pamiętam, relacjonowałem swoje poczynania w trzeciej osobie i łapię się na tym, że robię to teraz. John Brook jedzie na zachód, pełen niepokoju. Mija Strand, Pall Mall, Cromwell Road. Zatrzymuje nagle taksówkę, przy Victoria and Albert Museum, wchodzi do budynku jednymi drzwiami, wychodzi drugimi, idzie kawałek Brompton Road, a kiedy nabiera pewności, że nikt go nie śledzi, dzwoni do żony, prosząc, żeby udała się do hotelu we wsi

1 czekała w recepcji na jego telefon. Piętnaście minut później dzwoni do niej z Harrodsa.

- Muszę wyjechać na dzień, dwa - mówi.
- Dokąd?
- Nie powtarzaj nazwy, kiedy ci powiem, i nikomu o tym nie wspominaj. Do Zurychu.
- Co? Dlaczego tam? Po co? Skąd tak nagle? I dlaczego w takiej tajemnicy?
- Zostałem wezwany - Siłąc się na naturalny ton odpowiadam po kolei na pytania Julii. - Rzeczywiście nagle, bardzo mi przykro, ale to się zdarza. Wyjaśnię ci wszystko, jak wrócę.
- Kiedy wyjeżdżasz? -Zaraz.
- A kiedy wrócisz?
- Wkrótce.
- Nie możesz mi powiedzieć, po co tam jedziesz? A przynajmniej czy to coś pomyślnego?
- Och, tak! Mam nadzieję.
- Dzieci śpią. Mam je obudzić?
- Nie, niech śpią. Wrócę, zanim zdążą się stęsknić.
- Kocham cię.
- To ja cię kocham.

Bierze taksówkę na Heathrow. Terminal trzeci. Obiecany bilet, pierwszej klasy, czeka. Pokwitowuje odbiór i ogarnia go nagły lęk przed kontrolą paszportową. Kupuje „Evening Standard” w kiosku naprzeciwko stanowiska Swissair, przewraca strony - od pierwszej do piątej, potem dział finansowy - nic. Również celnik nie wyczu-

wa jego zdenerwowania, ledwie rzuca okiem na amerykański paszport z brytyjską wizą stałego pobytu. Jak dotąd nazwisko Johna Brooksa nie jest znane władzom. Rozkoszuje się anonimowością.

17

Zurych i znów instynktowny lęk uciekiniera na widok szlabanu. Maskuję drżenie rąk, przerzucając płaszcz najpierw przez jedno, potem drugie ramię, ale nikt mnie nawet nie prosi o okazanie paszportu, jakby było oczywiste, że mężczyzna w drogim garniturze, ogolony, z aktówką-najprawdopodobniej pełną pieniędzy -w ręku może nie życzyć sobie, aby jego pobyt w mieście-skarbcu został odnotowany. Odnajduję kierowcę z moim nazwiskiem przypiętym do korkowej tablicy, którą trzyma jak transparent. Młody Niemiec, starannie wymawiający angielskie słowa, bierze ode mnie płaszcz i aktówkę i zawozi mnie do „Dolder Grand Hotel”.

Melduję się w hotelu, edwardiańskiej budowli, osadzonej na szczycie wzgórza niby na tronie, pośród pól golfowych i kortów. W holu zbierają się już pierwsi amatorzy wieczornego drinka.

Na biurku w pokoju znajduję kopertę adresowaną na moje nazwisko. Zawiera zwięzłą wiadomość: „Kierowca przyjedzie po pana jutro o ósmej rano”. Żadnego podpisu. Na stelażu na bagaż stoi lekka, podróżna torba. Zawiera dwie paryskie koszule w moim rozmiarze, zmianę bielizny, skarpetki i plastikową saszetkę z przyborami toaletowymi. Rozpakowanie się zajmuje mi tylko chwilę. Pokój jest mały, umeblowany w stylu lat pięćdziesiątych. Dwa bliźniacze okna, ze śnieżnym osadem w rogach, ujmują niby w ramy skrawek miasta, rzeki i jeziora. Widok zasłaniają drzewa, miasto jest zbyt odległe, by rozróżnić szczegóły. Postrzępiony wieniec gór, białych i pustych, odbija światło księżyca.

Proszę portiera, by polecił mi dobrą restaurację, w której mógłbym skosztować lokalnej kuchni. Proponuje „Kronehalle” na Ramistrasse, niedaleko Quai Bellevue; dzwoni tam, by zarezerwować stolik na moje nazwisko. Przed hotelem łapię taksówkę i zjeżdżam serpentynami, a śnieg wiruje w światłach reflektorów, osiada jak cukier puder na kopolach, wieżyczkach i tarasach weselnego tortu. Restauracja, stwierdzam nagle, jest w równej mierze jadalnią, co instytucją. Zamawiam drinka w ciemnym, zatłoczonym barze, pełnym mężczyzn, głównie artystów i biznesmenów. W końcu kelner prowadzi mnie do stolika, skąd mam widok na całą salę jadalną pierwszego piętra. W barze wypilem słabą whisky, żeby pozbyć się nieprzyjemnego łaskotania w żołądku, więc teraz zamawiam kieliszek czerwonego wina i kotlet cielęcy a la Holstein. Poza mną jeszcze tylko dwie osoby jedzą samotnie, czytając coś jednym okiem w niepewnym świetle.

- Zastanawiam się, czy nie ruszyć w miasto, nie przejść się Bahnhofstrasse, pooglądać wystawy sklepów, wybrać coś dla Julii. Odrzucam jednak ten pomysł.

Powinienem przede wszystkim odpocząć, zakupy mogą poczekać, aż ubiją interes z Argusem, a przynajmniej wyjaśnią sytuację. Zgodnie z listowną zapowiedzią, o ósmej rano zjawia się kierowca, ten sam wyniosły młody Niemiec, za kierownicą tego samego zielonego mercedesa klasy luks. Śnieg przestał padać, topnieje teraz w promieniach zimowego słońca.

- Mamy dosyć czasu, mnóstwo czasu. - Otwierając drzwi auta, kierowca śledzi moją reakcję, uszczęśliwiony swoim zwycięstwem nad angielskim kolokwializmem.

- Mnóstwo czasu? - powtarzam.

- Żeby zdążyć na pociąg.

- Pociąg? Dokąd mam się udać?

- Na Bahnhofplatz. Dwadzieścia minut stąd. Pół godziny przy dużym ruchu.

- A dalej?

- Pojedzie pan do Vaduz pociągiem o ósmej czterdzieści pięć. Będą tam na pana czekać.

- Do Vaduz?

- W Lichtensteinie. Niedaleko, zaledwie godzina drogi. Bardzo dobre połączenie. Ma pan dość franków szwajcarskich? Bo jeśli nie, to może pan zapłacić za bilet American Express, Visa, Access, praktycznie każdą kartą kredytową. Bilet nie jest drogi.

Najkrótsza kolejka do kasy biletowej liczy sześć osób. Ustawiam się na końcu, przesuwa się szybko. Ludzie przede mną pochodzą z różnych kontynentów, z Azji i z południowej Afryki, ludzie na rozstajach dróg. Kupuję bilet powrotny i spaceruję po dworcu. W głównej hali, jak na wszystkich dworcach świata, snują się bezdomni, degeneraci i włóczędzy. Przy nadrzecznej promenadzie para nastolatków w podartych dzinsach leży ciasno objęta na stopniach Landesmuseum. Oszołomiony narkotykiem chłopak spogląda na mnie przez chwilę, dziewczyna wpatruje się w przestrzeń.

Pociąg, podstawiony punktualnie co do minuty, odjeżdża zgodnie z rozkładem, wyslizguje się z cienia peronów w złudne ciepło zimowego słońca. Czytam „Herald Tribune”, doniesienia o pożarze w Harlemlu, trzęsieniu ziemi w jakiejś zapadłej prowincji na Filipinach. Rodzice stracili dzieci, dzieci rodziców, ten sam wyraz nieutulonego żalu w oczach.

Krajobraz jest przemysłowy, mało malowniczy przez większą część podróży, droga zdumiewająco prosta. Bliżej Lichtensteinu mająca góry, wyższe po prawej stronie torów, gdzie pośród wyniosłych świerków mignęło na chwilę Balzers.

Z dworca odbiera mnie kierowca pomarańczowego renault i odwozi do Vaduz, pogodnego, spokojnego miasteczka z dachami pokrytymi rdzawą i czarną dachówką. Jest tu stary gotycki kościół, a zaraz obok współczesny żelazobetonowy biurowiec z prefabryktów. Miasto, rozłożone pod średniowieczną fortecą, ma w sobie coś kalifornijskiego, wygląda trochę jak z planu filmowego. Kierowca odstawia mnie niemal pod drzwi gabinetu bankiera o nazwisku Helmut Koestler. Jest to niewielki, praktycznie urządzonej pokój, o ścianach wyłożonych mahoniową boazerią. Pierwsze piętro budynku zajmuje bank, ale nie jestem pewien, jaką rolę pełni w nim Herr Koestler, a on mi tego nie wyjaśnia. Po kawie i bardzo pobieżnych pytaniach o Battleman Peale, zabiera mnie na wycieczkę po

księstwie - „Fürstentum”, jak je nazywa. Jedziemy jego samochodem piękną, ośnieżoną drogą do zamku, skąd rozciąga się wspaniały widok na miasto. Herr Koestler zatrzymuje samochód, ale nie proponuje mi zwiedzania zabytkowej budowli.

Potem jemy lunch w „Real”: nadziewane trufle, turbot z rusztu, wypijamy na spółkę butelkę chassagne Montrachet. Nie otrzymujemy rachunku. Na chodniku przed restauracją mój gospodarz wręcza mi turystyczną mapę Vaduz i pozostawia samemu sobie, prosząc tylko, żebym stawił się w jego biurze o czternastej trzydziści.

Przez mniej więcej godzinę zwiedzam chaotycznie miasto, kupuję zestaw znaczków pocztowych, z których słynie Lichtenstein. Potem, o wczesnym zmierzchu, Herr Koestler wręcza mi drugą walizeczkę z jednodniowym zestawem przedmiotów niezbędnych, portfel wypchany różnymi walutami i fałszywy paszport Unii Europejskiej.

- Jest pan skłonny podjechać jeszcze kawałek? - pyta, najwyraźniej pewny mojej odpowiedzi.

- To zależy. - Waham się, pełen lęku, ale jaki mam wybór? - Dokąd?

- Do *Monsieur* Argusa, naturalnie.

- Odniosłem wrażenie, że właśnie tutaj mam się z nim spotkać.

- Miał pan do tego wszelkie podstawy.

- Więc dokąd mam jechać tym razem?

- Jutro wieczorem będzie pan z powrotem w Zurychu. To mogę panu obiecać.

- Dlaczego na fałszywym paszporcie? - To mnie niepokoi, ponieważ zdaję sobie sprawę, że korzystając z niego popełnię prawdziwe przestępstwo, dam się wciągnąć w grę, której zasad nie rozumiem. Jeżeli jednak odmówię, zaprzepaszczę jedyną szansę, by wszystko naprawić, oczyścić się z zarzutów. Nie mam wiele czasu na zastanowienie i oszacowanie ryzyka. Krzyżuję więc palce, nabieram powietrza i skaczę na głęboką wodę.

- Dlaczego nie? - mówię. Herr Koestler uśmiecha się blado.

Opuszczamy budynek wraz z tłumem sekretarek, ekspertów ubezpieczeniowych, kasjerów i ochroniarzy. Po dwudziestu minutach jazdy, w stronę przeciwną niż do Zurychu, zatrzymujemy się na poboczu, na skraju pastwiska. Kilka minut później pojawia się nad nami helikopter, obniża lot wzbijając tumany sypkiego śniegu. Ląduje. Jest to granatowy aérospatiale pomalowany w wąskie żółto-niebieskie pasy. Tyle zdołałem zobaczyć, zanim zgasły reflektory samochodu Herr Koestlera. Mój gospodarz żegna się ze mną, życząc bezpiecznej podróży, a jego manery i sposób mówienia są równie oficjalne i wyważone jak przez cały dzień.

Kabina pilotów obita jest skórą i zalatuje z lekka Lexolem; fotele ciemnobrązowe, zużyte stopniu, który sprawia, że meble stają się przytulne. Siadam za dwoma pilotami. Tak jak oni mam na uszach słuchawki, z tym, że z moich płynie nieznany mi utwór muzyczny. Piloci rozmawiają, najwidoczniej na innej częstotliwości. Wznosimy się, cień helikoptera rozrasta się na wyżynie, kiedy mknijemy w stronę łańcucha gór. Na odległym stoku Alp Glameńskich ukazują się trzy figurki narciarzy, wydają się stać w miejscu. Lecimy na południe w stronę Alp Retyckich, ponad połyskliwym Klosters, a chwilę później Davos. Białe góry, czarne wody, chmury, potem krystaliczna noc. Włochy: Adamello, jezioro Garda. W słuchawkach An-

drew Lloyd Weber. Lądujemy w Weronie, pośród surrealistycznego krajobrazu lotniska u schyłku dnia. Nigdy nie byłem w Weronie i myśl, że mój pobyt w tym mieście ograniczy się prawdopodobnie do portu lotniczego, budzi dziwne uczucia. Celenik ogląda mój paszport, po czym prowadzi mnie przez oświetloną asfaltową płytę ku małemu odrzutowcowi. Gulfstream IV jest pomalowany tak jak helikopter, którym tu przyleciałem - w żółto-niebieskie pasy na granatowym tle. Wznosimy się ponad chmury, lecimy w kierunku południowo-wschodnim, w długą zimową noc. Oprócz stewarda i mnie nikogo nie ma w kabinie. Jestem jedynym pasażerem. Lądujemy w Antalyi w południowej Turcji, o północy lokalnego czasu. Jeszcze jedna przesiadka, jeszcze jeden helikopter, podobny do pierwszego, tylko mniejszy, jeszcze jedno lądowanie i trafiam do przyjemnej sypialni wyposażonej w wiatrak na suficie, zupełnie niepotrzebny o tej porze roku, grube bawełniane koce na łóżku, misę południowych owoców i niebieską butelkę wody mineralnej. Pokój wychodzi na sad nad urwiskiem, odgradzony od spokojnej tafli Morza Śródziemnego żywopłotem z cedrów. Jest to pokój w ośrodku wypoczynkowym. Moje spotkanie, poinformowała mnie recepcjonistka, odbędzie się rano. W ośrodku nie ma telefonu. Napęła mnie to rozpaczą, ponieważ marzę o rozmowie z Julią. Chciałbym usłyszeć śmiech Louisy i głos Andrew - upewnić się, że u nich wszystko w porządku. Upłynęła doba, odkąd się z nimi widziałem, a nie potrafię przeżyć ośmiu godzin w biurze bez dojmującej tęsknoty, bez niepokoju. O pierwszym brzasku budzi mnie ostry, pojedynczy dźwięk, po którym następuje kaskada dzwonek. Z okna pokoju rozciąga się widok na cypel wychodzący daleko w morze i ruiny starożytnego cmentarza. Są widoczne z mojego okna dzięki wygięciu ładu. Między mną a cmentarzem nie ma śladu życia, panuje całkowity bezruch. Po serii dzwonek następuje cisza, potem odzywają się ponownie, głośniejsz, w większej harmonii. Kiedy wychodzę na spacer przed śniadaniem, dostrzegam wzgórze ponad starożytnym grobowcem, zbocze upstrzone białymi kropkami owiec, tak łagodne i zielone jak to w pobliżu Castlemorland. Lekki wiatr od morza ma zapach wanilii, choć łąje chłodem. Po śniadaniu, złożonym z połówki grapefruita i ciężkiego ciasta naszpikowanego daktylami, wsiam na pokład łodzi „Fountain”, ubrany w spodnie khaki, popelinową koszulę o luźnym kroju i bawełnianą kurtkę, rzeczy, które znalazłem w walizce dostarczonej przez Herr Koestlera. Oficer okrętowy wypycha szesnastometrową łódź z małego doku, a potem zwija linę machinalnie, w kierunku odwrotnym niż wskazówki zegara. Lina podryguje i skręca się jak wąż. Zielonkawa przy burcie woda przybiera odcień indy-go tam, gdzie głębia jest większa. Dno, widoczne na płycznach, pokrywają gładkie, płaskie kamyki, takie same, jak te, które wyściełają plażę. W oddali, na Półwyspie Licyjskim, widnieją ośnieżone szczyty gór. Wkrótce jacht przyspiesza i wypływamy z zatoki na otwarte morze, wymijając nieliczne łodzie. Są to przeważnie przysadziste kecze przerobione napędce na jachty wycieczkowe. O tej porze roku używają ich tylko najbardziej zdeterminowani turyści. Kapitan „Fountain” pilnie schodzi im z kursu. Jego zastępca częstuje mnie gorącą kawą z termosu i papierosem bez filtra. Zapalam, choć staram się unikać nikotyny.

Obelisk w Ksantos, malejący z każdą chwilą, spogląda na nas z lądu. Czuwa tak nad tą ziemią i nad tym morzem od dwóch i pół tysiący lat, nadgryziony przez czas, ale nadal noszący wyraźne inskrypcje dawnych bohaterskich czynów.

Po rjółgodzinie, już na otwartym morzu, podpływamy do pięknego szkunera o opuszczonych żaglach. Na kapitańskim mostku stoi samotnie krępy, czterdziestoparo-letni mężczyzna, łysy i ogorzały od słońca. Przegląda ostatnie prognozy pogody.

- Dziękuję, że pan przyjechał. - Przed podaniem ręki wyciera ją starannie chustką. Jason Argus przywodzi na myśl bodhisattwę ubranego przez Ralpa Laurena.

- Cała przyjemność po mojej stronie.

- Mam nadzieję, że nie uzna pan naszego spotkania za czas całkowicie zmarnowany.

-Z pewnością nie.

- Odwiedził pan kiedyś tę część świata?

- Nigdy.

- Tak naprawdę niewiele wiemy o Licyjczykach - ciągnie - prócz tego, że byli urodzonymi wojownikami. Praktycznie cała nasza wiedza o nich pochodzi z grobowców. Nie byli rozmiłowani w piśmiennictwie. Herodotus twierdzi, zdaje się, że pochodzą z Krety, ale źródła różnie o tym mówią. Stworzyło ich - i pozwoliło przetrwać - położenie geograficzne, jak to często bywa. Góry Ak i Bey chroniły ich od strony lądu. Nawet Rzymianie zrezygnowali z podbicia tych terenów i w drugim wieku przed naszą erą ogłosili Licję niepodległym państwem, Ale może nudzę pana? Może pan już to wszystko wie?

- Ze wstydem przyznaję, że nie.

- A czego się tu wstydzić? Przecież to nie pana specjalność i nie pretenduje pan do tytułu znawcy, prawda? Po tych wodach żeglował Aleksander Wielki, pierwszy Europejczyk, o którym wiemy na pewno, że tego dokonał. Widział mniej więcej to samo, co pan teraz - sławne wybrzeże Turkusowe. Również Antoniusz i Kleopatra. I Hannibal. Piraci uprowadzili tu Juliusza Cezara - nierozważny postępek, za który zostali ukrzyżowani. Chrześcijańscy cesarzowie Bizancjum dotarli tu rzekami Koca i Dałaman. I święty Piotr, aby nauczać. Wszyscy oni przybyli, żeby zostawić tu swój ślad. Tylko wam, Brytyjczykom, przyświecał jeden jedyny cel - grabież; zagarnięcie dzieł sztuki dla waszych słynnych wiejskich rezydencji.

- Tak się składa, że jestem Amerykaninem.

- Prawda! Wiem o tym. Ale specyficznym Amerykaninem. Wschodnie Wybrzeże. Związki z Anglią i jej stylem życia. Ma pan tu rodzinę?

- Żonę. -1 pracę.

- Tak. To prawda.

- Te ruiny naprzeciwko nas - widzi je pan? To był zamek krzyżowca. Niedawna historia, jak na miejscowe warunki. Kawy?

-Nie, dziękuję.

- Gdyby Aleksander przybył tu dzisiaj, uczyniłby to bez wątplenia na statku podobnym do tego, na którego pokładzie się pan znajduje. Zauważyłem, że pana zainteresował.

- Nigdy czegoś takiego nie widziałem. Jest wspaniały.
- To Perini, zbudowany w Viraggio. Był pan tam?
- Niestety nie.
- Najnowocześniejszy model. Najbardziej zaawansowana technologia. Czterdzieści sześć metrów. W razie konieczności może go prowadzić jeden człowiek, a to za sprawą tej oto tablicy rozdzielczej. Wszystkie wyciągarki chowają się w pokłady. Każda lina, każdy skrawek płótna został dokładnie wymierzony. Optymalną rozpiętość żagli ustala komputer, zachowując wszelkie zasady bezpieczeństwa. Innymi słowy, Perini i jego stocznia wydali produkt, którego piękno leży w harmonii z naturą, a także w środkach pozwalających wykorzystać tę naturę najskuteczniej jak to możliwe, najbardziej elegancko i dyskretnie. Zastanawiał się pan zapewne, dlaczego kazałem tu panu przyjechać pod fałszywym nazwiskiem?
- Nie przeczę, że mnie to zdziwiło.
- Właśnie z uwagi na dyskrecję. Pasją niektórych ludzi jest sława, innych pieniądze, moją zaś - dyskrecja, czyli inaczej - zachowanie prywatności. To moja sprawa, z kim się chcę spotkać, kiedy i gdzie. Fakt, że takie czy inne spotkanie odbyło się o ustalonej wcześniej porze, może - a nawet musi - implikować inteligentnemu obserwatorowi powód, dla którego się odbyło. A to już może odebrać operacji charakter poufny, a w rezultacie zachwiać całym rynkiem.
- Rozumiem.
- Przypuszczam, że można mi zarzucić, iż posuwam się w ostrożności za daleko, ale lepsze to niż... jestem przekonany, że pan mnie rozumie.
- Podczas lunchu, na który podano łososia pod beszamelem, sałatę i reńskie wino, Argus pokazuje mi świecznik i ikebanę, dzieło paryskiego projektanta, którego uważa za artystę, a siebie za jego mecenasa.
- John, mój drogi chłopcze - przystępuje w końcu do sedna sprawy. - Wiem o tobie rzeczy, o których nawet ty już pewnie zapomniałeś. I powiem ci jedno: masz talent, jakiego nie da się kupić za pieniądze.
- Dziękuję. - Mój umysł pracuje na wysokich obrotach.
- Dlatego zdradzę ci pewien sekret: w tej chwili pieniądze na nic się nie zdadzą. Spoglądam na niego bezmyślnym wzrokiem.
- Muszę przyznać, że nie rozumiem.
- Opowiedz mi o Wileju Ryanie.
- Co takiego?
- Twoje wrażenia.
- Jest przebiegły i zdeterminowany. Na swój sposób nieodparty. Więcej nie powinienem mówić.
- Informacje zastrzeżone? Szanuję to. Ja dokończę. Jest porywczy, prawda?
- 1 uparty, nieprzejednany. Niestety, jest to wybuchowa mieszanka.
- Jeżeli, jak pan był łaskaw zauważyć, pieniądze nie są w stanie...
- W tej chwili nie zdadzą się na nic. Tak się chyba wyraziłem. Odnoszę wrażenie, że Ergo pod kierownictwem pana Ryana nie przedstawia wartości, jaką on, a nawet Battleman Peale próbuje jej nadać. Co sądzisz o Rupercie Cheviot?

- Ma wszystkie cechy idealnego pracownika Fuzji i Zakupów. Równie dobrze radzi sobie z liczbami, jak z ludźmi. Prawdę mówiąc, dziwię się, że go pan nie poznał.
- Doprawdy? A to dlaczego?
- Rupert obraca się w ekskluzywnych kręgach.
- Potraktuję to jak komplement, chociaż rzadko obracam się w innych kręgach niż własne. Żałuję, ale nie mieliśmy okazji się poznać z panem Cheviot. Spotkałem kiedyś jego ojca - przed wielu, wielu laty. Był lekkoduchem. Miło słyszeć, że syn cieszy się lepszą opinią. A teraz Philip Li.
- Genialny.
- Konceptyjnie?
- I to także. Jestem pewny, że moje opinie nie stanowią dla pana zaskoczenia. Jestem również pewny, że nie wezwał mnie pan tutaj, żeby wysłuchać reklamy Battleman Peale.
- Tylko spotykając się z kimś twarzą w twarz mogę ocenić, czy jest człowiekiem lojalnym.
- Wezwie pan tu w tym celu wszystkich moich partnerów? -Nie.
- Ponieważ nie zdałem testu, niezależnie na czym on polegał?
- Przeciwnie, Johnie. Wiem teraz, że jesteś człowiekiem zdolnym do bezwzględnej lojalności i że w tej chwili jesteś lojalny przede wszystkim wobec żony i dzieci. Nawet o nich nie wspomniałeś, to prawda. Ale mimo dość egzotycznego pochodzenia, jesteś człowiekiem konwencjonalnym, a człowiek konwencjonalny jest lojalny przede wszystkim wobec rodziny, w niej pokłada ufność. Naprawdę wierzyłeś, że mogę być zainteresowany tym, by podeprzeć najbardziej chwiejny filar twojego Ergo. I, przyznaję, zwabiłem cię fałszywą obietnicą. Po namyśle jednak zdecydowałem, że nie jestem zainteresowany. Ale może nadejść czas, kiedy nawiążemy współpracę. Twoja firma, mogę to przyznać, robi interesy, które mnie interesują, ale za dużo w niej wygłodniałych Anglików. I bardzo dobrze, mógłbyś powiedzieć, ale jaw swoich współpracownikach szukam cech, które ty posiadasz. Brak przebiegłości, Johnie, to bardzo szlachetna, ale niebezpieczna cecha.
- Spoglądam na Argusa, kompletnie zbity z tropu.
- Przyjechałeś zbyt późno, by zjeść kolację w naszym hoteliku. Wielka szkoda. Kiedy nocowałem w nim po raz pierwszy, przed wielu laty, zamówiłem homara. Są w tych rejonach doskonale, przypominają w smaku langustę. Ku mojemu zdumieniu młody kelner, przyjąwszy zamówienie, ściągnął koszulę i skoczył z urwiska do morza, wyłowił błyskawicznie homara i zaprezentował mi go przed wrzuceniem do wrzątku. Był bez wątpienia potomkiem dawnych wojowników i żeglarzy - identyczny profil, identyczny temperament. Kupiłem ten hotel, tamten kelner jest dzisiaj dyrektorem grupy zarządzającej całym działem. Bardzo szanuję miejscowe podejście do życia. Za jego prostotę, za chęć zadowolenia innych i umiłowanie zwycięstwa. Może cię to zaskoczy, ale po śmierci zamierzam zostać zabalsamowany i pochowany tutaj, w starożytnym grobowcu.
- Mam nadzieję, że to kwestia bardzo odległej przyszłości - mówię. - I że zanim to nastąpi, nasze drogi jeszcze nieraz się skrzyżują.

- Czas pokaże - odpowiada Argus.

Kiedy odpływam tym samym tenderem, słońce rysuje złotą drogę między horyzontem a cieniem rzucanym przez żagle wspaniałego jachtu. Jestem sfrustrowany, ale ukrywam gniew. Nie podoba mi się, że zostałem wciągnięty w coś, co okazało się całkowitą stratą czasu, dziwną przygodą, która wzbudziła moją ciekawość, ale jej nie zaspokoila.

18

Kiedy zbliżam się do domu, ogarnia mnie wrażenie niesamowitości, jakbym wyczuł - z panującej ciszy, z braku ruchu na ulicach, opieszłości przechodniów - że nie będzie to zwyczajny dzień.

Późnym wieczorem odstawiono mnie do „Doldera”, skąd natychmiast zadzwoniłem do domu. Jest środek tygodnia, Julia i dzieci powinni być w Londynie. Ale nikt nie odebrał telefonu, odezwała się dopiero automatyczna sekretarka moim własnym, bezcielesnym głosem. Wykręciłem więc numer do Castlemor-land i tym razem usłyszałem nagrany głos Julii. Uznałem, że wszyscy śpią i złapałem samolot siódma trzydzieści z Zurychu, który lądował na Heathrow o ósmej trzydzieści, tuż po porannej godzinie szczytu na M-4. Julii nie ma w domu. Frontowe drzwi są zamknięte na podwójny zamek, wąski korytarz jest ciemny, na kafelkach podłogi walają się listy i paczki różnej wielkości i kształtu. Z głębi dolatuje ciężki, zatęchły zapach nie zamieszkanego pomieszczenia.

- Julio! - wołam. Cisza. - Jesteście tu, kochani? Andrew.. .Louisa? Kochani! Biorę telefon z nieskazitelnie czystego blatu w kuchni, przyciskam „pamięć”,

potem jedynekę i czekam. Topley odbiera po kilku sygnałach. -Castlemorlad221.

- Dzień dobry, Topley. Tu John. Czy jest tam może moja żona?

- Lady Julia? - Słysząc wahanie w jego głosie.

- Jestem jej mężem, pamiętasz nasz ślub?

- Obawiam się, że wyjechała.

- Do Londynu?

- Nie potrafię powiedzieć.

- Z dziećmi?

- Zabrała je ze sobą, tak.

- Ale nie powiedziała, dokąd jedzie?

- Nie, proszę pana.

- Kto tam jeszcze jest?

- Tylko personel, proszę pana.

- Trudno, poczekam na nią tutaj. Jak radzisz, Topley?

- Trudno mi cokolwiek radzić, proszę pana.

- Dlaczego mam uczucie, że coś jest nie w porządku?
- Nie w porządku, proszę pana?
- Bardzo nie w porządku, Topley.
- Ależ wszystko jest w jaknajwiększym porządku, proszę pana.
- A co z dziećmi? Czy Andrew i Louisa są zdrowi? Dlaczego me poszli do przedszkola?
- Nie wiem, proszę pana. Wydawali się zdrowi, kiedy...
- Kiedy co?
- Kiedy lady Julia odjeżdżała. Proszę mi pozwolić dokończyć zdanie.
- Przepraszam.
- Nic nie szkodzi, proszę pana.
- Topley, gdybyś zobaczył moją żonę...
- Będzie pan w londyńskim domu?
- Tak. Tutaj albo w biurze. Najprawdopodobniej w domu. Spróbuj najpierw tutaj.
- Dobrze, proszę pana.

Uderzony nagłą myślą obchodzę dom, szukając wiadomości, listu, jakiegoś wyjaśnienia. Nie ma nic na biurku w bibliotece, na nocnym stoliku Julii, na gzymsie kominka ani na kredensie w jadalni, nigdzie. Dom jest zbyt wysprzątny, zbyt schludny. Portugalka, która robi porządki we wtorki i czwartki, wykonała swoją pracę i jeżeli nie liczyć korespondencji na podłodze w holu, dom znajduje się w takim stanie w jakim go pozostawiła. Wracam do korytarza przy drzwiach frontowych i przeglądam rachunki z miejscowych sklepów, z Harrodsa i od stolarza, który naprawił krzesło zniszczone przez dzieci. Jest korespondencja z ich szkoły, reklamówka sklepu mięsnego, ulotka od hydraulika, który oferuje swoje usługi dwadzieścia cztery godziny na dobę, nowy numer „London Portrait” i kilka urzędowych kopert bez adresów zwrotnych. Dotyczą spraw naszego domu i naszych kont bankowych. Nadeszła również kaseta wideo - wygląda to na jakąś komercyjną promocję. Dzwoni telefon. Philip.

- Dzień dobry, Johnie. Liczyłem na to, że już jesteś. Gdzie ty się, u Ucha, podziewałeś? Zresztą nieważne. Opowiesz mi przy okazji. Przyjdiesz do biura?
- Oczywiście! Za parę minut. Dopiero co tu wszedłem. Philip, czy Julia nie dzwoniła do biura?
- Nic o tym nie wiem. .
- Zapytaj Jane. - Jane to moja sekretarka, którą dzielę się z Philipem podczas jego wizyt w Londynie.
- Oddaję jej słuchawkę - mówi Philip. - Przyjmij moje gratulacje.
- Gratulacje? Z jakiej okazji? - Tylko się nie kryguj.
- Nie kryguję się. Powiedz mi o co chodzi?
- Facet, którego odwiedziłeś w Szwajcarii, zatrudnił nas jako doradców w kilku sprawach. Musiałeś wyrzucić na nim piorunujące wrażenie.
- Nie wiem, jakim cudem. Nie miałem pojęcia, że moja podróż do Szwajcarii jest publiczną tajemnicą.

- Nic wielkiego, ale na początek dobre i to. Przyda nam się takie dowartościowanie, zwłaszcza teraz, kiedy rozpętało się to całe piekło.
- Dasz mi Jane na chwilę? Porozmawiam z nią i jadę do biura.
- Przykro mi, parne Brook - mówi Jane w odpowiedzi na moje pytanie. - Pańska żona nie dzwoniła, dzisiaj ani wczoraj. Sama odbierałam wszystkie telefony i jestem tego absolutnie pewna.
- Otwieram lodówkę, chwytam puszkę dietetycznej coli i wypijam ją prawie jednym haustem. Siadam na drewnianym stolku i opieram się o barek, przy którym tyle razy jadaliliśmy kolacje. Chociaż nie wykluczam jeszcze żadnej możliwości, przecucie mówi mi, że stało się coś złego - że nic naszego małżeństwa, naciągnięta od tamtej nocy, kiedy obudziłem się i nie znalazłem przy sobie Julii, zerwała się podczas mojej krótkiej nieobecności. Wiedziałem, że dom nie jest po prostu pusty. Został porzucony.
- Dzwonię do Lucindy. Julia nie lubi się zwierzać, ale gdyby poczuła taką potrzebę, wybrałaby za powiernika Ruperta, zaś w następnej kolejności niewątpliwie Lucindę. Rzecz jasna, Lucinda weźmie stronę przyjaciółki, ale może usłyszę w jej głosie coś, co posłuży mi za wskazówkę. Jej numer znajduje się w kalendarzyku przy telefonie. Rozmowa, jak poinformował głos z taśmy, zostanie przełączona. Sygnał zmienia ton, ale wkrótce odzywa się Lucinda.
- Lucinda? Mówi John Brook.
- Halo, John. Miło cię słyszeć.
- Ciebie również. Chodzi o to, że nie mogę zlokalizować mojej rodziny. Musiałem wyjechać w interesach na parę dni, wracam, a tu..
- .Nie wiesz przypadkiem... ?
- Nie, przykro mi. Julia nie odezwała się do mnie.
- Bo widzisz, prawdę mówiąc, jestem przerażony. Jestem na granicy załamania. - Skąd dzwonicz?
- Z Ormonde Place.
- Dzwoniłeś do Castlemorland?
- Natychmiast po przyjeździe. -1 Topley nic nie wie?
- Powiedział, że Julia wyjechała. Ale dokąd? W stronę zachodzącego słońca, w poszukiwaniu bardziej zielonych pastwisk czy ku przepaści? - Może... może odwiozła dzieci na jakieś przyjęcie urodzinowe?
- Dzieci powinny być w przedszkolu.
- Skąd wiesz, że ich tam nie ma?
- Topley powiedział, że Julia zabrała je ze sobą. Gdyby przyjechali do Londynu, to by tu byli. To wydaje się oczywiste.
- Przypuszczam, że tak.
- Zastanów się. Dokąd by pojechała, gdyby szukała oparcia?
- Tutaj? - pyta Lucinda.
- Gdzie ty właściwie jesteś? Wiem, że rozmowa została przełączona. - U Ralpha.
- Nie pracuje dzisiaj?
- Zrobił sobie wolne.
- Jeżeli nie u ciebie, to gdzie cię szukać? - pytam.

- Zadzwoń, jak się czegoś dowiem, obiecuję.

- Dziękuję. Podam ci mój biurowy numer, na wszelki wypadek.

Fotografie na biurku zdają się mnie karcnąć: konspiracyjne uśmiechy bliźniąt, wierne spojrzenie mojej żony patrzącej wprost w obiektyw. Pamiętam popołudnie, kiedy zrobiono zdjęcia dzieci. Klasa Andrew wraz z pięcioma innymi wybrała się na wycieczkę do planetarium: trzystu małych chłopców w jednakowych mundurkach i czapkach. Andrew znał z widzenia może pięćdziesięciu. Sala ucichła, kiedy światła zaczęły przygasać, a na suficie rozbłysła replika nieba - ukazały się gwiazdy, nawet zarysy mgławic na granatowym aksamicie. Nauczyciel rozpoczął objaśnienia i dzieci pozadzierają głowy ku nieskończonym galaktykom, kiedy wyłączono dwa podświetlone znaki - jeden z napisem „Zakaz palenia”, drugi z przekreślonym aparatem fotograficznym. I wtedy, w ciszy, jaka poprzedza zwykle uniesienie kurtyny, rozległ się przenikliwy, podekscytowany głos Andrew: „Znaczy się, możemy już zapalić i porobić sobie zdjęcia”.

Patrząc na fotografie, uśmiecham się do tego wspomnienia.

W drzwiach staje Philip.

- Szybko się uwinąłeś - mówi.

- Przyjechałem metrem - wyjaśniam. - Jest Rupert?

- Jeszcze nie. Nie wiem nawet, kiedy wróci. Mogę ci tylko powiedzieć, że jest cholernie zadowolony z tego interesu, który załatwiłeś.

- Naprawdę? To dobrze. - Nie uznaję za konieczne informować Philipa, że nie mam pojęcia, o jakim interesie mowa.

- Chcą, żebyśmy nadzorowali fuzję jakichś ich przedsiębiorstw. Nic wielkiego i w dość odległej perspektywie, ale zaświtała nam nadzieja, jak to mówią. To pierwsza dobra wiadomość od dawna.

- Zabawne - mówię w zadumie. - Że też odważyli się zaprząć swoje konie do naszego wozu, teraz, kiedy znaleźliśmy się pod obstrzałem. Na ich miejscu... Cóż, nie jestem na ich miejscu.

- Musiałeś mu piekielnie zaimponować - mówi Philip. - Masz być głównym operatorem. Zostało to wyraźnie powiedziane. Więcej - jest to ich najważniejszy warunek

Wchodzi Jane, ze stosem papierów i folderów w ramionach. To przypomina Philipowi, że ma do załatwienia inne sprawy.

- Za czterdzieści pięć minut zebranie - mówi, ruszając do drzwi. - Do zobaczenia na sali konferencyjnej.

- Telefony - mówi Jane. - Głównie od dziennikarzy, sporo, jednak z każdym dniem mniej, i to jest ta dobra wiadomość.

- Co za ulga!

- Pan Ryan wycofał się oficjalnie - ciągnie. - Ale tego należało się spodziewać. Ponieważ transakcja nie została podana do publicznej wiadomości, wyparł się po prostu wszystkiego. W ostatniej chwili Rupert zatrudnił fachowców od public relation i wszystko poszło gładko, ale stosunki są napięte.

- Jakież wezwania do sądu?

- Jak dotąd żadnych. Masz konferencję, o której wspomniał Philip, dotyczącą Ergo, a jeszcze przedtem zebranie informacyjne z dyrekcją w sprawie nowego klienta.

- Długo nie potrwa - mówię. - Na tym etapie nie mam do powiedzenia nic konkretnego.

- Na koniec czeka cię spotkanie ze stażystką, która chce się zatrudnić u nas na stałe.

-Kto to jest?

- Młoda kobieta z Handlu i Sprzedaży. -Znam ją?

- Nazywa się Kristin Erikson.

-Nigdy o niej nie słyszałem. Młodzi nas osaczają, prawda, Jane? Napierają zewsząd, bardzo uprzejmie starając się zepchnąć nas na boczny tor. Odzywa się telefon. Jane macha mi ręką i wychodzi. W słuchawce słychać ostry, drżący z gniewu głos Julii.

- Niech cię diabli, John! - krzyczy. - Niech cię wszyscy diabli! -Gdzie jesteś?

- Nie miałam pojęcia. Naprawdę. Do diabła z tobą!

- Próbowałem się z tobą skontaktować. Śmiertelnie się wystraszyłem.

- Od jak dawna to planowałaś? - pyta ostro.

Zaczynam coś mówić, ale milknę. Dociera do mnie sens jej słów.

- Co planowałem?

- Bądź ze mną szczerzy, John. Proszę. Nie kłam. Ja wiem. Ja wiem! Rozumiesz? Wiem!

- Na litość boską, Julio!

- Powinam się była domyślić. Chryste, ale byłam głupia!

- Dobrze, powiedz mi, czego powinnaś się była domyślić? Słyszę jej urywany oddech.

- Tego popołudnia, kiedy się poznaliśmy, kiedy dopiero co przyjechałeś do Londynu z Hongkongu, wielki przyjaciel Ruperta, jego wielkie odkrycie. Czy już wtedy miałaś wszystko zaplanowane, czy wpadłeś na to później - kiedy już się ze mną ożeniłeś?

Najzabawniejsze jest to, że ukradłeś coś, co do ciebie należało. To zakrawa na obłąd, czysty obłąd! Mam nadzieję, że się ubawiłeś. Do widzenia, John! - Połączenie nie zostaje przerwane.

- Julio, gdzie jesteś? Gdzie są dzieci? Czy z nimi wszystko w porządku?

- Czują się znakomicie! Tęsknią za ojcem, ale do tego będą się musiały przyzwyczaić.

- Na litość boską, Julio! Daj mi szansę. Nie mam pojęcia, o czym mówisz! Proszę! - Głos mi się łamie, łzy napływają do oczu.

-John?

Przez chwilę nie jestem w stanie mówić.

- Proszę! - powtarzam. -Tyle się dzieje...

- Rozumiem. Naprawdę. Kochanie...

- Za dużo się dzieje, zbyt szybko. Nie wiem już komu wierzyć, nie wiem, dlaczego ktoś coś mówi, kiedy udaje... Potrzebuję czasu.

- Oczywiście.

- Chcę być sama... tylko z dziećmi. Z nikim więcej. Serce wali mi w piersiach. Waham się.

- Dobrze - obiecuję. - Co tylko chcesz. To zrozumiałe... Ile czasu? -Nie wiem. Nie potrafię powiedzieć. Nie mogę. Do widzenia, John.

Rozmowa przykuwa mnie do krzesła. Gapię się w przestrzeń, pięć, dziesięć,

piętnaście minut, sparaliżowany słowami mojej żony, jej tonem, groźbami. Jej odejście, z Louisą i Andrew, jest jak graffiti wypisane na historii naszej miłości, naszego wspólnego życia.

Nie mogę zostać w biurze. Jestem tu zbyt wyeksponowany, zagrożony obecnością innych. Nie potrafię się skoncentrować na niczym, co nie jest moim nieszczęściem. Wychodzę bez słowa, żeby uniknąć wyjaśnień i idąc chodnikiem, w cieniu Św. Pawła, na ruchomych schodach, czekając na pociąg, myślę tylko o tym, że jestem skończony. Jestem skończony, powtarzam te dwa słowa jak litanię. „Jesteś skończony.”

Pociąg jest niemal pusty o tej porze roku i dnia. Siedzę sam, a w tych krótkich przerwach, kiedy myślę logicznie, utwierdzam się w przekonaniu, że powi-nieniem być w domu, nie w biurze. Może Julia, sądząc, że jestem w Battleman Peale, wróci na Ormonde Place po coś, czego zapomniała? Kiedy skręcam z Slo-ane Square w Holbein Place, wiatr mrozi mi policzki, uszy, zarzuca szalik na twarz - długi, w kolorze piór ptaka kardynała, jest prezentem od mojej żony.

Dom znajduje się dokładnie w takim stanie, w jakim go zostawiłem. Nalewam szklanek wody mineralnej i po chwili stwierdzam, że stoję na środku salonu, trzymając ją w ręku, jak na przyjęciu. Ale jestem sam.

Postanawiam zrobić inwentaryzację - żeby zabić czas, ale przede wszystkim żeby stwierdzić, co Julia zabrała i na tej podstawie ocenić, jak długo potrwa jej nieobecność. Rezultaty sąprzrygnębiające. Zniknęłyjej ubrania z szafy, a to czego nie zabrała, zostało spakowane w kartony. Rzeczy Andrew i Louisy... Boże, jej ukochany zegar, zdjęcia jej rodziców. Trzy kamyki (przywiezione przez nasze dzieci z wycieczki na wyspę Wright), mała nefrytowa żabka (chiński symbol powodzenia), wszystko to zniknęło z domu, który jej dałem.

Przrygnębiony poszukiwaniami, zmęczony, upadam na kanapę. Na stoliku w drugim końcu pokoju leży zwinięty w kłębek metalowy wąż - zapalniczka, która należała do mojego dziadka ze strony matki. Po jego śmierci trafiła, nie wiadomo jaką drogą, do mojego nowojorskiego mieszkania, całe wieki temu. Wpatruję się w nią, minuta za minutą, jak zahipnotyzowany.

Rano rzuciłem pocztę na stół i tak ją zostawiłem. Teraz postanawiam przejrzeć ją jeszcze raz. Nie czeka mnie żadna niespodzianka. Z wyjątkiem kasyety wideo, która jest nie oznakowana, wszystko mówi samo za siebie. Podejrzewam, że brak opisu jest celowy, ma zaciekawić, zmusić do poznania zalet produktu czy posiadłości, które mnie w ogóle nie interesują. Mimo to, wyrwawszy się z odrętwienia, postanawiam ją jednak obejrzeć. Wkrótce na ekranie wielkiego sony

pojawia się kolorowy pasek. Ukazuje się niebieska połać nieba, potem kamera schodzi gwałtownie i widać korony drzew, zielone, rozkołysane. Kamera odjeżdża schodząc jeszcze niżej. Piękny palladiański dom, zbyt mały jak na pańską siedzibę. Na końcu długiej alei sadzawka, w której odbija się blade niebo angielskiego lata, okolona malwami i dzwonkami. Obraz blednie...

Ponownie ten sam basen, wydłużony owal, widziany od innej strony, ku niewielkiemu wzgórzu, u stóp którego stoi fontanna. Obraz znika.

Jest noc. Oprócz kamiennej Wenus i Marsa są tam ludzie, na razie niewyraźne figurki w oddali. Woda w fontannie lśni w blasku księżycy i sztucznego światła, przy którym zrobiono film.

Nagle zbliżenie; skóra w kolorze marmuru, włosy rozjaśnione słońcem na kolor miodu, opadające niemal do ramion. Ale czyja to skóra, czyje włosy? Młody mężczyzna leży wsparty na łokciu przy fontannie. Nie wygląda na więcej niż dwadzieścia lat. W pasie okrywa go puchary ręcznik w kolorze kości słoniowej. Głowę ma odrzuconą, członki rozluźnione, tors, jak u Botticellego, upstrzony kropelkami wody.

Spod powierzchni basenu wynurza się ramię, potem drugie. Twarz Julii, jej mokre włosy ciasno oblepiające czaszkę. Moja żona jest tu młodsza - dziewczyna, jakiej nie znałem. Wychodzi z fontanny, naga i nieskrępowana. Znika z planu, lecz po chwili wraca, niosąc dwa kieliszki w jednej ręce. Podaje jeden chłopakowi i kładzie się obok, z głową na jego ramieniu. Młody mężczyzna porusza się. Sączą wolno alkohol. Chłopak obejmuje ją ramieniem. Ich ciała splatają się, przebiega po nich drżenie, ale odsuwają się od siebie, piją dalej. Jest to prawdopodobnie szampan, sądząc po bladobursztynowym odcieniu. Czy będą się kochali? Jestem oszołomiony, zarazem zde gustowany i podniecony obrazem. Jest to przecież urywek przeszłości mojej żony, część tej nieokreślonej historii, jaką wniosła w nasze małżeństwo. Nie ma w tym posmaku zdrady. A jednak przepelnia mnie adrenalina, czuję strach. Ciągłe to samo ujęcie, ten sam obraz, w miarę upływu sekund pod coraz bardziej ukośnym kątem. W końcu chłopak wychyla zawartość kieliszka, odstawia go na ziemię. Julia wstaje i znika z planu. Wraca ze strzykawką, którą skwapliwie podaje partnerowi. Chłopak natychmiast wbija sobie igłę w biceps. Tryska krew. Wzrok mu ucieka w bok, ciało wiotczeje, traci przytomność czy zasypia? Julia potrząsa nim, bez skutku. Dopiero wtedy ekran gaśnie.

Nalewam sobie trochę starego burbona, jest to jedyny alkohol, jaki znajduje się w domu. Czuję dziwną ulgę, zmieszaną z rozczarowaniem. Wrzucam kilka kostek zmętniałego lodu do bursztynowego płynu i patrzę jak wirują coraz wolniej i wolniej. Gapię się w ścianę, czekając, pełen napięcia, na coś nieokreślonego. Telefon wyrywa mnie z odrętwienia; chwytam słuchawkę, ale to tylko Jane, dzwoni, żeby przypomnieć mi o rozmowie kwalifikacyjnej, jaką mam przeprowadzić tego popołudnia.

-Nie można jej przelożyć - wyjaśnia strofującym tonem, zarezerwowanym dla ludzi, których naprawdę lubi. - Komisja rekrutująca zbiera się jutro z samego rana.

- Zapytaj kandydatkę, czy nie zechciałaby wpaść do mnie do domu na drinka. Nie jestem w stanie wrócić do biura.

- A co ty właściwie robisz w domu o tej godzinie? - Głos Jane nabiera ostrzejszego zabarwienia
- Zastanawiam się nad samobójstwem. - Ubieram te słowa we flegmatyczny angielski ton, żeby nie wiedziała, jak bliskie są prawdy.

19

Poznaję ją od razu. Tym razem ma na sobie płaszcz, buty powyżej kostki, obszerny fioletowy sweter z kaszmiru, szerokie spodnie z lejącego się materiału, żadnej biżuterii. Plisowana spódniczka, skromna bluzka i wełniana kamizelka są tylko wspomnieniem. Mam przed sobą tę samą Amerykankę, którą zauważyłem na schodach działu sprzedaży w Battleman.

Jej oczy, za parą szkieł w rogowej oprawce, są lekko uśmiechnięte. Ale jest młoda i dlatego czeka na zachętę z mojej strony.

- Przepraszam za spóźnienie. - Bez wahania przekracza próg. - Miałam drobne trudności z odnalezieniem pańskiego domu.
- To normalne, wszyscy je mają. Strona siedemdziesiąta ósma w londyńskim A-Z, obiekt wielkości kropki. Ważne, że pani trafiła.
- Tak... KristinErikson. -Podaj mi rękę stanowczym, szybkim gestem, jak

typowa Amerykanka.

- Proszę dalej, bo zimno.
- Jest pan Amerykaninem, prawda?
- Pani również?
- A więc to widać? - Ma ujmujący uśmiech.
- Proszę do biblioteki. Pani pozwoli okrycie. Może drinka?
- Herbaty, jeżeli nie sprawi to kłopotu.
- Najmniejszego. Z mlekiem czy... -Z cytryną.
- Ja też.

Wędruję zdenerwowany od kuchni do biblioteki i z powrotem. W każdym momencie, w każdej ciszy, oczekuję, że zadzwoni telefon, otworzą się drzwi i stanie w nich Julia. Jeżeli...

Kristin Erikson siedzi w uroczej pozie na szerokim, obitym perkalem fotelu. Jej nogi, skrzyżowane w kostkach, spoczywają obok siedziska ze skóry hipopotama, które kupiliśmy w sklepie z pamiątkami na Park Avenue.

Idę ku niej z filiżanką herbaty w ręku, niby ktoś zupełnie obcy. Telefon nie chce zadzwonić. Mówię:

- A więc zamierzasz do nas dołączyć?
- Bardzo bym chciała.
- Dlaczego? Dlaczego Fuzje i Zakupy, a nie Sprzedaż i Handel? - pytam.

- Ponieważ nie jestem maszyną cyfrową - śmieje się. - Polegam raczej na intuicji. To znaczy, radzę sobie z liczbami, ale dla mnie nabierają znaczenia dopiero wtedy, gdy stoją za nimi ludzie.
- Jak sobie wyobrażasz swoją pracę za pięć lat? - pytam.
- Nie ośmieliłabym się wybiegać myślą tak daleko. Za pięć lat najważniejsze transakcje mogą być przeprowadzane w cyberprzestrzeni.
- Wątpię.
- Ja również. - Spuszcza wzrok w uroczy sposób, jakby pokpiwała z samej siebie. Podnosi filiżankę do ust. Górną wargę ma wyraźnie pełniejszą, co nadaje jej twarzy żartobliwy, trochę nadąsany wyraz.
- Czy to pana dzieci? - pyta, wskazując portreciki wykonane węglem.
- Bliźnięta.
- Cudownie! - mówi ona. - Ja nie mam rodzeństwa.
- Ja również.
- Nigdy tego nie żałowałam... to znaczy od czasu do czasu brakowało mi siostry albo brata, ale na ogół czułam się dobrze w roli jedyne­go dziecka. Czasami żałowałam tylko, że nie mam siostry bliźniaczki. Mówią, że bliźnięta zawsze wiedzą, gdzie jest i jak się miewa ta druga połowa. Ciekawe, czy to prawda.
- Faktycznie można coś takiego zaobserwować. - Czysą...
- Są na wsi - wtrącam, zanim zdołała dokończyć zdanie.
- Jak miło - mówi po chwili wahania. - Pewnie bardzo to lubią. - Jest zbyt młoda, by potrafiła ukryć wnioski, jakie nasunęła jej nasza sytuacja.
- Są na wsi ze swoją matką. Z reguły nie zdarza się to w środku tygodnia, spędzamy tam tylko weekendy. Tym razem ja musiałem wyjechać, a Julia miała coś do załatwienia na miejscu...
- Telefon nie dzwoni i najwyraźniej nie zadzwoni.
- To jedna z cech londyńskiego życia, których nie mogę zaakceptować. Wszyscy wyjeżdżają na weekend. Mają obsesję na tym punkcie; rezultat jest taki, że żyją tym już od czwartku, a w poniedziałek są nie do życia. W ten sposób nie da się pracować.
- Ma pani świętą rację - mówię z roztargnieniem. - Z tego wniosek, że lubi pani pracować, a to bardzo dobrze, ponieważ my pracujemy na wysokich obrotach. W połowie przypadków nic z tego nie wynika.
- Nie można zawsze wygrywać - odpowiada sentencjonalnie.
- Poza tym jest to praca, która budzi kontrowersje, jak pani zapewne wiadomo - ciągnę.
- To mnie nie przeraża. I nie mam zwyczaju wierzyć we wszystko, co usłyszę. Battleman Peale jest bardzo starą firmą, a w dziale Fuzji i Zakupów od dawna pracuje ten sam zespół ludzi. Jest wysoce nieprawdopodobne, by ni stąd, ni z owąd popełnili tak podstawowy błąd. Co musielibyście zyskać, żeby wyrównać te straty? To bzdura.
- Jeszcze herbaty? A może teraz napije się pani drinka?
- A co pan będzie pił?
- Drinka, naturalnie. Niestety, wybór jest niewielki. Mam tylko burbona.

- Znakomicie.

- Z wodą?

- Nie, dziękuję. Ale z dużą ilością lodu, jeżeli jest.

- Za pani zdrowie - wznoszę toast. Po długiej ciszy, kiedy słodki trunek wnika we mnie, potęgując efekt pierwszego drinka, pytam: - Co przywiodło panią do Anglii?

- Poznałam faceta. Typowa historia. Byłam młoda, on sympatyczny. Przyjechałam tu za nim. Pobraliśmy się i rozwiedli. Mogło się przytrafić każdemu. - Śmieje się, wzdycha, patrzy mi w oczy tak długo, aż, zmieszany, odwracam wzrok. - Zyskałam na tym brytyjską wizję... Jeżeli mam być szczerą, wiem o finansowaniu przedsiębiorstw mniej więcej tyle, ile przeczytam w „Financial Times”, „Forbes” i „Business Week”, ale dziedzina, jako taka, budzi moją ciekawość. Nie mam dyplomu z ekonomii, ale szybko się uczę i mam instynkt.

- Tak. W to wierzę. - Prawda jest taka, że w moim obecnym stanie ducha chciałbym ukarać Julię, tak jak ona karze mnie. Chciałbym uzasadnić jej pogardliwy stosunek do mnie, jej złe mniemanie. Chciałbym zatracić się, poczuć, że mam w kieszeni jeszcze jakąś walutę wymieniającą. Więc kiedy Kristin wstaje, żeby pójść do toalety, odprowadzam ją wzrokiem. Jej młodość każe mi myśleć o dziewczętach z mojej młodości. Jest coś, czego nie rozumiem w kobietach: łatwość, z jaką balansują między tym, co logiczne, a tym, co emocjonalne. Żaden ze znanych mi mężczyzn tego nie potrafi. Julia dokonała sądu nade mną, nie pozwoliwszy mi na słowo obrony. Nie tolerowałaby takiego zachowania z mojej strony, a jednak sama czuje się do niego uprawniona. Wierząc, że ją zdradziłam, sama dopuściła się zdrady. Bez wątplenia ona patrzy na to od zupełnie innej strony. Kobiety w moim życiu twierdziły zawsze, że najbardziej obawiają się zdrady

I oszustwa, ale z czasem okazywało się, że to ja powinienem się bać.

- Co się stało? - pyta Kristin, która wróciła z toalety.

- Nie wiem. Czy coś się stało? Wydawało mi się, że to ja mam przeprowadzić wywiad.

Ponownie przytrzymuję mój wzrok.

- Pytaj o co chcesz. - Opuszką palca obrysowuje górną krawędź okularów i poprawia oprawkę przy prawej skroni.

- Wiesz co? - mówię. - Staram się przestrzegać zasady, żeby nie mówić o interesach, kiedy mam drinka w ręku. Mogę ci więc zadać tylko jedno pytanie: czy naprawdę tego chcesz? Jesteś pewna? Ktoś, kto jest naprawdę dobry, może się wyżyć w tej pracy, ale konkurencja jest zabójcza i na dłuższą metę więcej ci może odebrać niż dać. Wszystko na świecie ma swoją cenę, Kristin, i jeżeli zabraknie ci szczęścia, ceną tej gry będzie twoja dusza. Tego od nas żąda ten biznes, ponieważ tym się żywi - duszą ludzką. Jeżeli zdecydujesz się na karierę i nie będziesz brała urlopu macierzyńskiego co parę lat, twój życiowy partner będzie musiał zrozumieć, że jesteś gotowa, na wezwanie przez dwadzieścia cztery godziny na dobę, jak lekarz albo policjant. To wariactwo, zdaję sobie z tego sprawę. Ale takie są wymagania. Tego będą po tobie oczekiwać. Jeżeli złamiesz zasady, nigdy ci tego nie zapomną. Więc zanim się zakochasz, upewnij się, że jest to człowiek, który potrafi się przystosować. To jest sprawa zasadnicza, najważniejsza. Umiejętność przystosowania się. Zapamiętaj.

-Zapamiętam. Umiejętność przystosowania się. - Sący swojego drinka, namyśla się przez chwilę z kieliszkiem przy ustach. - Czy twoja żona ją posiada?

- W bardzo dużym stopniu.

- Przepraszam! To nie moja sprawa. Nie powinnam pytać. Wybacz mi.

- W porządku. Zazwyczaj się przystosowuje - prawdę mówiąc, zawsze.

- Jeszcze raz przepraszam.

- Nie chciałem, żeby zabrzmiało to tak dwuznacznie. Naprawdę. Tylko że przechodzimy akurat mały kryzys. Nic, czego nie dałoby się naprawić. Tyle się wydarzyło... zbyt wiele. Ale wszystko się ułoży w swoim czasie.

- To dobrze. Założę się, że ona już się przystosowuje.

- Dziękuję.

- Chcesz się przy niej zestarzyć, prawda? - pyta niemal z czułością, pochylona ku mnie. Jej uśmiech wydaje się siostrzany, pełen zrozumienia, bez cienia przebiegłości. - Przyznaj się. To widać.

- Nie chcę się zestarzyć - mówię i milknę. - Och, Kristin, Kristin. Czego tak naprawdę chce kobieta? Powiedziałem ci, czego się możesz spodziewać od życia, które wybrałaś, powiedziałem ci to szczerze, bez ogródek. Teraz ty mi powiedz, bo ja już nic nie wiem. Kiedyś wydawało mi się, że wiem, ale najwyraźniej mocno się pomyliłem.

- A co myślałeś, kiedy uważałeś, że wiesz?

- Myślałem, że kobieta pragnie miłości. Lojalności. Kogoś, na kim może się oprzeć, kto by się o nią troszczył. Bezpieczeństwa. Partnera, z którym można dzielić niepowodzenia. Dzieci. Co jeszcze?

- Kobiety chcą różnych rzeczy na różnych etapach swojego życia. Tak samo jak mężczyźni.

- Najgorsze jest to, że kiedy starasz się zdobyć miłość, najczęściej kończy się na tym, że ją tracisz.

- Ponieważ zabrakło dramaturgii.

- Może. Przepraszam za ten wybuch. - Mój wzrok wędruje bezwiednie ku sufitowi. Jestem tak pijany, że zmienia mi się perspektywa widzenia i mam wrażenie, że obserwuję pokój z dużej wysokości. Widzę Kristin jak za mgłą. Mówiąc opada coraz bardziej na dno kanionu.

- Myślę, że wiem, czego ci potrzeba - wyznaje ona.

- Czego mianowicie? - pytam, kładąc stopy na otomanie. Uśmiecha się, ale nic nie mówi. Czeka.

- Kiedyś pewnie tak - odpowiadam na jej milczenie. - Ale to było wieki temu. Mogę tylko marzyć o powrocie do tamtych czasów. Nie wyobrażam sobie, by można uniknąć takich myśli. Ale nie wprowadzę ich ponownie w życie.

- Wykorzystasz to przeciwko mnie?

- Chyba żartujesz? To mi pochlebia.

Wymieniamy z Kristin mocny uścisk dłoni i po chwili już jej nie ma.

W środku nocy telefon rozdzwania się tuż przy mojej głowie. Odruchowo sięgam po słuchawkę i przykładam ją do ucha, zwiijając poduszkę w wałek.

- John? John, obudź się. To ja, Ralph Marlowe.
- Cześć Ralphie Marlowe. - Własne słowa docierają do mnie z opóźnieniem, jakbym odtwarzał je na zwolnionych obrotach. .
- Nie mogę długo rozmawiać. Zszedłem do biura farmy, żeby skorzystać z innej linii. - Głos Marlowe'a balansuje na granicy szeptu. - Ona tu jest, John. Wszyscy tu są- Julia i twoje dzieciaki. Tylko to chciałem ci powiedzieć. Może me powinienem tego robić. Obiecałem, że ci nie powiem, ale uznałem, że lepiej kierować się własnym rozsądkiem, zanim sprawy wezmą jeszcze gorszy obrót.
- Dziękujęci. . ,
- Zachowują się, jakby coś rzuciło na nie urok. Zwłaszcza Julia, bo Lucinda reaguje po prostu na to, co powiedziała jej przyjaciółka.
- Co mianowicie?
- O tym, jak wyszabrowałeś rodzinny majątek. Jakieś wysoce skomplikowane operacje finansowe, które, przyznaję, przekraczają moje zdolności pojmowania.
- I w które nie uwierzyłeś, bo inaczej byś nie dzwonił.
- Z pewnością nie o tej godzinie. Widzisz, nigdy w życiu nie spotkałem nikogo kto by się tak znał na ludziach jak Adrian. A on miał o tobie jak najlepsze zdanie. Przypuszczam, że cenił cię bardziej niż sobie wyobrażasz. Muszę brać pod uwagę jego opinię, nawet jeżeli on nie żyje. - Zawiesza głos.
- Nie odzywam się.
- No i człowiek musi się kierować własnym zdrowym rozsądkiem prawda.' -mówi Ralph, trochę tak, jakby się dławiał. - Nie można dać się zwariować Cholera, nie mam bladego pojęcia, co się dzieje, ale nigdy nie zrozumieję, dlaczego ktoś w twojej sytuacji - zakochany po uszy w żonie, mieszkający w jej posiadłości z dwójką małych dzieci, które, nawiasem mówiąc, potrafią być hałaśliwe -ryzykowałby wszystko tylko po to, by przerzucić pieniądze z jednego konta na drugie. Nie, to się nie zgadza z tym, co o tobie wiem, a przede wszystkim me zgadza się z opinią Adriana, który wiedział o wiele więcej. Musi być coś innego. Musi istnieć jakiś inne wytłumaczenie. Jestem ostatnią osobą, która podpisze na ciebie wyrok. Jestem Anglikiem, a ty Amerykaninem, wiele nas dzieli, ale...
- Trzy tysiące czterysta czterdzieści mil - próbuję żartować. - To największa różnica.
- Właśnie. Człowiek ma prawo wiedzieć, o co jest oskarżony, ma prawo się bronić. I tak, jak ja się na to zapatruję, ma prawo widzieć się z dziećmi.
- Dzięki. Nie potrafię wyrazić, ile to dla mnie znaczy.
- Tego wymagała prosta uczciwość i poczucie sprawiedliwości.
- Ktoś mnie wrabia - mówię. - Julię też, nawet jeżeli ona tego nie dostrzeże.
- Jestem skłonny przyznać ci rację. Ale dlaczego? Kto?
- Nie wiem. Ale jeżeli natychmiast nie zaradzimy złu, czekają nas gorsze niespodzianki.
- City zawsze jawiło mi się jako zbiorowisko czarnych charakterów.
- Będę u ciebie z samego rana.
- To nie jest dobry pomysł. Jutro oni wracają do Castlemorland. Na ten zimowy pokaz „Światło i Dźwięk”.

- Kompletnie o tym zapomniałem.
- Tam ich znajdziesz.
- Ralph, dziękuję ci. Niech cię Bóg błogosławi. - Głos mi się załamuje. - Módl się za mnie.
- Za was oboje - mówi Ralph. - Mam nadzieję, że postąpiłem słusznie.

20

Na początku lat sześćdziesiątych, nie wiadomo dokładnie po której podróży po Europie, rodzice Julii postanowili urządzić w Castlemorland imprezę „Światło i Dźwięk”. Widzieli takie przedstawienia w Forum Romanum, w Panetonie i w Fontainebleau i ulegli ich czarowi. Pomysł, by ukazać historię poprzez światło, kolor i dźwięk wydawał się jakby stworzony dla domostwa tak zaludnio nego przez duchy, jak starożytna rodowa siedziba, którą odziedziczyli. Po głębszym zastanowieniu doszli do wniosku, że dochód powinien zostać przeznaczony na potrzeby szpitala dziecięcego w najbliższym mieście targowym i w ten sposób znaleziono chwalebne uzasadnienie imprezy. Córka znajomych wyszła właśnie za mąż za Londyńczyka, który wyrobił sobie nazwisko w przemyśle dyskotekowym. Zawezwano młodego człowieka, zasięgnięto jego rady, po czym zatrudniono. Sprowadził on do Castlemorland ekipę elektryków, którzy opletli siecią potężnych lamp kaplicę, herbaciarnię, a nawet walącą się oranżerię, tarasy i dach domu. Za nimi do Castlemorland przybyli operatorzy dźwięku, którzy zainstalowali głośniki wysoko w koronach dereni oraz pod podłogą spichlerza, aby wywołać złudzenie, że dźwięk wydobywa się spod ziemi. Zainstalowano tablicę rozdzielczą i sprowadzono specjalistów do jej obsługi. Sceny historyczne zostały nagrane przez studentów Królewskiej Akademii Sztuk Dramatycznych, według scenariusza, nad którym ojciec Julii pracował całymi miesiącami, zanim uznał, że ostateczna wersja zgodna jest z prawdą historyczną. Impreza odbywała się co roku w lipcu, a coraz to nowe przedstawienia miały zachęcać turystów do ponownych odwiedzin. Co roku Castlemorland domagał się nowej opowieści, w tym samym formacie, z niewielkimi wariacjami technicznymi. A Andrew Cheviot co roku stawał na wysokości zadania, całymi miesiącami sprawdzając fakty. W roku inauguracyjnym przedstawiono historię pierwszego rycerza Lyghama. Potem sięgnięto do czasów angielskiej wojny domowej, kiedy to Karol Pierwszy schronił się na krótko w Castlemorland, osłaniany przez swoich stronników od zachodu i północy, ścigany przez Cromwella od południa i wschodu. Przypomniano sobie również wspaniałą wizytę króla Edwarda VII, który zjechał do Castlemorland na polowania i uczył niemal w przededniu wybuchu pierwszej wojny światowej.

Podczas ostatniej imprezy letniej Julia stwierdziła (nie po raz pierwszy), że główną atrakcją Castlemorland są jednak wnętrza i opowieści z nimi związane,

i warto by urządzić drugie widowisko, na mniejszą skalę, w sezonie zimowym. Jej rodzice długo odmawiali otwarcia domu dla publiczności, ale tym razem Julia napisała kilka trzydziestominutowych skeczy, odczytała je głośno Adrianowi i uzyskała jego zgodę. Nigdy nie potrafił jej niczego odmówić.

Wybrano temat widowiska, po sierpniowym święcie bankowym rozesłano zawiadomienia, a we wrześniu oficjalne zaproszenia. W połowie października produkcja ruszyła pełną parą, a dwa tygodnie później nagrania i plan iluminacji były gotowe. Wtedy zginął Adrian.

Budzę się równo o czwartej nad ranem - dokładnie w chwili, gdy zmieniają się cyferki elektronicznego zegarka - odwodniony, ze spierzchniętymi wargami i odrętwiałym językiem. Wypijam kilka łyków ciepłej wody z dzbanka na nocnym stoliku i przewracam się na bok. Niewiele to pomaga. Czuję początki zaziębienia. Nadaremnie szukam wygodnej pozycji. W końcu, niespodziewanie dla samego siebie, siadam na łóżku i wstaję, żeby pójść po antyhistaminę, która - wiem z doświadczenia - zwali mnie z nóg. W tej chwili nie mogę znieść myśli, żadnych myśli.

Późnym rankiem, roztrzęsiony, niezdolny do pracy idę na Sloane Square, w dół King's Road, w stronę Royal Hospital, próbując obrąć jakąś linię postępowania, zdecydować, jak rozpocząć rozmowę, żeby doprowadzić ją do końca, w jakim momencie zjawić się w Castlemorland, kiedy wyjechać. Julia nie oczekuje mnie, o ile Ralph się nie wygadał i jeżeli nie uświadomiła sobie, że mogę pamiętać, że coś mi przypomni o dzisiejszym wydarzeniu. Niczego w życiu jeszcze tak nie pragnąłem, jak zobaczyć Louise i Andrew, jednak rozumiem, że powinienem zjawić się tam w tłumie odwiedzających, kiedy Julia nie będzie miała pretekstu - ani możliwości - by umknąć. Zabijam czas włócząc się bez celu po mieście, robię jakieś niepotrzebne zakupy, świadomie starając się pozostać nieuchwytny aż do późnego popołudnia, kiedy w końcu wyruszam, wyliczywszy sobie, że przybędę do zamku w porze koktajlu i stanę twarzą w twarz z żoną, wspierany obecnością obcych ludzi. Będzie mnie musiała wysłuchać, spojrzeć mi prosto w oczy, przekonać się, że mówię, że zawsze mówiłem jej prawdę.

Jednak Great West Road jest zakorkowana na przestrzeni mili przed wiaduktem w Chiswick, z powodu wywrotki ciężarówki z nabiąłem. Kiedy dojeżdżam na miejsce, Castlemorland jest ciemny, a zimowa edycja przedstawienia - w toku. Zostawiam samochód na parkingu publicznym i wchodzę do domu, jak zwyczajny, trochę spóźniony turysta. Liczę na to, że jeżeli Topley ani nikt z domowników nie zdąży uprzedzić Julii o moim przyjeździe, uniknę awantury.

Dzięki zmniejszeniu skali przedstawienia, tablicę rozdzielczą zastąpiła zwykła klawiatura laptopa. Lampy, małe, intensywne, zdalnie kierowane, mają tę zaletę, że można je umieścić praktycznie wszędzie.

Kiedy wchodzę, jedna z nich właśnie rozbłyska. Pochwyciwszy uwagę widowni, przygasa szybko, rzucając jedynie bladą poświatę na szaro-żółte marmurowe płyty. Od strony schodów dolatują głosy dzieci, gdzieś z niższego poziomu orkiestra: Strauss, obłędna mieszanka walców przebiega technieniem przez salę balową, potem znów dziecięce głosy, śpiewają: „Były sobie świnki trzy...” Ciemność. I przymglone światło gdzieś w perspektywie Długiego Korytarza.

Po krótkiej chwili rozjaśnia się Wielki Hol.

- Państwo pozwolą za mną - mówi przewodnik i zwiedzający podążają za nim w stronę sali balowej. Nie mogę znaleźć Juli. Odsuwam się pod ścianę, niemal niewidoczny, przepuszczam innych, a sam czekam i patrzę. Jak dotąd widownia reaguje pozytywnie.

- Tatusiu! - wykrzykuje nagle Louisa i przebija się przez tłum dorosłych, ubrana w niebieską atlasową sukienkę. - Tutaj jesteś, tatusiu! Gdzie się podziewałeś? Tęskniliśmy za tobą.

- Nie tak bardzo jak ja za wami. Byłem w Szwajcarii. - Unoszę córeczkę tak wysoko, by jej twarz znalazła się na poziomie mojej, całuję jej policzek, czuję jej dziecięce wargi, jej rączki na szyi. - Wiesz, gdzie leży Szwajcaria?

- Jest tam bardzo zimno? - pyta Andrew, który nadchodzi w tej chwili. -I bardzo wysoko w górach?

- To prawda - Stawiam córkę na ziemię, by pochwycić syna.

- Przywiozłeś nam prezent, tatusiu? Przywiozłeś?

- Oczywiście. Dla każdego po jednym prezencie.

- Co to jest? Gdzie to jest?

- W Londynie, kochanie.

- My nie jesteśmy w Londynie.

- Ale ja je tam zostawiłem - bardzo niemądrze z mojej strony, prawda? Powiedzieć wam, co to jest, czy wolicie mieć niespodziankę?

- Powiedz! Nie chcemy czekać.

- Ja też nie chcę czekać.

- Wiecie, co to jest jodler? - pytam. -Nie.

- To taki pieśniarz, który pracuje i mieszka w górach. Śpiewa raz bardzo wysoko - o tak! - Jodłuję, ale nie mogę robić tego tak głośno, jak by należało. -Najpierw cienko, a potem normalnym głosem, potem znowu wysokim...
Dzieci chichoczą. Jest oczywiste, że uważają mnie za sympatycznego wariata.

- Jodlerzy nosząbardzoladne, bardzo kolorowe ubrania. Tobie, Louiso, przywiozłem dziewczynkę, a tobie, Andrew, figurkę chłopca - jodlera.

- Nie jedziemy do Londynu w tym tygodniu - mówi Louisa.

- Ja chcę - zwraca się do niej Andrew. - A ty?

Zjawia się ich niania, ale trzyma się z daleka. Przestępuje z nogi na nogę, rzucając niespokojne spojrzenia.

- Chyba chcą, żebyśmy stąd poszli - zwraca się zarazem do mnie i do dzieci. - Program się jeszcze nie skończył.

Kiedy sala pustoszeje, zjawia się Julia. Jakby zauważyła mnie wcześniej i doczekała chwili, kiedy nie będzie świadków naszej rozmowy.

- Witaj, Johnie. - Odwraca twarz, ale mimo wszystko pozwala się pocałować w policzek, przez wzgląd na dzieci.

- Dzieci, musicie już iść albo przegapicie przedstawienie. My dołączymy do was później.

- Za minutkę - dodają.

Moja żona rzuca mi zimne spojrzenie.

- Możesz mi powiedzieć, co cię skłoniło do przyjazdu tutaj? - pyta, kiedy dzieci i niania odchodzą. - Wynoś się.

- Możesz mi poświęcić pięć minut?

- Nie poświęcę ci nawet pięciu sekund.

- Niezależnie od tego, co ci powiedziano, w co uwierzyłaś, jestem niewinny. Niewinny! Muszę przyznać, że jest to zdumiewające, a także cholernie, kurewsko irytujące, że po tym wszystkim, co razem przeżyliśmy i wobec tak wysokiej stawki, wobec przyszłości naszych dzieci...

- Które zdradziłeś tak strasznie, jak zdradziłeś mnie...

- Nikogo nie zdradziłem. Jak możesz tak mówić, jak możesz tak myśleć?! Nie spodziewałem się, że uwierzysz w plotki, w kłamstwa o mnie, że nie dasz mi nawet szansy obrony, że odrzucisz wszystko...

Oddychając powoli, jakby chciała zaakcentować nieodwracalność swojej decyzji, Julia mówi:

- Nie uwierzyłam w plotki, John. Nie musiałam. Widziałam dowody. Wszystko tam jest. Mam dowody, których nie da się zignorować. Nie da się nic wytłumaczyć. Mam je na papierze!

- Nie istnieją żadne dowody, ponieważ nie popełniono przestępstwa. Ale skoro już mowa o dowodach... Po powrocie do Londynu otrzymałem bardzo interesującą przesyłkę.

- Nic mnie to nie obchodzi. Może zauważyłeś, że się wyprowadziłam?

- To kasetą wideo. Z tobą w roli gwiazdy.

Julia zamiera, z jej oczu wyziera zdumienie, panika, twarz jej się ściąga.

- Nie wiem, co ten film oznacza - ciągnę. - Nie wiem, kiedy został nakręcony, prócz tego, że musiało to być dość dawno temu. Nie wiem nawet, czego ma dowodzić. Pomyślałem, że zapytam ciebie, zanim wyciągnę pochopne wnioski.

- Bardzo roztropnie.

- Kim był ten chłopak? -Zgadnij.

- Mówię poważnie. Tworzyliście atrakcyjną parę.

- Oczekujesz ode mnie jakiejś dowcipnej odpowiedzi?

- Nie. Spodziewam się, że zamiast mnie z góry potępiać, wyjdiesz z założenia, że jestem niewinny, choćby dlatego, że jestem twoim mężem i kocham cię. Jeżeli nie możesz tego zrobić z jakiegoś powodu., świetnie! Ale musisz zrozumieć, że dzieją się dziwne rzeczy, bardzo groźne dla nas obojga - nie tylko dla ciebie i nie tylko dla mnie - które są czymś więcej niż zbiegiem okoliczności.

- Chryste! Sama już nie wiem - mówi Julia. - Nie wiem, co robić, co myśleć, nie wiem nawet, czy powinnam wierzyć w to, co widzę na własne oczy. Boję się zgadywać, żeby nie popełnić omyłki.

- I nie zgaduj, ponieważ to mogłoby mieć fatalne skutki. Załóżmy, że mi uwierzysz i popełnisz omyłkę, załóżmy, że naprawdę jestem tak diaboliczny, jak ci się ostatnio wydaje - co jeszcze złego mogę ci zrobić? Zabić cię? Pozbawić moje dzieci matki? Naprawdę wierzysz, że mężczyzna, obok którego spałaś przez tyle lat, kryje w sobie potwora?

- Nie, oczywiście, że nie! Jeżeli mamy porozmawiać, musimy zejść ludziom z oczu - proponuje Julia. - Czy do tej kasety wideo dołączony był jakiś list, jakaś wiadomość?
- Nic. - Idę za nią do Wielkiego Holu, gdzie Julia odsuwa zniszczoną aksamitną kotarę, która odgradza prywatną część domu. To jest mój dom, oczywiście, a przynajmniej był nim ostatnio. A jednak poruszam się niepewnie, niemal z lękiem, nie wiedząc, czy jestem tu gospodarzem, czy gościem, czy będę tu nadal mieszkał, a nawet czy Julia nie powinna się stąd wyprowadzić. Otwieramy drzwi do pokoju Regenta, byłego saloniku jej matki, który Julia zawsze najmniej lubiła. Jest ciemny, ale cichy, stopy są zaciągnięte.
- Kiedy się dowiedziałam, kiedy odkryłam prawdę - zaczyna Julia - poszłam na cmentarz. Wiem, że to dziwaczne, ale nie obchodzi mnie, co ludzie pomyślą. Wszyscy, których kochałam, z wyjątkiem trzech osób, nie żyją. Dwie z tych trzech osób są dziećmi. Więc do kogo mam się zwrócić z pytaniem, czy ten trzeci człowiek jest zdrajcą, złodziejem? Tylko do zmarłych. Wzięłam trzy bukiety, które kwiaciarka przysłała na dzisiaj, i poszłam na cmentarz, ale ziemia była zamarznięta, nagrobki tak zasypane śniegiem, że mogłam tylko w przybliżeniu określić miejsce, gdzie leżą rodzice i Adrian. Wiesz, co zrobiłam?
- Nie wiem. Powiedz.
- Poszarpałam kwiaty. Pomyślałam, niech Bóg je sobie weźmie. Niech rzuci tam, gdzie chce.
- Wierysz, że ukradłem te pieniądze, prawda?
- Z początku nie wierzyłam. Nie chciałam wierzyć. Ale... Co mogę powiedzieć? Przecież nie wyobraziłam sobie tych dokumentów.
- Jakich dokumentów?
- Ja pierwsza pytam.
- Okay.
- Mów o kasecie? -Czy ty...? -Nie.
- Aon?
- Co on? -Umarł? -Tak.
- Dlaczego nic nie zrobiłaś, nie zawołałaś kogoś na pomoc?
- Nie wiedziałam.
- To był David Paxton, prawda?
- Tak. David. Nie spałam z nim tamtej nocy. Wychodząc myślałam, że się na-ćpał i odpłynął. David był.. .nie wiem... *sui generis* - gatunkiem samym w sobie.
- A ty nie mogłaś się temu oprzeć?
- Nie mieliśmy ze sobą romansu. Nie, to nie był romans.
- Skąd wiesz, co było na kasecie?
- Sam powiedziałaś. Jestem w tym filmie gwiazdą. Zresztą, dobrze. Widziałam ten film.

- Widziałaś go? - pytam ze zdumieniem. - Kiedy?

- Przed paroma miesiącami. Tuż przed śmiercią Adriana. - Julia przysiadła na oparciu kanapy. Lampa, którą zapaliła, rzuca ciepłe światło spod żółtego tiulowego abażura.

Spaceruję po pokoju tam i z powrotem, potem przystaję. W zamyśleniu próbuję powiązać ze sobą sprawy pozornie nie mające nic wspólnego.

- Jak go dostałaś? - pytam.

- Przyszedł pocztą.

- Masz jakieś pojęcie, kto go przysłał?

- Mogę zgadywać. Matthew Paxton.

- Dlaczego?

- Miałby mnie w ręku. Albo tak by mu się zdawało.

Mimo woli spojłam w stronę zamkniętych drzwi do biblioteki.

- Władzę nad tobą? - pytam. - Po co?

- Żeby mógł manipulować Adrianem, bo z jakiego innego powodu? Myślał pewnie, że potrafię nakłonić Adriana, żeby zgodził się na ten jego plan modernizacyjny. Adrian miał ziemię, a Matthew dorobił się pieniędzy, a przynajmniej zdobył do nich dostęp; co ważniejsze, miał kontakty w rozmaitych radach budowlanych, potrafił niejedno załatwić. Co wiesz o tej nocy, kiedy nakręcono film?

- Niewiele. Najpierw pozwól sobie zadać jedno pytanie: w jaki sposób Matthew Paxton mógłby wejść w posiadanie kasety?

- Nie wiem. Tylko jeden człowiek mógł to nakręcić. -Kto?

- Hugh Basildon. Syn Simona Basildona, naszego radcy prawnego. Prywatka odbywała się w jego domu, Lion Court, w pobliżu Newmarket. Hugh jest moim rówieśnikiem. Byliśmy razem w Cambridge. Miał bzika na punkcie kamery, ambicje, by zostać fotografem. Nie pamiętam, czy miał wtedy ze sobą kamerę, ale gdyby miał, nikt nie zwróciłby na to szczególnej uwagi. Ja w każdym razie nie podejrzewałabym, że może nakręcić taki paskudny film z ukrycia. Hugh jest przecież nieszkodliwy, jest dżentelmenem. Coś takiego nie przyszłoby mu do głowy. Tak przynajmniej myślałam, ale widocznie się pomyliłam.

- Ale od Hugh Basildona do Matthew Paxtona daleka droga.

- Fakt. Niespecjalnie się lubią i nie rwąz tego powodu włosów z głowy. Lepiej usiądź - mówi Julia głosem nabrzmiałym z emocji. - To długa historia. Jak już się pewnie zorientowałaś, David był czymś w rodzaju upadłego anioła. Ikarem, który zbyt blisko zbliżył się do słońca. Towarzystwo, w jakim się obracał, musiało wydać się szalenie atrakcyjne każdemu w jego wieku, ale jemu zawróciło w głowie. Była to płynna grupa, z wyjątkiem stałego rdzenia, ktoś stale dochodził i odchodził. Ci ludzie pracowali przez cały tydzień, a w soboty wpadali czasem na prywatkę, normalna rzecz. Ale David urodził się pozbawiony wewnętrznej dyscypliny. Nie wiedział, kiedy powiedzieć sobie stop, kiedy przestać. Biedny David! Był duszącego towarzystwa, co w tamtych czasach i przy jego słabości charakteru oznaczało nieuchronnie narkotyki. Jego słynne przedawkowanie miało miejsce właśnie na tym przyjęciu. Umarł przy tej fontannie. Ale żył, kiedy go zostawiłam. Nie mogę tego

udowodnić, ale wiem, że to prawda. To, co widziałeś, to fałszywy obraz. Nie dałam Davidowi tej strzykawki, wyrwałam mu ją. Cała ta scena została przerobiona, została puszczone od tyłu. Jest całkowitym zaprzeczeniem rzeczywistości.

- Znam to uczucie. Skąd możesz wiedzieć, że ten film w ogóle nakręcono tamtej nocy? Czy to była jedyna prywatka w tym domu?

- Było ich wiele, ale tylko w tej uczestniczyłam. Można poznać po posągach Marsa i Wenus, które Simon wypożyczył na ten weekend, a potem zwrócił do sklepu.

Przyglądam się mojej żonie, dostrzegam w jej oczach rozpacz, jakiej nigdy przedtem nie widziałem.

- Dlaczego nikomu nie powiedziałaś?

- Żeby zabić ojca? Chociaż sama nigdy nie zażywałam narkotyków, film dowodzi, że miałam z nimi pośrednio do czynienia. Wyciągnij własne wnioski. Pomyśl, jak taka historia wyglądałaby w gazetach - w dodatku opatrzone zdjęciami, co z tego, że spreparowanymi?

- Dlaczego wysłaś wcześniej z tej prywatki?

- Dzięki Rupertowi. Wyczuł kłopoty. David zasnął. Zaraz potem przyszedł Rupert i powiedział, że lepiej będzie, jak już sobie pojedziemy. - Jakie kłopoty? - Pierś.

- Zazdrosny?

- Był dealerem.

- Pierś?!

- Zaopatrywał tę właśnie grupę towarzyską. Dlatego z nim zerwałam.

- A jednak pozostał blisko ciebie - blisko twojej rodziny - przez tyle lat.

- Zrzucił to. Wybaczyłam mu, ale nigdy do niego nie wróciłam.

- Jak myślisz, dlaczego przysłano mi drugą kopię tego filmu? Julia się waha.

- Nie mam pojęcia - mówi po głębszym namyśle.

- Kto w ogóle wiedział o jego istnieniu?

- Powiedziałaś tylko Rupertowi.

- Ponieważ tam był?

- Ponieważ mnie uratował.

- Dlaczego mi nie powiedziałaś?

- Co byś zrobił? Pomyśl tylko. Staralam się zachować to w tajemnicy, żeby cię nie zranić. Miałaś dość kłopotów z operacją Ergo, z pracą. Tej nocy, kiedy się obudziłeś, a ja byłam na dole, tej nocy, kiedy kochaliśmy się w bibliotece... Rozmawiałam wtedy z Rupertem. Usłyszałam, jak przyjechał. Ty spałeś mocno. Byłam taka zdenerowana. W każdym razie...

- To już wiem - wyznaję.

- Kasetę nadeszła tamtego ranka.

- Więc co ci doradził Rupert?

- Nic nie robić, dopóki Matthew nie wykona następnego ruchu. Chciał go wyprowadzić w pole. Ma o Matthew jak najgorsze mniemanie, pogardza nim. Ale nie chciał ryzykować przed zakończeniem sprawy Ergo. Dla dobra wszyst-

kich zainteresowanych. Potem zamierzał rozprawić się z Matthew. Tymczasem Adrian zginął w wypadku i Matthew się przyczaił.

- Nie na długo, jak się okazuje.

- Dlaczego chce nastraszyć ciebie? Nie, to głupie pytanie. Sama mogę na nie odpowiedzieć: chce cię nakłonić do tego, żebym oddała Castlemorland - tak samo, jak próbowałby zmusić Adriana. Ale mam wobec tego drugie pytanie, już nie tak głupie - dlaczego wobec tego przysłał mi wydruki rozliczeń, które obciążają ciebie? Te dwa fakty się nie łączą, wręcz przeciwnie, jeden podważa drugi, rozumiesz, co mam na myśli.

- Tak. Gdzie są te wydruki? Masz je tutaj?

- Dałam je Rupertowi.

- Rupertowi! Po co?

- Żeby mi wytłumaczył, o co tam chodzi.

- I na ich podstawie Rupert orzekł, że złupiłem twoje konta? Nie wierzę!

- Nic takiego nie orzekł! Wziął twoją stronę. Powiedział, że musi być jakieś inne wytłumaczenie, że może chodzi o Ryana, co już w ogóle nie ma sensu. Rupert cię broni, powołując się na to, że cię zna. Zna i lubi od dawna. Jednak nawet on nie potrafi wyjaśnić faktu, że ogromne sumy pieniędzy zostały pobrane z naszych kont i równie znaczne sumy wpłynęły na twoje.

- Co? O czym ty mówisz? - Niemal krzyczę, ponieważ nic nie wiem o istnieniu takich kont. - A więc jestem defraudantem, tak. Czy uważasz mnie za sprze-niewiercę?

- Już ci mówiłam. Nie wiem, co myśleć. Ale nie uważam cię za defraudanta. Jesteś na to za mądry - o wiele za mądry. Rupert jest skłonny wierzyć, że jesteś niewinny. Ale fakty, których nawet on nie może podważyć, są następujące: Dicky Mortlake zainwestował fundusze Castlemorland w transakcje opcyjne o wysokim poziomie ryzyka. O planowanej transakcji mógł się dowiedzieć tylko od ciebie.

- Nieprawda. Mnóstwo ludzi wiedziało.

- Ale to z tobą jadł lunch w „Wiltons”. Przeciągam dłonią po czole.

- Pamiętam - przyznaję.

- Dicky poszedł na całość i zainwestował nasze pieniądze w Ergo. Ty robiłeś to dużo ostrożniej, używając wszystkich dostępnych wpływów. Rezultat jest taki, że ty jesteś bogaty, a my zbankrutowaliśmy.

- Ale po co miałbym to robić?

- Właśnie tego nie mogę pojąć. Chyba że wiedziałeś, że transakcja Ergo nie dojdzie do skutku.

- Nie skupywałem udziałów Ergo. Miałem ich kilka - bardzo niewiele - jeszcze z czasów, zanim ciebie poznałem, zanim w ogóle przyjechałem do Anglii. Nie wspominałem o nich Dickowi ani jednym słowem. Skoro już tyle wiesz, może powiesz mi jeszcze, gdzie są te moje sekretne konta?

Julia potrząsa głową.

- Skoro naprawdę nie wiesz, może nie powinnam ci mówić. -Strzelaj!

- W Lichteinsteinie.
 - W Lichteinsteinie! To absurd, kompletna bzdura! Tego nikt nie jest w stanie stwierdzić. Ze wszystkich cholernych miejsc na świecie to jest najbardziej tajne.
 - Jeżeli nie masz konta w Lichtensteinie, po co tam pojechałeś? Co robiłeś w Vaduz, jeżeli nie liczyłeś swoich pieniędzy?
 - Próbowałem nas uratować, oczywiście nie oczekuję, że mi uwierzysz. Czy wolno spytać, skąd wiesz o Lichtensteinie?
 - Fotografia nadeszła tą samą drogą, co wyciągi, tyle że dwa dni później. Nie jest najlepsza, ale można cię bez trudu rozpoznać.
 - O mojej podróży do Turcji też pewnie wiesz?
 - Do Turcji? Nie wspomniałam, że zdobyłam Everest podczas twojej nieobecności?
 - Kto nas nienawidzi, Julio? Tak bardzo, że zadał sobie tyle trudu?
 - W tym właśnie sęk, że nie znam nikogo takiego. -Wiley Ryan?
 - Ktokolwiek to jest - jeżeli w ogóle istnieje - ma sporą władzę i sporo wyobraźni. Kto pasuje do tego opisu? Nikt mi nie przychodzi do głowy.
 - Kochanie, dlaczego miałbym kraść coś, co należy do ciebie, a w przyszłości do Andrew i Louisy?
 - Naprawdę nie wiem.
 - Zawiadomisz władzę?
 - Jeszcze zaczekam - mówi z wahaniem.
 - Dlaczego? - pytam zachłannie. - Mogłabyś, masz wszelkie podstawy. Mogłabyś udostępnić swoje wiadomości DTI, Giełdzie, Biuru Defraudacji, różnym instytucjom. Mogłabyś zawiesić mi pętlę na szyi. Nie byłbym pierwszym niewinnym człowiekiem, który skończył w ten sposób.
- Moja żona zaczyna płakać.
- Boję się - mówi. -Nie ty jedna.
 - Boję się bardziej niż kiedykolwiek w życiu. Chociaż właściwie nie wiem czego ani kogo...Dlaczego? Gdybyś tylko mógł powiedzieć mi dlaczego, John. Spróbowałabym ci uwierzyć. Serce mówi mi, że powinnam, ale rozsądek twierdzi coś przeciwnego. Nie rozumiesz?
 - Paxton - mówię. - Muszę natychmiast porozmawiać z Paxtonem. Nie wiem od kogo innego mógłbym zacząć.
 - A może od Arabeski?
 - Brzmi znajomo.
 - To spółka holdingowa, kierowana przez tajemniczego potentata o nazwisku Jason Argus. Tak przynajmniej twierdzi Rupert. Arabeska upłynniała akcje Ergo. Arabeska wysłała również tego posłańca do „Wiltonsa”. Nie pamiętasz, jakie ci się to wydało dziwne? O niczym innym nie potrafięś mówić.
 - Powiedziałem tylko tobie. To była zasadzka.
 - Życie jest zasadzką - mówi Julia sentencjonalnie. Czuję narastający gniew, podnoszę głos.

-I w tym momencie przedobrzyli, chcieli być za sprytni. Liczą na to, że będziemy się tym zadrećzać, zamiast działać. W ten sposób zawsze są o krok przed nami. Nie wiem, czego oni chcą, kochanie, nie wiem więcej od ciebie. Ale jestem pewny, że kimkolwiek są, stoimy im na drodze, ty, ja, dzieci. Chcą się nas pozbyć. Tu już nie chodzi o rozgraniczenie między miłością a nienawiścią, Julio. To sprawa życia lub śmierci. Jak myślisz, gdzie mogę znaleźć teraz Matthew Paxtona?

- Tutaj. Jest w pokoju obok.

21

Impreza przeniosła się już do długiej, wilgotnej galerii, której kamienne ściany zdają się przesycone chłodem zimowej nocy. Zbliża się punkt kulminacyjny przedstawienia.

W galerii zgromadzona jest kolekcja dziwacznych przedmiotów: części egipskich sarkofagów, drugorzędne posągi greckie, zbroje rzymskie. Można tam znaleźć nawet kilka współczesnych malowideł abstrakcyjnych - wariacji na temat znaku zapytania. Jest ciemno choć oko wykol, atmosfera rodzinnego grobowca.

Po chwili mrok jakby jeszcze zgęstniał i widownia zamiera w oczekiwaniu. Ciemność trwa, zdawałoby się, w nieskończoność, aż w zupełnie nieprzewidzianym momencie rozproszone, miękkie światło wyławia fresk na ścianie.

„Noc na łysej górze” *oñag&crescendo*, kościelne dzwony rozpędzają nocny sabat czarownic. Potem przy delikatnych tonach fletu i harfy światło nabiera najwyższej mocy.

Rozlegają się brawa, po czym goście wycofują się do sali balowej, gdzie czeka gorąca kawa. Stamtąd wychodzą już wprost na parking. Dostrzegam Matthew Paxtona ponad głowami moich dzieci. Stoi wraz z żoną, otoczony wianuszkami lokalnych polityków. Rachel Paxton śmieje się serdecznie.

Tłum rozprasza się powoli. Obiecuję dzieciom bajkę na dobranoc, po czym podchodzę do Matthew. Trzyma już w ręku swój płaszcz z wielbłądziej wełny.

- Czy mógłbym cię prosić o chwilę rozmowy?

Matthew przeprosza swoje towarzystwo i po chwili zostajemy sami pośród reliktyw przeszłości. W holu jest zimno; Matthew zarzuca sobie szalik na szyję, wbija obcas brązowego półbuta w jońską kolumnę i kiwa się leciutko.

- Bardzo interesujące przedstawienie - odzywa się w końcu. - Chociaż wolę imprezę letnią. Ze względu na pogodę, a także możliwość przedstawienia tematów o większej doniosłości. Armie zmagające się pośród nocy. Kawaleria - narastający tęten setek koni. Ognie obozowisk, pochodnie. Odwieczna walka o ziemię, żołnierze umierający młodo, od miecza lub kuli, za króla i ojczyznę. Szekspirowska dramaturgia.

- Odnoszę wrażenie, że chce wywołać jakąś ironiczną reakcję z mojej strony. Nie potrafię rozszyfrować jego nastroju.

- Matthew, będę szczery. Kilka miesięcy temu przysłałeś Julii kasetę wideo...
- Naprawdę?
- A kilka dni temu przysłałeś kopię tej kasety mnie.
- Tobie?
- Nie zaprzeczaj, proszę. Julia dała mi swoją kopię, którą ja z kolei oddałem naszym ludziom od bezpieczeństwa, wymazawszy oczywiście zapis. Mają swoje dojścia do Scotland Yardu. Wynik testu biotechnicznego zaprowadził ich do ciebie.
- Mów dalej. Blefujesz, ale mów dalej.
- Dlaczego?
- Wysłucham z grzeczności.
- Julia uważa, że próbujesz ją zastraszyć. -W jakim celu?
- Cel może by się i znalazł.
- Nawet w obliczu faktu, że nigdy nie postawiłem jej żadnych żądań? -Nie musisz. Twoje zainteresowania są jasne dla wszystkich. Ale dlaczego wysłałeś drugą kopię mnie? Nie mogłeś wiedzieć, że Julia pokazała mi swoją. Należało raczej zakładać, że zachowa tajemnicę, zamiast przychodzić z tym do męża. Gdyby musiała obawiać się również mnie, twój wpływ byłby większy.
- Niczego ci nie wysłałem, Johnie. Nigdy - oznajmia Matthew lakonicznie. Patrzy mi prosto w oczy, tak wyzywająco, z takim natężeniem, że jestem mu skłonny uwierzyć.
- Jeżeli nie ty, to kto?
- Wysłałem Julii tę kasetę kierując się uczuciem przyjaźni, choć może trudno ci w to uwierzyć. Nie miałem pojęcia o jej istnieniu, dopóki mi jej nie przysłano, na kilka dni przed tym, jak przekazałem ją dalej. Ktokolwiek był nadawcą, tak jak ty oczekiwał, że zrobię z niej jakiś użytek. Ale nie zrobiłem tego. Nie przeczę, że jestem zawzięty w realizowaniu swoich planów, ale nie zamierzam dopuścić do tego, by krzywdzono mojego brata jeszcze po śmierci. Zznał wystarczająco wiele krzywd za życia.
- Powiedziałeś „ktokolwiek ją wysłał”. Wiesz kto? -Nie.
- I nie obchodzi cię to?
- Mam większe zmartwienia. Chciałbym oczywiście wiedzieć, ale nie spędza mi to snu z powiek. Wysyłając Julii tę kasetę, uznałem, że ma prawo orientować się, co jej zagraża. Pewnego dnia te zdjęcia mogą się ukazać w jakimś brukowcu, rozpętać burzę domysłów i jeżeli mogłaby temu zapobiec czy przygotować się na to, tym lepiej: dla pamięci Davida, dla reputacji Castlemorland, a także dla samej Julii. Wysłałem kasetę anonimowo, ponieważ chciałem umyć od tego ręce. Przykro mi, ale takie było moje nastawienie. Wiedziałem, że zostaną mi przypisane nieczyste motywy. Posłuchaj, Johnie, mam swoje wady i zalety. Nade wszystko nie jestem skłonny do skruchy - tak samo jak Middleton-Lyghamowie, jak każdy przyzwoity człowiek. Pytanie, dlaczego tak bardzo chcesz się do nich upodobnić.
- Pytanie, dlaczego tak bardzo chcesz upokorzyć tę rodzinę? - odpieram atak. Matthew wciąż głośno powietrze.
- Dobre pytanie - przyznaje. - Sam sobie na nie odpowiedz.

- Tu chodzi nie tylko o ziemię.

- Oczywiście, że nie chodzi wyłącznie o ziemię. Ziemięmożnakupić. Mimo wszystko twoja analiza oparta jest na błędnym założeniu. Nie chcę zniszczyć tej rodziny, wręcz przeciwnie, chcę ją uratować. Anglia pełna jest rodowych siedzib sprzedanych jako rudery. Jedynie tytuły nie przechodzą tak szybko z ręki do ręki. Wiesz o tym.

- Jaki ty masz w tym cel?

- Czysto ekonomiczny. Okazje przemijają. Coś, co można zrobić dzisiaj, jutro jest niewykonalne. Widzę szansę, której nie chce zaprzepaścić. Wybacz, że to powiem, ale gdyby Adrian żył, sprawa byłaby trudniejsza do przeprowadzenia -nawet gdyby Rupert założył rodzinę. Ale wy nie przynależycie do tego miejsca, wasze życie jest gdzie indziej. Castlemorland to ciężar, który zrzucono wam na barki. Albo ja was wyzwolę, albo będziecie go dźwigać do końca życia, z coraz większym trudem. Castlemorland wbije klin między was, między ciebie a twoje dzieci. Jeszcze nie tak dawno temu to ty musiałbyś zmienić nazwisko na Middle-ton-Lygham, żeby mieszkać w tym domu na tych warunkach, co obecnie, i zmienić nazwisko małego Andrew. Należy dodać do tego, że są ludzie, dla których pomysł przekształcenia Castlemorland w ośrodek wypoczynkowy, czy nawet centrum handlowe, j est nie większym świętokradztwem niż fakt, że zamiast Cheviota rządzi się tu jakiś pan Brook z Bruchnerów.

- Zniszczenie Castlemorland, obojętnie ile ci to przyniesie zadowolenia, nie przywróci życia Davidowi - przestrzegam.

- Myślisz, że tego nie rozumiem? David był horrendalnym głupcem. Popenił największy błąd, jaki człowiek może popełnić - uwierzył w autoreklamę. Nie zrozum mnie źle, stary markiz nie chciał mu wyrządzić krzywdy. Ale inni go wykorzystywali. Och, nie twierdzą, że był bezwolną ofiarą, też potrafił wykorzystywać ludzi, ale to on przyplacił tę zabawę życiem.

- Julia jest pewna, że żył, kiedy go zostawiła przy tej fontannie.

- Kto to może wiedzieć?

- Chyba właśnie ona.

- Jest lekarzem? Nie wiedziałem. Zresztą, nie winię jej. Mój brat miał specyficzny wpływ na kobiety. Jeżeli on był dla niej tylko przelotnym flirtem, ona znaczyła dla niego jeszcze mniej. Ich związek to ich sprawa. Ale Midleton-Lyghamo-wie, w ogóle cała ta sfera, to twardzi ludzie, John. Całymi latami doskonałą zdolność usuwania z życia wszystkiego, co ich uwrażliwia. Pewnego dnia przekonasz się o tym na własnej skórze. Fakt, że się wżeniłeś w tę sferę nie stanowi żadnej gwarancji. Jeżeli będą musieli, zewrą szeregi, nie zdając sobie nawet sprawy z tego co robią. Cóż Amerykanin, który sprawił im zawód, okazał się kolejnym błędem. W ten sposób podsumują to za twoimi plecami, a najgorsze w tym wszystkim jest, że uczynią to bez chwili wahania.

Wypijam dwie filiżanki kawy z dzbanka stojącego na podręcznym stoliku, częstuję Matthew. Podnosi filiżankę do ust i obłoczek pary przepływa przed jego ogorzałą twarzą.

- Założmy teoretycznie - mówię - że w jakiejś niezbyt odległej przyszłości zdecydujemy się z Julią rozważyć możliwość współpracy. Co miałbyś nam do

zapropozowania? O centrum konferencyjnym już wiem, także o mieszkaniu, które zatrzymalibyśmy w zamku, ale co jeszcze, jeżeli w ogóle?

- Możliwości są praktycznie nieograniczone. Musielibyśmy skonsultować nasze plany z władzami lokalnymi, na pewnym etapie nawet z Whitehall, rozumiesz? Ale, jak mówiłem, mam poparcie i odpowiednie kontakty. Projekt jest jeszcze w bardzo wstępnej fazie, ale mogę ci podać liczby. W 1957 roku w Stanach Zjednoczonych istniało dwa tysiące centrów handlowych, dzisiaj jest ich ponad trzydzieści tysięcy. Jesteśmy daleko w tyle, ale zmierzamy w tym samym kierunku. Otóż ze statystyk wynika, że obecnie czterdzieści pięć procent Anglików jeździ na zakupy samochodami. Naszym celem jest więc budowa obiektów skupiających w jednym miejscu sklepy i zaplecze rozrywkowe. Rozważamy schemat oparty na założeniu, że sklepy, kina, restauracje zgrupuje się wokół centralnego parkingu samochodowego. Takie centrum może zajmować dowolną powierzchnię - od czterech do czterdziestu hektarów. Obiekty powyżej dwunastu hektarów wymagają zatwierdzenia z Londynu, co nie jest przeszkodą nie do pokonania, jeżeli ma się w ręku właściwe karty. Osobiście preferuję projekt miasteczek handlowych z dobrze zaprojektowanymi ryneczkami, ponieważ można je rozbudowywać w miarę narastających potrzeb.

- Cóż, pomysł wart rozważenia, jeżeli nadejdzie dzień, kiedy będziemy się musieli poddać. Ale ten dzień jeszcze nie nadszedł, Matthew, i mam nadzieję, że nigdy nie nadejdzie.

- Z tego, co czytałem w gazetach i oglądałem w telewizji, może to być najmniejszy z twoich problemów.

- To są kłamstwa.

- Śmierć Mortlake'a też?

- Oczywiście, że nie. Mówię o historii zmontowanej wokół tego faktu.

- Skoro tak twierdzisz.

- Jak dobrze znasz Hugh Basildona? - pytam.

- Mieli z Davidem jakiś obopólnie pasożytniczy związek, ale nie znam go prawie wcale. Spotkałem go podczas śledztwa w sprawie śmierci Davida i nie widziałem od tamtego czasu. Uważasz, że to on nakręcił film? Prawdopodobnie masz rację.

- Zdziwiał mnie twój brak ciekawości - mówię. - Niestety, trudno mi uwierzyć, że cię to nie interesuje. Większość ludzi na twoim miejscu...

- Nic nie wiesz o większości ludzi - rzuca Matthew ostro. - Przepraszam, John, ale to prawda. A wracając do Hugh Basildona, dzieli nas absolutnie wszystko. Gdyby mnie interesowało jego życie, udałbym się do seks shopu w Soho i zaspokoił ciekawość. Musisz jednak wiedzieć, że Hugh Basildon nie ma ani wystarczającej inteligencji, ani możliwości, ani nerwów, żeby dokonać na kimkolwiek aktu wymuszenia. Byłby z niego żaloszny szantażysta, ponieważ jest żaloszny człowiekiem.

- A więc zyskałeś nowego przyjaciela - stwierdza Julia z lekkim sarkazmem, kiedy wchodzi do pokoju dzieci, żeby przeczytać im obiecaną bajkę.

- Na pewno nie przyjaciela, chociaż nie wiem, co o nim sądzić.

- Chciał, żebyś mu pomógł? - pyta Julia.
 - Prawdę mówiąc, to ja chciałem jego pomocy.
 - Uwierzyłeś w to, co ci powiedział?
 - Po części tak, po części nie. Powiedziałbym pół na pół.
 - Ja bym nie uwierzyła w nic.
 - Poczytaj *Eloise*, tatusiu - domaga się Lousisa.
- Otwieram książeczkę, którą wzięła z półki i siadam między synem a córką na brzegu łóżka.
- Eloise jest bardzo zabawna, prawda? - mówi Andrew.
 - Proszę obsługę hotelową - parodiuje Lousia.
 - Proszę obsługę hotelową - powtarza Andrew.
 - Ona mieszka w hotelu - informuje Louisa. - W Nowym Jorku, prawda?
 - Dlaczego mieszka w hotelu zamiast w domu? - pyta Andrew.
 - Ponieważ tylko w hotelu jest obsługa hotelowa, głuptasku - odpowiada mu siostra.
- Julia się śmieje.
- Poj edziemy do Nowego Jorku? - pyta Andrew.
 - Możemy? - prosi Louisa. - Możemy, tak?
 - Byliście w Nowym Jorku - przypomina im Julia.
 - Wiecie co? - mówię, dziwiąc się własnym słowom. - Myślę, że to dobry pomysł. Jeżeli będziecie bardzo, ale to bardzo grzeczni, wybierzemy się tam na święta Wielkanocne.
 - A ile nocy jest jeszcze do Wielkanocy? - pyta Louisa.
 - Nie tak wiele - obiecuję. Skończywszy czytać, owijam Andrew w jego kołdrę i zanoszę do pokoju obok.
- Światło nocnych lampek sączy się łagodnie spod ich zamkniętych drzwi. Julia zatrzymuje mnie w holu.
- Możesz zostać, jeżeli chcesz. Nikt dzisiaj tu nie nocuje. Możesz sobie wybrać pokój gościnny.
 - Chcę zostać - mówię. - Ale nie na tych warunkach. Poza tym, mam jeszcze wiele do zrobienia.
 - O tej godzinie?
 - Zwłaszcza o tej godzinie.

22

Jest to oczywiście zbieg okoliczności, że księżyc wydostaje się zza mglistej osłony chmur akurat w tym momencie, zalewając Kings Street i całe miasto mistycznym światłem. Przenika mnie, przynosi ulgę. Gdybym miał czas, zatrzymałbym się, i rozkoszował tą uroczą, nieuchwytną atmosferą, ale nie mam

chwili do stracenia, nie mogę dać się ponownie zaskoczyć. Dojeżdżając do Battlemen czuję się przez chwilę jak człowiek, który wyszedł z kina; świadomy własnego istnienia, a jednocześnie dziwnie sobie obcy. Widok wyniosłego biurowca, z nieziemską poświatą w holu ma wszelkie pozory snu, a zarazem jest tak realny jak dnie i wieczory, które w nim spędziłem.

Od czasu telefonu od Wilsona Blaine'a i pierwszych doniesień prasowych o śmierci Dicky'ego, czekam chwili, kiedy Admin, szef ochrony, zakaże mi wstępu do budynku. W końcu tak właśnie załatwia się sprawy w naszej branży. W jednej minucie jesteś zatrudniony, w następnej otrzymujesz wymówienie i wolno ci zabrać jedynie rzeczy osobiste pod okiem strażnika. Ale moja karta jest nadal właściwie zakodowana i wchodzę do siedziby Battleman bez żadnych przeszkód. Ruchem ręki pozdrawiam strażnika, który przysnął z policzkiem na epolecie munduru.

Ekran mojego komputera, kalejdoskop barw, blednie w chwili, gdy się wlogowuję. Aby uniknąć przecieków, nasze najczulsze systemy nie są podłączone modemem do żadnego systemu zewnętrznego. Do nich właśnie mam zamiar się dostać, żeby poszukać danych o stanie kont. Na własnym koncie firmowym odkrywam prowizję za nie rozdzielone zyski, o której nic nie wiem. Jest to niewielka kwota, niecałe dwadzieścia tysięcy, wpłacone przez spółkę holdingową, o której wspominał Philip, kierowaną przez Argusa czyjego agentów. Nie jestem tym zdziwiony. Na konto osobiste wpłynęła przed trzema dniami podobna kwota, przekazana przez bank w Vaduz.

O tej godzinie w biurze nie ma żywej duszy, ale na wszelki wypadek obchodzę najbliższe pokoje, potem zasiadam przy biurku Ruperta. W górnej prawej szufladzie znajduję jego kod komputerowy. Pracując ze swoimi partnerami w jednym pokoju dzień w dzień przez lata, znam naturalnie ich zwyczaje, ale nadużywam ich zaufania po raz pierwszy. Korzystam z kodu Ruperta, by uzyskać dostęp do jego kont. Przeglądam pliki „osobiste”, „partnerstwo”, „portfolio”, nawet „różne”. Nie znajduję śladu żadnych nietypowych działań na przestrzeni ostatnich trzech miesięcy. Wiem, że to o niczym nie świadczy, ponieważ plan osaczenia mnie i Julii został starannie przygotowany, a ludzie, którzy rzucili na mnie podejrzenie i spreparowali dowody obciążające, musieli równie skrupulatnie zadbać o swoje bezpieczeństwo.

W następnej kolejności przeszukuję tymczasowy gabinet Philipa, grzebię w jego katalogach, w jego biurku i szafkach, powoli, metodycznie, tak, by nie pozostawić śladów. Drżącymi rękoma przerzucam jego papiery szukając czegoś, co przypominałoby kod komputerowy. W końcu muszę dać za wygraną.

Spośród moich współpracowników tylko Philip dysponuje intelektem zdolnym uknuć intrygę, której zarysy zaczynam dostrzegać, natomiast charakterem najmniej się do tego nadaje. Muszę go jednak brać pod uwagę, wobec braku jakichkolwiek dowodów obciążających Ruperta. Nawet stan jego kont zdaje się go oczyszczać, nawet fakt, że jego kod komputerowy nie został zastrzeżony. Zagłębiam się w fotel przy własnym biurku, zamykam oczy, przyciskając palcami powieki. Obraz zaczyna się klarować.

Parę minut później dzwonię do hoteliku w Islington, w którym Philip zatrzymuje się w Londynie.

- Która to godzina? Po pierwszej - odpowiada sam sobie, przytomniejąc. - Gdzie jesteś? Co się stało?

- W biurze. Jesteś sam? Muszę się natychmiast z tobą zobaczyć.

- Gdzie?

- Tutaj.

Pół godziny później jest już na miejscu. Dostrzegam jego smukłą ciemną postać na tle białych pasów przejścia dla pieszych. Wchodzi do pokoju, sadowi się na miejscu Jane.

- Sprawa musi być poważna - zaczyna bez wstępów.

- Trudno wyobrazić sobie poważniejszą - odpowiadam. - Posłuchaj, muszę cię najpierw o coś zapytać. - Siłę się na lekki ton, żeby go nie spłoszyć, nie obrazić. - Muszę ci zaufać. Jeżeli popełnię błąd, chcę, żebyś mi obiecał, że z podjęciem dalszych kroków zaczekasz do popołudnia. Z samego rana wykupię polisę ubezpieczeniową na wysoką kwotę. W ten sposób, gdyby mi się coś stało, Julia i dzieci będą zabezpieczone.

Na twarzy Philipa odbija się zdumienie. Uśmiecham się.

- Jason Argus - mówię. - Co o nim wiesz?

- Całkiem sporo. Ale moje informacje mogą być nieaktualne. Spotkałem go parę razy, jeszcze zanim zmienił się w pustelnika.

- Naprawdę? Kiedy to było?

- Tuż po moim przejściu do Battleman. Załatwialiśmy wtedy interes z przedsiębiorstwem przewozowym. Wyprzedaliśmy pewne aktywa należące do mojego sponsora Chuana Chu'a, który był naszym pierwotnym klientem. Kupcem był Argus - typ trochę gburowaty, trzeba przyznać, ale jego czek miał pokrycie i spodziewaliśmy się, że ta współpraca przyniesie nam większe korzyści w przyszłości. Niestety, zniknął - przynajmniej z naszej orbity.

- Nawet jeśli, to tylko chwilowo. Znajdź sobie wygodniejsze krzesło, Phili-pie. Opowiem ci niebyle jaką historyjkę.

Philip wstaje wolno.

- Nastawię tylko ekspres do kawy i zamieniam się w słuch.

Zdaję mu szczegółową relację z każdej podróży, z każdego odkrycia i każdego wydarzenia w moim życiu po telefonie Wilsona Blaine'a.

- Kim jest Jason Argus? - pytam na koniec. - Kim?

- Podobno półkrwi Grekiem, półkrwi Turkiem. Dorobił się sprzedając broń obu stronom w większości ostatnich wojen. Według tej teorii byłby teraz w wieku mojego ojca, może ciut młodszy, jednak druga hipoteza zakłada, że jest synem białego Rosjanina i angielskiej matki. Istnieje również trzecia i czwarta teoria. Jest dzieckiem nieślubnym i nie jest. Jest dobroczyńcą i czarnym charakterem.

- Należy do tych ludzi, o których się dużo słyszy, a nic nie wie - przyznaję.

- Nie obraż się, ale chyba zbyt mało znaczysz, by opłacało mu się zarzucać na ciebie sieci.

- Otóż to! Jaki mógłby mieć w tym cel? Fakt pozostaje faktem, że mnie wezwał, a więc macza w tym palce, co w praktyce oznacza, że za tym stoi.

- Bez wątpienia jest mózgowcem. Słynie także z wrażliwości na piękno. Ale w ostatnich latach obraca się w bardzo, nieciekawych kręgach.

- Philipie, chcę cię o coś zapytać. Czy to możliwe, żeby istniało powiązanie między Argusem a Wileym Ryanem?
- Oczywiście, że możliwe. Dlaczego nie? Ale nie słyszałem nawet pogłosek na ten temat. Byłoby to bardzo dziwaczne połączenie, ale zdarzały się dziwniejsze rzeczy. Zresztą dlaczego Ryan miałby się mścić, skoro nie sprzedałeś zastrzeżonych informacji i nie zaprzepałeś jego interesu? Człowiek, który cię wrabia, robi to od samego początku tej afery.
- Tak też zakładałam, ale mogę się przecież mylić. Philip spogląda mi prosto w oczy.
- John, myśl logicznie. To, co mówisz, nie ma sensu. Jeżeli Ryan uknuł spisek, musiał to zrobić na samym początku. Dlaczego miałby psuć własny interes? To ostatnia rzecz, o jaką go można posądzić. Musimy spojrzeć na to z innej perspektywy. Jest o wiele bardziej prawdopodobne, że ktoś wykorzystał cię, żeby popsuć szyki Ryanowi, że jesteś instrumentem, nie przedmiotem tej gry.
- Potrzebuję pomocy. Przejrzałem pliki Ruperta, ale ty jesteś lepszy w komputerach. ..
- Znasz hasło?
- Znalazłem.
- Moje też? Spoglądam mu w twarz.
- Nie udało mi się.
- Chek Chue - mówi Philip.
- Przepraszam. Tak sprawa życia lub śmierci, inaczej nigdy bym...
- Prawdopodobnie powinienem nauczyć się rzeźbić w drzewie - mówi Philip. - Nie oczekiwać tyle od życia. Tak zdefiniował bogactwo Budda - szczęściem jest nie pożądać. Nie pożądać! Może byłbym już żonaty, miałbym dzieci, jak ty... - Philip ucieka spojrzeniem w bok. W ciągu następnej godziny, pracując jak wyrobnik, przywołuje główny katalog operacji Ergo, ale nie ma w nim żadnych rewelacji, żadnego śladu powiązań z Koestlerem, Argusem, Arabeską, Dickym Mortlake'em ani żadnym innym nieoczekiwanym źródłem.
- Jedynym śladem jest depozyt na twoim koncie osobistym, zbyt mały, żeby twój bank przechował to w rejestrze, więc nigdy się nie dowiemy, jak trafił na twoje konto.
- Obawiam się, że wpadamy w zastawioną pułapkę - mówię. - Chcą, żebyśmy uganiaли się za lisem, którego nie da się schwytać. Powinniśmy szukać na znanym sobie terytorium. Dowodów nie ma w Szwajcarii ani w Lichtensteinie, ani nawet na wybrzeżu Turcji - ta podróż to fałszywy trop, ściągnęli mnie tam po to, żeby mnie zmylić, a przy okazji zrobić zdjęcia, zyskać na czasie. Wspominałeś o interesie, nad którym pracowaliście, kiedy przyszedłeś do Battleman. Czy Rupert też w nim uczestniczył?
- Miał z tym styczność. Wszyscy wiedzieliśmy, a przynajmniej mieliśmy jakieś pojęcie o swoich poczynaniach, ale on zajmował się wtedy transakcją z Chińczykami. Okazała się jego największym zawodowym niepowodzeniem. Jego życiową ambicją jest ich rozgryźć, jak dobrze wiesz, ale ludzie, z którymi miał do

czynienia, okazali się odporni na jego pochlebstwa. Nie, nie miał nic wspólnego z tym, nad czym wtedy pracowaliśmy.

- Philipie, kiedy wracasz do Hongkongu? -Najpóźniej w przyszłym tygodniu.

- Czy masz tam kogoś - kogoś zupełnie nie związanego z nami - komu ufasz? Musisz mieć.

- Mam kilku przyjaciół.

- A więc możesz zacząć kopać z chińskiego końca. Ja spróbuję dogrzebać się do Chin od tej strony. Zaufaj instynktowi.

- Ty też, Johnie.

W poniedziałkowe popołudnie na Threadneedle Street panuje ożywiony ruch. Przed „George and Vulture” młodzi mężczyźni w czarnych garniturach, z kufkami w ręku, spoglądają w górę na nadspodziewanie pogodne niebo. Rupert jest wśród nich, wchodząc do pubu, natknął się na grupę znajomych. Śmieje się z tego, co mówi mężczyzna o ptasiej twarzy, bez słowa opuszcza towarzystwo i podąża za mną.

Zamawiamy po kuflu piwa.

- Przykro mi, że ominął mnie wczorajszy wieczór - zaczyna.

- Gdzie byłeś?

- Zabalowałem w „AnnabePs”. Znajomy z branży odzieżowej dostarczył mi pod drzwi mediolańską modelkę. Zaprosiłem ją na kolację. Potem chciała pójść gdzieś potańczyć.

Wzdycham ostentacyjnie.

- Czas, żebyś znalazł sobie żonę - oznajmiam. - Czas, żebyś miał dzieci, chodził spać wcześniej i wstawał rano. Można je mieć i później, ale jeżeli chcesz widzieć, jak dorastają, teraz jest najlepsza pora.

- Jeszcze was kiedyś zadziwię - mówi Rupert. - Ale na razie mój styl życia w zupełności mi odpowiada. Nie oczekuję, że tak będzie zawsze, ale na dzień dzisiejszy... Wiesz, na czym polega problem z takimi dziewczynami, jak ta wczoraj? Wchodzą człowiekowi w krew. Nie burzą jej tak jak kiedyś, ale i tak trudno się odzwyczaić. Muszę zerwać z nałogiem, zanim się ożenię. Samo małżeństwo nie jest żadnym antidotum.

- Całkowicie zgadzam się z tym, że nie powinieneś traktować żony i rodziny jako terapii. Złożymy zamówienie?

- Dla mnie stek. Z frytkami i warzywami. Potem może być ser albo pudding.

- Julia jest rozhisteryzowana - mówię. Salę wypełnia głośny szum, możemy rozmawiać swobodnie. - Zresztą miałeś okazję się o tym przekonać.

- Rzeczywiście.

- Co o tym wszystkim sądzisz? Julia powtórzyła mi waszą rozmowę. Dała mi do zrozumienia, że jesteś po mojej stronie... a przynajmniej nie po przeciwnej.

- Na pewno nie po przeciwnej. Mogę uwierzyć w to, co mi powiesz, John, ale pewne sprawy trzeba wyjaśnić. Nie da się ich pominąć. Wysłucham cię, jeżeli będziesz chciał porozmawiać.

- Dziękuję.

- Masz wrażenie, że jesteś wykorzystywany, że ktoś cię wrabia. -Otóż to!
 - A więc zacznijmy od początku. Dlaczego Dicky zrobiłby coś takiego - podjął tak wielkie ryzyko bez pełnomocnictwa?
 - Może uważał, że je otrzymał?
 - Od kogo, jeżeli nie od ciebie i nie od Julii?
 - Nie wiem. Ale musimy się cofnąć jeszcze dalej w czasie. Zaczęło się od kasety wideo, którą Matthew Paxton przysłał Julii.
 - Tak, przykro mi z tego powodu - wyraża swoje ubolewanie Rupert.
 - Pytanie, skąd Matthew ją wziął.
 - Twoim zdaniem ma to związek z operacją Ergo?
 - Jestem tak pewny jak tego, że żyję.
 - Ja również.
 - Cieszę się, że tak uważasz.
 - Za kilkoma ostatnimi interesami Paxtona stało konsorcjum inwestycyjne podlegające Arabesce, głównej bazie Jasona Argusa. Dowiedziałem się tego dopiero wczoraj. Odpowiedź na moje zasadnicze pytanie spadła mi jak z nieba. Są to pierwsze elementy tej układanki, które do siebie pasują.
 - Jesteś pewien, że to prawda?
 - Absolutnie. - Unosi grube brwi, mruga znacząco.
 - Gdzie się nie obróć, natykam się na Argusa. Dicky'emu dano do zrozumienia, że chcę się z nim spotkać na lunchu i obgadać interes związany z Arabeską, o której wtedy w ogóle nic nie wiedziałem. A dokumenty, które pokazała ci Julia, dowodzą, że skorzystałem na tym, iż wykupili akcje Ergo.
 - Nie da się zaprzeczyć - przyznaje Rupert. - Ale dokumenty niekoniecznie są dowodem rozstrzygającym. Mogą być sfalszowane, a nawet zawierać przypadkowe błędy.
 - Gdzie one teraz są? Chciałbym je zobaczyć.
 - Spaliłem je. Dla twojego bezpieczeństwa. Dla bezpieczeństwa Julii i nas wszystkich. Pomyślałem, że popioły nie mogą świadczyć przeciwko tobie. Zasadniczym dowodem będą pieniądze. Obciąży cię fakt ich istnienia, oczyści z zarzutów ich brak.
 - Chciałbym, żeby to była prawda - mówię, starając się ukryć wstrząs. - Spotkałeś kiedyś Jasona Argusa?
 - Nigdy.
- Zjawia się nasza przystawka ze smażonych rybek.. Rupert prosi kelnerkę o małą szklaneczkę bushmillsa, a kiedy ją otrzymuje, wlewa zawartość do kufla.
- Ja tak. Ale w Turcji, nie w Zurychu. We wtorek. Poleciałem tam. Incognito. Jego samolotem.
 - Incognito?
 - Zorganizował mi cały przejazd. Bez wątpienia chciał mnie sobie obejrzeć, ale w ten sposób, by nikt nie mógł udowodnić powiązań między nami. Zakładając, oczywiście, że nie był to żart.
- Rybki są przesolone.

- Słuchaj, ty mówisz poważnie? - pyta Rupert.
- Bardzo żałuję, ale tak.
- A więc ja również żałuję, ponieważ to nie jest żart, Johnie, i szczerze mówiąc nie podobajami się wnioski, do jakich to prowadzi. Fakt, że facet pokroju Argusa interesuje się aferą osobiście, oznacza, że popiera człowieka, który za tym stoi. Tym trudniej go będzie pokonać. Ktoś, z kim Argus się zadaje, musi być na pewnym poziomie.
Pojawiają się steki, kelner nakłada na nasze talerze warzywa i musztardę Colmana.
- Wilej Ryan sprawił ci zawód, prawda? - pytam Ruperta.
- Źle go oceniłem - mówi wolno. Wiać, z jakim trudem przychodzi mu to wyznanie.
- Myślałeś, że dobiegnie do mety, a on odpadł?
- Powiedziałbym raczej, że się nie postarał. Tak bardzo chciałem, żeby to się udało, że przymknąłem oko na jego słabe strony. Mogę winić tylko siebie. To była szansa zrobienia czegoś absolutnie pionierskiego i zaufałem jego instynktowi. Powiniennem się zorientować, że posuwamy się o wiele za wolno, kładąc nacisk nie na to, co trzeba.
Ostra musztarda wierci mnie w nosie. Nabieram powietrza.
- Może - przyznaję. - Ale ja mam bardziej naglący problem.
- Wszyscy go mamy.
- Nie zostałeś o nic oskarżony.
- Jeszcze nie - mówi Rupert. - Ale jeżeli uda im się zrobić ciębie, my z Philipem jesteśmy następni w kolejce. Przenicują naszą przeszłość, rozbiorzą wszystko, czego się kiedykolwiek tknęliśmy, wyciągną na światło dzienne każde niedociągnięcie. Świadomość, że nie jestem sam, że są ludzie - współpracownicy, przyjaciele - którzy dzielą ze mną niedolę, działa kojąco, ale niemal momentalnie pojawia się refleksja. Chociaż Rupert bardzo pragnie mnie pocieszyć, nie jest szczery.
- Mylisz się - mówię. - Rozmawiałem tylko z jednym niskim urzędnikiem DTI, który próbował wyrobić sobie ogólny pogląd na sprawę. Nie spytał o żadnego z was, nie interesowały go żadne moje kontakty, poza Dickym, oczywiście. To, co zdarzyło się potem, po samobójstwie, w ogóle go nie obchodzi. Moim zdaniem szukają sprzeniewierzenia na małą skalę, na poziomie niemal intymnym. I znaleźli mnie, bo Dicky nie żyje.
Rupert spogląda kątem oka w zadymioną przestrzeń ponad moją głową.
- Bardzo chciałbym ci pomóc - mówi. - Ale naprawdę nie wiem jak.

23

Po lunchu wiatr wzmaga się nagle; uderza nas w plecy, kiedy wychodzimy na ulicę. Rozstajemy się na rogu. Rupert idzie na spotkanie rady nadzorczej kolejnego

klienta, żeby rozproszyć podejrzenia, wpoić wiarę. Wymieniamy uścisk dłoni. Rupert macha mi ręką na pożegnanie, zsuwa na czoło swój słynny kapelusz filcowy.

Tylko jedna osoba dzwoniła podczas mojej nieobecności, a ujrawszy nazwisko ulegam przemożnej ciekawości. Chas Ledbetter przyjechał do Londynu w interesach. Jest nieosiągalny aż do siódmej trzydzieści wieczorem, kiedy to będzie mnie oczekiwał w barze Connaught Hotel. Tam się zatrzymał. Czy miałbym ochotę wypić z nim drinka? Moja pierwszą myślą jest, że nie mam czasu na bzdury. Nie widziałem go od zjazdu z okazji piątej...nie, dziesiątej rocznicy ukończenia liceum. Nie wiem, jak potoczyło się jego życie, a jednak człowieka zawsze korci, by przekonać się na własne oczy, co wiek średni uczynił z młodością. Zwłaszcza z młodością rokującą takie nadzieje. Postanawiam poczekać z decyzją do popołudnia, do wizyty, jaką złożę ostatniemu człowiekowi, który może mi pomóc rozwikłać intrygę, niszczącą moje życie.

Przez całe popołudnie dzwonię do ludzi, którzy mieli nadzieję zostać częścią syndykatu Ergo - w pierwszej kolejności do bankierów i menedżerów w Ameryce, która jest, czy też była, moim polem działania. Moim zadaniem jest ocalić kontakty, niebezpiecznie nadwyreżone klęską operacji Ergo, przyjąc na siebie pewną dozę winy i tak subtelnie, jak to możliwe, zrzucić resztę na dyrektorską klikę, która nami kierowała, zasugerować, że okoliczności naszej porażki były zbyt złożone, nawet zbyt groźne, aby można je omawiać przez telefon. W tej chwili naszym priorytetem jest ochrona Battleman - moich partnerów, naszej przyszłości, zapewnienie nam przetrwania. Monotonnym głosem podkreślam długoletnią tradycję naszego partnerstwa, wspominam reputację, jaką się cieszymy, nieprawdopodobieństwo tego, że zaryzykowalibyśmy jej utratę. Mówię o bezwzględności współczesnej konkurencji i pozostawiam uznaniu naszych klientów, kto tu ponosi największą winę - my, Ryan czy jeszcze jakieś inne tajemnicze a złośliwe siły. Bez zbytniej skruchy przyznaję, że popełniliśmy błąd w ocenie charakteru Ryana. Jest to katechizm, który ostatnio głosimy - przyznajemy się do winy, obarczając nią jednocześnie kogoś innego. Jest to poniżej naszej godności, pozostaje w niezgodzie z tradycją i naszym dorobkiem, ale czy mamy wybór?

- Nie ma powodu do niepokoju - powtarzam na zakończenie każdej takiej rozmowy. - Resztę powiem ci, kiedy się zobaczymy.

Umówimy się na lunch. Masz to jak w banku!

Po południu wyruszam do Wandsworth. Silny, porywisty wiatr niemal spycha samochód z drogi, kiedy jadę wzdłuż rzeki. Tamiza jest brunatna, mętna; poznaczona śladami barek, tchnie przeraźliwym chłodem. W Battersea, a potem w Common drzewa są jeszcze pozbawione pąków, ale w miękkim podśpiewywaniu ptaków kryje się już zapowiedź wiosny.

Hugh Basildon mieszka w małym domu, który kupił dziesięć lat temu, za pieniądze odziedziczone po matce. Otwiera niebieskie frontowe drzwi z wypolerowaną złotą klamką, ukazując wnętrze pełne nie rozpakowanych pudeł, kartonów, skrzyń z porcelaną, starociami, książkami.

- Wybacz mi ten bałagan - mówi uprzejmie. - Byłem na Maderze. Znasz ją? -Nie.

- Pora roku trochę bardziej zaawansowana niż tutaj, ale nie na tyle, by było to nieprzyjemne. Ciepła morska woda w basenie, balsamiczne wieczory, ceny w sam

raz. Mieszkałem u znajomego, który tam pracuje. Jest malarzem. Wyjechał przed wieloma laty - właśnie dla tego wyjątkowego podzwrotnikowego światła. Twierdzi, że malarz byłby idiotą mieszkając w angielskim klimacie.

Jest wysokim, dość masywnym mężczyzną, którego klasyczne rysy i afektowany sposób bycia młodego dandysa czas przekształcił w coś bardziej miękkiego. Patrząc na niego przypominam sobie, jak opisała go Julia w rozmowie przed laty. „Hugh jest marzycielem, stwierdziła autorytatywnie. Na swoje nieszczęście, bo marzyciele rzadko kiedy próbują dopchać się do żłobu”.

- Nie widzieliśmy się chyba od waszego ślubu - mówi Hugh, lawirując między paczkami. - Napijesz się czegoś? Jestem pewien, że w lodówce została jakaś butelka bąbelków. Fakt, mogła się wygazować przez tyle miesięcy. Zobaczmy..

- Widuję twojego ojca od czasu do czasu. Dzięki temu wiemy, co się z tobą dzieje. Ale powinniśmy się częściej spotykać.

- Byłoby miło - mówi Hugh głosem pełnym powątpiewania. - Wiesz, wprowadzałem się do tego domu z myślą, że będzie to swego rodzaju azyl. Że kiedy tu zamieszkał - nie sam - wszystko pójdzie ku lepszemu. Zabawne, jak życie w pewnym momencie zastęga. Wszystko się zatrzymuje, z wyjątkiem zegara...Mamy szczęście, zostało jeszcze trochę bąbelków - obwieszcza, smakując szampana.

- Nie tylko tu mieszkasz, ale i pracujesz, prawda? - pytam, pragnąc uniknąć wycieczki w jego aktualną filozofię.

- Tak. Studio i ciemnia są na górze.

- Bardzo wygodnie.

- Owszem.

- Jesteś wolnym strzelcem?

- Kiedy okoliczności na to pozwalają. Przez wiele lat pracowałem w firmach, a teraz właśnie powstaje nowa agencja i miałem nadzieję, że mnie zwerbują. Fotografia alternatywna, chociaż głównym udziałowcem jest jedno z poważniejszych wydawnictw. Niestety, zatrudnili kogoś innego. Zapewne jakąś kobietę, albo innego przedstawiciela grup nie uprzywilejowanych.

- Rozumiem. Słuchaj, znajdziesz sobie coś innego. Wszyscy mówią, że jesteś utalentowany.

-Naprawdę? Może byłem, w czasach, kiedy mnie znali. Przepraszam, jeżeli zabrzmiało to cynicznie, ale w tej chwili mam wszystkiego dość.

- Długo nie było cię w kraju - zaczynam. - Pewnie nie wiesz, co tu się dzieje?

- Och, wiem. Londyńskie gazety docierają do Funchal późnym popołudniem. Bardzo wam współczuję.

- Oczywiście sprawa jest bardziej złożona niż to przedstawiają gazety.

- Jasne. Gazety nie są zainteresowane prawdą. Nie interesuje ich nawet to, czy cię oczerniają, czy oczyszczają z podejrzeń. Chcą tylko, żeby materiał wyglądał dobrze, ponieważ wszystko sprowadza się do rozrywki, cały współczesny, pieprzony świat. Weźmy, na przykład, fotografię. Myśl umarła. Nie trzeba już głębi, artyzmu, wystarczą silne bodźce. Nie ma wątpliwości, dokąd zmierza świat.

Zrzędzę, przepraszam. Ostatnio życie załaziło mi za skórę.

- Przyjaciel z Madery?

- Chłopak, z którym tam pojechałem... a właściwie zabrałem na własny koszt. Znalazł sobie innego przyjaciela. Normalka. Jestem przyzwyczajony do tego stopnia, że niemal nie robi to na mnie wrażenia. Powiedz mi, jak się miewają moi dawni przyjaciele, z którymi się już w ogóle nie widuję?

- Nieźle, przynajmniej ci, których znam. Przez twarz Hugh przebiega pogardliwy grymas.

- Nie ma wśród nich ani jednego artysty.

- Nie mogę zaprzeczyć, choć jestem winien tej samej zbrodni.

- Nie przypuszczam.

- A to dlaczego?

- Julia za ciebie wyszła. Wszyscy, których lubiła czy kolekcjonowała, odznaczali się wycuciem artystycznym - z wyjątkiem Piersa, oczywiście, ale była wtedy młoda i wzięła jego wyrafinowanie za intelektualną głębię. Lyghamów ciągnie do artystów. To cecha rodzinna. Rupert też ją kiedyś posiadał.

- Chyba wiem, co masz na myśli - mówię i niespodziewanie kicham.

- Na zdrowie - mówi Hugh. -Dziękuję.

- Zdecydowanie, wolę życie z klasą, nawet jeżeli koszty są zbyt wysokie. Oczywiście, nie wszyscy są tego zdania. Ale wracając do celu twojej wizyty. Przez telefon wspomniałeś, że chcesz obejrzeć moje zdjęcia.

- Byłbym wdzięczny.

Prowadzi mnie do chłodnej sieni, pół piętra w dół, gdzie na środku podłogi z terrakoty, na syntetycznej skórze tygrysa leży stos albumów. Przekartkowuję pierwszy z brzegu, biorę do ręki drugi, oprawiony w świńską skórę, wydają kilka westchnień mających oznaczać podziw.

- Prawdę mówiąc - wyznaję w końcu - bardziej interesują mnie filmy wideo. Hugh Basildon uśmiecha się ironicznie.

- Wygrałem zakład z samym sobą.

- Jaki zakład?

- Że wyjdzie szydło z worka. -Najwyraźniej wiesz, o jaki film chodzi.

- Oczywiście, że wiem. Nie wiem natomiast, czy mogę ci go pokazać.

- To nie będzie konieczne. Już go widziałem. -Nie w wersji oryginalnej.

- Ty dokonałeś przeróbek?

- A któżby inny? Oczywiście znacznie później - nie dalej niż sześć miesięcy temu. Przedtem leżało to po prostu, razem z resztą przeszłości.

- Dlaczego więc tak nagle...?

- Pieniądze, a co myślałeś? Wiedziałem, że łatwo będzie trafić do mnie przez tę kasetę. Ale on nie wydawał się tym zaniepokójony.

- Kto?

- Bawiłem się po prostu w filmowanie. Takie filmowe wprawki. To było u mnie w domu, w moim ogrodzie, więc nie wymagało niczyjej zgody i nie miało nic wspólnego z twoją żoną. Nie ona była moim celem.

- Rozumiem.

- Celem był David. Nie chciałem pogwałcić niczyjej prywatności, poza prywatnością Davida, oczywiście. Ale nie potrafiłem oprzeć się temu obrazowi. O nic więcej mi nie chodziło. Tamta świetlana noc przypominała jakieś alegoryczne malowidło pod tytułem „Uwiedzenie klasy przez bożka, który stworzył sam siebie”.

Przez ułamek sekundy jego oczy mają tragiczny wyraz.

- Znałeś Davida bardzo dobrze, prawda? - pytam, odwracając wzrok.

- To żadna tajemnica - odpowiada od razu.

Upijam trochę zwietrzałego szampana, biorę głęboki wddech.

- To Matthew Paxton prosił cię o przeróbkę filmu i zrobienie z niego kasety, prawda?

- Matthew jest osobowością destrukcyjną. Co do tego nie ma wątpliwości. Pozuje. Ale w gruncie rzeczy wcale nie jest interesujący, chyba tylko jako brat Davida. - Hugh dopija drinka.

- Patrząc na niego trudno uwierzyć - podejmuje po chwili - że życie Davida nie było łatwe. Wydaje się to niemal niemożliwe, kiedy się ma los po swojej stronie, ale umysł ludzki to specyficzne narzędzie. Kogo chcemy oszukać? Wszystkim nam jest dane i wszystkim odmówione.

Rozglądam się po chłodnej sieni; rozchwiany stół, koślawe krzesła o obiciach wytartych przez nieustanny kontakt ze stosami zakurzonych książek i albumów. Odnoszę wrażenie, że Hugh opowiada mi tę historię w specyficzny sposób, jakby wywoływał negatyw, kształt wyłania się stopniowo z jednolicie ciemnej płaszczyzny.

- Co twoim zdaniem Matthew zamierzał z tym zrobić? - pytam ignorując jego ostatnią uwagę.

- Nie wiem. Czy powiedziałem, że to był Matthew Paxton?

- Pozwoliłeś mi wyciągnąć taki wniosek.

- To jest dla mnie bardzo trudne - wyznaje Hugh.

- Z pewnością.

- Z powodów, których nie domyśli się nawet ktoś tak mądry jak ty. Nie tylko dlatego, że kochałem Davida miłością równie obezwładniającą co niechcianą. - Głos mu się załamuje.

Milczę.

- Widzisz, on mi groził - ciągnie Hugh. - W sposób tak plastyczny i nie-ogłędny, jakby myślał z przyjemnością o zrealizowaniu tych groźb. Szczerze mówiąc oczekiwałem, że pozbędzie się mnie w chwili, gdy otrzyma nagranie. Naprawdę dziwię się, że tego nie zrobił. Mogę tylko przypuszczać, że umie się poznać na tchórze. Wydajesz się zdziwiony, Johnie.

- Nic mnie już nie dziwi.

- Człowiek, który mi groził, jest w stanie spełnić swoją groźbę bez większego trudu. Znam go wystarczająco długo, by nie mieć złudzeń. Prawdę mówiąc nienawidzę go równie długo, jak znam. - Spogląda na mnie wyczekująco, potem niespodziewanie wyciąga się na dywanie, wtulając głowę z zgięciem łokcia.

- Mów dalej, Hugh. Proszę, mów dalej. Dlaczego tak bardzo nienawidzisz tego człowieka?

Hugh waha się.

- Powód? Najlepszy z możliwych - odrzucenie. Zabawił się moim kosztem, dla sportu. Był starszy i wiedział o moich skłonnościach, zanim ja je poznałem, chociaż ich nie podzielał. Podpuścił mnie, żeby się pośmiać z kumplami.

- A potem?

- Stare rany, a jednak bołą. A może tobie nigdy żadnej nie zadano? To było tak dawno temu, na długo, zanim ktoś w tym kraju o tobie usłyszał. Upokorzenie i śmiech. Nie wiem, co jest gorsze.

- Czyja znam tego człowieka?

- Powieś sobie raczej pytanie, czy naprawdę chcesz poznać odpowiedź.

- Powiedz mi.

- Rupert. Rupert Middleton-Lygham, obecnie Cheviot, zapłacił mi za taśmę wideo. A także za to, by wgrać pewien fragment od tyłu.

Stary trik - zadziwiające, że nadal tak skuteczny.

- Nie wierzę w to.

- Dlaczego miałbym kłamać?

- Nie wiem.

Hugh siada, zatapiając swoje niebieskie oczy w moich.

- Nie potrafię tego udowodnić, ale kiedy się dobrze zastanowisz, uderzy cię logika tego, co powiedziałem. Kiedy zrozumiesz, że Rupert jest i zawsze był aktorem, że dałeś się nabrać na to przedstawienie, jak większość ludzi. Nie wiem nawet, do czego on zmierza, nie jestem częścią tej gry, ale mogę sobie wyobrazić, o jaką stawkę się toczy.

- Jest bardzo ważne - mówię z naciskiem - żebyś nie powtarzał naszej rozmowy nikomu, zwłaszcza Rupertowi lub komuś, kto mógłby mu o niej donieść.

Hugh wzrusza ramionami.

- Komu miałbym o tym opowiadać? - mruczy.

- Nie wiem - mówię miękko. - Po prostu błagam cię, żebyś nikomu o tym nie wspominał.

- Masz - mówi, wpychając mi w ręce kilka pudełek Kodaka i kasetę wideo. - Ty i Julia powinniście mieć oryginał. Spal go, oddaj policji, wszystko mi jedno. Pozostaną tylko te kopie, które ma w posiadaniu Jego Wysokość.

- Czy to nie byłoby miło?

Jestem wstrząśnięty słowami Hugh. Z początku nie mogę, nie chcę uwierzyć w jego oskarżenia. Akceptując udział Ruperta w koszmarze, przez który przechodzimy, musiałbym pogodzić się z jego zdradą, nienawiścią, zakwestionować własną inteligencję, przyszłość mojego zatrudnienia i pracodawcy, a także rodziny, w której urodziły się moje dzieci. O wiele łatwiej i wygodniej zdyskredytować Hugh, którego prawie nie znam i którego dorosłe życie najwyraźniej oddry-

fowało daleko od bezpiecznego portu jego młodości. Jednak nie mogę całkowicie odrzucić jego rozumowania. Rupert z pewnością posiada talent, możliwości i środki, by uknuć spisek tak zawily i złowieszczy, jak ten, którego padliśmy ofiarą. Rupert ma wgląd w obie sfery naszego życia - Castlemorland i City. Zrozumiałe więc, że znajdował się w centrum wydarzeń, zawsze na bieżąco, pociągając za sznurki naszej egzystencji. A jednak trzy podstawowe pytania pozostają bez odpowiedzi: co mógłby na tym zyskać? Czy szkody, jakie wyrządziła mu klęska operacji Ergo, nie dorównują naszym? Czy potrafiłby tak nas oszukać?

Jest teraz we mnie dwóch ludzi: jeden myśli, kwestionuje, stawia pytania; drugi prowadzi, skręca w lewo lub w prawo zgodnie z nakazami pamięci, zwalnia i przyspiesza, przystaje i rusza na światłach, kierowany instynktem. Na Latchmere Road wykręcam biurowy numer do Philipa, ale odpowiada mi automatyczna sekretarka, a jego komórka jest wyłączona. Panuje duży ruch w obu kierunkach. Jadę do domu. Przed „Paki Take-Away” młody Murzyn o szerokich barach, w białej skórzanej kurtce i rastafariańskich dreadach wchodzi na jezdnię nie patrząc i pakuje mi się niemal pod koła. Skręcam gwałtownie kierownicą, żeby go wyminąć, i niemal zahaczam o zderzak taksówki na przeciwległym pasie. Czuję przyływ adrenaliny. Zwalniam. Muszę się skoncentrować na drodze, mówię sobie, wyrzucić wszystko z myśli, uspokoić się. Wiem, że cokolwiek się wkrótce stanie, ja będę musiał zachować spokój.

Kiedy wjeżdżam w Lower Sloane Street, zegar na desce rozdzielczej wskazuje siódmą dwadzieścia trzy. Dopiero teraz włączam radio i zmieniam stacje, aż nabieram przekonania, że nie mam ochoty słuchać muzyki. A więc ponownie cisza; wiatr uderzający w samochód; muzyka silnika i biegów. Jeżeli pojedę do domu, zacznę się gryźć, prawdopodobnie pić, a to nie posunie mnie naprzód w moich poszukiwaniach. Będę czuł nieobecność Julii, a cisza domu, w którym nie ma dzieci, wprawi mnie w melancholijny nastrój. Skręcam w prawo, potem w lewo, w Bourne Street

I jeszcze raz w lewo na Ormonde Place. Nasz dom jest ciemny i pusty. Zwalniam, zatrzymuję się przed garażem, ale nie gaszę silnika. Potem, jakbym otrzymał zastrzyk zdecydowania, objeżdżam Herkulesa i ruszam w kierunku Mayfair.

Znajduję miejsce do parkowania przed sklepem tytoniowym i wchodzę do „Connaught” wraz z grupą teksańczyków, którzy przyjechali tu na obiad. Panie niosą torby firmowe Chanel. Ten hotel jest dla mnie drugim domem, kamieniem milowym w moim życiu. To tutaj zatrzymałem się, kiedy po raz pierwszy przyjechałem do Anglii jako wschodni agent Battleman. W sali grillowej i w restauracji byłem podejmowany i podejmowałem niezliczone rzesze klientów naszej firmy, głównie cudzoziemców. I to tutaj przywiozłem Julię w noc poślubną.

Na kominku w Barze Amerykańskim płonie elektryczne polano, gościom zgromadzonym przy małych stolikach prezyduje jak zwykle lekko przekrzywiony łeb jelenia. W drugiej salce, w głębi, naprzeciwko baru, samotny mężczyzna w szarym garniturze wpatruje się w stojące przed nim martini. Jest szczupły, łsawy, z wianuszkami przedwcześnie posiwiiałych włosów. Na skroniach i wierzchach jego dłoni widać wyraźny rysunek nabrzmiałych żył, pozostałość po młodzieńczych wyczynach sportowych. Nagle unosi twarz, odwracając jąku oknu i poznaję ostry profil, okrutną, młodzieńczą linię szczęki.

- Chas! - wołam, idąc ku niemu, starając się pamiętać, że rozstaliśmy się jak przyjaciele.
- O, wspaniale, że jesteś!
- Właśnie się wyrwałem. Inaczej zostawiłbym ci wiadomość, ale do ostatniej chwili nie wiedziałem, czy mi się uda.
- Jasne, jasne - śmieje się Chas. - Napijesz się?
- Chyba poproszę o to samo, co ty.
- Bombajskie martini, naprawdę wytrawne, z odrobiną dżinu - mówi głośno, jednocześnie do kelnera i do mnie.
- Znakomicie.
- A więc? - uśmiecha się Chas.
- A więc?
- Miło cię widzieć.
- Ciebie też.
- Dobrze ci się wiedzie? - pyta Chas.
- Na ogół. Miewałem lepsze chwile. A ty?
- Mniej więcej tak samo. To chyba naturalne w naszym wieku.
- Żonaty?
- Byłem, ale nie trwało to długo. Niedawno się skończyło.
- Przykro mi.
- Zdumiewające, ale w ogóle o tym nie myślę. Nie mieliśmy dzieci - wydaliśmy fortunę na lekarzy, ale koniec końców, to wspólne fiasko natury i medycyny wyszło nam na dobre.
- Nigdy nie jest za późno, by znowu spróbować. - Już w chwili, gdy wypowiadam te słowa, rozumiem, że popełniłem nietakt. Nie ma to jednak znaczenia; Chas jakby nie dosłyszał.
- Widziałem twoje nazwisko w gazecie - mówi.
- Niestety.
- Nic strasznego, o ile piszą je właściwie.
- I tu się mylisz. Nie chcę cię zanudzać szczegółami, ale to jest piekło. Nie uwierzyłybyś: reakcja łańcuchowa. Jedno niepowodzenie pociąga za sobą następne. Dużo się o tym pisze w Stanach?
- Tylko na stronach finansowych „The Journal”. Ludzie z branży wiedzą, przynajmniej większość. Inna sprawa, czy będą o tym pamiętali. Zjawia się nasze martini. Chas zwraca pusty kieliszek, unosi pełny w toaście.
- Za twoje zdrowie - mówi. Dżin natychmiast zmienia atmosferę, tworzy dystans między nami a resztą sali. Wydarzenia tego dnia osuwają się w przeszłość, rozpoczyna się wieczór. - Siedzisz w branży? - pytam w końcu.
- W pokrewnej. Nie w fuzjach i zakupach, oczywiście, i nie mam nic wspólnego z Battleman Peale ani z Ergo. Jestem maklerem.
- Na Wall Street?
- Przed dziesięciu laty przenieśliśmy się do śródmieścia. Ale tak, myślę, że większość ludzi umiejscowiłaby nas na Wall Street.

- Dobrze ci się wiedzie?
- Wychodzę na swoje. Nie mogę się uskarżać. Miałem trochę szczęścia.
- Świetnie. Często bywasz w Londynie?
- Jestem tu po raz pierwszy od dwudziestu lat. Do tej pory moimi klientami byli wyłącznie Amerykanie. Od roku zarządzamy kilkoma kontami europejskimi. W Azji nie mamy jak dotąd nic.
- Łysy czy z włosami, Chas nadal ma wdzięk, który przyciągnął Caroline Car-swell w czasach, gdy jego uroda wydawała się niezniszczalna.
- Ale nie umówiłem się tu z tobą, żeby wyciągać wewnętrzne informacje.
- Zapewniam cię, że nawet gdybym je posiadał, byłbym ostatnią osobą, od której chciałbyś je uzyskać - śmieję się.
- Sprawa ma się tak, że to ja chcę ci udzielić pewnej informacji. Odstawiam kieliszek i przyglądam mu się uważnie.
- Jakiej informacji?
- Przypadkiem coś zobaczyłem i z tego, co zobaczyłem wyciągnąłem wnioski. To wszystko. Może to jest coś, a może nic. Masz instynkt, sam ocenisz.
- Spróbuję.
- Jak wspomniałem, zarządzamy kilkoma kontami europejskimi...
- Wspomniałeś.
- Między innymi w Lichtensteinie. W jednej chwili odzyskuję czujność. -I?
- Słyszałeś o Jasonie Argusie?
- Oczywiście. Kto nie słyszał?
- O jego koncie mówię. Wiem co myślisz, że wysoko zacząłem, ale jego amerykańskie operacje przechodzą przeze mnie. Współpracujemy od dawna. Zarobiłem dla nich mnóstwo pieniędzy.
- Opieram łokieć na stole, podbródek na dłoni i spoglądam na Chasa Ledbettera.
- Znasz kogoś o nazwisku Koestler? - pytam. - W Vaduz?
- Koestler? Nie. Dlaczego? -Nieważne. Mów dalej.
- Chas wyciąga przed siebie nogi, zakłada ręce za głowę.
- Sprawa wygląda tak. - Niespodziewanie składa swoje długie ciało i pochyla się ku mnie. - Czytałem gazety, naturalnie, i jak już mówiłem, śledziłem twoją historię. Może nie znam wszystkich szczegółów, ale mam ogólny obraz sytuacji. I wiem o dwóch rzeczach, o których nie wie większość ludzi. Po pierwsze, że Arabeska upłynniała akcje Ergo, zanim upadła sprawa wykupu. Wiem to z całą pewnością, ponieważ sam realizowałem wiele ich zamówień na amerykańskich rynkach.
- Bardzo interesujące - przyznaję.
- Po drugie wiem, że Szwajcarzy, którzy zarządzają kontami Arabeski dla Argusa, byli wczoraj wieczorem w „Annabefs”. Z twoim kuzynem, czy kim on tam dla ciebie jest - z Rupertem Cheviotem.
- Chas, skąd znasz mojego kuzyna Ruperta? Sam mówiłeś, że nie zajmujesz się Battleman i...

- Z gazet. A skąd znam księcia Walii? Odpowiedź jest ta sama. Znam i nie znam. Niewielu jest bankowców z tytułem arystokratycznym. A może są? Zawsze wydawało mi się, że markiz musi być Francuzem.
 - Mnie też. Wytłumaczę ci to innym razem. Spotkałeś wczoraj Ruperta?
 - W każdym razie widziałem go. Trzymał rękę pod spódnicą jakiejś Włoszki i był nieobecny duchem.
 - Powoli, Chas, powoli. Dlaczego mi to wszystko mówisz? Teraz? Nadużywasz zaufania swojego klienta i narażasz się na Bóg wie jakie ryzyko. Jesteś...
 - Sam nie wiem. Ponieważ kuzyn twojej żony jest skurwielem? Ponieważ widzę w nim człowieka, którym sam kiedyś byłem, a przynajmniej chciałem zostać? Ponieważ potraktowałem cię paskudnie, kiedy byliśmy w szkole i na dobrą sprawę nigdy nie przeprosiłem? I choć to może dziwnie zabrzmieć, mam nadzieję, że z wiekiem, z doświadczeniem stałem się lepszym człowiekiem, lepszym chrześcijaninem. A może chcę rzucić to z serca, ponieważ zbliża się środa popielcowa? Masz żonę i dwoje dzieci. Oni są najważniejsi. Czy mogę siedzieć z założonymi rękoma i patrzeć jak wasze życie obraca się w gruzy, wiedząc kto za tym wszystkim stoi?
 - Faktycznie masz sporo powodów - mówię cicho. - Jeden lepszy od drugiego.
 - No dobrze, jest jeszcze jeden - wyznaje Chas.
 - Który ma coś wspólnego z twoimi szwajcarskimi przyjaciółmi?
 - Każdy z nas kieruje się jakąś własną logiką - Chas uśmiecha się złośliwie. - Złożyli kontrofertę przez innego maklera, w pośrednictwie arbitrażowym. Przenieśli cały rynek. Byłem tak blisko! Ale co mogłem zrobić? Dupki wołowe! Nie wiedzą, że ja wiem. Więc, kiedy los podsuwa mi tak znakomitą okazję, by odpłacić im pięknym za nadobne, zamierzam ją naturalnie wykorzystać. A wszystko to dzięki temu, że zachciało nam się pić, i mój klient zaproponował, że golniemy strzeżonego w miłej atmosferze „AnnabePs”. Kim jestem, żebym miał się przeciwstawić Przeznaczeniu? Rzadko się zdarza taka okazja, żeby jednocześnie przysłużyć się koledze i podłożyć nogę wrogowi.
 - Słodkie - mówię.
- Chas mruga porozumiewawczo.
- Mogę postawić ci kolację... tutaj, albo gdzieś indziej?
 - Pewnie, że możesz - obiecuję. - Ale nie dzisiaj. Muszę pędzić. Ale tak, musimy się spotkać - jak tylko to czas, jeżeli to kiedykolwiek nastąpi.

24

W pierwszym odruchu chcę natychmiast jechać do Castlemorland, powiedzieć Julii wszystko, czego dowiedziałem się od Philipa, potem od Hugh i w końcu od Chasa. Ale kiedy kieruję się do samochodu, moją uwagę przyciąga otwarta brama w ciągu starych wiktoriańskich domów, od dawna przerobionych na luksusowe sklepy i eleganckie apartamenty. Przechodzę przez ciężką furtkę z kutego żelaza. Kościół Jezuitów jest pusty, nie oświetlony i zamknięty. Spoglądam na zimną kamienną fasadę budynku, wypełniam płuca wilgotnym londyńskim powietrzem. Oddycham wolno. Na języku czuję kryształki wilgoci, nie będące jeszcze kropelkami deszczu.

Wracam do samochodu, ale już na South Audley Steet czuję, że wypite martini przytępiło niektóre moje zmysły, wyostrowiając inne. Boję się jechać zbyt daleko, skręcam więc i ruszam w stronę Islington. Im dłużej się nad tym zastanawiam, tym bardziej umacnam się w przekonaniu, że jest to właściwy punkt startu.

Dojeżdżając do hotelu, dzwonię do Philipa z samochodu. Recepcjonista nie odbiera od razu i kiedy w końcu rozmowa zostaje przełączona, w perspektywie ulicy widzę już budynek hotelu z kamienną fasadą. W pokoju Philipa nikt się me zgłasza, co jest mi bardzo narękę. Wciskam się wolne miejsce parkingowe naprzeciwko wejścia do hotelu, zostawiam pracujący silnik i włączone ogrzewanie. Jest ósma czterdzieści pięć. Philip albo wróci w przeciągu kilku minut, jeżeli poszedł z kimś na drinka, albo zostanie na kolację i wróci późnym wieczorem. Postanawiam czekać do dziewiątej.

Ale o dziewiątej ulica jest nadal pusta. Przejeżdża wolno wóz policyjny, potem niebieskie volvo, z którego wytacza się mężczyzna z ciężką walizką. Postanawiam czekać jeszcze piętnaście minut, obserwując spokojną uliczkę. Ponieważ Philip jest nie tylko najlepszą, ale jedyną osobą, która pomoże mi opracować strategię i zniweczyć plany Ruperta.

Dziesięć minut później zza rogu wyjeżdża taksówka, zmienia ze zgrzytem biegi przed pubem i zatrzymuje się przy krawężniku. Ze środka wyłania się Philip.

Wychodzę z wozu bezszelestnie, zamykam drzwi pilotem i idę za Philipem do małego lobby z marmurową posadzką i mosiężnymi poręczami. Jako pretekst tej wizyty mam ze sobą aktówkę, a w prawej ręce trzymam memorandum Battle-man dotyczące jakiejś drobnej transakcji, nad którą pracujemy od jakiegoś czasu, a raczej powinniśmy pracować. Gdyby ktoś spytał nas później o powód tego spotkania, memorandum posłuży jako znakomity pretekst.

- Philipie! - wołam cicho. Odwraca się zaskoczony.

- Nie do wiary! - mówi.

Mając ciągle na względzie pozory, podsuwam mu pod nos memorandum. Philip spogląda na nie odruchowo.

- Pamiętasz, rozmawialiśmy o tej dziurze do Chin? - pytam szeptem. Podnosi na mnie pytający wzrok.

- Pamiętam.

- Chyba się czegoś dokopałem.

- Rozumiem! - Spogląda znów na memorandum z udawanym zainteresowaniem. - W takim razie...

- Pójdziemy chyba gdzieś porozmawiać, prawda? Jestem pewien, że twój hotel zasługuje na pełne zaufanie, jednak...

- Lubię go za jego prostotę i brak wyrafowania.

W samochodzie kładę palec na ustach, ostrzegając Philipa przed zbyt dużą otwartością.

- A więc kiedy wracasz do Hongkongu? - pytam.

- Najprawdopodobniej pojutrze. - Spogląda na mnie, pytając wzrokiem, czy nasza rozmowa może potoczyć się tym torem.

Kiwam przyzwalająco głową.

Parkuję samochód na zachód od Tottenham Court Road, tuż przy St Giles Circus. Idziemy kawałek Greek Street i skręcamy na rogu, celowo gubiąc się w tłumie turystów, ludzi, którzy przyszli tu na kolację, bywalców teatralnych i wykolejeńców.

- Naprawdę wyjeżdżasz pojutrze? - pytam.

- Naprawdę. Powiedz, co to wszystko znaczy?

- W ogólnych zarysach wygląda to tak: Rupert zapłacił przyjacielowi Julii, Hugh Basildonowi, by spreparował film ukazujący Julię i Davida Paxtona razem w noc jego śmierci. David umarł na skutek przedawkowania narkotyków. Podobny materiał nie stanowi oczywiście dowodu obciążającego, ale wystarczy, żeby wywołać skandal. Rupert dał kasetę Matthew Paxtonowi, który wykorzystał ją, by zastraszyć Julię... jeszcze przed śmiercią Adriana. Rupert skupował również akcje Ergo, przez bank w Lichtensteinie między innymi, na długó zanim machinacje Dicky'ego wszyły na jaw.

- Chryste! - wykrzykuje Philip. - Skąd to wiesz?

- O kasecie wideo powiedział mi sam Basildon. Matthew Paxton przyznał się, że wysłał ją Julii. Twierdzi, że otrzymał ją anonimowo, co może być prawdą, chociaż w to wątpię. Raczej boi się Ruperta. Myśl! - mówię nagląco. - Powiedziałeś, że Rupert nie był zaangażowany w tę transakcję przewozową z Argusem, ale czy miał okazję go poznać?

- Nic o tym nie wiem. Dlaczego to jest takie ważne? Wybacz, ale cała ta historia wydaje się trochę naciągana.

- Tylko jeżeli wyjdiesz z założenia, że był to jeden plan, jeden motyw. Mnie to również zmyliło. Teraz uważam, że istniało kilka niezależnych planów, które w pewnym momencie się zazębiły. Na początek założmy, że Rupert wysłał kasetę Matthew Paxtonowi. Wie, że Matthew jest padalcem i bez wahania wykorzysta ją, by sterroryzować Julię. Gdyby tego nie zrobił, Rupert zawsze mógł wysłać kasetę pocztą. Chodziło o to, by zmusić Julię, żeby namówiła brata do sprzedania niewielkiego, ale ważnego kawałka ziemi Paxtonowi. Argus z pewnością poparłby budowę osiedla, które miał w planie Paxton, a Rupert otrzymałby z tego swoją część - wypłaconą gdzieś za granicą, na inne nazwisko. Założmy, że w ten weekend, kiedy Wiley i Tag Ryan przyjechali strzelać, w ten weekend, kiedy zginął Adrian, Rupert zrozumiał, że Ryan nie podoła zadaniu, które mu wyznaczył. Nawet biorąc pod uwagę wszystkie jego kompleksy i ambicje związane z Castle-morland, przejęcie posiadłości było drugoplanowe w porównaniu z przeprowadzeniem operacji Ergo, która wyniosłaby go na szczyt City. Musiał dowiedzieć się o tej aferze Ryana z funduszem emerytalnym... albo o innym nadużyciu. Pamiętaj, ile rzeczy wyszło na jaw? Kiedy zrozumiał, że transakcja nie dojdzie do skutku, poszukał innych dróg wzbogacenia się.

- Wykupując akcje i wrabiając w to siebie.

- A skoro robił już jakieś machinacje z Argusem, te dwa plany w tym momencie się zazębiły. - Julia była przerażona. Zadzwoiła do niego.

Philip przygryza wargę.

- Musiał już tylko przynieść tę butkę armaniaku - wchodzi mi w słowo -i wywabić Adriana na szosę...

Staję jak wryty.

- Nie posunąłem się w swoich rozważaniach tak daleko.

- To tylko hipoteza - mówi Philip.

- Ten telefon: zśliśmy wszyscy na górę, pamiętasz? Zapytałem Adriana, czy wszystko w porządku, a on zakrył dłonią słuchawkę i powiedział „Matka Isabel”. Zakładaliśmy, że dzwoni matka Isabel, ale jeżeli ten telefon nie był od matki Isabel, a tylko jej dotyczył?

- Mógł go wykonać z komórki. Mógł również przeciągnąć czerwoną nitkę nad progiem pokoju Adriana, stwarzając wrażenie, że gospodarz poszedł spać.

- Zamierzali uciec. Obiecałem, że będę ich krył. Nikt o tym nie wie z wyjątkiem Julii. Nikomu nie powiedziałem. Nie wiem, dlaczego. W każdym razie, po śmierci Adriana, Rupert odziedziczył tytuł, który jego ojcu przeszedł koło nosa. Dom pozostał w rękach Julii, ale Rupert był pewny, że z czasem, takim czy innym sposobem, uda się ją wykurzyć z Castlemorland. Albo mógł zlecić to zadanie Matthew.

-Myślisz, że Rupert naprawdę chce zmordemizować Castlemorland? -pytaPhilip.

- Nie sądzę, żeby myślał o Castlemorland w taki sposób, jak Adrian czy Julia. Jego pogląd na tę sprawę zależałby prawdopodobnie od wysokości jego konta bankowego. Gdyby nie miał pieniędzy, z pewnością przyłożyłby rękę do planów Matthew.

Philip uśmiecha się pod nosem.

- Przyszła mi właśnie do głowy szatańska myśl - mówi. - Może uda się obrócić to wszystko na twoją korzyść. Daj mi trochę czasu, dobrze? Muszę to rozważyć. Teraz przypominam sobie, że Rupert przyszedł na przyjęcie do domu mojego sponsora po sfinalizowaniu tej transakcji przewozowej. Argus tam był, a Rupert nie należy do ludzi, którzy zasypiają gruszki w popiele, chociaż muszę przyznać, że nigdy ich razem nie widziałem. Przypomniałem to sobie, ponieważ przyprowadził córkę jednego z tajpanów, żeby jej zaimponować, jak sądzę. Powiedział mi później, że padła jak kawka, ale myślę, że przypisał sobie większą zasługę niż mu się należała. Nie wyglądała na dziewczynę tego rodzaju. Była taka słodka, naprawdę miła. Opowiedziałem jej o pracowni mojego ojca; kilka dni później poszła do sklepu i kupiła skrzynię na świąteczny prezent dla swoich rodziców. To było bardzo dawno temu.

- Muszę przekonać Julię - mówię. - Muszę wyłożyć wszystko jasno, tak żeby w jej umyśle nie pozostał cień wątpliwości.

- Mógłbym z nią porozmawiać - proponuje Philip. - Chociaż nie, to musi wyjść od ciebie. Twoje słowo przeciwko Rupertowi, jej teraźniejszość przeciwko przeszłości.

- Obawiam się, że ma przesadne poczucie sprawiedliwości i będzie chciała dać Rupertowi szansę obrony.

- Nie możesz jej na to pozwolić.

- Wiem. Ponieważ jeżeli on się dowie, że ona wie...

- Chcesz, żebym z tobą pojechał?

- Nie - mówię. - Chcę, żebyś popracował nad tym swoim szatańskim pomysłem.

Nocuję na Ormonde Place, a po wschodzie słońca ruszam do Castlemorland, żeby zdążyć przed godziną szczytu. Poranek jest ciepły, obiecuje zbyt wiele jak na tę porę roku. Kiedy zajeżdżam na miejsce, Julia jest w ogrodzie z dziećmi. Są ubrane w identyczne zielone kurtki z kapturkami. Julia ma w ręku jakieś papiery, szkice architektoniczne, jak się okazuje. Wyglądają jakby przeleżały w szufladzie kilkanaście lat. Na mój widok opuszcza bezwładnie rękę.

- Planujemy ogród - woła Louisa entuzjastycznie.

- Wybudujemy ruiny - dodaje Andrew. Julia nie może powstrzymać uśmiechu.

- Czy można zbudować ruiny? - pyta.

- Nie, głuptasie, ruina musi być bardzo, bardzo stara, prawda, mamusiu? - mówi Louisa.

- Tak - przyznaje Andrew. - Ale to będzie ruina na niby. Nie zapominaj o tym. Julia całuje mnie bez śladu rezerwy czy napięcia, najwyraźniej zdecydowana

ukryć nasze nieporozumienia przed dziećmi, przynajmniej na razie.

- Znalazłam to upchnięte w szufladzie w biurku mojej matki. Plany budowy ogrodu. Pewien młody projektant terenów zielonych przełał jej pomysły na papier.

- Mogę zobaczyć?

- Oczywiście. - Zamiast podać mi plany, Julia rozkłada je przede mną. Główny zwój leży na cementowym stopniu oddzielającym różne poziomy ogrodu. Stary papier szeleści sucho na wietrze. - Mama zamierzała zbudować tu długi, płytki basen z liliami wodnymi. - Julia wskazuje na rysunek, potem przenosi wzrok na odległe cedry, płaczące wierzby i derenie. - Nie byłoby go widać z domu. Właściwie można by go było zobaczyć dopiero z bardzo bliska. Za nim ciągną się dwa rzędy doryckich kolumn, po trzy w każdym rzędzie, kilka posągów bohaterów pośród świerków i heliotropów. Tam na lewo ogród różany za drewnianą kratką, a na wprost irysy, wysokie ostróżki, niebiesko-białe dzwonki wzdłuż ścieżki do herbaciarenki. Taki trochę nierealny obraz, nie powiązany żadnym elementem z rzeczywistością, jakby chciała stworzyć coś, co będzie miało pozory daru niebios a nie produktu ludzkiego umysłu.

Spoglądam uważnie na kobietę, którą kocham.

- Dlaczego ten ogród nigdy nie powstał? - pytam.

- Nie mam pojęcia. Może pomysł był zbyt ekstrawagancki jak na gust ojca? Coś cię gnębi, widzę to. Grozi ci aresztowanie?

Jej uwaga wywołuje dreszcz niepokoju. Dlaczego Julia o tym pomyślała?

- Nie.. przynajmniej na razie.

- To dobrze.

- Ale muszę z tobą porozmawiać.

- Trafiałeś na odpowiedni moment. O czym chcesz rozmawiać, Johnie?

- O wszystkim.. .O Rupercie.

- O Rupercie? Dlaczego o nim? Przychodzi na kolację i zostanie na noc. Sam możesz z nim porozmawiać, jeżeli chcesz. Jak każdego innego dnia.

- Przyjdzie wieczorem?

- Tak. Ma coś do załatwienia w okolicy i przy okazji wpadnie na kolację.

- Chce się spotkać z Matthew Paxtonem?

Julia przygląda mi się uważnie, wzbiera w niej gniew.

- Z Matthew? Dlaczego, na Boga, miałby się z nim spotykać?

- Myślę, że czas, by dzieci wróciły do domu na podwieczorek - mówię. - Musimy usiąść gdzieś i spokojnie pogadać. Musisz mi pozwolić, żebym ci wyjaśnił pewne sprawy, powiedział, czego się dowiedziałem. Będzie ci w to trudno uwierzyć, jeszcze trudniej niż mnie, ale to cię powinno przekonać, że musimy zaplanować nasz następny krok tak starannie, jak tylko potrafimy.

- Jestem gotowa cię wysłuchać, Johnie - mówi Julia. - Nie wiem natomiast, do jakich dojdę wniosków.

Opowiedzenie tej historii, skrupulatne oddzielenie faktów od czystych spekulacji, zajmuje mi bite pół godziny. Julia słucha nie zdradzając żadnych emocji, nie reagując, wpatruje się w mahoniową szafkę na linii jej wzroku, na drugim końcu biblioteki. Mówię jej, że Rupert rozpoczął grę mając na uwadze jeden cel, potem jednak rozwijał swój pierwotny plan w miarę jak zmieniały się okoliczności. Mówię o podejrzeniach Philipa, o wyznaniu Hugh, o przypadkowym odkryciu, jakiego dokonał Chas. Ale moja opowieść, podobnie jak to było w przypadku relacji z podróży do Zurychu, Vaduz i Antalyi, nie budzi w niej żadnego oddźwięku. Spogląda na mnie krytycznie, nie dając chyba wiary moim słowom.

- Nikt nie miał tyle do zyskania - mówię z naciskiem. - Nikt inny nie wiedział tyle, by wywrócić nasze życie do góry nogami.

Kiedy wypowiadam ostatnie słowo, Julia wstaje.

- Skończyłeś? - pyta wchodząc w prostokąt światła, jaki kładzie się na podłodze.

- Skończyłem.

- Kłopot w tym - mówi Julia - że ta historia absolutnie nie pasuje do charakteru Ruperta. Znam go od urodzenia. Nie mogę uwierzyć, że spiskowałby przeciwko mnie... przeciwko tobie. On ciebie lubi, jesteś jego partnerem. A już na pewno nie uwierzę, że zabił mojego brata.

- Weź na początek fakt o mniejszym znaczeniu. Kasetę Hugh Basildona. Dlaczego Rupert zapłacił mu za zrobienie fotomontażu?

- Żeby wydostać film z rąk Hugh? Nie wiem. Hugh to łajdak. Tatuś zwykł mawiać, że ktoś, kto prosi o pokazanie obrazów lub mebli, jak to Hugh miał w zwyczaju, jest albo złodziejem, albo ćpunem. Hugh okazał się jednym i drugim. Niech sobie ćpa, to nie moja sprawa, ale ukradł moją prywatność. Nie Rupert, lecz Hugh. Więc dlaczego wierzyć jego słowom?

- On nie ma powodu kłamać, Julio. Wręcz przeciwnie.

- Rupert mnie uratował, zabrał mnie z tej strasznej prywatki u Hugh. Musisz o tym pamiętać. To nie może być wina Ruperta. Zdrowy rozsądek temu przeczy. Gdyby chciał mnie skrzywdzić, zostawiłby mnie na tej imprezie. Albo zawiadomił policję po śmierci Davida.

- Byłaś młodsza. - Staram się, by mój ton był chłodny, bez emocji. - Wtedy uważał cię za sprzymierzeńca. Nie stanowiłaś dla niego zagrożenia - jeszcze nie. Nie byłaś nawet dziedziczką, tylko naukowcem, żyjącym w zupełnie innym świecie.

Julia spogląda na mnie w milczeniu, nie przekonana.

- Dobrze, uważasz więc, że zauważyłabyś, gdyby był wobec ciebie nieuczyny, tak? -Tak.

- Nawet gdyby starał się to ukryć?

- Nie rozumiem, dlaczego koncentrujesz się na ludzkich słabościach - mówi Julia. - Zazwyczaj dobrze o nich świadczą.

- Więc przyznajesz...

- Byłoby to zupełnie naturalne. Rupert miał pecha w życiu. Jest synem młodszego syna. I co z tego? Dziwiłabym się, gdyby nie odczuwał niesprawiedliwości losu.

- Być może.

- A co z twoim klientem, Ryanem? On też mógł na tym skorzystać. Czy nie miał większych powodów, żeby cię obciążyć?

Dwa bliźniacze sfinksy zdają się spoglądać na mnie szyderczo z podstawy zegara na kominku. Julia mi nie wierzy.

- Możliwe, nie istnieją jednak żadne dowody, że Wiley Ryan kiedykolwiek słyszał o Hugh Basildonie, że kiedykolwiek przekazał coś Matthew Paxtonowi, że skorzystałby w jakikolwiek sposób na śmierci Adriana, że zaprzepaścił własną przyszłość, ponieważ nagle przestał w siebie wierzyć. Jeżeli istnieje pewnik w tej całej historii, to tylko taki, że Wiley Ryan nigdy, przenigdy nie straci wiary w siebie.

- Tu masz rację - przyznaje Julia po chwili namysłu, wychodząc w końcu z plamy światła.

- Byłaś gotowa uwierzyć, że ja...

- Miałam dowody. Tyle dowodów. I wszystkie były takie przekonujące. Ty nie masz żadnych - mówi, ale jej protest słabnie, jakby chciała wytłumaczyć, nawet przeprosić za niewspółmierność swojej reakcji wobec oskarżeń postawionych mnie i Rupertowi. - To tylko teoria.

- Tak, ale jest to teoria, którą trudno obalić, kochanie.

- To prawda - Julia wzrusza ramionami. Siada obok mnie, nadal spoglądając ku czemuś poza zasięgiem mojego wzroku.

- Co chcesz, żebym zrobiła? - pyta bez zaangażowania.

- A co chcesz zrobić?

- W tej chwili trudno powiedzieć. Nie wierzę, że Rupert ma z tym coś wspólnego.

- Pomyśl o tym. Zastanów się.

- Ale nie mamy wiele czasu.

- Wystarczy - zapewniam. - Po prostu przemyśl to wszystko. Zapomnij, że coś cię ponagla.

- Czy ty tak zrobiłaś? -Nie.

Julia zamyka oczy.

- Pomyśl najpierw o dzieciach - mówię.

- To właśnie próbuję zrobić.

- 1 nie bój się.
 - Oczywiście, że się boję.
 - Chciałem powiedzieć, żebyś nie bała się tego, dokąd zaprowadzi cię umysł.
 - Spróbuję.
- Po długim milczeniu Julia podnosi wzrok.
- Wiem jedno, muszę dać Rupertowi szansę obrony.
 - Dlaczego?
 - Byłam pewna, że kto jak kto, ale ty się z tym zgodzisz.
 - W teorii, jak najbardziej. Ale nie w tym przypadku. -Ponieważ...
 - Ponieważ człowiek, który zabił Adriana w sposób pośredni czy bezpośredni, to bez znaczenia - człowiek, który zrobił to, co zrobił Rupert, nie zawahałby się... Wyrażę to inaczej: byłby niebezpieczny, śmiertelnie niebezpieczny dla kogoś, kto stanąłby mu na drodze, chyba że... Chyba że byłby pewny powodzenia swoich planów bez uciekania się do ostateczności.
 - Boisz się, że się zdradzę, czy tak? Nie masz wielkiego mniemania o mojej inteligencji.
 - Wręcz przeciwnie, ale Rupert jest mądry. Próba przechytrzenia go może się okazać niebezpieczna.
 - Więc postaram się, żeby mnie nie przyłapał.
 - Istnieje sposób, by go wypróbować, rozwiać wątpliwości.
 - Wiem. Mogłabym zasugerować, że jestem skłonna oddać Castlemorland. Zobaczyc, czy łyknie przynętę. - Julia uśmiecha się blado. Prawie nie oddycham.
 - Przez cały czas chciałaś to zrobić - mówię.
 - Tak, ponieważ j jestem przekonana o j ego niewinności. Oczyści się z zarzutów nie zdając sobie nawet sprawy, że był oskarżony.
 - Ale jeżeli ma dość pieniędzy, jeżeli łyknie przynętę...
 - Jeżeli stać go na kupno Castlemorland, będzie to oznaczało, że miałaś rację. Nie może dysponować taką sumą. Chyba że dorobił się na waszym bezcennym Ergo.
 - W żadnym razie.
 - A więc wkrótce się przekonamy. - Jej głos jest pełen ironii. Zaciska palce na swetrze. Kładę na nich dłonie.
- Dzieci zjadają już w najlepsze rogaliki z dżemem, kiedy zjawia się Rupert. Sprawia na mnie wrażenie zbyt spokojnego, uładzonego. Przyniósł dzieciom latawce, niebieski dla Andrew, żółty dla Louisy. Podnoszą prezenty ku miedzianemu żyrandolowi, którego światło igra na zgięciach celofanowych opakowań.
- Puścimy je jutro?
 - Jeżeli będzie wiatr - obiecuje Julia.
 - Takie są prognozy - zapewnia Rupert.
 - . - Chcę, żeby mój latawiec poleciał nad kaplicą - oznajmia Andrew. - Wysoko, aż do samego księżyca.

- Bo słońce by go spaliło - wyjaśnia Louisa

- Ale księżyc nie. Czy możemy puścić latawcę dzisiaj? -Nie.

Kiedy dzieci idą spać, pijemy frascati w pokoju dziennym. Julia dodała do swojego kieliszka lodu.

- Nie wiedziałem, że wybierasz się do Castlemorland - mówię. - Moglibyśmy pojechać jednym samochodem.

- Zdecydowałem się w ostatniej chwili - odpowiada Rupert enigmatycznie. -I wracasz jutro tam, skąd dzisiaj przyjechałeś?

-Niestety! Do Londynu, skoro świt.

- Ja też.

- Nie jest to najlepsza pora na pobyt na wsi - mówi Rupert. - Ale cóż...

Siadamy do zaimprovizowanej kolacji, składającej się z dań kupionych w supermarkecie i podgrzanych w mikrofalówce - przy wielkim stole w kuchni, który Julia nakryła kolorowym obrusem i serwetkami. Zaczynamy od krewetek na parze w orzechowym oleju i melona.

- Andrew i Louisa dobrze wyglądają - zauważa Rupert.

- Trochę tęsknią za przedszkolem, ale ja mam tyle spraw tutaj, poza tym od września i tak pójdą do szkoły.

- Chcesz powiedzieć, że czeka nas z Johnem mnóstwo kawalerskich kolacji w mieście?

- John zostaje słomianym wdowcem.

- Będzie nam ciebie brakowało - zapewniają Rupert.

- Do drugiego drinka - śmieje się Julia

- Nie bądź niemądra. Ale poważnie: nie doskwiera ci tutaj samotność?

- Czasami. Dzieci dochodzą do wieku, kiedy potrzebują stałego miejsca zamieszkania. A ja nie wyobrażam sobie, bym mogła mieszkać w Londynie od niedzieli wieczór do piątkowego popołudnia i jednocześnie zajmować się Castlemorland. Wobec wymagań tego domu ktoś musi się poświęcić: wolę żebym to była ja niż moje dzieci.

- Jeżeli tak się na to zapatrujesz... - Rupert nadgryza krewetkę i szybko wyjmując ją z ust; z dziurek, które pozostawiły jego zęby, unosi się para.

- Cholera! - mówi. - Jakie to gorące!

- Jeżeli w firmie zaczniesz się walić - mówię - wystawię Ormonde Place na sprzedaż i poszukam pracy w wiosce.

- Odpukaj w niemalowane drewno - woła Rupert.

- Byłbym dobrym kelnerem. Albo dyrektorem banku na ulicy Głównej.

- Jakież wieści? - pyta Rupert.

- Nareszcie! - wtrąca Julia. - Szczerze! Od razu poczułam się lepiej. Nie musimy chyba unikać tego tematu. Jesteśmy w rodzinie.

- Niewielu nas w tej rodzinie zostało - dodaje Rupert.

- Nic nowego - mówię. - Wygląda na to, że zostałem zapomniany: przez wrogów i sprzymierzeńców.

- DTI nic już od ciebie nie chce?

- Oni są jak pies, który nie szczeka, a kiedy opuścisz gardę, rzuca ci się do gardła. Takie przynajmniej odnoszę wrażenie. W prasie też przycichło, ciekawe na jak długo.

- Zejdź im wszystkim z oczu - radzi Rupert. - Znudzą się. Uśmiecham się.

- Nie liczyłbym na to.

- Musi upłynąć trochę czasu.

- Wszystko pięknie, ale rachunki mają tę brzydką stronę, że trzeba je płacić. Muszę pchnąć interesy.

- Oferta Argusa nadal obowiązuje.

- Nie tknąłbym jej nawet końcem kija. Byłoby to równoznaczne z przyznaniem się do winy.

- Naprawdę tak uważasz?

- Jestem tego pewny.

Na drugie danie Julia podaje stringazę - płaskie, trójkątne kluski z rybą małżami w śmietankowym sosie curry.

- Jak długo to się może ciągnąć? Jak długo będziemy tak trwać w zawieszeniu? - pyta.

- Bardzo długo, niestety - mówi Rupert.

- To takie nowoczesne tortury - przytakuje.

Julia odkłada widelec i spogląda Rupertowi prosto w twarz. W jej oczach pojawia się nagle błysk rozbawienia.

- Jaka szkoda, że nie jesteś żonaty - mówi.

- Podobno wiele tracę.

- Mówię poważnie. Miałaś w życiu rozmaite doświadczenia, ale tego jeszcze nie próbowałaś. Myślę, że powinieneś, zanim będzie za późno.

- Masz kogoś upatrzonego?

- Nie. Po prostu życzyłabym sobie tego na wypadek, gdyby rzeczywiście sprawy wzięły niedobry obrót. Byłbyś jedyną osobą, której mogłabym przekazać to wszystko ze spokojnym sumieniem. Krzywię się wewnątrz.

- Naprawdę tak myślisz? - pyta Rupert.

- Lepiej tobie niż Matthew Paxtonowi i jego kumplom z rady planowania.

- Z pewnością. Chociaż nie wyobrażam sobie, żebym mógł tu mieszkać sam jeden.

- Cieszę się, że to powiedziałeś - ciągnie Julia. - Nie, żebym miała poczucie winy, ale zastanawiałam się czasem, jak ty to odczuwasz.

Cheviotowie byli zawsze nierozdzielni z Castlemorland. A teraz to się zmieniło. Smutne.

- Nie zrozum mnie źle, Julio. Oczywiście kocham ten dom. Gdybyś przyszła do mnie i powiedziała, że wszystko przemyślałaś, że wiesz już, co chcesz osiągnąć w życiu i Castlemorland ci w tym przeszkadza, że potrzeba ci większej wolności, niż daje posiadłość tych rozmiarów, że chcesz poświęcić się karierze naukowej, wtedy naturalnie byłbym zainteresowany. - Rzuca mi spojrzenie i mruży porozumiewawczo oko. - Z żoną, albo i bez niej.

- Naprawdę byłbyś zainteresowany? - draży temat Julia.

- Jasne! Ale tylko wtedy, gdyby to była twoja wola, a nie wymuszona sprzedaż.

- Rozumiem.
- Jeżeli kiedykolwiek przejmę od was Castlemorland, to tylko dlatego, że oboje z Johnem będziecie sobie tego życzyli.
- Kiedyś podskoczyłabym z radości na taką propozycję. Ale teraz zapatruję się na to trochę inaczej. Castlemorland może być albo ciężarem, który człowiek dźwiga dobrowolnie z racji swojej przeszłości, albo zabawką milionera. Nikt z nas nie jest bogaty, przynajmniej w sensie posiadania pieniędzy.
- Rupert milczy przez chwilę, waha się.
- Nie, oczywiście, nie jesteśmy bogaci, chociaż muszę przyznać, że ostatnio powodzi mi się nadspodziewanie dobrze.
- Chyba nie aż tak dobrze? - pyta Julia wesoło.
- No, nie wiem. Poza tym istnieje jeszcze coś takiego jak hipoteka. Dźwięk telefonu przerywa rozmowę. Wstając od stołu, Julia uśmiecha się do mnie swoim dawnym uśmiechem, jakby mówiła: „Miałeś rację. Wierzę ci. Jestem z tobą”
- To Philip, Johnie. Chciałby zamienić słowo.
- Witaj, Philipie - mówię do słuchawki. - Gdzie jesteś? Straszny hałas.
- Na lotnisku. Posłuchaj! Pamiętasz ten pomysł, który omawialiśmy? - Tak. - Odruchowo odwracam się plecami do Ruperta i Julii.
- Miałem wyszukać ludzi na chińskim końcu dziury. Ludzi, którzy mogliby nam pomóc.
- Jak mógłbym zapomnieć?
- Czy byłbyś skłonny pójść za nimi? Ze mną w roli przewodnika, oczywiście. -Chyba tak.
- Jest tylko jeden warunek, uprzedzam. Żadnych bezpośrednich pytań.
- Zgadza się.
- Możesz przylecieć do mnie do Hongkongu?
- Dlaczego nie? Kiedy? -Jak najszybciej.
- Muszę tylko uzgodnić to z Julią. Jest tu również Rupert. - Odwracam się teraz i uśmiecham do mojej pięknej żony i jej przystojnego, fałszywego kuzyna. - Rupert? - powtarza Philip z najwyższym zdumieniem.
- Chcesz, żebym przekazał coś Philipowi? - zwracam się do Ruperta. - Tylko pozdrowienia.
- Ode mnie też - dodaje Julia.
- Pozdrawiają cię oboje - mówię. - Jest na Heathrow.
- A więc bezpiecznej podróży.
- To będzie łatwiejsze niż myślałem - mówi Philip. - Johnie, rozповідаj na prawo i lewo dokąd jedziesz. Tylko nie mów po co. Zresztą sam nie znasz szczegółów i tak jest o wiele lepiej. Mów po prostu, że prosiłem cię o pomoc, że w obliczu tego co się stało, zaproponowałem ci dobry interes. Czuję dobrego jossa - śmieje się Philip.
- Najwyższy czas. - Odłożywszy słuchawkę, biorę głęboki oddech i wracam na swoje miejsce przy stole. Julia obiera gruszkę.
- Obawiam się, że muszę pojechać do Hongkongu na parę dni - mówię.
- Do Hongkongu? - powtarza Rupert pytająco.

- Philip potrzebuje pomocy w sprawie A&O. Nie mogę mu odmówić. Najwyraźniej orientuje się w naszym położeniu i wciągnął mnie w coś, na czym da się szybko zarobić. Nie znam szczegółów.

- Jak długo cię nie będzie? - pyta Julia.

- Kilka dni.

Drzwi się otwierają i do kuchni wkracza Andrew w piżamie.

- Nie mogę zasnąć - oznajmia płaczliwie, z grymasem na różowej buzi.

- A próbowałeś?

- Tak - mówi szeptem. W rączkach trzyma książkę. - Naprawdę próbowałem, ale nie mogłem, mamusiu. Chcę, żebyś mi poczytała.

- Co to za książka? - pyta Rupert.

- *Pajęczyna Charlotty* - mówi Andrew. - Moja ulubiona.

- Czyja mógłbym ci poczytać? - Rupert prosi Julię wzrokiem o pozwolenie, podczas gdy Andrew już ładuje mu się na kolana.

- Tylko kilka stron - ostrzega Julia.

- Jeden rozdział - targuje się Andrew.

- Umowa stoi. Wiesz co, Johnnie? - mówi Rupert niemal mimochodem. - Może nie byłoby od rzeczy, gdybym tam z tobą pojechał. Muszę tylko sprawdzić terminarz na najbliższe dni. Nie będziesz miał nic przeciwko temu?

- Oczywiście, że nie.

Wszystko, myślę, wszystko, co chcesz, bylebyś trzymał się z dala od mojej rodziny.

25

Niebo jest w ogniu. Ponad portem w regularnych odstępach czasu wybucha chryzantema czerwieni i bursztynu. Płoną świece, gorące niebieskie peonie kwitną oślepiająco. Z bliźniaczych barek dryfujących z dala od innych łodzi i z opustoszałego Star Ferry, między Central a Kowloon, wzbijają się w niebo fontanny białego ognia. Zielone i jaskrawoczerwone komety, pirotechniczny majstersztyk, oświetlają amfiteatr jakim jest w tej chwili Hongkong i jego najwyższą półkę, gdzie stoimy, zafascynowani widowiskiem, popijając szampana.

Chiński Nowy Rok. Zostaliśmy zaproszeni na noworoczne przyjęcie do domu Chuan Ch'u, położonego niemal na szczycie Victoria Peak, na Pollock's Path. Droga do posiadłości prowadzi nad przepaścią i dachem Bank of China w kształcie piramidy. Rezydencja Chuan Ch'u jest utrzymana w stylu śródziemnomorskim, podobnie jak ogród, pośród którego leży - miękki, aksamitny płaskowyż pokryty puszystym dywanem trawy, z basenem, kortem tenisowym i kamiennym piecem do barbeque.

- Czy wiesz, że choć tak długo mieszkałem w tym mieście, nigdy nie byłem tu w Nowy Rok? - zwracam się do Philipa. - Jakoś się nie złożyło...

- Wielka szkoda. Ponieważ, jak zapewne wiesz, to my wynaleźliśmy fajerwerki. W dziewiątym wieku.
- Wynaleźliście proch, ale nie wiedzieliście, co z nim zrobić.
- Jak to nie?! Używaliśmy go do odstraszenia czarowników. Czy może istnieć bardziej chwalebny cel?
- Prawdopodobnie nie.

Dziesięć metrów od balustrady, odgradzającej ogród od przepaści, Rupert rozmawia z młodym Chińczykiem o kwadratowej szczęce i z jeszcze młodszą kobietą. Stanowią uroczą parę.

- To Jonty Woo - ciągnie Philip.
- Nie żartuj! Ten gwiazdor filmowy?
- We własnej osobie.
- A kobieta?

- Czy to ma znaczenie? Opowiem ci coś o nim. Ostatnia dziewczyna, z którą umawiałem się mniej lub bardziej regularnie, twierdziła, że mnie kocha, ale nie wykazywała zainteresowania j edyną rzeczą, jaka interesowała mnie, mianowicie seksem. Pewnego dnia ludzie, z którymi byliśmy na kolacji, zaczęli rozmawiać

O Jonty Woo. Został przyłapany z prostytutką i podali to w wiadomościach. I nagle ta dziewczyna, którą brałem niemal za dziewicę, oznajmiła, że robiła mu to za darmo. Chyba nie rozumiała, jak bardzo mnie to zabol.

- Z pewnością nie była to ta wymarzona - mówię z naciskiem. - Każdemu się zdarza.
- Ciężko trafić na tę wymarzoną.
- A oto Chuan Ch'u - mówię, zauważywszy potężnego mężczyznę w gronie sąsiadów, stojących z dala od tłumu gości. - Spotykałem się z nim wielokrotnie przez te lata, ale w tym domu jestem po raz pierwszy. Czy to nie dziwne? W każdym razie, patrząc na niego, trudno jakoś pogodzić opinię wielkiego człowieka z prostotą jego zachowania.
- Stare chińskie przysłowie - mówi Philip. - Pokora jest najwyższym osiągnięciem człowieka.
- Bardzo udane! Podoba mi się. W tej chwili pokładam w Chuanie Ch'u sporo wiary.
- Wiem o tym. Nie martw się - mówi Philip.
- Praktycznie nie byliśmy ani chwili sami - stwierdzam. - Przyznaję, że chciałbym mieć niejakie pojęcie o tym, co zamierzacie.
- Pożycz ci pieniądze na pewną inwestycję. Bądź wdzięczny. Jest to przysługa. Niewiele więcej się dowiesz.
- Denerwuje mnie obecność Ruperta. Wolałbym, żeby zajął się czymś innym, gdzie indziej. Bałem się zostawić go w Anglii, a teraz działa mi na nerwy.

- To, że tu jest, wyjdzie nam na dobre - mówi zagadkowo Philip. - Chodzi przecież o zastawienie pułapki. Chuan Ch'u wyświadczy ci przysługę, przedstawi ci propozycję w formie zaproszenia. Liczymy na to, że Rupert połknie haczyk i zechce się dołączyć, z chciwości, zazdrości albo z jednego i drugiego. Masz coś przeciwko temu?

-Cholera, nie!

- Jeżeli wszystko pójdzie dobrze, nie tylko zwróci to, co przez niego straciłeś, ale przekaże swoje zyski na twoje konto.
- Jak zamierzacie tego dokonać?
- Wkrótce się dowiesz.

Iskry strontu, wapnia, baru i sodu rozpryskują się na granatowym niebie odbijają i w lustrzanej powierzchni morza, oświetlając setki dżonek. Chuan Ch'u krąży po swoim niezmiernie spokojnym ogrodzie, ubrany w czarny, ceremonialny uniform - zwalisty, łysiejący, ugrzeczniony sześćdziesięciolatek, niepozorny, ale opromieniony reputacją jak światłem latarni.

Pół godziny po pokazie sztucznych ogni z gości pozostajemy tylko my, kultowy bohater przemysłu filmowego i jego kwitnąca towarzyszka. Na znak Chuana Ch'u czekamy na tarasie na odejście również tej pary. Potem podążamy za gospodarzem do domu, przez przestronny, ozdobiony freskami hol na kręcone schody, które biegną zgodnie z kierunkiem wskazówek zegara i kończą się podestem wychodzącym na północ. Pomieszczenie na samym szczycie przypomina solarium, jest to ośmiokątna sala z panoramicznym widokiem. Pod linią okien stoją komody z drzewa różanego inkrustowane brązem, na jednej z nich błyszcząca kasetka z cygarami. Chuan Ch'u częstuje najpierw Ruperta, Philipa i mnie, potem wybiera cygaro dla siebie. Zwraca się do nas po raz pierwszy, odkąd powitał nas na progu swojego domu.

- Ten dom został zbudowany ściśle według praw feng shui - wyjaśnia. - Znaście feng shui?
- Podstawy - mówi Rupert za nas wszystkich.
- Jest to starożytna chińska sztuka planowania, umiejscawiania i projektowania budynków zgodnie z warunkami naturalnymi. Feng shui znaczy „wiatr i woda”. Ale celem nadrzędnym jest osiągnięcie spokoju. Osiągnięcie harmonii z morzem, ze wzgórzami, których symbolem jest smok. Najwięksi, najbardziej doświadczeni mistrzowie feng shui patronowali temu domowi - od fazy koncepcji, przez tworzenie planów, budowę i wykończenie.
- To fascynujące - wtrącam. - Kiedy został zbudowany?
- W tysiąc dziewięćset trzydziestym pierwszym. Połączenie starego z nowym zawsze przynosi dobre rezultaty. Daje coś więcej niż tylko gwarancję powodzenia. - Chuan Ch'u uśmiecha się. - Tak więc owoc współpracy z panem Wileym Ryanem okazał się gorzki dla nas wszystkich?
- W rzeczy samej - przyznaje Rupert.
- Dlaczego?
- Obawiam się, że go przeceniliśmy.
- Bez wątplenia. Ale nie przewrócił się sam.
- Został popchnięty - mówi Philip.
- Otóż to! I nie był to skutek waszych... machinacji.
- Nie - stwierdzam stanowczo. To, że Chuan Ch'u zdaje się wierzyć mi bez zastrzeżeń, przynosi ulgę.
- Zapewniliście mnie o tym obaj z Philipem i wierzę wam na słowo. Nawet przez chwilę nie sądziłem, że możecie być tak głupi, żeby sprzedawać wewnętrzne informacje. Straty przewyższyłyby zyski. Rezultatem byłaby utrata reputacji

i wiarygodności. Jestem przekonany, że z powodów, których nie znamy i zapewne nigdy nie poznamy, Wiley Ryan nie spełnił jakichś oczekiwań Jasona Argusa, który wplątał go w skandal, wiedząc, że Ryan sobie z nim nie poradzi. I jak się okazało, miał rację. Jest jasne, że twój udział, Johnie, był absolutnie przypadkowy - mówi, patrząc na mnie znacząco. - Spisek został zawiązany poza Battle-man, z powodów nie pozostających z tobą w żadnym związku.

- Ani z Battleman. - Spoglądam na Philipa szukając w jego twarzy wskazówki.

- Tego również jestem pewien. Gdyby na twoim miejscu był ktoś inny, doświadczyłby takich samych problemów. I na odwrót, gdyby cię tam nie było, twoje życie toczyłoby się jak zwykle. Nie miałbyś powodów do zmartwienia.

- Mam nadzieję, że się pan nie myli - mówię.

- Taka jest moja teoria. - Chuan Ch'u poddaje oględzinom kubańskie cygaro, które wybrał z kasetki, obraca je wolno w palcach, potem przytyka niemal do ucha, wsłuchując się w szelest liści tytoniu.

Rupert wyciąga bibelot na złotym łańcuszku i zamierza użyczyć gospodarzowi miniaturowej gilotyny, ale Chuan Ch'u postrzymuje go gestem. Markiz Cheviot chowa bibelot do kieszeni.

- Nauczyłem się tego sposobu od pewnego Kubańczyka - oznajmia Chuan Ch'u. Przynieśliśmy tu z ogrodu drinki i nasz gospodarz zanurza cygaro w szampanie, po czym natychmiast wyjmuje. Otrząsnąwszy je z resztek płynu, kieruje ku górze i wydmuchuje strumień powietrza w koniec, który chce zapalić. Wkrótce z cygara unosi się cieniutka, biała smużka dymu.

- Teraz naszym zadaniem jest iść naprzód - mówi Chuan Ch'u.

Niemal jednocześnie podnosimy nasze cygara i próbujemy zapalić je w taki sam sposób. Philipowi i Rupertowi udaje się niemal natychmiast, ja natomiast muszę się dobrze napracować.

- Jaką linię postępowania przyjmujemy wobec Argusa? - pytam.

- Argus jest, jeżeli nie przyjacielem, to znajomym kogoś, kto ma podobne zainteresowania jak Battleman i dlatego od czasu do czasu krzyżują się wasze drogi. Nie będziemy próbowali wyrównać rachunków, jeżeli o to pytałeś, Johnie. Uczynimy to oczywiście - ciągnie zwracając się do Philipa - kiedy los podsunie nam odpowiednią okazję. Musimy czekać, aż to nastąpi, nie wolno nam jej stwarzać.

- Więc mamy po prostu pogodzić się ze stratą? - pyta Rupert z niedowierzaniem.

- Na dzień dzisiejszy - tak! W tej chwili musimy przede wszystkim utrzymać naszą współpracę, ochronić kontakty. Jestem pewien, że z czasem znajdziecie sposób, by pomóc nam odrobić straty. My uczynimy to samo dla was. W tej chwili moja troska skupia się przede wszystkim na Johnie, który ucierpiał najbardziej. Nie mówiąc o tym, że starszy człowiek, któremu los sprzyja, winien jest pomoc młodemu człowiekowi obdarzonemu talentem. Dlatego też będę nadal czuwał nad Philipem, jak czyniłem to dotąd. Zamierzam pożyczyć wam dwóm pieniędzy na wykup zadłużenia pewnego kompleksu - hotel, ośrodek wypoczynkowy, handel detaliczny - któremu źle się ostatnio wiodło. Jestem jednak przekonany, że to chwilowa zapaść.

- Mówi pan o projekcie Highland? - pyta Philip.

- Tak, oczywiście.

- To za Szanghajem. Właściwie na przedmieściach.

- W najlepszym możliwym punkcie - dodaje Chuan Ch'u. - Bardzo obiecujący rejon. Należy jednak się pospieszyć. Moglibyście tam pojechać, jeżeli chcecie, chociaż liczby na papierze dają często lepszy obraz sytuacji niż ziemia z wykopami i na wpół wykończone budynki. Negatywną stroną takiej podróży, prócz opóźnienia, jakie by spowodowała, jest to, że pobudziłyby do działania inne zainteresowane strony.

Philip nie kryje wahania. Udaje, że porozumiewa się ze mną wzrokiem.

- Myślę, że możemy polegać na pańskiej ocenie sytuacji - deklaruje.

- Rupercie, bardzo mi przykro - mówi Chuan Ch'u. - Musisz się bardzo nudzić, ale chciałbym załatwić tę sprawę, zanim przejdziemy do omówienia sytuacji A&O i Battleman Peale.

- Ależ oczywiście. Proszę sobie nie przeszkadzać.

- Morganowie postępowali podobnie. A także Jardinowie i Swire'owie. Wykazywali zainteresowanie losem pracownika, nawet wówczas, gdy otwierał własną firmę. Zatrzymywali go w rodzinie, że się tak wyrażę.

- Mamy podobne podejście - wtrąca Rupert.

Chuan Ch'u siada na drewnianym fotelu z wysokim oparciem, na którym udrapowano afgańską narzutę.

- Tak też mi się wydawało. Ty, Rupercie, nie straciłeś pieniędzy, natomiast ucierpiała twoja reputacja. Liczę na to, że w przyszłości znajdziesz coś mniej niebezpiecznego, może bardziej kameralnego, i znów połączymy nasze zasoby i talenty.

- Już zaczynamy o tym myśleć - zapewnia Rupert.

- Lubię Battleman Peale - ciągnie Chuan Ch'u. - A nie wszyscy darzą go sympatią. Był czas, kiedy ani ja, ani Philip nie moglibyśmy kupić takiego domu ani w nim mieszkać. Ba, nie moglibyśmy nawet wejść do środka, chyba że w charakterze służących. O takich rzeczach niełatwo zapomnieć. Ale tamte czasy minęły. Teraz mamy do czynienia z innymi ludźmi. Nikt nie chce, by go oceniano przez pryzmat czynów przodków. Nie zaliczałem się do tych, którym odejście Anglików z tej wyspy sprawiło niewymowną rozkosz. Nie należałem również do tych, którzy żegnali ich z wielkim smutkiem.

- Tak się zastanawiam - mówi Rupert - czy nie moglibyśmy być użyteczni w tym szanghajskim przedsięwzięciu?

Chuan Ch'u rozważa to w milczeniu.

- Chyba nie - mówi w końcu.

- Pytałem, bo, sądząc z opisu, jest to dokładnie to, w czym się specjalizujemy. Mamy niezbędne kontakty na całym świecie, które zapewniają takim operacjom powodzenie, zakładając oczywiście, że wszystko jest z nimi w porządku.

- Oczywiście, że jest w porządku - zapewnia Chuan Ch'u. - Jego obecne kłopoty wzięły się stąd, że pierwotni inwestorzy ulokowali środki gdzie indziej.

- Szanghajczycy? - pyta Rupert. Nad jego górną wargą pojawia się kropelka potu.

- Szanghajczycy.

- Nie będę udawał, że chciałbym częściej robić interesy z Chinami... z Chińczykami.

- Wcale w to nie wątpię. Jest to, bądź co bądź, miliardowy rynek.

- A więc projekt Highland został już obsadzony? Chuan Ch'u uśmiecha się.
 - W stu procentach.
 - To był tylko pomysł.
 - Dostrzegam przydatność Battleman Peale w tego rodzaju przedsięwzięciu, ale niestety wyszliśmy już poza etap, kiedy firma mogła być użyteczna. Wydaje mi się poza tym, że ruch należy do Battleman, że to on powinien zadbać teraz o interesy A&O.
 - Całkowicie się z tym zgadzam - zapewnia go Rupert. - Rzecz w tym, że nie mamy teraz na tapecie nic, co leży w sferze waszych zainteresowań. Jak tylko się coś takiego znajdzie...
 - Dziękuję.
 - Proszę się nie martwić, zadbamy o to.
 - Jestem tego pewny.
 - Chcemy utrzymać nasze rodziny razem. Bardzo tego chcemy - mówi Rupert. - Zwłaszcza ja.
 - Naturalnie muszę działać przede wszystkim w naszym interesie, ale wierzę, że skorzystamy wszyscy.
 - To dobrze. - W zdeterminowanym, cichym głosie Ruperta brzmi koleżeńska nuta, zupełnie niestosowna w tych okolicznościach. Zauważam w Rupercie nietypowy rys - utratę równowagi i opanowania, jakby na chwilę opadła z niego maska. Jestem pewny, że myślami przebywa gdzie indziej - patrzy, jak wali się jego plan, kuli się wewnątrz na myśl, że mogą ocalić Castlemorlnad i swoje małżeństwo. - Gdyby istniała jeszcze możliwość wejścia w interes szanghajski... nie mówię tego jako partner Battleman, lecz jako osoba prywatna... chętnie dowiedziałbym się czegoś więcej.
 - Niestety taka możliwość już nie istnieje.
 - Czy mi się wydaje, czy nie jest to ostateczna odpowiedź?
 - Absolutnie ostateczna. Chciałem tylko dodać, że trzeba dysponować ogromną gotówką.
- Przez twarz Ruperta przebiega grymas.
- Byłbym w stanie zebrać konieczne fundusze.
- Jego poządliwość zaczyna mnie niepokoić. Nie licuje z jego charakterem. Obawiam się, że rozszyfrował nasz plan i obróci go przeciwko nam.
- Dziesięć milionów funtów?
 - Jeżeli okazja jest tego warta. Ale skoro interes jest zamknięty... - Rupert wycofuje się. - Znajdą się inne.
 - Znajdą się - powtarza za nim Chuan Ch'u.
 - Nie jestem chciwy - wtrącam. - Jeżeli można podzielić moją część...
 - To samo, oczywiście, odnosi się do mnie. W większym stopniu niż do Johna - mówi Philip. - To ja powinienem się podzielić z Rupertem.
 - To nie będzie konieczne - mówi Rupert. Jestem wstrząśnięty.
 - Pozwólcie, że wam doleję szampana - proponuje Chuan Ch'u, otwierając nową butelkę.

- Ja chętnie - mówi Rupert.

- Nie masz nic przeciwko temu, żebyśmy poczekali jeszcze jeden dzień? -zwraca się Chuan Ch'u do Ruperta. - Nie będziesz czuł się dyskryminowany, prawda? Dziwne, ale Anglicy nigdy się tak nie czują. Można im to poczytać za zasługę.

Sączymy szampana, różowego tym razem.

Rupert spogląda na spokojne niebo, jeszcze niedawno rozrywane wybuchami sztucznych ogni.

- Oczywiście, że nie.

- To bardzo ładnie z twojej strony.

Z każdą minutą utwierdzam się w przekonaniu, że Rupert jest dla nas stracony, że instynkt ostrzegł go przed pułapką i trzeba opracować nowy plan, jeżeli chcę zatrzymać swój bieg ku przepaści. Chuan Ch'u nie uznał za stosowne zapoznać mnie ze szczegółami projektu Highland i całkowita niezajomość jego planów gwarantuje spontaniczność moich reakcji. Teraz, widząc reakcję Ruperta, postanawiam blefować dalej.

- Prawdę mówiąc - zwracam się do Chuan Ch'u - wolałbym pojechać do Szanghaju, obejrzeć budowę.

Na nieprzeniknionych zwykle twarzach Philipa i Chuan Ch'u odbija się zdumienie.

- Nie potrafię inaczej - ciągnę. - Pewna doza skalkulowanego ryzyka jest niezbędna, ale nie jestem z natury ryzykantem i nawet w tak rozpaczliwej sytuacji, w jakiej się znajduję obecnie, nie zainwestuję pożyczonych pieniędzy, nie mając pewności, że będę mógł je zwrócić.

- Co właściwie spodziewasz się tam znaleźć? - pyta Rupert.

- Kto wie?

Dym cygar wzbija się pod sufit solarium i zawisa nad naszymi głowami w fantastycznych kłębach. Życie jest dymem, myślę, przybiera kształty, które mają nad nami magiczną władzę, inspirują lub straszą, zadowolają nas lub karzą. A potem dym się rozwiewa.

Weekend jest chłodny; do zrównania dnia z nocą pozostał niespełna miesiąc. Śliwkowa barwa nieba tuż przed zachodem słońca, kwitnące pąki drzew zapowiadają wiosnę, ale nadal przeważa nagość zimy, nocny chłód.

Spędzamy czas na zabawianiu dyrektorów Asian and Omnibus w Captain's Bar, w hotelu „Mandarin”, oraz na wytwornej dżonce Battlemana, chociaż wiatr jest porywisty i trzeba zakładać swetry i marynarki.

Nie mam wprawdzie zamiaru jechać do Szanghaju, ale symuluję chęć wyjazdu na użytek Ruperta. Napomykam o tym od czasu do czasu, tak enigmatycznie i bezosobowo, jak to możliwe. Powtarzam sobie, że muszę zaakcentować swoją rezerwę wobec całego przedsięwzięcia, jeżeli mam go przekonać, że nie jest sfingowane, że jego podejrzenia są wynikiem tylko i wyłącznie paranoi i nie znajdują potwierdzenia w faktach. Moja ostrożność musi wpływać w sposób naturalny z mojego charakteru i osobowości, nawet jeżeli umocni to jego poczucie wyższo-

ści. Rupert nie oprze się pokusie, by wygryźć mnie z tego interesu, zniweczyć raz na zawsze moje nadzieje na odrobienie strat. Jest przecież hazardzistą.

Zgodnie z wcześniejszymi ustaleniami, pracuję z Philipem nad jakimś drobnym projektem dla A&O. Podobnie jak zadania, które otrzymywałem w szkole biznesu, projekt ten jest czasochłonny, nie stawia za to wyzwań intelektualnych. Kolumny cyfr, procenty i znów kolumny cyfr. Nie ma to nic wspólnego z przedsięwzięciem szanghajskim, w które się zaangażowaliśmy.

- Czego Chuan Ch'u oczekuje od nas w zamian? - pytam Philipa, kiedy znajdujemy się sami w biurze Battlemana.

- Lojalności.

- Lennej wierności? -Nie.

- Jesteś pewien?

- On sam sobie odbierze nagrodę.

- Mam nadzieję. Bo w tej chwili nawet ja nie postawiłbym na siebie.

- Pamiętasz, co ci powiedziałem kiedyś o twarzy, bardzo dawno temu? - pyta Philip.

- Pamiętam. To jedno z tych powiedzonek, które zapadają człowiekowi w pamięć. Powiedziałeś, że twarz to coś, co otrzymujesz od innych.

- Otóż to! Okazałeś Chuanowi Ch'u szacunek, lecz nie służalczość. A jak postąpili Rupert i Jason Argus? Wprost przeciwnie! Zrobili go w konia. Najpierw Rupert wykorzystał mnie i - przyznaję - swój urok, aby zachęcić go do jego pierwszego interesu na Zachodzie, wiedząc, że jest on człowiekiem z pierwszego planu, bardzo widocznym. A był to cholernie niepewny biznes. Zrobiwszy to Rupert zmienia strony i zaczyna pracować przeciwko własnemu interesowi oraz A&O i Chuanowi Ch'u - z aktywnością, która jest nie tylko kosztowna, ale i zawstydzająca. Upokarzająca. Wszystko to sugeruje, że nie ma najmniejszego szacunku dla pozycji czy inteligencji Chuana Ch'u, i oczywiście liczy na to, że jego gra nie zostanie wykryta. Znów ta stara, imperialna arogancja! Co innego może zrobić Chuan Ch'u, jak tylko odwrócić ten proces krok po kroku?! Nie może na razie odzyskać strat na rynku transakcji z Ergo, ale może zdobyć co nieco pomagając nam. Z pewnością nigdy nie wydostalibyśmy się z obecnej sytuacji bez niego, jego wiarygodności i zasobów finansowych.

- To wszystko jest tak pogmatwane - mówię. - Prawdziwa chińska zagadka, przepraszam za to określenie. Perspektywa jej rozwiązania jest podniecająca, ale jakie ono będzie? Nie mogę się doczekać.

Nie musiałem czekać zbyt długo. Już w poniedziałek po południu osobisty sekretarz Chuana Ch'u zostawia w recepcji Battlemana wiadomość, że do jutra musimy podjąć decyzję o uczestnictwie w przedsięwzięciu Highlandu. Inni możliwi inwestorzy podnieśli wrzawę i chociaż on osobiście chciałby dać nam więcej czasu, obawia się, że nie jest to w jego mocy. Tak więc we wtorek spotykamy się w biurze Chuana Ch'u przy Peddler Street. Wyłożone politurowaną sosną i perskimi dywanami, z niskim sufitem, tchnie atmosferą kabiny okrętowej. Na okolicznościowych stolikach i półkach stoją angielskie srebra.

Czytam z Philipem dokumenty w małej salce konferencyjnej. Mniej więcej po godzinie podpisujemy je. Na żądanie Chuana Ch'u ustanawiamy Ruperta świadkiem. Sekretarz Chuana Ch'u zbiera papiery do teczki i dziękuje nam.

- Pan Ch'u zaraz do panów przyjdzie.

Młoda sekretarka podaje nam herbatę. Gdy Chuan Ch'u pojawia się w pokoju, daje nam do zrozumienia, że bardzo się spieszy.

Uśmiecha się i wychyla ku nam z fotela.

- Będziemy w kontakcie - oświadcza wspaniałomyślnie. Wśród kontraktów, jakie podpisaliśmy, jest umowa dająca mu pełnomocnictwo w sprawie tej inwestycji. - Poinformuję was, jak tylko ostatecznie i formalnie sfinalizujemy transakcję.

Rupert kieruje wzrok w sufit.

-1 oczywiście, jeśli tylko będę potrzebował...

- Bardzo panu dziękuję - mówię.

- Ja też - zgadza się Philip z żartobliwą intymnością w głosie.

- Jak daleko musi się pan posunąć? - pyta Rupert po chwili.

- Tak naprawdę to nie za daleko. Jeden inwestor w ostatniej chwili zgłosił popozycję trochę za niską...

-Ach tak... Kolejna pauza.

- Ja nie jestem sprzedawcą - wyjaśnia Chuan Ch'u.

- No, dobrze - mówi Rupert. - Właściwie to byłbym zainteresowany.

- Już to pan sugerował tamtego wieczoru.

- No właśnie. Chuan Ch'u waha się.

- Okay - zgadza się.

- Jak, do diabła, masz zamiar to sfinansować? - Philip pyta Ruperta wieczorem.

- Zarobisz dwa, nawet może pięć razy tyle, ile włożysz - mów Rupert - gdy sytuacja się zmieni. A zmieni się na pewno. Ponieważ - co widać jak na dłoni - Chuan Ch'u wie coś, o czym żaden z nas nie ma pojęcia. Daje ci prezent na powitanie, i jeszcze coś. Pomaga Johnowi, bo obaj padli ofiarą tej samej osoby. Nie mam też żadnych wątpliwości, że któregoś dnia o coś poprosi. No i dobrze! Czemu nie?! Przez ten czas mogę zorganizować każdą forszę. Dla takiego zysku?!

- Do jutra? - pytam.

- Oczywiście, będę musiał się sprężyć. Ale... tak. Sądzę, że tak. Następnego dnia, gdy Rupert z własnej woli podpisał i potwierdził telegraficznie

przekazanie swoich środków na konto Highlandu, idziemy we trzech czcić nasze drugie partnerstwo do Mana, gdzie, na swój sposób, utworzyliśmy pierwsze. Jest jeszcze popołudnie, daleko do zmierzchu, gdy opuszczamy ostatnią sesję z A&O i przechodzimy obok Budynku Tysiąca Dziur i Connaught Road; ale już zapalają się światła w oknach hoteli i biur, ukazując krzątające się wewnątrz cienie. Umawiamy się na spotkanie za trzy godziny i rozchodzimy się. Jest parno, jak zawsze przed zmianą pór roku.

W holu Mandaryna mijam słodko wyglądającego podlotka z plamką na czo-le,-kilka kroków dalej mężczyznę z podobnym znamieniem.

Nagle uświadamiam sobie, co to za dzień. Szybko mijam recepcję i windy, idę szerokimi schodami

w górę, potem łukiem nad Chater Road, jak najbliżej katedry św.Jana. Jest piąta. Słyszę uderzenia odległego zegara, harmonijny dźwięk na tle kakofonii ulicznego hałasu.

Powoli ogród św. Jana wypełnia się, nie tylko uczestnikami mszy. W wielkiej anglikańskiej katedrze, imperialnej i tropikalnej, o drewnianych ławach i sklepieniu, pod którym obracają się ramiona wentylatorów, ludzie przesuwają się, robiąc miejsce nowo przybyłym, milczący w swym zadumaniu nad tym wszystkim, za co przyszli prosić o przebaczenie. Wszędzie krzyże są okryte gazą. Podczas posypywania popiołem zamykam oczy.

-Pamiętaj, człowiecze - mówi młody kapłan - że prochem jesteś i w proch się obrócisz.

Kłęcząc przy odmawianiu litanii błagamy o wybaczenie, między innymi grzechami, „naszego lenistwa, nieopanowanej miłości dóbr tego świata i wygod, i naszej nieuczciwości w codziennym życiu i pracy”. Potem, przy komunii, po Agnus Dei, chór śpiewa „Lament Jeremiasza”.

Wracając samotnie do hotelu przechodzę powoli obok portalu katedry. Zmierzcha się. Czuję się... no, może nie zbawiony, na pewno jednak nowo narodzony w tym migotliwym wieczorze, niesiony nową falą nadziei.

26

Wiadomość od Philipa i burza nadchodzą jednocześnie. Kiedy deszcz słabnie, przenoszę, omijając kałuże, metalowy leżak spod okapu na osłonięty taras z widokiem na ogród. Mocuję starą płócienną poduszkę, którą znalazłem w składziku z rupieciami, i kładę się szybko, rozciągnięty na całą długość. W oddali majaczy niewyraźny jeszcze zarys kaplicy. Słońce przedziera się gdzieniegdzie przez chmury, nadając polom barwę jasnego beżu. Plamy światła wędrują po parku jakby po omacku, wyławiając z szarości nagie gałęzie drzew; trwają przez chwilę w bezruchu, by zniknąć i pojawić się w innym miejscu, rozjaśnić staw lub klomb kwiatów.

- Ralph i Lucinda są zaręczeni - mówi Julia, przysuwając swój leżak do mojego.

- Podobno.

- Dali zawiadomienie do „Telegrapha”. Nie wiem, czy do „Timesa” również.

- Widziałem je w „Telegraphie”.

- Szczęśliwy Ralph.

- Szczęśliwa Lucinda? - pytam żartobliwie.

- Chyba tak - mówi moja żona po krótkiej chwili wahania. - Wprawdzie nie wyszłabym za niego za męż... jest zbyt zrównoważony jak na mój gust... ale

rozumiem, że ktoś inny zrobi to ze śpiewem na ustach. Ma dobre serce, czego więcej można chcieć?

- Zgadza się z tobą.

- Jest to jedyna trwała wartość.

- Ale łatwo ją przeoczyć.

- Może to sprawia, że życie jest takie interesujące?

- Wolałbym, żeby nie było aż tak interesujące.

- Naprawdę?

- W tej chwili tak. Jestem zmęczony, Julio.

- Wiem - mówi szeptem.

- Więcej niż zmęczony.

- Wiem, ale otrząśniesz się z tego. Teraz musisz wypocząć.

- Tak, nic mi się nie stanie. Wiem o tym. Ale czy będę taki sam jak dawniej? Obawiam się, że nie. Już nigdy nie poczuję się młody, nie w ten cudowny, absurdalny sposób. Zbyt wielu musiałem dokonać wyborów, świadomy ryzyka, jakie podejmuję.

- Ja również się zmieniłam. Już nigdy nie będę...- Julia urywa jakby szukała właściwych słów. - Nigdy nie będę czuła się tak dobrze ze sobą, jak niegdyś. Ponieważ zwątpiłam w ciebie, zamiast cię wesprzeć.

Zaciskam wargi. Dreszcz emocji odbiera mi zdolność mówienia.

- Na papierze wyglądałem na cholernie winnego - odzywam się w końcu. Muszę to przyznać. Przez chwilę dowody były przytłaczające.

- Pieprzyć dowody - mówi Julia. - Powinnam była ci ufać, zawierzyć instynktowi. Powinnam... - Głos jej się łamie. Kiedy znów się odzywa, mówi ciszej, spokojniej. - Powinnam pamiętać słowa przysięgi, którą ci złożyłam.

- O nic cię nie obwiniam, Julio.

- „I przysięgasz kochać go, szanować, wspierać i pocieszać...?” Zaczynam płakać.

- Nigdy nie robiłaś nic innego.

- Robiłam. Robiłam! I dlatego proszę cię o wybaczenie. Muszę wiedzieć, że mi wybaczasz. Tyle się na mnie zważyło: śmierć ojca, śmierć Adriana. Potem wszystkie te nieszczęścia - bo jak inaczej nazwać to, co się nam przytrafiło? Nie zdradziłam cię, ale i nie wspierałam. To coś więcej niż przewinienie, to grzech. Muszę jakoś uporać się z tą świadomością, a mogę to zrobić tylko z twoją pomocą.

Jej słowa, jej ukradkowe spojrzenie w moją stronę i szybka ucieczka wzrokiem zapierają mi dech. Wyciągam rękę ponad pustą przestrzeń między naszymi leżakami i ujmuję dłoń Julii. Moje palce natrafiają na pierścienek zaręczynowy i obrączkę.

- Kocham cię Julio. Kocham cię od chwili, gdy cię zobaczyłem, choć okoliczności były tak trywialne. Od tamtego czasu podawałem w wątpliwość wiele rzeczy, ale nigdy moją miłość.

- Naszą wspólną przyszłość? -Nigdy. Absolutnie i bezwzględnie.

- Najbardziej przeraża mnie to, że nadal dokądś gnamy, ciągle z tą samą prędkością, chociaż fala, która nas porwała, już opadła.

Możemy się rozbić, prawda?

- Aż nazbyt łatwo. - Wstaję i podchodzę do niej. Julia robi mi miejsca na swoim leżaku. Przymykamy oczy, najpierw ona, chwilę potem ja. Całujemy się, po raz pierwszy od mojej podróży do Zurychu.

Chmury nadciągają znikąd, gdzieś daleko grzmi.

- O której przyjedzie Rupert? - pytam, choć znam przecież odpowiedź. Moje pytanie jest tylko nawiązaniem do tego, o czym myślę, co jeszcze pozostało do zrobienia.

- Lada chwila.

- Jesteś zadowolona?

- Czy cieszę się na to? Nie. Ale jestem gotowa. Musimy doprowadzić sprawę do końca. Nie ma innego wyjścia.

- Paskudną, obrzydliwą sprawę. A jednak nie wzdragam się przed tym, co mamy zrobić.

- Sam jest sobie winien - mówi Julia. - Zdrada zawsze była najgorszą zbrodnią. A zdrada własnej rodziny, przyszłego pokolenia!...

Rozmawiałeś z Philipem?

- Tak.

- Która tam jest godzina?

- Siedem godzin do przodu. Bardzo późno.

- Biedny Philip - mówi Julia.

Rupert przyjeżdża w chwili, gdy burza osiąga punkt kulminacyjny. Wyłania się z mgły podchodzącej aż pod drzwi domu, ze ściany deszczu, niby posąg, który wyzwolił się z marmurowej powłoki. Wchodzi powłócząc nogami, wyzuty z energii.

- Bałem się, że nie dojedziesz - mówię.

- Omal nie utknąłem. Szosa jest zalana na przestrzeni paru mil. Jedźcie się po osie w wodzie. Hektolitry wody.

- Wchodź - zapraszam. - Musisz wysuszyć ubranie. - Dobry pomysł.

- Filiżankę herbaty? - proponuje Julia.

- Filiżankę whisky, jeżeli mam wybór.

- Oczywiście.

- Nie wiem, czy Julia wspominała - mówi Rupert kiedy siadamy naprzeciwko siebie w bibliotece. - Przyjechałem po swoje strzelby.

- Tak, mówiła mi. Ale nie rozumiem...

- Wymagają czyszczenia. Chcę zabrać je ze sobą do Londynu, zapolować w innych rejonach kraju. Znam tutejsze stanowiska tak dobrze, że mógłbym strzelać z zamkniętymi oczami. - Sili się na uśmiech. - Człowiek dochodzi w życiu do punktu, kiedy chce spróbować czegoś nowego. Ma wrażenie, że teraz albo nigdy.

- Gdzie będziesz polował?

- W rozmaitych miejscach. Bo Castelmorland jest twoje, Johnie. Jeżeli wszystko pójdzie po mojej myśli, będziesz mógł je zatrzymać - i utrzymać tak, jak powinno być utrzymane. Jestem tu jak piąte koło u wozu.

Zamiast odpowiedzi spoglądam ku mglistemu, niemal wiosennemu światłu, jakie niespodziewanie załało pokój. Na zewnątrz rozlega się krzyk sowy, przytłumiony szybą; potem jeszcze raz i jeszcze raz.

- Nie zabawię długo - mówi Rupert.
- Nie zostaniesz na kolacji? - pyta Julia.
- Nie mogę, kochanie, przykro mi - W głosie jej kuzyna pobrzmiwa jakaś złamana, tragiczna nuta.
Między jedną whisky a drugą prowadzi Ruperta do zbrojowni, otwiera jej ciężkie drzwi i sędziwe szafy. Kiedy wracamy do biblioteki, Rupert opiera strzelbę Purdy'ego o wielki stół przy kanapie.
- Nie oczekuj, że cię zrozumie - mówi Julia.
Rupert uśmiecha się sucho, otwiera skórzany futerał i spogląda z roztargnieniem na broń.
- Nie, wcale nie oczekuję, że mnie zrozumiesz.
Ciszę przerywają trzy podwójne dzwonki telefonu. Julia jest najbliżej, podnosi słuchawkę i przysiadłszy na krześle przy biurku Baumbauera rozpoczyna pogawędkę z kimś na drugim końcu linii.
- Kto to? - pytam co prędzej, słysząc w jej głosie nutkę hysterii.
- Philip.
- Z Hongkongu? Tam jest strasznie późno.
- Potrafi dzwonić jeszcze później - przypomina mi Rupert.
- Wiem. Zły nawyk. - Biorę słuchawkę od Julii, siadam na jej krześle przy biurku i wysłuchuję wiadomości, którą znam na pamięć.
Spoglądam na Ruperta, potem celowo odwracam wzrok.
- O, Boże! - wykrzykuję. - To cudownie!
Kątem oka obserwuję reakcję Ruperta. Pali się z ciekawości.
- Rupert tu jest - informuję Philipa. - Tak, znowu. Podoba mu się tutaj. - Rzucam Rupertowi jeszcze jedno spojrzenie i dalej słucham tego, co mówi Philip. - Co? Cholera jasna! Niemożliwe! To straszne! Jesteś pewny, absolutnie pewny?...Nie, nie, ty mu to powiedz. - Włączam głośnik, odkładam słuchawkę.
- Rupert, cześć, tu Philip - dobiega jego głos. Połączenie jest bardzo dobre, bez trzasków.
- Cześć. Co się tam dzieje? Co jest straszne? Philip nie spieszy się z odpowiedzią.
- No więc, jak już mówiłem Johnowi, mam dobrą i złą wiadomość. John wyszedł z tego cało. Zanim ogłoszono bankructwo.
- Bankructwo? Jakie bankructwo? - dopytuje się Rupert nerwowo.
- Przykro mi. Highland padło. Myślałem, że już wiesz.
- Nic nie wiem. -No cóż...
- Mów dalej - denerwuje się Rupert.
- Okazuje się, że każdy z nas kupił inną serię papierów wartościowych - wyjaśnia Philip. - Nie wiem jak wy, ale ja tego nie zauważyłem. Twoje zadłużenie, Rupercie, zostało podporządkowane mojemu, a moje zadłużeniu Johna.
- Co to znaczy? - Spojrzenie Ruperta wyostre się, oczy robią się ogromne i błyszczące.

- Chyba oślepiła nas perspektywa tak łatwych pieniędzy. Nie byłby to pierwszy taki wypadek.
- Co to znaczy?!
- John jest na dużym plusie. Ty straciłeś.. .niestety, obawiam się, że straciłeś wszystko.
- A ty? - pyta Rupert po pauzie.
- Jeszcze nie wiadomo. Na pewno na tym nie zarobiłem. Prawdopodobnie odzyskam swoje pieniądze, z czasem. W tej chwili trudno dokonać jakichś analiz. Wszystko to jest bardzo zagmatwane, jak możesz sobie łatwo wyobrazić. Przy odrobinie szczęścia może uda mi się wyjść na zero.
- Rupert wciąga głośno powietrze. Wstaje i podchodzi do jednego z wysokich okien między regałami. Czeka.
- Philipie? - odzywa się w końcu.
- Słucham?
- Dobra robota - mówi Rupert, podnosząc purdy'ego do światła i ładując broń nabojem, który wyjął z kieszeni. Kieruje lufę ku burzliwemu niebu, ku kluczowi ptaków sunących mozołnie pod wiatr.
- Zgodnie z zasadami fair play - dobiega głos Philipa, zwielokrotniony echem. - Tego nauczyli mnie Anglicy. Zadzwoń do ciebie jutro, Johnie, jeżeli pozwolisz. Na razie!
- Nie, poczekaj minutkę - wołam, ale Philip już się rozłączył. Rupert nadal stoi przy oknie, pogrążony w myślach.
- Kiedy się domyśliłeś? - pyta.
- To się nie dokonało w jakimś jednym momencie. Chyba podczas rozmowy z Hugh Basildonem wszystko zaczęło układać się w jedną całość.
- Gdybym był tym, za kogo mnie uważasz, usunąłbym Basildona. Nie przyszło ci to do głowy?
- Nawet nie musiałem się nad tym zastanawiać - mówię.
- A to dlaczego?
- Ponieważ to nie byłoby w twoim stylu. Nie należysz do tego gatunku ludzi. I nie myślisz o sobie w ten sposób. Potrzebna ci aura pewnej zagadkowości. To tylko kwestia stylu, temperamentu, obojętne jak to nazwać.
- Może masz rację - przyznaje Rupert, zbyt skwapliwie.
- Podamy to wszystko do publicznej wiadomości - oznajmia Julia. - Wszystko, co zrobiłeś.
- Rupert zmienia pozycję, przygląda się nam długo.
- To zbyt skomplikowane dla gazet, nie wspominając o telewizji. Nikt nic z tego nie zrozumie. Wyjdą z założenia, że obaj jesteście złodziejami.
- Nieprawda! - krzyczy Julia. - Dopilnuję, żeby tak się nie stało!
- Dlaczego? - pytam w końcu.
- Dlaczego? - Rupert ciska we mnie tym słowem, jakby odpowiedź była we wszystkim, na co spojrzę. - Co chcesz, żebym powiedział? Że jedna rzecz prowadziła do następnej?
- Możesz w ogóle nic nie mówić.

- To nie była kwestia nienawiści. Nigdy cię nie nienawidziłem, żadnego z was - wręcz przeciwnie. Darzę was sympatią. Była to raczej kwestia instynktu. Nie wiem, czy to, co mówię, ma jakiś sens. Wam wszystko przychodziło z taką łatwością, mnie z takim trudem. To, czego nie chciałem, było tak łatwe do zdobycia, że z czasem przestawało mnie w ogóle interesować. Wszystko, czego pragnąłem, było zawsze poza moim zasięgiem.

- Więc zabiłeś Adriana? - wybucha Julia.

- Czy przestępstwem jest napić spragnionego? Nie przeczę, że gdyby to nie podziałało, znalazłbym pewniejszy sposób, ale ku mojemu zdumieniu i radości, nie musiałem. Zostawił ci Castlemorland i wszystkie jego skarby. Chyba nie możesz narzekać?

- Idź do diabła!

Telefon dzwoni ponownie. Patrzę na Ruperta, na broń w jego rękach, jakbym prosił o pozwolenie podniesienia słuchawki. Nie wykonuje żadnego ruchu, stoi z wzrokiem wbitym w zagniewane niebo.

- To Wilson Blaine - mówię.

- Kto? - pyta Julia. - Ach, pamiętam. Przez chwilę nie mogłam skojarzyć nazwiska.

- Pieprzony dziennikarz-szperacz - mówi Rupert z nienawiścią. - Tym razem możesz nie włączać głośnika.

Stoję ze słuchawką przy uchu, udając, że słucham Blaine'a.

- Wygląda na to, że poskładał to sobie do kupy - wyjaśniam po kilku minutach.

- Pogratuluj mu ode mnie.

- Philip miał rację - ciągnę. - Nie było żadnych pieniędzy na tych rzekomych kontaktach. Ani w Lichteinsteinie, ani nigdzie indziej.

- To nie jest do końca prawda - przerywa mi Rupert.

- Nawet jeżeli były, szybko je wycofałeś.

- Jesteś bystrzejszy niż sądziłem. Więc teraz wyrównałeś rachunki. Masz z powrotem to, co ci zabrałem.

- Co ukradłeś - poprawia go Julia.

- W dodatku całkowicie legalnie - uzupełniam.

- Czy naprawdę chcesz pomścić swojego braciszka? - pyta Rupert. - Jeżeli tak, to proszę! - krzyczy, wciskając Julii w rękę naładowany karabin. - *Presto eon fugato!*

Julia chwyta broń zdecydowanym ruchem, palec bieleje na cynglu, mierzy w biodro Ruperta.

- Zabicie ciebie - mówi w końcu - nie wchodzi w rachubę.

- Twoja decyzja.

- Niezupełnie. Chociaż zrobiłabym to z przyjemnością.

- Co cię powstrzymuje?

- Nie masz dzieci. - Julia poluzowuje uchwyt. - Gdybyś miał dzieci, musiałbyś zająć trochę inne stanowisko, patrzyłbyś na życie z innej perspektywy.. .Dlaczego tu przyjechałeś, Rupercie, po tym wszystkim?

- Po moje strzelby, już mówiłem. Z pewnością nie po to, żeby dać się zabić.

- Nie byłabym tego taka pewna. -Pójdę już.

-Idź.

- Mam dużo czasu. Miną tygodnie, zanim odpowiednie władze ruszą tyłki i zgromadzą dowody przeciwko mnie. - Rupert prostuje swoją wysoką postać, uśmiecha się, kiedy Julia otwiera purdy'ego i rzuca naboje na podłogę. - Chyba się pożegnamy - mówi, pospiesznie zbierając strzelby. Rozgląda się za płaszczem. - Wybaczysz mi?

- Wybaczyć ci! - powtarza Julia w osłupieniu.

Kiedy Rupert wychodzi, Julia zaczyna łkać. Tulę ją do siebie.

- Co powiemy dzieciom? - pyta tępo. - Kochają go.

- Powiemy, że się zgubił - mówię cicho.

- Tak. Możemy ułożyć z tego bajeczkę, ale nie zrobimy z niego bohatera -. . Tak bardzo cię kocham.

- To ja kocham ciebie - kołyszę Julię w ramionach. - Powiemy im, że Rupert zgubił drogę.

O północy, pod okiem gipsowego rycerza na słupie ognia, dotykam znajomej talu, szyi, pikantnych warg, brodawek mojej żony. Nie mam poczucia, że oddycham, nie mam poczucia śmiertelności. Zamykam oczy, przywołując sen, świadomy tego, że dzieci wcześniej wstaną.

Jutro palmowa niedziela, potem Wielkanoc i my, sami w Castlemorland. W wigilię oczyszczenia doświadczam nagle uczucia całkowitej, nieskrępowanej wolności. Wkrótce Andrew i Louisa, Julia i ja pojedziemy do Nowego Jorku na wakacje. Tam, podobnie jak tutaj, jak wszędzie, będziemy z Julią próbowali zrozumieć, odrzucić lub wchłonąć kulturę, ku której nasze dzieci skłaniają się tak naturalnie. Drzę z radości na myśl, że stanę się świadkiem ich zmagania, wyobrażam sobie, jak będą, bez jednej myśli, podejmować wyzwania, na jakie skaże je życie.

Jedno wiem na pewno: przedmiotem gry nie są pieniądze. lecz czas. Pieniądze stają się obsesją, sprawiają, że sprzymierzamy się z wrogami, niszczymy przyjaźnie. Czas jest drugą, po miłości, prawdziwą wartością na tym świecie. I nie zdobywa się go umiejętnościami. Tylko los może nam go ofiarować. Tylko los.